

JOANNA  
HINES

# Skrzydlaty morderca

*The Murder Bird*

Przełożyła  
Barbara Korzon



*Mary Read*

# 1

*To działo się jak we śnie*

Zanim w małym domku na kornwalijskim urwisku znaleziono ciało Kirsten Waller - stało się to dopiero pięć tygodni później - Grace Hobden pozmywała naczynia po lunchu, upewniła się, że jej dzieci bawią się przy końcu ogrodu na specjalnej ramie do wspinaczki, a potem wróciła do domu, żeby zabić męża. Paul Hobden, zwalisty mężczyzna żywo przypominający wieloryba, odsypiał akurat skutki mocno zakrapianego lunchu. W kącie pokoju szemrał telewizor. W czasie gdy widoczny na ekranie czarno-biały Douglas Fairbanks junior z istic morderczą precyzją wymachiwał mieczem, siejąc dookoła spustoszenie, Grace wyjęła z kuchennego stojaka ostry nóż do filetowania ryb, wkroczyła do salonu i bez chwili wahania zatopiła ostrze w miękkiej od tłuszczu klatce piersiowej męża.

Usiłował chyba się podnieść, bo zadała mu kolejne pchnięcie, choć już to pierwsze było śmiertelne - przebiło lewą komorę serca. Jako wykwalifikowany technik radiolog Grace dobrze znała anatomię. Drugi cios wszedł w klatkę piersiową pod kątem czterdziestu pięciu stopni, powodując obfite krwawienie; krew zalała krzasiaste obicie sofy, nowy oliwkowo-szary dywan i samą Grace. Trzeci już nie był potrzebny.

Wzięła potem prysznic, włożyła czyste ubranie i zawołała trójkę swych dzieci - ośmioletniego Angusa, siedmioletniego Matthew oraz trzyletnią Susan - by im zakomunikować, że zabiera je na wycieczkę. Pojechali nad morze - jakieś czterdzieści mil od domu - gdzie spędzili miłe popołudnie, grając w plażowego krykieta, budując wspaniałe zamki z piasku i bez żadnych ograniczeń opychając się lodami. Pod wieczór zadzwoniła na policję. Kiedy wróciła do domu, czekali tam już na nią funkcjonariusze.

- Dłużej nie mogłam tego wytrzymać - powiedziała policjantom pochylonym nad ciałem jej męża. - To działo się jak we śnie...

\*

Raph Howes z rosnącym niedowierzaniem przerzucał leżące przed nim dokumenty. Koszula zwilgotniała mu od potu, i to nie tylko z powodu upałów, które późnym latem nawiedziły Londyn. Co, do wszystkich diabłów, myśli sobie ten Dermot? Przecież wie doskonale, tak jak wszyscy w tej kancelarii, że od dwóch miesięcy, to jest od śmierci Kirsten, Raph Howes nie przyjmuje żadnych spraw rodzinnych. Któż zresztą mógłby mu to mieć za złe? Przyglądając się zdjęciom zakrwawionych zwłok Paula Hobdena, żałosnych, lecz

zarazem i trochę śmiesznych, przed oczami bez przerwy miał ciało Kirsten. Nawet martwa wciąż była piękna, tą chłodną skandynawską urodą, która nie poddaje się czasowi; na jej nagim ciele, z jedną nogą przewieszoną przez krawędź wanny i odrzuconą głową, nie widać było żadnych śladów krwi. Mimo to była martwa. Bezapelacyjnie martwa.

Podniósł się gniewnie i zaczął krążyć pomiędzy biurkami. Nawet przed śmiercią żony, zanim jeszcze od niego odeszła, nie cierpiał domowych morderstw. Były zbyt osobiste, zbyt stresujące, zbyt bolesne. Wystarczyło wyobrazić sobie tę trójkę dzieciaków beztrósco bawiących się w ogródku, gdy ich matka w odległości kilkunastu metrów kładła krwawy kres ich dzieciństwu! Jeśli te biedne maluchy miały w ogóle jakieś dzieciństwo.

Takie rzeczy nie zdarzają się w zdrowych, normalnych rodzinach. Nie mają prawa się zdarzać.

A jednak... Raph poczuł nagle, że wyschło mu w gardle. Po policzkach spłynęły krople potu. Jego nozdrza złowiły lekki, lecz uchwytny zapach spalenizny. Jakiś tępy bałwan musiał rozpaść ognisko...

Niecierpliwym gestem pchnął papiery na krawędź biurka i krzyknął na Dermota, że ma je zabrać. Nikt się nie zjawił.

Ze sterty wysunęło się jakieś zdjęcie. Grace Hobden. Była nawet ładna, choć w sposób mało rzucający się w oczy. Ta trzydziestoparoletnia kobieta, która morderczym pchnięciem przebiła mężowi serce, miała okrągłą twarz o z grubsza ciosanych rysach, twarz typowej kury domowej. Nic w jej powierzchowności nie wskazywało na to, iż może być osobą, której pod żadnym pozorem nie wolno zostawić samej z ostrym nożem w ręku przy uśpionym, bezbronnym mężu.

No tak, ale czy mordercy zawsze wyglądają na morderców? Raczej rzadko. Raph był tego świadom.

Wydawała się zagubiona i oszołomiona - i pewnie tak było. Z bezpiecznej odległości przyjrzał się fotografii. Ile jej to zajęło? Trzydzieści sekund? Dwie minuty? Ile trzeba czasu, by popełnić rzecz nieodwracalną, coś, co na zawsze zmieni życie całej rodziny?

Przyszło mu na myśl, że warto byłoby o tym pogadać. Z Kirsten. Szkoda, że nie robił tego w czasach, gdy jeszcze mogli swobodnie mówić o wszystkim, nawet o morderstwach.

- Dermot! - ryknął znowu, podchodząc do okna. W tym pokoju brakuje powietrza. Dlatego tak mu duszno. Gdzie się podziewa ten człowiek? Czemu te cholerne papiery wciąż tu leżą?

Wsunął palec za kołnierz koszuli - i po kłykciach spłynął mu pot. Nie radzi już sobie ze stresem jak dawniej. I do tego jeszcze ten pies. Strasznie go denerwowało niosące się z daleka

uporczywe szczekanie psa, rozpaczliwe ujadanie zwierzęcia, które uwiązano na łańcuchu lub które wpadło w pułapkę. Szczeka drań, jakby od tego zależało jego psie życie!

Czy ta Grace Hobden ma jakieś szanse w sądzie? Wiele zależy od tego, jakie wrażenie wywrze na przysięgłych. Oczywiście trudno udowodnić, że oskarżony działał w samoobronie lub bez żadnej premedytacji, skoro ofiara spała, nie jest to jednak rzecz niewykonalna. Najlepsza linia obrony polegałaby na wykazaniu, że zabójczyni musiała przez wiele lat znosić maltretowanie i przemoc, aż w końcu pewnego majowego ranka pękła jak napięta struna.

Zabrzmiał mu w uszach fragment jej zeznania:

„Nie mogłam już tego wytrzymać”.

Czego? Rodzice i siostra Paula Hobdena twierdzili chórem, że był łagodny jak jagnię, ale cóż innego mogli mówić? Krewni zawsze tworzą wspólny front. Nikt przecież nie powie: „Był potworem, który zasłużył na śmierć”. Grace w swym zeznaniu odmalowała męża jako sadystę i tchórza, który lubił się znęcać nad słabszymi. Na dowód pokazała siniaki na nogach i ślady poparzeń od papierosa na lewym ręku. Najtrudniejsze jednak do zniesienia były tortury psychiczne.

Tortury psychiczne...

Raph czuł, że serce wali mu jak młotem i że coraz trudniej mu oddychać. Lato w tym lokalu to prawdziwe piekło. Otworzyłby okno, ale nie chciał wpuszczać do środka jeszcze więcej tego piekielnego swądu. A w ogóle skąd, do diabła, bierze się tu dym?

- Dermot! Na litość boską, co się z tobą dzieje?

I czemu nikt nie uciszy tego cholernego psa?

\*

Kiedy Raph po raz trzeci wrzasnął jego imię, Dermot Mercer wyszedł z toalety. Miał wyrobione zdanie o takich wrzaskach panów adwokatów, oczywiście bardzo negatywne. Jego twarz, która nawet w dobrych chwilach przypominała mordkę niespokojnego chomika, ściągnęła się teraz i jakby zapadła. Mimo to z pośpiechem ruszył do pokoju. Trzeci okrzyk Rapha wyzwolił w nim przyływ adrenaliny - i falę paniki.

- O co chodzi, panie Howes? Stało się coś złego?

Natychmiast zdał sobie sprawę, że to pytanie czysto retoryczne. Wystarczył rzut oka na fizjonomię znanego obrońcy, aby dojść do wniosku, że dzieje się coś niedobrego. Jako młody człowiek Raph Howes miał ciemną czuprynę i smagłą, urodziwą twarz pirata bądź innego awanturnika z ubiegłego wieku, ale odkąd przekroczył czterdziestkę, przybrał na wadze, jego szczęki pod niebieskawym cieniem zarostu stały się cięższe, a ruchy znacznie wolniejsze, intelektualnie jednak był nadal tak szybki i groźny jak kiedyś, zwłaszcza gdy natrafił w sądzie

na godnego siebie przeciwnika. Dla Dermota był to więc szok zobaczyć go w tak kiepskim stanie.

- Widzę, że źle się pan czuje - powiedział współczująco.

- Czuję się dobrze... doskonale... tylko zabierz stąd te papiery.

Gdy jednak Dermot sięgnął po stertę, Raph rąbnął pięścią w biurko. Włoski porastające jego palce musnęły w przelocie dłoń sekretarza, który cofnął się jak ukłuty.

- Kto je tu przysłał? - brwi Rapha zbiegły się nad nosem.

- Alan Caulder z kancelarii Fergala i Smitha. Ogromnie nalegał...

- Pamiętasz, co powiedziałem? Żadnych morderstw. Żadnych morderstw, odkąd...

Nie musiał kończyć. Dermot dobrze wiedział, w czym rzecz. Odkąd umarła Kirsten. Bo choć nikt postronny nie przyłożył do tego ręki, było to także swoiste zabójstwo. Dokonane przez samą denatkę. Tak określano kiedyś samobójstwo. Powinienem być delikatniejszy, zgromił się w duchu Dermot. Od jej śmierci upłynęły ledwie dwa miesiące, powinienem więc się domyślić, że ten człowiek wciąż jeszcze cierpi.

- Bob Holies - powiedział cicho - wymógł na mnie obietnicę, że rzuci pan na to okiem. Odkąd dla jego klienta uzyskał pan wyrok w zawieszeniu, jest przekonany, że nie ma dla pana przegranych spraw. Zabiorę te papiery, proszę mi je dać.

- Nie, zaczekaj... - Raph opadł na krzesło. Oddychał ciężko.

Uznawszy, że strasznie tu duszno, Dermot podszedł do okna, aby je otworzyć.

- Nie! - wychrypiął Raph.

- Myślałem, że...

- Od tego piekielnego dymu pali mnie w gardle.

- Od dymu? - Sekretarz wciągnął powietrze. Poczul spaliny, nagrany uliczny kurz i może trochę kwiatowych pyłków, ale na pewno nie dym.

- Jakiś głupek rozpałił ognisko... - Raph urwał i ściągnął brwi, uświadamiając sobie nagle, że popełnił błąd.

- Okolice Middle Temple raczej nie słyną z ognisk - delikatnie zauważył Dermot. - To pewnie jakiś przechodzień z cygarem - dodał, otwierając okno na oścież. Do pokoju wtargnęła fala ulicznych wyziewów.

- Musiałem to sobie uroić - rzucił Raph. Przesunął dłonią po ustach i dodał: - A ten pies...

- Jaki pies?

- Po prostu jakiś cholerny pies. - Raph odwrócił oczy. Wydawał się tak dziwnie zdezorientowany, że Dermot nagle się zawstydił, jakby zobaczył go bez ubrania. - Skoro

mam już na biurku te papiery - dorzucił Raph innym tonem - możesz mi je zostawić. Przejrzę je.

- Ale powiedział pan...

- Zmieniłem zdanie.

- Mógłbym je dać którejś z dziewczyn. To akurat coś dla Seliny.

- Powiedziałem, że je przejrzę, prawda? Zostaw to!

Gdy Raph Howes zaczynał mówić takim tonem, nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Dermot wycofał się cicho i wrócił do swego biura mocno zakłopotany. Nie powinien podkładać się Raphowi. Ten facet przynosił firmie więcej zysków niż pozostali obrońcy razem wzięci. On, Dermot Mercer, musi być ostrożniejszy. Odtąd bez względu na wszelkie perswazje będzie karmił Rapha wyłącznie lekkostrawną papką: napadami z bronią w rękę i korupcją. Może tylko od czasu do czasu podrzuci mu jakieś małe podpalenie - tak dla odmiany.

\*

Gdyby Raph był świadom, co myśli jego sekretarz, zgodziłby się z nim w całej pełni. Sprawa tej Hobden potrzebna mu była jak dziura w moście.

Było w niej to wszystko, czego najbardziej nie znośli: przytulny domek, bezbronne dzieci, którym świat się teraz zawali niezależnie od tego, co się dalej stanie, no i wywlekanie na widok publiczny wszystkich rodzinnych brudów. Uff, chyba zwariował, że podjął się takiej sprawy! Dermot miał rację: trzeba było ją oddać którejś z koleżanek. Każda z nich aż piszczy, żeby się wykazać swym prawniczym kunsztem!

Gdyby chciał postąpić rozsądnie, powiedziałby Dermotowi, że musi iść do domu popracować nad sprawą fałszerstwa w Bazylei. Dom oznaczał Lolę, rozmowy o depilacji nóg woskiem lub o życiu miłosnym jej przyjaciółek. Mógłby na parę godzin pogрузić się w błogim świecie głupich dziewczęcych próżnostek. Lola, młoda osoba o wspaniałym ciele i dosyć miałkim umyśle, pojawiła się w jego życiu w momencie strasznego kryzysu, a on ją zatrzymał przy sobie, gdyż to, co miała do ofiarowania, było wprost bezcenne. Stała się jego tarczą przeciwko udręce, która omal go nie zniszczyła. Daj sobie spokój z tą Grace, upomniał się w duchu. To nie jest sprawa dla ciebie.

Z lekką ciekawością przyjrzał się swojej dłoni sięgającej - jakby sama z siebie - po rozrzucone na biurku papiery.

To działa się jak we śnie...

Nie bierz tej sprawy, to czyste szaleństwo, a ty przecież jesteś skrajnym racjonalistą. Taką masz opinię.

W gardle wciąż go piekło - od tego dymu, którego nie było. Ani żadnego psa.

Rozpostarł przed sobą ułożone w wachlarz dokumenty. Szczegóły. Zawsze od tego zaczynał. Od drobiazgów takich jak ten, że Paul Hobden w czasach swojej służby w marynarce uprawiał pięściarstwo i że jeszcze na dzień przed śmiercią uczył boksu swoich dwóch synków. Takich jak ten, że winowajczyni po zabiciu męża spędziła całe popołudnie na plaży, grając w krykieta i budując z dziećmi zamki, jakby się nic nie stało. Gdy ją później o to zapytano, odrzekła, że chciała sprawić dzieciom trochę uciechy, „zanim to wszystko da im się we znaki”. Z dokumentów wynikało, że dziesięć dni przed zabójstwem umarł jej ojciec. Czy ten szczegół dałoby się wykorzystać w jej obronie? Chyba tak.

Ale ta jej wypowiedź, dobry Boże! „Zanim to wszystko da im się we znaki”! W chwilach tak dramatycznych jak ta można by się przecież spodziewać po ludziach czegoś mniej banalnego. Jeśli już nie tyrady w Szekspirowskim stylu, to przynajmniej głębszej refleksji, a tu? To działo się jak we śnie... No tak, ale czy w ten sposób reagują tylko zwykłe tępe śmiertelniczki, takie jak ta Grace Hobden? - pomyślał melancholijnie. Jak on sam zareagował na wieść o śmierci Kirsten? „Och, nie!” Tylko na tyle było go stać. „Och, nie!” Odciać się od tragedii. Zaprzeczyć jej istnieniu. „Och, nie!” Dwa najtragiczniejsze słowa w angielszczyźnie.

(Oczywiście są i inne. Na przykład: „Przepraszam, tatusiu, nie chciałem... Nie gniewaj się na mnie, proszę...”).

Przed paroma laty Raph bronił młodego człowieka oskarżonego o to, że bez widocznego powodu zastrzelił z łuku nieznanego przechodnia; po prostu ni stąd, ni zowąd władował mu strzałę w pierś. Zapytany, dlaczego to zrobił, odpowiedział z pełnym spokojem: „Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył”.

No cóż... Warstewka cywilizacji dzieląca nas od barbarzyństwa jest bardzo cienka; łatwo się kruszy i gdy nagle wpadamy w otchłań drzemiącego w nas okrucieństwa, jakież ubóstwo słowa towarzyszy tym naszym upadkom!

Sąsiadka opisała Grace Hobden jako osobę małomówną i bardzo zamkniętą w sobie.

Raph znał ten typ ludzi. Trzeba będzie to także wykorzystać jakoś w jej obronie.

W jakiej obronie? Czuł, że krew zaczyna łomotać mu w skroniach. Przestań nawet o tym myśleć, bo zapędzisz się za daleko.

Za późno. Już posunął się za daleko.

Otoczyła go dziwna cisza, głęboka, paralizująca cisza, jaka często zapada po wielkiej śnieżycy albo jakiejś strasznej katastrofie.

Grace popełniła morderstwo. Postąpiła źle. Każde morderstwo jest złem.

Sięgnął po blok do pisania i wyjąwszy z kieszonki wieczne pióro, zaczął sporządzać notatki swym drobnym wytwornym pismem. Prawo i jego pewniki zawsze były dla niego ucieczką przed ludzką rozpaczą i żalem, pozwalały bowiem zredukować wszelkie tragedie do poziomu gry w paragrafy. Raph Howes był w tej grze bardzo dobry - potrafił odnosić zwycięstwa. Aby to osiągnąć, przeszedł długą drogę.

Wodząc piórem po papierze, zaczął się zastanawiać, czy rodzina Hobdenów miała psa? Usłużna pamięć natychmiast podsunęła mu przed oczy pewien obraz:

Mały chłopiec biegnie przez wysoką trawę. Jej długie wilgotne źdźbła moczą mu gołe kolana. W klatce piersiowej czuje straszny ból. Trudno mu oddychać po tak długim biegu. Biegnie tak od drogi, a to długi dystans dla małego chłopca. W ramionach dźwiga martwy ciężar i tak bardzo, tak strasznie się boi.

Oto już dom, w którym czeka tatuś.

„Przepraszam, tatusiu, nie chciałem... Nie gniewaj się na mnie, proszę...”

## 2

### *Musiałam to zrobić*

Zawieszona na tylnej ścianie domu Rapha, między pierwszym a drugim piętrem, Sam w pewnej chwili chciała już zrezygnować.

Kiedy system bezpieczeństwa włączył reflektory, oblewając ją smugą ostrego światła, stała się widoczna jak rozplaszczona na skale rozgwiazda. Zaryzykowała tę wyprawę, zakładając, że okno położonej nad kuchnią łazienki będzie uchylone, cóż, kiedy spotkał ją zawód - było zamknięte na głucho. Póki znajdowała się w zasięgu światła, nie miała odwagi stłuc szyby; jedyne, co mogła zrobić, to wspiać się jeszcze trochę wyżej.

Tymczasem już teraz, na wysokości jakichś sześciu metrów, dopadł ją gwałtowny zawrót głowy. Serce zaczęło jej walić jak młotem. Ścianę budynku porastały wprawdzie pnącza, nie było to jednak „filmowe” dzikie wino, po którym zakochani amanci wspinają się jak po drabinie. Te miały wiotkie łodyżki, które łatwo mogły się urwać, a widoczne w dole kamienie... och, lądowanie byłoby twarde. Wyobraziła sobie, jak leży w gustownym patio Rapha z paskudnie rozłupaną czaszką.

Spokojnie. Skup się, dziewczyno. I nie myśl.

Rozpostarłszy ramiona, uchwyciła się oburącz pnączy, opierając policzek o emanującą wciąż jeszcze ciepłem dnia ścianę. Wzmagający się zawrót głowy wywoływał złudne



wrażenie, że mogłaby sfrunąć na dół jak na skrzydłach. Nie wolno. Nie rób tego. Oddychaj głęboko. Postaraj się uspokoić.

Wiedziała już teraz, że nie ma wyboru, że musi iść w górę. Po pierwsze dlatego, że schodzenie na dół jest jeszcze trudniejsze, a po drugie stawka jest zbyt wysoka, żeby myśleć o kapitulacji.

Zza domu, od strony Holland Park Avenue, niosły się odgłosy ruchu ulicznego. Nie milkły one nigdy - nawet teraz o drugiej nad ranem.

Powoli i bardzo ostrożnie, sprawdzając każdą gałąź, czy aby utrzyma jej ciężar, zaczęła wspinać się wyżej. Plecak tłukł ją po krzyżu, wytrącając z i tak już chwiejnej równowagi, zatknięty za pasek młotek raz po raz wbijał się w żebra. Jeszcze trochę - i oto wydostała się ze strefy światła. Najpierw ukryła się w mroku jej głowa, a potem ramiona i reszta.

Gdy teraz sięgnęła w górę, prawą ręką napotkała dolną powierzchnię kamiennej półki. Parapet. Daj Boże, by to okno było otwarte, jeśli już nie całkiem, to choćby trochę.

Przesunęła się w lewo, tak żeby znaleźć się z boku.

Wyciągnęła już rękę w stronę szyby, gdy poraził ją głośny jak wystrzał łopot skrzydeł, a policzek musnęły ptasie pióra. Mięśnie zwiotczały jej z szoku, gałąź wymknęła się z ręki i, o Boże, na moment zawisła w próżni, wpatrzona ze zgrozą w widoczną w dole kałużę białego światła. W ostatnim ułamku sekundy zdołała chwycić się gałęzi. Serce biło jej jak szalone. Podobnie przerażony kos ze skrzekiem odfrunął w ciemność.

- Och, ty przeklęty ptaku... - wykrztusiła. - Omal mnie nie zabiłeś.

Zimny pot zrosił jej czoło. Chyba tylko samą siłą woli trzymała się zbawczej gałęzi, czekając, aż dziko bijące serce na tyle się uspokoi, że będzie mogła wspiąć się do okna. Światło zgasło. Musiała znów chwilę odczekać, by oczy przywykły do mroku.

W nawiedzających ją nocnych koszmarach zawsze panowała ciemność, czarniejsza nawet od obecnej, a ona miała przed sobą głęboką jak przepaść wyrwę, którą musiała przekroczyć. Czuła się wtedy jak ślepiec.

Ruszaj, nakazała sobie.

Z ogromnym wysiłkiem zaczęła powoli dźwigać się na okno. Gdy poczuła, że w końcu jej biodra osiągnęły poziom parapetu, bojąc się głębiej odetchnąć, postawiła stopę na gałęzi i chwyciwszy się lewą dłonią pnączy, prawą dotknęła okna. Też było zamknięte. Jakżeby inaczej? Och, głupia Sam! Wyjechali na weekend. A ty myślałaś, że co? Że zostawią włamywaczom zaproszenie?

Niezdarnie gmerając ręką w ciemności, wyciągnęła młotek zza paska, owinęła go szalem, szal zaś omotała sznurkiem. Żeby stłumić hałas.

Pierwsze uderzenie zabrzmiało głucho - szyba wytrzymała. Spróbowała ponownie, już znacznie mocniej, lecz i tym razem bez skutku. Ogarnęła ją taka złość na wszystkie głupie młotki świata i uparte szyby okienne, że zamachnęła się z całej siły, nie zważając ani na dyndający na ramionach plecak, ani na kruchość trzymanej w ręku gałęzi. Trzymała się jej nadal, kiedy szyba pękła z głośnym trzaskiem, tylko że pnącze odzepiło się właśnie od ściany, a ciężki plecak zsunąwszy się z ramion, zaczął ją ciągnąć w dół. Widząc wokół siebie tylko czarną pustkę, jakimś cudem złapała się krawędzi okna, przy czym młotek wyleciał jej z ręki i z hałasem wpadł do pokoju. Strzaskana szyba rozcięła jej dłoń, mimo to kurczowo trzymała się okna, starając się zarazem znaleźć jakieś oparcie dla stóp. Stopniowo, cal po calu, z morderczym wysiłkiem, zaczęła posuwać się w górę, aż w końcu udało jej się namacać zamek okienny. Otworzywszy nareszcie to cholerne okno, wpelzła na parapet, a potem resztką siły stoczyła się w ciemne wnętrze razem z deszczem tłuczonego szkła.

Nareszcie była bezpieczna.

\*

Omam nie zemdlam z nagłej ulgi.

Ale nie, jeszcze nie była bezpieczna. Z holu dochodziło uporczywe pikanie, i to coraz głośniejsze. Miała mniej niż cztery minuty, żeby wyłączyć alarm. Podniosła młotek i miała go właśnie wsunąć znów za pasek, gdy spostrzegła, że coś ciepłego i lepkiego sączy jej się z ręki. Krew. Rozcięła sobie rękę. Niedobrze. Dla każdego instrumentalisty taki uraz to katastrofa. Nie było jednak czasu o tym myśleć. Zerwała szalik z młotka i owinąwszy nim prawą dłoń, pognam co tchu do holu.

Może Raph nie zmienił kodu? Wystukam datę urodzenia Kirsten - 4, 5, 52 - lecz pikanie jeszcze się wzmogło. Teraz mogła już tylko zgadywać. Data urodzenia Rapha? Znów pudło. Jeszcze minuta i w komisariacie policji na Notting Hill odezwie się sygnał oznaczający włamanie. Z rosnącą desperacją wystukam pierwsze cztery cyfry numeru telefonu Rapha.

Zrobiło się jeszcze głośniejsze.

Ale po czterech kolejnych... nareszcie zaległa cisza. Tak gęsta, że aż namacalna. Sam miała wrażenie, że odczuwa ją niemal tak samo jak metaliczny posmak na języku. Chyba przez minutę nie ruszyła się z miejsca, łowiąc uchem stłumione odgłosy ulicy. Domy stały tu z dala od jezdnii; osłonięte szerokim pasem zieleni stanowiły prawdziwą oazę spokoju.

Spojrząwszy na zegarek - przez półkoliste okienko nad drzwiami dochodziło tu trochę światła z ulicy - stwierdziła, że nie jest źle. Dopiero dziesięć po drugiej. Do świtu brakuje dobrych trzech godzin; nie musi nadmiernie się spieszyć. Ogarnęło ją nagle triumfalne poczucie zwycięstwa; wydawało jej się w owej chwili, że potrafi dokonać wszystkiego.

Poczuła zarazem, o dziwo, że jest strasznie, niewiarygodnie wprost głodna. Ha, przynajmniej na jedno w tym domu zawsze można było liczyć: na to, że lodówka będzie dobrze zaopatrzona. Zeszła do sutereny, gdzie mieściła się kuchnia - z hektarami granitowych kontuarów lśniących teraz lekko w mroku - otworzyła na oścież drzwi wielkiej lodówki i przyjrzała się jej zawartości. Tak jak przypuszczała, było tu tyle wszystkiego, że starczyłoby na parę przyjęć: pieczona kaczka, wszelkiego rodzaju sery, oliwki, jakiś wykwintny paszтет, wędzony łosoś i przepiórcze jaja. Na wewnętrznej stronie drzwiczek stały soki owocowe i oczywiście kilka butelek szampana - Raph nie mógł się bez niego obejść - do tego parę flaszek Chablis oraz trzy rodzaje wody mineralnej.

Nie! powiedziała sobie, z impetem zatrzasnąwszy drzwiczki. Nie dotknie żadnej rzeczy, która należy do Rapha. Nawet wody. Nie jest złodziejką i ma swoją dumę. Przyszła tu jedynie po swoją własność.

Teraz musi ją tylko odnaleźć.

\*

Dom Rapha miał dwa piętra i wysoki parter. Na dole po lewej stronie mieścił się ogromny salon zajmujący całą szerokość budynku. Drzwi po prawej stronie holu prowadziły do wielkiej jadalni, za którą znajdował się gabinet Rapha, ale wejść tam można było jedynie przez salon. Zapaliwszy wyjętą z plecaka latarkę, Sam skierowała się w lewo. Widoczne w smudze światła meble i ozdoby budziły w niej tyle wspomnień! Do niedawna były dla niej przecież nieodłącznym elementem codzienności.

Pokochała ten pokój od pierwszego wejrzenia, kiedy siedem lat temu przyjechała do Londynu jako niepewna siebie, zbuntowana piętnastolatka. Wrażenie zrobiły na niej nie tyle rozmiary tego pomieszczenia i panujący w nim luksus - dwie kolosalne białe sofy, antyczny perski dywan wielkości kortu do tenisa, olbrzymie kamienne urny, w których zawsze stały białe lilie, osiemnastowieczna porcelana i awangardowe obrazy - ile suma tych wszystkich rzeczy. Było w tym coś jeszcze: ten pokój dużo mówił o Raphie, ujawniał jego osobowość. Emanował pewnością siebie człowieka znającego swoje miejsce w świecie, swój jakże wysoki status. Ten dom, a zwłaszcza ten pokój sprawiły, że i Sam zyskała pewność siebie, której przedtem tak jej brakowało.

Instynktownie zatrzymała się przy fortepianie stojącym pomiędzy wielkimi oknami, za którymi - na tyłach budynku - rozpościerał się uśpiony ogród. Leciutko dotknąwszy klawiszy, tak że nie wydały dźwięku, oczami wyobraźni zobaczyła na nich palce Rapha, krótkie i tak pełne charakteru jak on sam. Pamiętała, że czasem na nią krzyczał, częściej jednak nie szczędził jej zachęty.

Dzięki szczególnej mieszance arogancji, bystrej inteligencji i uporu nauczył się na tyle sprawnie grać na fortepianie, że mógł jej akompaniować podczas ćwiczeń na wiolonczeli. „Skoro ja, amator, mogłem jako tako nauczyć się tego cholernego kawałka, twoim obowiązkiem jest przynajmniej zagrać go poprawnie!” - ryczał na nią. Dzięki niemu grała coraz lepiej. Bez jego zachęt i zdecydowania pewnie nigdy by się nie dostała do Królewskiej Akademii Muzycznej. Czuła się jego dłużniczką. Lubiła go i podziwiała.

Niestety wylazł z niego drań.

Zamknęła klawiaturę i zabrała się do poszukiwań. Poza półkami na książki niewiele było tu miejsc, gdzie dałoby się coś schować. Przeszukała je wszystkie - bez rezultatu. Nie spodziewała się zresztą, że znajdzie tę rzecz w salonie.

Bardziej obiecujący wydawał się gabinet Rapha. Prowadziły do niego wysokie dwuskrzydłowe drzwi - w tej chwili szczelnie zamknięte. Gdy była tu po raz ostatni - po nabożeństwie za duszę Kirsten - były otwarte na oścież. Nacisnąwszy lewą dłonią klamkę - prawa wciąż krwawiła - natychmiast poczuła subtelną zmianę powietrza: zapach wosku i białych lilii ustąpił miejsca woni skóry i cygar. To już nie była oficjalna, ogólnodostępna przestrzeń; sama jego aura mówiła wyraźnie, że ten gabinet to miejsce prywatne i zdecydowanie męskie.

Tutaj nie brakowało kryjówek. Sam odłożyła latarkę, zapaliła standardową lampę stojącą na pokrytym skórą blacie biurka i zaczęła przerzucać leżące na nim papiery. Tu także spotkał ją zawód, lecz nie straciła ducha.

Całe dwie ściany gabinetu zastawione były półkami na książki; stały tu także dwie niższe szafki. Gdzieś wśród tych książek nietrudno byłoby ukryć niebieski notatnik formatu A4, jakich zwykle używała Kirsten. Żaden postronny obserwator nie miałby szansy go dostrzec.

Pomyślała z lekką rezygnacją, że trzeba będzie przeszukać każdy centymetr tych półek. Zajmie to sporo czasu, nie miała jednak innego wyjścia. Przyciągnąwszy drabinkę biblioteczną, zaczęła od najwyższej półki po lewej stronie szeregu.

Była już przy trzeciej, gdy nagle stanęła jak wryta. Coś usłyszała, ale co to było? Każdy nerw w jej ciele drgał jak napięta struna. Nie, to nie samochody, to czyjeś głosy!

Słychać je było od strony ulicy, i to coraz wyraźniej. Szczęknęły frontowe drzwi. Rozległ się tłumiony śmiech. Sam wpadła w panikę. Czy to Raph? - pomyślała z drżeniem. Powiedział przecież, że jedzie do Bazylei spotkać się z klientem. Czyżby odwołał spotkanie? Słyszac jednak kobiecy śmiech, zalotny i lekko ochrypły, zakłęła brzydko pod nosem. Ten głos wszędzie by rozpoznała! To Lola! Do licha, ten cholerny babski pasożyt zawsze wyrasta,

gdzie go nie posieją! I co ona tu robi? Sam była pewna, że obecna flama jej ojczyma pojechała razem z nim do Bazylei, a tymczasem jest w domu, i to nie sama. Może pomyliłam daty, myślała w popłochu, może mieli wyjechać dopiero w następny weekend, a dzisiaj wyszli się gdzieś zabawić... Ale nie, to nie może być Raph, doszła po chwili do wniosku. Raph ma głęboki baryton, a dzisiejszy towarzysz Loli mówi wysokim tenorem. Nigdy dotąd nie słyszała tego głosu. Do diabła, co tu się dzieje?

Czym prędzej zgasiła lampę i zamknęła drzwi do salonu. I co teraz? Z cichą desperacją rozejrzała się po pokoju. Sytuacja była beznadziejna. Okna w gabinecie Rapha, podobnie jak wszystkie inne na parterze i w suterenie, zaopatrzone były w grube żelazne kraty. Przy zablokowanym holu miała odciętą drogę ucieczki, chyba że jakimś cudem zdołałaby prześliznąć się na górę i wyjść tym samym oknem, którym weszła.

W szparze pod drzwiami błysnęło światło.

- Ha, to niewiarygodne, że Raph zapomniał włączyć alarm! - rozległ się głos Loli, trochę bełkotliwy, lecz pełen triumfu. - A tyle razy wbijał mi do głowy, że powinnam o tym pamiętać! Już ja mu powiem, co o tym myślę, a ty będziesz moim świadkiem! Mm... - zapadła krótka cisza, po której głos Loli zabrzmiał jeszcze zalotniej i bardziej ochryple: - To było bardzo miłe.

Znowu zapadła cisza. Tym razem przerwał ją mężczyzna:

- Powinienem już iść.

- Och nie, przecież dopiero przyszedłeś! Strzelmy sobie drinka. Nie lubię być sama w tym domu. Zwłaszcza nocą. Jeśli mam być szczerą, to ci powiem, że po grzbiecie chodzą mi ciarki.

- No wiesz... jestem uczniem Rapha... Nie chciałbym...

- Tylko szklaneczkę, najwyżej dwie. On ma zawsze w lodówce coś dobrego. Poczekaj chwileczkę, pójdę po butelkę. Ups!

- Spokojnie. Jesteś pewna, że chcesz jeszcze pić?

- Słodzutki, po tym wszystkim, co już w siebie wlałam, szampan może mnie tylko otrzeźwić. O rany! Zabiję się w tych platformach! No, teraz lepiej, idę po bąbelki. Tylko mi nie ucieknij! - zawołała Lola i nucąc coś sobie fałszywie, powędrowała do kuchni.

Sam zazgrzytała zębami. Lola w swych najlepszych chwilach była tylko denerwująca, ale teraz jej obecność tak komplikowała sytuację, że najchętniej by ją udusiła.

Czemu nie pójdziesz za nią? - spytała bezgłośnie nieznajomego przybysza. No idźże już do tej kuchni! Nic z tego. Słyszała, że zaczyna krążyć po salonie i coraz bardziej zbliża się do drzwi. Do licha, czyżby chciał tu wejść? Przerazona taką perspektywą, zaczęła na palcach

cofać się w stronę biurka; było na tyle masywne, że mogła się za nim ukryć. Była już prawie u celu, gdy jej lewy but zaprotestował donośnym skrzypnięciem, i oto nagle ktoś z rozmachem otworzył wielkie drzwi, a ją zalała ostra struga światła.

- Co, do cholery...? - bąknął nieznajomy.

Wydawał się równie wstrząśnięty jak ona.

\*

Łatwo było zrozumieć, czemu Lola tak usilnie nalegała, żeby ten chłopak z nią został. Nawet rozchełstany i wyraźnie w nie najlepszej formie po jakiejś długiej libacji, prezentował się doprawdy bardzo atrakcyjnie. Miał brązowe włosy - mocno rozczochrane - i wydłużone brązowe oczy, szeroko otwarte teraz ze zdumienia. A opadnięta na widok Sam szczeka była szlachetnie wąska i mocna. Zamrugał oczami i wzięwszy głęboki oddech, odwrócił się w stronę drzwi, najwidoczniej chcąc zawołać Lolę.

- Milcz! - syknęła Sam. - Lola nie może wiedzieć, że tu jestem.

- Lola? To ty ją znasz? - Obrócił się znów do niej twarzą.

- Oczywiście, że znam.

- Kim ty, do diabła, jesteś? I co tutaj robisz?

- Ja... - Sam nagle urwała. Otwartość nie leżała w jej naturze zwłaszcza ostatnimi czasy. A zresztą... Miałaby zdradzić tak ważny sekret komuś zupełnie obcemu, kto w dodatku jest jeszcze kompanem tej głupiej Loli?

- Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś złodziejką? - zaatakował ją młody człowiek.

- Nie bądź śmieszny.

- Doprawdy? Cóż więc robisz o drugiej nad ranem w gabinecie Rapha, i to przy zgaszonych światłach?

- Szukam czegoś.

- Po ciemku?

- To coś należy do mnie.

- Więc dlaczego nie przyszedłeś po to w biały dzień?

- Mam swoje powody.

- Jakie?

Lola krzyknęła coś z kuchni.

- To sprawa osobista - z pośpiechem rzuciła Sam.

- A ja ci nie wierzę. Dzwonię na policję.

- Tylko się ośmieszysz. Powiedzą, że pleciesz bzdury. Raph też nie będzie zadowolony. Jestem córką Kirsten. - Widząc po minie, że nie zrobiło to na nim wrażenia, dodała: - Nie

rozumiesz? Kirsten to jego zmarła żona.

- Ach! - Wycofał się do salonu, zamykając za sobą drzwi; w tej samej chwili z kuchni wróciła Lola. Sam wstrzymała oddech. Co miało znaczyć to „ach”? Że jej uwierzył i nic nie powie czy wręcz przeciwnie?

- Co robiłeś w gabinecie? - dobiegł ją głos Loli.

- Wydawało mi się, że coś słyszę. Pomyślałem, że to może jakiś intruz.

- I co?

Nastąpiła krótka pauza.

- I nic. Chyba mam zbyt bujną wyobraźnię.

Sam wydała westchnienie ulgi.

- No proszę! A nie mówiłam? - W głosie Loli brzmiała satysfakcja. - Ten dom jest niesamowity!

### 3

Choć Kirsten wyprowadziła się od Rapha już dziewięć miesięcy przed śmiercią, to jednak ich londyński dom, w którym byli tacy szczęśliwi, wydawał się najwłaściwszym miejscem na spotkanie przyjaciół i krewnych pragnących uczcić jej pamięć.

Sam właśnie wtedy była tu po raz ostatni. Pamiętała, że padał ulewny deszcz. Od tego czasu minęły tylko dwa tygodnie - była teraz połowa sierpnia - mimo to miała wrażenie, że cała ta uroczystość odbywała się w innej epoce. Wielki salon wypełnili żałobnicy - kobiety ubrane na czarno lub szaro, mężczyźni w ciemnych garniturach. Drzwi do gabinetu Rapha, gdzie również tłoczyli się ludzie, były szeroko otwarte. Widoczny za oknem ogród mókł w strugach letniego deszczu.

Wszyscy byli dla niej ogromnie mili.

I bardzo taktowni. Sąd nie wydał jeszcze orzeczenia o przyczynie śmierci powszechnie cenionej poetki - przesłuchanie w tej sprawie miało się dopiero odbyć - toteż wszyscy bardzo starannie unikali słowa „samobójstwo”. Słowo to jednak było tu obecne. Wisiało w powietrzu jak dym, wślizgiwało się w momenty ciszy, płynęło w przestrzeń potokiem niedokończonych zdań: „Biedna Sam. To musi być dla niej straszne. Nie dość że straciła matkę, to jeszcze w taki sposób...”, „To wyjątkowo smutne, gdy...”, „Ach, nikomu by nie przyszło na myśl, że Kirsten może być typem osoby, która... zdolna jest zrobić coś takiego”, „Biedna Sam. Myślisz, że w końcu się z tego otrząśnie?”.

Biedna Sam miała ochotę rąbnąć szklanką w którąś z gustownie udekorowanych ścian i wrzasnąć na tych ludzi, że plotą bzdury. Biedna Sam zadawała sobie pytanie, po jakiego diabła bierze udział w tej żalösnej farsie. Powinna zabrać się i wyjść. Została, bo przecież byli to ludzie, którzy szczerze boleli nad śmiercią jej matki, cenili ją i kochali, i choć mylili się sądząc, że Kirsten popełniła samobójstwo, to jednak w pewien sposób pomagali jej córce nie wpaść w rozpacz. Kiedy mówili o Kirsten, było tak, jakby jakaś część zmarłej, a może jej duch pozostał wśród nich w tym pokoju.

Tak właśnie działała na Sam siostra Rapha imieniem Miriam i jej mąż Johnny Johns. Zwłaszcza on. Polubiła go od pierwszej chwili. Jak wszyscy. Wszyscy lubili Johnny'ego. Kiedy razem z matką zamieszkała przy Holland Park, wkroczył w jej życie jak Święty Mikołaj. Z tą tylko różnicą, że Johnny Johns codziennie przez okrągły rok obdarowywał ludzi swą bezinteresowną dobrocią. Wysoki i tęgi, o włosach koloru miodu, miał głos jak grzane wino, a swym śmiechem podnosił każdego na duchu, choćby człowiek był w najgorszym dołku. Podczas tamtego żalöbnego spotkania obdarzył Sam iście niedźwiedzim uściskiem i powiedział, patrząc jej w oczy:

- Kochanie, jesteś taka dzielna! Szczerze cię podziwiam. Musisz koniecznie przyjechać do nas do Wardley. Przyjedź, moja droga, na jak długo zechcesz! Zrobisz nam wielką przyjemność, prawda, Miri?

Miriam skinęła głową i przyłgnęła do jego ramienia. Była bledszą i mniej kanciastą wersją swego młodszego brata. Sprawiała wrażenie permanentnie wyczerpanej, jakby dotrzymanie kroku tryskającemu energią mężowi kosztowało ją mnóstwo wysiłku. Podczas gdy Johnny przyjaźnił się ze wszystkimi, Miriam chyba w ogóle nie miała własnych przyjaciół. W jej sposobie bycia było coś - jakaś rezerwa i sztywność - co trzymało ludzi na dystans, lecz tamtego popołudnia nawet ona traktowała Sam bardzo przyjaźnie. Nie wyzbyła się wprawdzie swej zwykłej rezerwy, starała się jednak być miła.

Nawet Diana, matka Rapha, znana raczej z braku empatii, poklepała Sam po ramieniu.

- Wiem, Sam, że jest ci ciężko, strasznie ciężko, ale wierz mi, to minie. - Wygłosiwszy to zdanie, czym prędzej uciekła wzrokiem, przerażona widocznie tą zbyt jawną w jej pojęciu manifestacją niestosownie silnych uczuć. Miała wydatny nos i, podobnie jak wszyscy Howesowie, okrągłe oczy z zastygłym wyrazem lekkiego zdziwienia, co jej akurat nadawało trochę papuzi wygląd.

Trevor Clay, londyński agent Kirsten, w sposób znacznie bardziej bezpośredni wyraził swoje emocje. Od dawna przyjaźnił się z Kirsten i od samego początku był gorącym orędownikiem jej twórczości.



- Jej śmierć to podwójna tragedia, dla nas i dla literatury - powiedział po kilku kieliszkach wina. Większość żałobników już wyszła, pozostali tylko najbliżsi. - Była taką cudowną, tak wyjątkową kobietą - dodał z westchnieniem. - O tym wiemy wszyscy, ale ja mam też na myśli jej twórczość, to, że nigdy już nic nie napisze... A jej talent właśnie osiągał szczyty. Ten nowy zbiorek będzie najlepszy ze wszystkich.

- Mój Boże, jakie to straszne - powiedział żałośnie Johnny. - Gdy pomyślę, co jeszcze mogła osiągnąć... - Desperacko pokręcił głową.

Wszyscy siedzieli teraz zbici w grupkę, wyczerpani emocjami mijającego już dnia. Raph rozluźnił krawat i dolał wina do kieliszków. Jego kanciasta twarz wydawała się starsza i chudsza. Sam czuła się dziwnie beztrosko - zważywszy na okoliczności - bardziej chyba z niedowierzania, że to wszystko dzieje się naprawdę, niż z racji wypitego alkoholu, choć i on miał w tym jakiś udział.

- Nie mogę uwierzyć - odezwał się znowu Trevor - że Kirsten zniszczyła swój dziennik. To po prostu do niej niepodobne. Gdybyśmy go mieli, wiedzielibyśmy przynajmniej, co jej chodziło po głowie, kiedy... - Kolejne zdanie zawisło w powietrzu. - Nim zmarła - dokończył niezręcznie.

- Oboje z Sam szukaliśmy tego dziennika - włączył się Raph.

- Gdyby był, z pewnością byśmy go znaleźli. Kirsten niewiele miała tam rzeczy.

- Zupełnie tego nie rozumiem - westchnął Trevor.

- Czego? - zagadnął go Johnny. - Chodzi ci o dziennik? Myślisz, że ktoś go ukradł? Czy coś jeszcze zginęło?

- Poemat - odrzekł Trevor. - Miał być tytułową pozycją w nowym zbiorze.

- Czyżby też go zniszczyła?

- Najwidoczniej - stwierdził Raph. - Nie było go w jej papierach.

- Czytałem fragment tego poematu, kiedy jeszcze nad nim pracowała. Niestety, nie chciała mi go dać. Powiedziała, że nie jest skończony - wyjaśnił Trevor. - Cóż, musiała go zniszczyć, a był to jedyny egzemplarz.

- Mój Boże, to straszne - powtórzył Johnny, a gdy Miriam wsunęła mu rękę pod ramię, poklepał ją po dłoni pełnym roztargnienia gestem.

- Wiecie, jaki tytuł nosił ten poemat? - zapytała Sam. - *Skrzydlaty morderca*.

Na chwilę wszyscy zamilkli.

- *Skrzydlaty morderca*? - zachnęła się Diana. - Dziwny tytuł dla poematu! To doprawdy chorobliwy pomysł.

Chorobliwy pomysł czy przepowiednia? - pomyślała Sam.

- *Skrzydlaty morderca...* - powtórzył Johnny. - Ciekawe, jaką miał treść?

- Ja też bym chciała to wiedzieć - rzuciła Sam.

Po jej słowach wszyscy znów zamilkli, usłyszeli więc bardzo wyraźnie stuknięcie frontowych drzwi, a po nim odgłos lekkich kroków w holu. Zaraz potem w wejściu do salonu ukazała się młoda kobieta niewiele starsza od Sam. Wyglądała jak postać z okładki tygodnika „Hello” - cieniowane blond włosy, wydęte błyszczące wargi, nieprawdopodobnie długie nogi.

- Wróciłam za wcześnie? - spytała. - Nie wiedziałam już, co z sobą począć. Skończyły mi się pomysły.

Wtedy właśnie Sam poznała Lolę. Wiedziała, że Raph związał się z jakąś dziewczyną i nawet zbytnio jej to nie dziwiło. Nie znosił samotności, toteż odkąd opuściła go Kirsten, uciął sobie parę przelotnych romansów. Mimo to była zszokowana pojawieniem się tej dziewczyny, akurat teraz, w chwili gdy wszyscy tak żywo odczuwali obecność dawnej pani domu. Nie, to na pewno nie był dobry moment. Nie tylko ona tak uważała. Sądząc po lekkim szmerku, większość obecnych myślała podobnie.

- Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie - bąknął Raph.

- No ale skoro już jestem, nie zaproponujesz mi czegoś do picia?

Weszła do pokoju, więc Raph, chcąc, nie chcąc, musiał przedstawić ją gościom. Wyglądała na znudzoną; najwyraźniej nikt tu nie budził w niej żadnego zainteresowania. Sam podejrzewała, że najchętniej wyprawiłaby już wszystkich do domu. Ona sama tymczasem wywarła piorunujące wrażenie na Trevorze i Johnnym. Zerwali się obaj na równe nogi i zaczęli po prostu prześcigać się w uprzejmościach. Napełnili Loli kieliszek, podsunęli fotel, a potem stanęli obok, nie przestając się do niej łąsić. Nietrudno było zrozumieć, w czym rzecz. Z Loli emanował ten rodzaj skondensowanego seksu, który nobliwych panów w średnim wieku potrafi przekształcić w bandę napalonych chłopców. Podając jej ogień, Johnny rzucił Raphowi spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „Brawo, stary! Szczerze ci zazdroszczę!”. Kirsten, której obecność w tym pokoju wydawała się dotąd tak żywa, rozplynęła się nagle i znikła.

Sam podniosła się z krzesła.

- Muszę już iść.

- Załatwiłeś sprawę kluczy? - rzuciła Lola pod adresem Rapha. Na Sam nawet nie spojrziała, jakby jej tu nie było.

- Daj spokój, Lolu, teraz na to nie pora - lekko zachnął się Raph.

- Chodzi o moje klucze? - wtrąciła Sam.

- Właśnie - zimno odrzekła Lola, patrząc nadal na Rapha. - Skoro już tu nie mieszkasz,

po co ci nasze klucze? Żaden z naszych znajomych ich nie ma.

Sam zostawiła Raphowi trochę czasu na interwencję, on jednak, choć wyraźnie zakłopotany, starannie unikał jej wzroku, no i nie powiedział ani słowa. Dopiero ponaglony jej pytającym „Raph?” wymamrotał:

- Możesz je oddać później, jeśli bardziej ci to odpowiada.

No świetnie, pomyślała Sam, koniec z fałszywą przyjaźnią, koniec z udawaniem!

- Mogę to zrobić zaraz. - Wyjęła z torby pęk kluczy na kółku, odłączyła spośród nich dwa i rzuciła na szklany blat stołu. - Weź sobie swoje zakichane klucze!

- Opanuj się, Sam - skrzywił się Raph. - Reagujesz zbyt gwałtownie.

- Idź do cholery. To bardzo umiarkowana reakcja.

- Doprawdy? - zabrała głos Diana. Nienawidziła konfliktów i zawsze robiła wszystko, żeby je zażegnać. - Nie wiem jak wy, moi drodzy, ale ja jestem zdecydowanie głodna.

- Usmażę kilka jajek! - zaofiarował się Raph. - Sam, zjesz z nami, prawda? Jest też wędzony łosoś.

- Nie, dziękuję. - Była już przy drzwiach do holu. - Skoro nie jest to już mój dom, muszę zabrać resztę swoich rzeczy.

Dogonił ją na Schodach.

- Sam, bardzo cię proszę! Nie chcę się z tobą kłócić ani zrywać naszej przyjaźni. Zawsze będziesz tu mile widziana, musisz tylko najpierw zadzwonić. Przepraszam cię za Lolę, ale wiesz, sytuacja jest dość delikatna.

- Delikatna? - Sam omal nie parsknęła śmiechem. - Słabo powiedziane.

- Wiesz przecież, co mam na myśli.

- Zupełnie mnie to nie obchodzi.

Zostawiła go na schodach i wbiegła na drugie piętro, do swojej dawnej sypialni. Wyciągnęła spod łóżka wielkie pudło, którego zawartość stanowiły głównie fotografie, i zaczęła się zastanawiać, jak poradzić sobie z resztą rzeczy. Nie miały wprawdzie większego znaczenia, powinna jednak je zabrać, a było tego zbyt dużo, żeby za jednym razem dało się wynieść wszystko.

Kiedy zeszła na dół, w salonie królowała Lola. Trevor i Johnny wyłazili ze skóry, żeby się jej przypodobać - opowiadali dowcipy, prawili jej komplementy. Diana, uszczęśliwiona, że porządek został przywrócony, uśmiechała się pobłaźliwie, obserwując ów dworski tercet. Z kuchni dobiegały głosy Rapha i jego siostry. Sam doszła do wniosku, że skoro nie ma już kluczy, musi ich powiadomić, że przyjdzie tu raz jeszcze po resztę swego dobytku. W połowie drogi do suterenu usłyszała głos Miriam:

- Masz go, prawda, Raph?

- Skądże! Nie bądź śmieszna.

Sądząc po kolejnym pytaniu, najwyraźniej mu nie uwierzyła:

- Czy jest tam coś... o naszej rodzinie?

- Już ci powiedziałem. Ja go... ach, to ty, Sam. - Rzucił jej szybkie, sondujące spojrzenie, chcąc się zorientować, ile usłyszała. - Zmieniłaś zdanie i zostaniesz z nami na kolacji?

Powiedziała, że nie, wobec tego zaczął nalegać, żeby mu pozwoliła sprowadzić taksówkę, oczywiście na jego koszt. W ten sposób będzie mogła od razu zabrać wszystkie pudła. Chętnie by ją odwiózł osobiście, ale wypił już dziś za dużo, Trevor i Johnny również. Sam nie protestowała. Pragnęła jak najszybciej wyjść z tego domu. Kiedyś było jej w nim dobrze, a teraz obrósł niestety lepka pajęczyną tchórzliwych kompromisów i kłamstw.

„Masz go, prawda?” - powiedziała Miriam.

Raph zaprzeczył, jego ton mówił jednak, że kłamie.

Sam postanowiła tu wrócić, żeby się o tym upewnić.

\*

No i wróciła, ryzykując, że skręci sobie kark podczas tej, co tu dużo mówić, wariackiej wspinaczki. Dlatego że Lola złośliwie zażądała kluczy, a Raph, ta nędzna kreatura, nie umiał się jej przeciwstawić. A może, przyszło jej nagle na myśl, był zadowolony, że brudną robotę odwała za niego kochanka? Może miał powody, by nie wpuszczać do domu byłej pasierbicy? Jeśli tak, to pewnie on poinstruował Lolę, jak ma rozegrać sprawę.

Sam przetarła oczy. Ostatnio zaczęła zadawać sobie pytanie, czy aby na pewno zachowuje się i myśli racjonalnie. Bo może to szok wywołany okropną śmiercią matki wpływa na jej sądy o ludziach, wykoślawia prawdziwy obraz rzeczywistości? Jakkolwiek jednak wygląda prawda, w niczym nie zmienia to faktu, że utknęła jak głupia w gabinecie byłego ojczyma, podczas gdy jego luba zabawia się z jakimś młodym przystojniakiem, podobno jego praktykantem. A ona nie może nic zrobić: ani dalej szukać notatnika - bo ciemno - ani wyjść. Gdyby ujawniła swą obecność, zdałaby się na łaskę Loli, a o tym nie może być mowy. Co jej pozostaje? Może tylko czekać, słuchając mimo woli rozmów i żarcików wesolutkiego duetu.

Właśnie strzelił korek od szampana i dał się słyszeć pisk Loli:

- O rany! Moja sukienka! Cała mokra!

- Przepraszam.

- Wiesz co? Możesz to zlizać, jeśli masz ochotę.

- Nie, dziękuję.  
- Nie krępuj się, i tak muszę ją zdjąć.  
- Hej...  
- No widzisz, tak jest o wiele przyjemniej. Mmm... Chodź tu, usiądźmy wygodniej.  
- Daj spokój, Lola, naprawdę muszę już iść.  
- Przestań głądzić. Ktoś mógłby pomyśleć, że chcę cię uwieść. Nie pochlebiaj sobie, drogi Micky.

Wzrok Sam zdołał przystosować się już do półmroku. Zauważyła z ulgą, że ręka przestała jej krwawić. Gdy zgięła palce, poczuła, że dzięki Bogu nerwy są chyba w porządku. Wrzuciła skrwawiony szalik do torby, rozsznurowała buty, zdjęła je i bosą podeszła do półek, pewna, że nawet w tym szarym półświecie rozpozna notatnik matki.

W salonie tymczasem nastroje zaczęły się zmieniać.

- Uch, jestem zalana.  
- To idź spać.  
- Tak, ale nie tutaj.  
- Pomogę ci wejść na górę.  
- Wciąż tylko gadasz...  
- A potem już sobie pójdę.  
- Uch, wiesz co, Mick? Mógłbyś zarabiać na życie jako niańka zawianych dziewczyn.

Mick parsknął śmiechem.

- Teraz ja coś ci powiem, Lola. Fantastyczna z ciebie dziewczyna, szkoda tylko, że śmiertelnie niebezpieczna. Byłbym skończony, gdybym zaczął z tobą kombinować. Tak się składa, że pracuję u Rapha, pamiętasz? Pięknie by wyglądał mój zawodowy życiorys, gdyby znalazła się w nim adnotacja, że wylano mnie z kancelarii, bo przyprawiłem rogi swemu mentorowi.

- Ple, ple, ple!  
- Chodźmy, zaprowadzę cię do łóżka.  
- Mmm... Nno dobrze.

Jeszcze przez chwilę zza drzwi słychać było mamrotanie, szuranie i chichoty. Potem odgłosy zaczęły się oddalać. Kiedy zupełnie ucichły, Sam zapaliła latarkę i podjęła poszukiwania. Działała bardzo metodycznie, zapuszczając rękę za książki, zaglądając pod meble, przetrząsając sterty papierów wypełniających dwie szafki; każda z tych szafek miała cztery głębokie szuflady.

Biurko zostawiła sobie na koniec. Gmerając wśród starych książeczek czekowych i

garstki prywatnych listów, po raz pierwszy poczuła wyrzuty sumienia z powodu tego, co robi. Nie było jednak czasu na skrupuły - na schodach zadudniły męskie kroki. Machinalnie zgasiła latarkę i dopiero teraz zobaczyła, że za oknem robi się widno. Pora zbierać się do wyjścia. Miała już zamknąć dolną szufladę, gdy pod stertą wyściełanych kopert natrafiła na coś metalowego.

Rewolwer.

Doskonale leżał jej w ręku. Zupełnie nie znała się na broni, ale nawet ona była pewna, że to nie żadna zabawka. Zdołała jeszcze tylko odłożyć rewolwer na miejsce, a już w drzwiach pojawił się znowu dzisiejszy towarzysz Loli, ten Micky czy Mick. Rozchełstana koszulę wywleczoną miał na wierzch, a włosy potargane jeszcze bardziej niż przedtem, ale hm... było mu z tym do twarzy.

Wyszczerył do niej zęby i zaczął wpychać koszulę pod dżinsy.

- Lola padła - oświadczył. - Znalazłaś to, czego szukałaś?

- Gdybym znalazła, już by mnie tu nie było.

- Powiedz mi, czego szukasz, to ci pomogę.

- Niby dlaczego miałbyś mi pomagać?

Mick zaczynał właśnie zadawać sobie to samo pytanie. Ta rzekoma córka Kirsten Waller, którą nakrył w gabinecie swego mistrza, nie była miłą osobką. Prawdę mówiąc, był z niej istny kaktus, czemu więc do licha on, obcy człowiek, chce komuś takiemu wyświadczyć przysługę? Złożył to na karb ciekawości. Musi przecież istnieć jakiś wyjątkowy powód, dla którego ta chuda, bosa dziewczyna o ciemnych krótko ostrzyżonych włosach myszkuje o tej porze w gabinecie Rapha.

- Nie ufasz mi, co? Jakbyś miała nieczyste sumienie. Coś mi się zdaje, że za łatwo kupiłem twoją historyjkę. Chyba jednak porozmawiam z Raphem: zobaczymy, co on na to powie. Zawsze nosisz przy sobie młotek?

- Nie twój interes.

- Może jednak mój.

- Doprawdy? Ciekawe, co powie Raph, kiedy wróci z Bazylei i zastanie cię tutaj o siódmej rano...? No i zobaczy to - ruchem głowy wskazała salon, gdzie na białej sofie oraz obok niej na podłodze walały się rozrzucone łaoszki Loli. - Może i ty będziesz musiał wyjaśnić mu to i owo.

- O cholera. - Mick znów uśmiechnął się szeroko. - Ale ty wstawisz się za mną, prawda? - rzucił z udaną pokorą. - Ja tylko przyholowałem tutaj tę damę. Nie była w stanie iść o własnych siłach.

- Tak? - Kaktus demonstracyjnie zerknął na zegarek. - I zaholowanie jej na górę zajęło ci aż godzinę?

- Musiałem się chyba zdrzemnąć.

- Raph może spojrzeć na to inaczej.

- Hm. No to mamy tu drobny impas. - Mick niezłe się bawił. Lubił absurdalne sytuacje, a ta była właśnie taka. - Cóż więc twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

- Ty możesz robić, co ci się podoba, ja wychodzę.

- Ja też się zmywam.

- Ale nie ze mną.

Co za złośliwość! Mick nie był do tego przyzwyczajony. Ludzie na ogół raczej go lubili.

- Zawsze jesteś taka jadowita? Powtarzam: powiedz mi, czego szukasz, to chętnie się tu rozejrzę.

Wyraźnie się zawahała. Przez moment wydawało mu się, że skorzysta z jego propozycji. W tej krótkiej chwili dostrzegł w jej oczach niepewność i głęboki ból, ukryte pod warstwą szorstkiej złośliwości - i szczerze zapragnął jej pomóc.

Chwila minęła.

- Ten drań - wymamrotała bardziej do siebie niż do niego - pewnie już to zniszczył. - Włożyła buty i podniosła plecak. W ogrodzie zaczynały śpiewać ptaki.

- Nic nie powiem Raphowi.

- Dobrze zrobisz - burknęła już z holu. Po chwili doszedł go trzask zamykanych drzwi.

## 4

Przesłuchanie w sprawie ustalenia przyczyn śmierci Kirsten toczyło się w zatłoczonej i dusznej salce - na dworze nadal panował sierpniowy upał. Sam siedziała obok swego ojca, Davy'ego Boswina, i jakiejś postawnej damy w dwuczęściowej sukni ozdobionej cytrynowożółtymi riuszkami. Raph przypuszczał, że to Linda, obecna żona Davy'ego. Westchnął w duchu: ta rozprawa! Najchętniej by tu nie przyjeżdżał, ale żadnym sposobem nie mógł się z tego wykręcić. Choć on i Kirsten od dłuższego czasu nie mieszkali razem, to jednak nadal byli małżeństwem.

Znów spojrzął na Sam. Miała na sobie ciemną sukienkę przewiązaną w talii jakąś bluzką. Z tymi krótkimi ciemnymi włosami i ściągniętą, niespokojną twarzą wydawała się

strasznie młoda i strasznie bezbronna. Rok temu wyglądała zupełnie inaczej - pełna energii i radości życia. Była wtedy piękna. Pomyślał, że dla jej własnego dobra nie powinna była się tu zjawiać, znając jednak jej upór i tę jakąś cechę, która w żadnych okolicznościach nie pozwalała jej się uchylać od bardzo nawet przykrych konieczności, nie zdziwił się, widząc ją w sali. Fatalnie się stało, że ta sprawa z Lolą i kluczami tak ich poróżniła. Ale może po prostu było to nieuchronne.

Spostrzegł kilkoro kornwalijskich przyjaciół Kirsten, między innymi Judy Saunders, właścicielkę domku, w którym umarła, oraz farmerską rodzinę zamieszkałą w najbliższym sąsiedztwie.

Rozprawę prowadziła pani doktor Riley piastująca urząd koronera. Sprawiała wrażenie osoby dobrotliwie władczej, czym żywo przypominała surową, ale sprawiedliwą dyrektorkę szkoły. Wygłosiwszy krótkie wprowadzenie, poleciła swojemu oficerowi śledczemu przedstawić materiał dowodowy. Składał się on z zeznań policjanta wezwanego na miejsce zdarzenia, kiedy znaleziono zwłoki, lekarza, który stwierdził zgon, oraz niejakiego Andy'ego Borlase'a, miejscowego elektryka, który na zlecenie Judy Saunders sprawdzał instalację elektryczną w domku wynajętym później denatce. Fachowiec ten orzekł, iż przewody były przestarzałe, lecz choć nie odpowiadały dzisiejszym normom, to z techniczno-prawnego punktu widzenia nie budziły żadnych zastrzeżeń.

Przyszła potem kolej na zdjęcia, których część zaczęła krążyć po sali; były to głównie fotografie pomieszczeń w Gull Cottage, w tym zwłaszcza łazienki, gdzie została znaleziona Kirsten. Te, na których widać było nagie ciało denatki przewieszane przez krawędź wanny, „dyskretnie” wymieniali między sobą jedynie pani koroner, oficer dochodzeniowy i ci, którzy jako pierwsi znaleźli się w miejscu zdarzenia, oglądali więc na własne oczy tę jakże tragiczną scenę. Śledząc wyraz twarzy Sam, Raph był przekonany, że biedną dziewczynę nawiedza teraz ten obraz. Żałował, że w żaden sposób nie może jej przed tym uchronić.

To on owego czerwcowego dnia zawiadomił ją o śmierci matki, po czym razem pojechali do Kornwalii. Przez większość drogi milczeli, lecz łączyła ich wtedy na tyle jeszcze silna więź uczuciowa, że słowa nie były potrzebne. Sam wiedziała, jak straszny trawi go żal. Nigdy nie wyzbył się nadziei na odzyskanie Kirsten; wierzył, że znajdą w końcu jakiś sposób, aby się pojednać.

Przybyli do Gull Cottage późnym popołudniem. Domek stojący kilka metrów od brzegu urwiska przeznaczony był wyłącznie na spokojny urlopowy wypoczynek. Panowała tu rzeczywiście cudowna cisza, ale w ten czerwcowy wieczór całe to otoczenie i jego kojące piękno - spokojne błękitne morze, śpiewające nad lądem skowronki, chmary mew unoszących



się nad zatoczką wcinającą się głęboko w skałę - stanowiły wręcz okrutny kontrast z tym, co się tutaj stało. Nawet stary zaniedbany Gull Cottage też wyglądał jak domek z bajki. Istna ironia losu.

- Na pewno chcesz tam wejść? - zapytał swą pasierbicę, kiedy szli brzegiem klifu porośniętym krótką szorstką trawą. Ciało Kirsten zabrali już ludzie z zakładu pogrzebowego, lecz poza tym wszystko wyglądało tak jak rankiem, gdy Davy Boswin znalazł zwłoki swojej byłej żony.

- Prędzej czy później i tak mnie to czeka - odrzekła Sam. - Wolę już mieć to za sobą. - Trzymała się z dala od brzegu urwiska. Wiedział, że cierpi na lęk wysokości.

- Dzielna dziewczyna. Skoro tak, to chodźmy.

Skinęła głową. Wciąż jeszcze była w głębokim szoku. Wykonywała wszystko, co jej powiedziano, lecz robiła to jak lunatyk.

W domku wszędzie leżały rzeczy Kirsten - tak jak je zostawiła. Przy drzwiach stały buty, z krzesła zwisał jej płócienny żakiet, każdą dostępną powierzchnię zajmowały książki i papiery. Posłuszna swojej naturze włóczęgi, potrafiła każde dosłownie wnętrze natychmiast przekształcić w dom; nawet pokoje hotelowe umiała naznaczyć swą osobowością. Tu także na stole stał jej ulubiony kubek, a obok taniutki wazon z polnymi kwiatami; na ścianie wisiały liczne fotografie Sam, wśród nich zaś fotka zrobiona rok wcześniej przez Rapha, przedstawiająca matkę i córkę. Pstryknął ją tego pamiętnego dnia, gdy Sam ukończyła Królewską Akademię Muzyczną. Patrzyła w obiektyw z miną człowieka, który wkrótce zawojuje świat.

Teraz niepowstrzymanie drżała na całym ciele.

Raph patrzył na nią z bólem serca.

- Zrobię ci herbatę. Usiądź.

Usiadła jak automat.

- Jeśli chcesz, pomogę ci przejrzeć jej rzeczy.

- Może... jutro - wykrztusiła z ręką na cienkim stosiku kartek. Na stronie tytułowej widniał napis: *Skrzydlaty morderca i inne poematy*.

Kiedy już zrobił herbatę i usiadł naprzeciw przy stole, powiedział, zerknąwszy na tytuł:

- Trevor będzie chciał to zobaczyć. Miejmy nadzieję, że to rzecz gotowa do druku.

- Tak - powiedziała martwym głosem.

Pomyślał, że może dogłębne oglądanie publikacji tego ostatniego zbioru pomoże jej jakoś przetrwać miesiące najgłębszej żałoby. Będzie jej potrzebna każda pomoc.

- Och, popatrz - powiedział, biorąc do ręki opartą o lampę kartkę papieru - to wygląda

jak jakaś wiadomość.

- Nie, to poemat.

Przeczytali w milczeniu nakreślone na kartce słowa. U góry znajdował się tytuł: *Ptak pożegnania*, ale był to nie tyle poemat, ile raczej dopiero notatki, z których później miał powstać wiersz. Gdyby ta kartka nie była oparta o lampę, nie różniłaby się niczym od istnego morza zapisków, które zawsze otaczało Kirsten. Te brzmiały tak: „Wyrwać naszą miłość z korzeniami, wymazać przeszłość... Pofrunąć w szarość i dalej...”. I wreszcie sam koniec: „Żegnajcie, odchodzę”.

- O Boże! - jęknął Raph z oczyma pełnymi łez. - A więc to nie był wypadek!

- Nie rozumiem. O czym ty mówisz? - zdumiała się Sam.

- O tej notatce. Przecież to dowód, że Kirsten... że ona... odebrała sobie życie. Och, Sam, to straszne, myślałem, że to wypadek. Miałem taką nadzieję. Przykro mi, moja droga.

- Nie, ona się nie zabiła! - Sam wciąż jeszcze nie była gotowa przyjąć tej okrutnej prawdy. - Mama by tego nie zrobiła.

Raph odwrócił głowę i popatrzył w okno - na morze i daleki, bezkresny horyzont, myśląc, że musi w jakiś sposób przekonać Sam, że to prawda. Że trzeba się z nią pogodzić.

- Wiem, Sam, że trudno to zaakceptować, ale tylko takie wyjaśnienie ma sens... jest logiczne.

- Ale przecież... w przyszłym tygodniu miałam ją odwiedzić. Rozmawialiśmy o tym przez telefon. Układałyśmy plany.

- Więc skąd ta notatka?

- No a jeśli to było morderstwo? Myślałeś o tym?

- To nie morderstwo - powiedział z westchnieniem - choć niemal pragnę, aby tak było.

Sam opuściła głowę. Łzy trysnęły jej z oczu, mocząc tytuł nowego zbiorku. Nie chciała jednak spierać się z Raphem.

\*

W sali zapadła cisza, gdy zaprzysiężono Davy'ego Boswina. Mimo przekroczonej pięćdziesiątki ojciec Sam był wciąż jeszcze przystojnym mężczyzną średniego wzrostu i tuszy. Miał wyraziste niebieskie oczy i wijące się brązowe włosy, które zaczynały już siwieć. Szczupły i muskularny, wydawał się bardzo sprawny fizycznie; była to sprawność, której człowiek nabywa nie przez dźwiganie sztangi na siłowni, ale przez długie lata ciężkiej pracy. Jedyne ciężarami, jakie w swym życiu podnosił Davy, były betonowe bloki i wielkie skrzynie z rybami.

Tutaj, na sali rozpraw, nie czuł się w swoim żywiole - już choćby dlatego, że musiał

włożyć garnitur. Nic tak jaskrawo nie podkreślało różnicy między dwójką mężów Kirsten Waller, jak właśnie ich garnitury. Ubranie Rapha z lekkiej jasnoszarej wełny uszyte było na miarę - podobnie jak wszystkie inne - w Savile Row; świetny krój powodował, że jego już nieco przyciężka sylwetka nabierała elegancji, a nawet lekkości. Davy natomiast był właścicielem jednego tylko garnituru, kupionego z haka i od lat wiszącego w szafie. Wkładał go wyłącznie na pogrzeby i śluby, no i teraz do sądu. Materiał miał dosyć niezdecydowany kolor, ni to czarny, ni to granatowy, w dodatku błyszczał i co gorsza źle się układał. Widząc, jak Davy kuli ramiona, można było pomyśleć, że w jego marynarce wciąż jeszcze tkwi sklepowy wieszak, a on wprost nie może doczekać się chwili, gdy nareszcie będzie mógł zrzucić ten iście morderczy rynsztunek i przebrać się w robocze rzeczy. Wąski, zielono nakrapiany krawat nosił też w taki sposób, jakby to była garota.

To właśnie Davy znalazł ciało.

- Jest pan byłym mężem zmarłej, panie Boswin? - spytała doktor Riley.

- Zgadza się.

- Rozwód nastąpił kilka lat temu, czy tak?

- Blisko dwadzieścia lat temu - odrzekł uprzejmie Davy. Bardzo się starał nie zdradzić niesmaku, jaki w nim budziła cała ta sytuacja.

Sam wiedziała, jak bardzo jej ojciec nie znosi ujawniać przed nikim szczegółów swego prywatnego życia, a co dopiero przed sądem. Manifestowało się to zawsze w jednakowy sposób: stawał się jeszcze cichszy i bardziej powolny niż zwykle. Dziś przy śniadaniu prawie cały czas milczał i ku jej frustracji omal nie spóźnili się do sądu.

Przyjechała do Kornwalii wczorajszym popołudniowym pociągiem. Noc spędziła w Menverren, w małym rodzinnym gospodarstwie ojca, w którym się urodził i wychował.

- Wiesz, tato, powinniśmy wyjechać wcześniej - powiedziała przy śniadaniu, aczkolwiek bez większej nadziei, że odniesie to jakiś skutek. - Będzie tam prasa i mnóstwo ludzi. Powinniśmy zdążyć przed nimi.

- Naprawdę chcesz jechać do sądu? - zapytał; wiedziała, że pragnie oszczędzić jej bólu.

- Koroner powiedziała, że nie ma do ciebie żadnych pytań.

- Oczywiście, że chcę jechać.

- Przecież wiesz, że nic nowego nie usłyszysz, prawda?

Powiedziała mu o swoich podejrzeniach, gdy okazało się jednak, że zdążył już zaakceptować to kłamstwo o samobójstwie, postanowiła nie wracać do tego tematu.

- Muszę tam być, tato. Możemy choć raz się nie spóźnić?

- Nie gorączkuj się, dziecko, sąd nie ucieknie. Ta rozprawa to zwykła formalność. Tak

nam powiedziano.

Linda, żona ojca, nie brała udziału w dyskusji, ale jej zaciśnięte wargi wyraźnie mówiły, co myśli: Kirsten Waller za życia sprawiała Davy'emu jedynie same kłopoty, cóż więc dziwnego, że sprawia je i po śmierci? Sam miała nadzieję, że macocha zostanie w domu, przeliczyła się jednak. Pewnie, bo czyż taka lojalna żona jak Linda mogłaby puścić męża samego do sądu? Miałaby go nie oglądać podczas składania zeznań?

Przybyli na miejsce pięć minut przed czasem. Tak jak przewidziała Sam, sala była pełna po brzegi, toteż powstało straszne zamieszanie, zanim woźny znalazł im miejsca. Jej ojciec był zaskoczony.

- No i patrzcie państwo! Kto by pomyślał, że z powodu naszej Kirsten zbierze się tu taki tłum?

Sam nie podjęła tematu. Ojciec nigdy tak naprawdę nie oswoił się z faktem, że jego pierwsza żona stała się znaną poetką cenioną w kraju i za granicą. Dla niego pozostała na zawsze młodą, ekscentryczną Amerykanką, która nagle pojawiła się w jego życiu, a po paru latach tak samo nieoczekiwanie znikła. Całkiem jak te wędrowne północnoamerykańskie ptaki, które wiatr czasami znosi z kursu, lądują więc na odludnym południowo-zachodnim krańcu Anglii, gdzie na krótko stają się wielką atrakcją, lecz gdy któregoś dnia nikną, nikt już później o nich nie pamięta.

Tyle że Kirsten nie została zapomniana, przeciwnie, zdobyła sławę. W sali rozpraw zasiedli zarówno przedstawiciele miejscowej prasy, jak i wysłannicy największych krajowych gazet oraz dwie ekipy telewizyjne. Jeśli nie wyjdą na jaw jakieś nowe fakty, myślała Sam, już wczesnym wieczorem wszystkie media zaczną rozpowszechniać kłamliwą informację o samobójczej śmierci jej matki. Nic nie powstrzyma tych ludzi, chyba że zdarzy się cud, ale Sam nie wierzyła w cuda.

- Panie Boswin, o której godzinie znalazł się pan w Gull Cottage? - spytała pani koroner, przerzucając leżące przed nią dokumenty. - Proszę dokładnie określić czas.

- Musiało być koło wpół do dziesiątej, bo najpierw odwiozłem chłopców do szkoły, a potem, jadąc do Sheili, mojej siostry, pomyślałem, że wpadnę do Kirsten zapytać, jaką to ma do mnie sprawę. Chodzi o to, że chciała się ze mną widzieć poprzedniego dnia, ale nie udało mi się do niej dotrzeć.

- Rozumiem. - Doktor Riley zapisała sobie coś w notesie. - Dlaczego wieczorem dwudziestego czerwca nie dojechał pan do Gull Cottage?

- Miałem kłopoty z wozem. Nie chciał zapalić. - Davy uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Zwykle chodzi nie najgorzej, ale wtedy trzeba było przy nim podłubać.

- A więc zepsuł się panu samochód.

- No tak. Zacząłem przy nim pracować, no i zrobiło się późno, a Kirsten mówiła, że bym się nie spinał - urwał na chwilę i zmarszczył czoło. - Że się nie muszę spieszyć - uzupełnił cicho.

Sam poczuła wstyd. Najdrażliwsze szczegóły z życia jej rodziny staną się teraz własnością publiczną. Choćby to, że jej ojciec nigdzie nie może zdążyć na czas. Gdyby nie ta nieszczęsna cecha, Kirsten mogłaby... Nie, nawet o tym nie myśl, powiedziała sobie. I bez tego była na niego wściekła. Zawsze się chwalił, że potrafi uruchomić każdego kupionego za bezcen gruchota i jeździć nim jeszcze wtedy, gdy wszyscy inni dawno by już dali za wygraną. No i przez całe swoje dzieciństwo, zanim zamieszkała wraz z Kirsten u Rapha, miała do czynienia z beznadziejnymi rzękami zionącymi smrodem oleju i starych szmat, z półciężarówkami, które z reguły nie chciały zapalić, kiedy były najbardziej potrzebne, które och! - miały naturę zwariowanych złośliwych ciotek.

Z Raphem było inaczej; dziś na przykład przyjechał swym ciemnozielonym TVR, którego używał na długich trasach, a w garażu miał jeszcze citroena i audi. Teraz z taką miną zerknął na Davy'ego, jakby pierwszy mąż Kirsten był z lekka stukniętym ekscentrykiem, dla którego kolekcjonowanie starych gratów to po prostu rozrywka, pasja życiowa, a nie brutalna konieczność, dobrze znana ludziom, którzy ledwo wiążą koniec z końcem.

- Więc pani Waller chciała się z panem zobaczyć wieczorem dwudziestego czerwca?

- Tak. Zadzwoiła do mnie w porze lunchu i spytała, czy mógłbym wpaść, a ja powiedziałem, że się postaram.

- Czy podczas tej rozmowy powiedziała, z jakiego powodu chce się z panem widzieć? I dlaczego nie zadzwonił pan do niej, by ją poinformować, że zepsuł się panu wóz?

- Nie mogłem - grzecznie wyjaśnił Davy - W Gull Cottage nie ma telefonu i nigdy nie było. To właśnie jeden z powodów, dla których Kirsten lubiła tam mieszkać. Nikt jej tam nie nękał. Kiedy sama chciała zadzwonić, szła do Wearne'ow. Mają farmę po sąsiedzku - dodał, zerkając na siedzącą z tyłu sali Ann Wearne. - Albo jechała do wioski. Do Polwithick. Koło poczty jest budka telefoniczna. Myślę, że dzwoniła stamtąd, bo wspomniała, że musi nadać jakiś list. - Ann Wearne w tym momencie skinęła głową na znak potwierdzenia.

- Czy to znaczy, że dzwoniła po raz drugi, by powiedzieć, że nie musi się pan spieszyć?

- Nie, nie, powiedziała to od razu, gdy wspomniałem, że mogę mieć kłopoty z wozem. Ona wtedy na to, że nie ma sprawy, że mogę wpaść kiedy indziej.

- Rozumiem. Dziękuję za wyjaśnienie, panie Boswin. Proszę powiedzieć, jak brzmiał jej głos? Czy wyczuł pan w nim niepokój? Czy sprawiała wrażenie osoby w depresji?

Sam wstrzymała oddech, czekając na to, co powie ojciec. Davy przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie - odrzekł wreszcie. - Tego bym nie powiedział. Nie była niespokojna. Ani przygnębiona. Na pewno nie.

- Jak więc określiliby pan jej nastrój?

- No cóż, trudno powiedzieć. Wydawała się taka jak zwykle, choć z jej sposobu mówienia nie zawsze dawało się wyczuć, w jakim jest nastroju. Wtedy w dodatku rozmawialiśmy dosyć krótko.

- Czy potrafi pan sobie przypomnieć, co dokładnie mówiła?

- Trochę to trudne, ale... No więc spytała, czy mógłbym przyjechać wieczorem, a ja, że spróbuję, ale nie wiem, jak będzie z wozem. Na to ona, żebym się nie martwił, jeżeli nie zdążę... Bo to nic pilnego. Tak powiedziała. No to do zobaczenia, powiedziałem, i... - Głos Davy'ego nagle się załamał. Zamilkł, spojrzął na swoje rozłożone ręce i dodał tak cicho, jakby zwracał się tylko do tych rąk: - A na to Kirsten: „No dobra, Davy, jeśli dziś nie zdążysz, to zobaczymy się później”. I to... to było wszystko.

Odchrząknął i wytarł oczy. Brwi miał ściągnięte z wysiłku, by nie dać się ponieść emocjom. Przez salę przebiegł szmerek współczucia dla tego cichego, wciąż jeszcze urodziwego mężczyzny tak głęboko dotkniętego śmiercią kobiety, która przecież go opuściła, i to dwadzieścia lat temu.

Tylko Sam, słysząc słowa, „no dobra, Davy”, poruszyła się niespokojnie. Kirsten nigdy nie użyłaby takiego zwrotu. Wyraziłaby się inaczej. Jak? Tego Sam nie była już pewna. W ostatnich tygodniach nawet brzmienie głosu matki zaczęło zacierać jej się w pamięci, toteż chwilami wpadała w panikę, że wkrótce może zapomnieć, jak wyglądała kobieta, która ją urodziła, ale to zdanie... Nie! Mogłaby przysiąc, że słowa „no dobra”, nigdy by nie wyszły z ust Kirsten.

- Napije się pan wody, panie Boswin?

Davy zamrugął oczami jak człowiek wyrwany ze snu.

- Nie, dziękuję pani, nic mi nie jest.

- Tak więc pani Waller nie podała żadnego konkretnego powodu, dla którego chciała się z panem zobaczyć?

- Nie. Powiedziała tylko, żebym wpadł. Myślałem, że może trzeba jej w czymś pomóc, coś naprawić albo przesunąć. Nie radziła sobie z takimi rzeczami. Nie miała do tego głowy. Nie przyszło mi na myśl, że może być tak... rozstrojona.

- A gdy dwudziestego pierwszego o wpół do dziesiątej zjawił się pan w Gull Cottage...

- Około wpół do dziesiątej - uściślił Davy. - Mogło być pół godziny wcześniej albo później, czyli że mogłem przyjechać o dziewiątej, a nawet o dziesiątej, ale wydaje mi się, że było bliżej dziewiątej trzydzieści.

- Rozumiem. Może pan opowiedzieć, co się wtedy stało?

- Tak. Zaparkowałem na tym wąskim spłachetku ziemi po lewej stronie domu i wszedłem do środka przez boczne drzwi.

- Miał pan klucz?

- Klucz? - zdumiał się Davy. - Kirsten nie zamykała drzwi. Nigdy. Nie uznawała kluczy ani zamków.

- Czyli że każdy mógł wejść do domu?

- Tak, myślę, że tak.

- Czy po wejściu do środka zauważył pan coś niezwykłego?

Sam zacisnęła rękę aż do bólu. Słyszała tę opowieść już parokrotnie, lecz za każdym razem przeżywała ją w ten sam sposób. Miała uczucie, że całe jej życie rozpada się w proch, pozostawiając po sobie tylko czarną przeraźliwą pustkę.

Zaraz po wejściu do domu Davy zaczął nawoływać Kirsten. Nie zwrócił uwagi na kartkę pozostawioną na stole, bo przecież całą przestrzeń otaczającą jego były żonę zawsze pokrywały sterty mniejszych lub większych kartek, na których notowała pomysły do wierszy, swoje odczucia i luźne impresje. Powiedział, że byłby zdziwiony, gdyby ich nie zobaczył. Zajrzał do pokoju na tyłach, a potem wyszedł do ogródka i znowu zaczął ją wołać. Z początku pomyślał, że poszła na spacer, ale później coś go tknęło. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, miał jednak uczucie, że coś tu nie jest w porządku. Wrócił do domu i wszedł na górę. W sypialni też nie było Kirsten. Zauważył, że drzwi do łazienki są niedomknięte, a na podłodze podestu leży przedłużony przewód elektryczny znikający w uchylonych drzwiach. Zajrzał do łazienki.

Z brzegu wanny zwisał zapętlony przewód. U jego końca w pełnej wody wannie leżało małe radio. Na ratunek było już za późno.

Wszystko, co zobaczył Davy, utrwalone zostało na zdjęciach. Sam ich nie widziała; nie była też w stanie wyobrazić sobie tej sceny. Jej umysł bronił się w ten sposób przed okrutnym widokiem martwego ciała. Broniła się przed nim tym mocniej, że miała świadomość, jak intymną sprawą była dla jej matki nagość. Mimo wielu lat cygańskiego życia Kirsten nie potrafiła się wyzbyć sztywnych norm przyzwoitości, w których ją wychowano.

W dialogu koronera z Davym pojawiała się teraz zagadka wyciągniętej wtyczki.

- W swoim wcześniejszym zeznaniu powiedział pan, że w chwili gdy wszedł pan do

domu, urządzenie, które spowodowało śmierć Kirsten Waller, było wyłączone - stwierdziła doktor Riley. - Czy tak?

Davy zawahał się lekko.

- Owszem, tak powiedziałem.

- Później jednak w rozmowie z oficerem śledczym wyraził pan przypuszczenie, że być może to pan je wyłączył.

- Ano tak... - Davy urwał i zmarszczył czoło. - Nie pamiętam wszystkiego dokładnie... ale byłem tak zszokowany, kiedy zobaczyłem Kirsten... że mogłem wyciągnąć z gniazdka tę wtyczkę. Odruchowo. Nie zdając sobie sprawy, że to robię.

- Uważa pan, że to możliwe?

- Zdaje mi się, że mogło tak być.

Ale mówiąc to, Davy nie patrzy! w oczy pani Riley. Nie sprawiał już teraz wrażenia człowieka, który się waha. Wyglądało to raczej na unik. Współczucie, którym dotąd darzyła go sapa, zaczęło powoli topnieć.

Sam czuła, że ogarnia ją złość na ojca. Och, znała go dobrze! W pewnych sytuacjach bywał niezawodny. Gdy na przykład przy dziewięciostopniowym sztormie trzeba było sprowadzić łódkę do portu albo w błyskawicznym tempie odbudować zwalony kamienny mur, o, wtedy nikt na świecie nie był bardziej kompetentny i zdecydowany niż Davy Boswin. Lecz gdy miał do czynienia z kimkolwiek, kto w jego pojęciu uosabiał władzę - inspektorem podatkowym, nauczycielem czy choćby lekarzem - tracił całą pewność siebie. Co gorsza, zdarzało się to całkiem bez powodu. Teraz właśnie tak było. A wyglądało to tak, jakby po wejściu do Gull Cottage i znalezieniu tam martwej Kirsten zrobił coś podejrzanego.

W dusznej salce zapadła cisza przerywana tylko dochodzącym z ulicy warkotem silników i szelestem rozpostartych gazet, którymi wachlowali się spoceni ludzie. Koroner przed chwilą zadała Davy'emu znów jakieś pytanie na temat tej wtyczki, a on milczał. Dlaczego tak się zachowuje? denerwowała się Sam. Jeśli prąd rzeczywiście został wyłączony przed przybyciem karetki pogotowia, to jest przecież rzeczą oczywistą, że musiał to zrobić ktoś, kto zjawił się tam jako pierwszy. I cóż w tym złego? Ojciec nie powinien mieć takiej miny... miny winowajcy. Jakby to on poraził byłą żonę prądem!

Otworzył usta, ale zamiast mówić, zaczął chrząkać i kaszleć. Zerknął na Linde, która ani przez moment nie spuszczała go z oka. W tych swoich żółtych falbankach wyglądała jeszcze bardziej zwalście niż zwykle. Pochylona do przodu, zdawała się łowić każde słowo męża. Albo szykować się do ucieczki.

Davy w końcu skinął głową, spojrzął na doktor Riley i powiedział cicho:



- Tak. Myślę, że tak było.
- Jest pan pewny?
- Tak - padło po dłuższej pauzie. - Myślę, że tak.
- Dziękuję, panie Boswin. Może pan wrócić na miejsce.

\*

Na tym skończyło się przesłuchanie. Koroner beznamiętnym tonem podsumowała fakty, nie zapominając przy tym podkreślić, że ta śmierć to wielka tragedia, wyraziła też współczucie rodzinie i bliskim zmarłej, lecz jej orzeczenie brzmiało jednoznacznie: Kirsten Waller odebrała sobie życie. Nie znamy powodów tej desperackiej decyzji, powiedziała doktor Riley, lecz pozostawiona na stole kartka nie pozwala wysnuć żadnego innego wniosku.

Ludzie wysypali się na zewnątrz, ale przystanęli na chodniku, tworząc przypadkowe grupki. Wszyscy pragnęli stąd uciec, powstrzymywała ich jednak świadomość, jak bardzo byłoby to niestosowne. Koroner, która tu, na ulicy, wydawała się niższa i jakby mniej „dyrektorska”, rozmawiała z Raphem i Johnnym. Parę osób podeszło do Sam, żeby złożyć jej kondolencje. Judy Saunders udzielała wywiadu ekipie lokalnej telewizji, wyjaśniając z wielkim przejęciem, jak ogromne znaczenie miała zawsze dla Kirsten Kornwalia i ten mały domek na urwisku. Ona sama wiele razy zamierzała go zmodernizować, jednak przyjaciele, którzy uwielbiali tu przyjeżdżać, prosili ją, żeby tego nie robiła. Uważali, że zepsułoby to jego urok. Linda mimo swoich cytrynowych riušek wyglądała jak chmura gradowa. Zaraz po wyjściu z budynku takim gestem chwyciła męża za ramię, jakby się bała, że ktoś ukradnie jej własność. Davy szepnął jej coś do ucha, uwolnił ramię i podszedł do Sam.

- No jak, Sam, w porządku?

Mimo woli musiała się uśmiechnąć. „W porządku”. Fraza ta tutaj, w Kornwalii, zastępowała chyba z dziesięć innych. „Jak się masz?” „Dziękuję, dobrze”. „Życzę ci jak najlepiej”. „Dzięki Bogu już po wszystkim”. I tak dalej. Kirsten parę lat temu napisała nawet wierszyk zatytułowany *Ptaszek, który zwał się W Porządku*.

- Tak, tato, w porządku.
- Ponura sprawa, co? Taka strata.
- Tak.
- Chcesz pojechać do nas? - zapytał niepewnie. - Mogłabyś zostać do jutra.
- Dziękuję, tato, ale jutro pracuję. Raph mnie odwiezie. - Nie cieszyła jej perspektywa podróży z ojczymem, dysponował jednak szybkim samochodem, a ona nie miała żadnego powodu, żeby tu dłużej zostawać.
- Raph? - Po twarzy ojca przemknęła chmura. Obrzucił szybkim spojrzeniem

trójosobową grupkę złożoną z doktor Riley, Johnny'ego i Rapha. Raph wydawał się spięty; sprawiał wrażenie, jakby chciał czym prędzej stąd uciec, toteż mówił głównie Johnny. - Czemu chcesz z nim jechać?

- Bo z nim wrócę szybciej i wygodniej niż pociągiem.

- Ach tak. - Twarz nadal miał chmurną. - Często się z nim widzisz?

- Od czasu do czasu. Myślę, że śmierć mamy mocno go dotknęła.

- Słyszałem, że związał się z jakąś inną.

Sam kątem oka zerknęła na Lindę.

- To nie oznacza, że mama przestała się dla niego liczyć, prawda?

- Hm... jej śmierć sieknęła nas wszystkich. - Wziął ją pod ramię i odciągnął na bok, poza zasięg ciekawskich uszu. - Tak między nami, Sam: na twoim miejscu trzymałbym się z daleka...

- Od Rapha?

Ojciec kiwnął głową.

- Dlaczego?

- Jedź z nami na farmę, to pogadamy.

- Nie mogę, muszę być rano w Londynie.

- No cóż, wielka szkoda.

- O co chodzi, tato?

Sprawiwszy szybkim spojrzeniem, czy nikt ich nie podsłuchuje, Davy powiedział zniżonym głosem:

- Chodzi o to, że mu nie ufam, rozumiesz?

Należycie do innych światów, pomyślała w pierwszej chwili Sam, nic więc dziwnego, że nie macie do siebie zaufania. Potem jednak przypomniała sobie, że jeszcze niedawno ojciec nie mógł się nachwalić Rapha za to, co dla niej zrobił.

- Dlaczego mu nie ufasz?

- Wie o wiele więcej, niż mówi.

- Co takiego?

Odruchowo spojrzała na Rapha. Wymieniał akurat pożegnalny uścisk dłoni z panią koroner. Komuś, kto go nie znał, mógł się wydawać istnym uosobieniem pewnego siebie londyńskiego adwokata, który niczym się nie przejmuje, o, ale nie Sam. Zbyt dobrze go znała, żeby się na to złapać. Jego uśmiech przypominał grymas, a opuszczone ramiona mówiły wyraźnie, ile nerwów kosztował go dzisiejszy dzień. Ruszył w stronę samochodu i dał jej znak gestem, że ma się pospieszyć, Johnny jednak widocznie musiał go zmytygować, bo

przystanął z ręką na klamce - i zaczęli znowu rozmawiać.

- Tamtego ranka - powiedział Davy tak cicho, że ledwo go usłyszała - ktoś był w Gull Cottage przede mną. Nie byłem tam pierwszy, rozumiesz? Nie pytaj mnie, skąd to wiem, ale wierz mi, to prawda. Widziano jakiegoś gościa: średni wzrost, ciemne włosy, ubrany z londyńskim szykiem. Przyjechał drogim zagranicznym wozem. Taki wóz rzuca się w oczy. Był zielony lub szary.

- Myślisz, że to Raph? Przecież przywiózł mnie tu później tamtego dnia... - Zamilkła na moment, by dokonać szybkich obliczeń. Podczas dochodzenia ustalono czas śmierci Kirsten na godziny wieczorne dwudziestego czerwca. Raph w tym czasie był ze znajomymi na kolacji. A w południe następnego dnia - dochodziła akurat dwunasta - przyjechał zawiadomić ją o śmierci matki. No tak, ale co robił między północą a południem? Gdyby wyszedł z restauracji powiedzmy o jedenastej, wszedł w samochód i pojechał do Kornwalii, byłby w Gull Cottage o czwartej czy piątej nad ranem, a około jedenastej dwudziestego pierwszego mógłby wrócić do Londynu, przekazać Sam wieści o śmierci Kirsten - i pojechać z nią znów do Kornwalii. Strasznie by się najeździł, ale tak, było to możliwe.

- Mówisz, że Raph był w Gull Cottage krótko po śmierci mamy? Ale po co?

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

- Mówiłeś o tym komuś?

- Co za sens wywoływać zamęt?

Czemu nie powiedziałaś policji? - cisnęło jej się na usta, ale ugryzła się w język. Znała odpowiedź na to pytanie, bo znała Kornwalijszyków. Byli ludźmi zamkniętymi w sobie, a w złych chwilach solidarnie zwierali szeregi. Tak właśnie działo się teraz. Lubili Kirsten i jej śmierć była dla nich szokiem. Głębokie poczucie straty, instynktowna niechęć do ujawniania emocji i pragnienie pożegnania zmarłej bez zgiełku stanowiły bardziej niż wystarczający powód, by Davy i wszyscy, którzy widzieli tajemniczego przybysza, nabrali wody w usta. Sam nietrudno było to zrozumieć. Ona też milczała, choć była święcie przekonana, że jej matka nie mogła popełnić samobójstwa i na pewno go nie popełniła. Różnica między nią a tutejszymi przyjaciółmi Kirsten polegała jedynie na tym, że powodowały ją inne motywy. Kiedy próbowała podzielić się swoimi podejrzeniami z prowadzącym śledztwo policjantem, napotkała ślepy mur niewiary. I co gorsza nietajoną litość. To ją powstrzymało od dalszych podobnych prób. Nie zniosłaby ludzkich spojrzeń, z których łatwo byłoby wyczytać: „Biedaczka. Nie potrafi pogodzić się z prawdą, więc wymyśliła sobie morderstwo”. Dlatego milczała - tak jak ojciec.

- Powiedz, tato, jesteś pewny, że Raph tutaj był?

- Powtarzam tylko to, co słyszałem.

- Od kogo? Od Ann czy Boba Wearne'ow? - Byli to najbliżsi sąsiedzi Kirsten.

- Nieważne. I lepiej o to nie pytaj. Trzymaj się po prostu od niego na dystans. W porządku?

- Nie, tato, to nie jest w porządku - odparła, biorąc głęboki oddech. Może mimo wszystko powinna z nim jechać do Menverren? - Ty też chyba przecież nie myślisz, że mama odebrała sobie życie?

Ojciec zerknął na Lindę, która z widoczną niecierpliwością czekała na jego powrót.

- Wiemy swoje - powiedział cicho - ale czy to ważne, co myślimy? Kirsten nie żyje i ani nasze myśli, ani żadne starania nie przywrócą jej życia.

- Nie o to chodzi. Jeśli podejrzewasz, że ktoś ją zabił...

- Nie, Sam, tego nie powiedziałem.

- Och, na litość boską! Czego ty się boisz?

- Nie denerwuj się, Sam. Życie musi toczyć się dalej. My mamy swoje, a ty swoje. Masz swoją muzykę.

Cierpliwość Lindy zdążyła się już wyczerpać.

- Idziesz, Davy? - zawołała, zbliżając się do nich.

- Tak, tylko pożegnam się z Sam. - Wyciągnął ramiona, chcąc ją objąć, ale cofnęła się przed nim. Była zbyt wzburzona, żeby udawać rodzinną czułość. Chyba to zrozumiał, bo skinął głową i powiedział tylko:

- Uważaj na siebie.

- Bywaj, tato.

- Gotowa do wyjazdu? - zawołał Raph.

Spędzić cztery godziny w jego towarzystwie? Mogłaby spytać go o to, co przed chwilą powiedział jej Davy... I słuchać jego zaprzeczeń? Bo na pewno się wyprze. Nie, nie ma sensu.

- Przyszło mi na myśl, że mogłabym pojechać z Johnnym - powiedziała chłodno.

- Świetnie! Fantastycznie! - rozpromienił się Johnny. Jak zwykle w takich chwilach przypominał teraz uszczęśliwionego spaniela. - Miałaś kapitalny pomysł! Musimy po drodze wpaść do Wardley po Miriam, ale chyba ci to nie przeszkadza?

- Oczywiście, że nie.

- Jak wolisz, Sam - rzucił sucho Raph. - A więc do widzenia.

- Wsiadaj, Sam. - Johnny pootwierał na oścież wszystkie drzwi swojego wozu, żeby wpuścić do środka trochę powietrza, pozbierał z przedniego siedzenia jakieś mapy i opakowania, po czym niedbałym gestem rzucił to wszystko do tyłu. - O Boże, co za upiorny

dzień! Ale ty trzymałaś się świetnie! Wiesz, wprost nie wyobrażam sobie, co ty musisz czuć. Och, Sam, życie bywa cholernie okrutne! - Wziął ją w ramiona i mocno uściskał. Raph tymczasem wskoczył za kierownicę i odjechał z takim pośpiechem, jakby się gdzieś paliło.

\*

Nie myślał ani o Sam, ani o swym jasnowłosym przyjacielu, który tak spontanicznie zaczął ją pocieszać, nie napotykając przy tym żadnego sprzeciwu z jej strony, choć jej własny ojciec nie miał tyle szczęścia. Odjeżdżając przed sądu w stronę obwodnicy, Raph na nic właściwie nie zwracał uwagi. Jakaś resztką zdrowego rozsądku ostrzegała go wprawdzie, że w tym stanie nie powinien prowadzić wozu, a przynajmniej nie jechać tak po wariacku, wiedział jednak, że się nie zatrzyma, dopóki nie oddali się od tego miejsca i wszystkiego, co musiał dziś znieść. Jako adwokat od spraw kryminalnych nierzadko stykał się ze śmiercią; cieszył się nawet opinią człowieka, który za pomocą prawniczych formułek i różnych znanych mu sztuczek potrafi złagodzić najgorszą makabrę, ale ze śmiercią Kirsten nie umiał sobie poradzić. To było coś innego. Widział jej ciało, to ciało, które znał i kochał jak żadne na świecie, zwisające bezwładnie z krawędzi wanny... Jak długo umierała? W takich chwilach czas płynie inaczej. Czy dla niej płynął w zwolnionym tempie? Czy próbowała jakoś się ratować? Czy śmierć była szybka i bezbolesna, czy też konała w strasznych męczarniach?

Dyszał ciężko, przeklinając stłoczone samochody pełnące metr po metrze na wzgórzu za Truro. Rozpaczliwie chciał odjechać stąd jak najdalej, nim powróci inny znajomy koszmar. Niestety, nie dało się jechać szybciej.

Koszmar powrócił, przywodząc przed oczy obraz tamtej pierwszej śmierci, przed którym nigdy nie było ucieczki. Obraz, który będzie towarzyszyć mu po kres życia. Nie stało się niby nic wielkiego, ot, drobny wypadek z tych, co zdarzają się ludziom tak często, że nikt nie przywiązuje do nich większej wagi. W wypadku tym bierze udział mały biały piesek z czarnym uchem i czarną łatką nad ogonkiem oraz drobny kilkuletni chłopiec - mały Raph. Piesek, widząc chłopca po przeciwnej stronie drogi, z głośnym skomleniem rusza za nim w pościg.

- Nie, Chippy!

Chłopiec krzyczy z przerażenia. Widzi, że zza rogu spokojnej wiejskiej uliczki, gdzie trudno się go spodziewać, bo samochody należą tu do rzadkości, wypada rozpędzony pojazd. Słyszy radosne ujadanie...

- Nie, Chippy, zostań tam! - Ale Chippy błędnie rozumie ten okrzyk i daje susa na drogę - prosto pod koła. Kierowca nawet go nie widzi; wóz odjeżdża z piskiem opon, pozostawiając za sobą pustkę. Pustkę i ciszę, w której chłopiec zalewa się łzami, skryty w mokrej

przydrożnej trawie.

- Obudź się, Chippy, nie umieraj! Och, Chippy!

Skurcze przebiegające przez ciało zwierzęcia budzą w nim złudną nadzieję. Nie wie, że to agonia. Gdy jednak bierze pieska na ręce, żeby go zanieść do domu, wydaje mu się, że pod gładką sierścią wcale nie ma kości, tylko jakieś sypkie trociny. Próbuje podtrzymać bezwładny łebek i tak ułożyć zwisające łapki, żeby wszystko to stało się żywą całością, małą kochaną istotą. Nic z tego.

Gdy tuląc w ramionach martwe ciało pieska, zbliża się do domu, miejsce rozpaczy zajmuje nieprzytomny strach. Przed ojcem. W uszach brzmiały mu słowa: „Żebyś mi się nie ważył wyprowadzać go z domu. On nie jest twoją zabawką. Wiesz, jaka kara czeka nieposłusznych chłopców!”.

Ale Chippy tak błagalnie patrzył tymi czarnymi ślepkami, tak prosił, żeby go wziąć na spacer! Och, tylko nad strumień, gdzie można było wspólnie zbierać kasztany spadające z tego wielkiego drzewa. No i wymknęli się z domu, gdy ojciec poszedł do pubu na niedzielny drinka. Mieli wrócić, nim tatuś odkryje, że ich nie ma.

A teraz...

Wiedział, co go czeka.

\*

Kiedy znalazł się wreszcie na czteropasmówce, mając przed sobą otwartą drogę do Londynu, zjechał w zatoczkę i zatrzymał wóz. Drżał tak gwałtownie, że nie był w stanie prowadzić.

Wiedział, że mu to minie, zawsze mijało. Trzeba było po prostu odczekać. Potem ruszy dalej.

Jak zwykle.

## 5

Na ostatnich kilku milach przed Wardley Johnny'ego przepełniało zazwyczaj uczucie głębokiej satysfakcji i życzliwości dla całego świata. Zaczynało się to wkrótce po zjeździe z autostrady, gdzie betonowa nawierzchnia i dobrze wyprofilowane łuki ustępowały miejsca krętym starym drogom obsadzonym żywopłotami cieszącymi oko zielenią i mnóstwem dojrzewających jagód. Uczucie radosnego oczekiwania stawało się coraz silniejsze, w miarę jak sędziwa wieża Wardley rosła Johnny'emu w oczach.

Ale nie dzisiaj. Sam spała obok na fotelu pasażera, a on nie przestawał analizować rozmowy, którą prowadzili na drodze A30 już za Bodmin Moor.

- Odwiedziłeś w marcu Kirsten, prawda? - zapytała. O matce zwykle mówiła „Kirsten”. „Mamą” nazywała ją tylko w rozmowach ze swoim ojcem. Johnny’ego to nie raziło. Wiedział, że były sobie bardzo bliskie, tyle że w sposób niezbyt konwencjonalny. Ich relacje mocno się różniły od tego, co łączy przeciętną matkę i córkę.

- Tak, odwiedziłem Kirsten. - Zaprzeczać nie było sensu. Sam wiedziała, że podczas pobytu w Stanach zawadził o Connecticut. - Miriam mnie o to prosiła - dorzucił takim tonem, jakby chodziło o pierwszą lepszą wizytę - choć i bez tego zobaczyłbym się z twoją matką. Wiesz, Miri uważała, że istnieje szansa pojednania pomiędzy Kirsten i Raphem.

- Rozmawialiście o Raphie?

- Och, pewnie tak. Mówiliśmy o wielu sprawach.

- Bardzo cię lubiła - westchnęła Sam.

Była to prawda, ale wypowiedziana głośno - bolała. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z poczucia winy, że nie spełnił oczekiwań Kirsten.

- Była to wzajemna sympatia - powiedział szybko. - A z mojej strony również podziw. Była najwybitniejszą kobietą, jaką znałem. - Zabrzmiało to może trochę zbyt gorąco, dodał więc lekkim tonem: - Tylko nie mów o tym Miriam, dobrze?

Sam milczała przez chwilę, rozważając pewnie tę wypowiedź, a potem rzuciła z westchnieniem:

- Nie miała żadnej depresji!

- Cierpiała z powodu rozstania z Raphem. Powiedziała mi, że wciąż go kocha i że nigdy się to nie zmieni.

- Mnie też to mówiła. Dlatego nie mogę zrozumieć, czemu od niego odeszła.

Johnny pozwolił sobie pominąć tę kwestię milczeniem. Formalnie rzecz biorąc, Sam nie nadała swojej wątpliwości charakteru pytania, uznał więc, że nie musi udzielać jej odpowiedzi. Uważał poza tym, że im mniej będzie wiedziała o jego ostatniej rozmowie z Kirsten, tym lepiej.

- Chciałabyś może posłuchać muzyki? - zapytał, by zmienić temat.

Pokręciła głową przecząco.

- Myślisz, że znów by się zesзли?

- Nie mam pojęcia.

- Ja myślę, że tak. - Sam nagle spojrzała mu w twarz. Czuł, że na niego patrzy, choć nie odrywał oczu od jezdni. - Nie wierzę, że Kirsten popełniła samobójstwo - powiedziała wolno

i dobitnie. - A ty? - padło po krótkiej pauzie. Wciąż przyglądała mu się bacznie.

- Och Sam, to musiało być samobójstwo - odrzekł bez wahania. - Nie da się inaczej tego wytłumaczyć.

- Czy pokazywała ci ten wiersz, nad którym wtedy pracowała? Ten, który zaginał?

- Mówisz o *Skrzydlatym mordercy*? - Mimo że wieczór był ciepły, Johnny poczuł zimny dreszcz na grzbiecie. - Możliwe, że tak. Nie pamiętam. To znaczy nie jestem pewien. - Sam wciąż nie przestawała świdrować go wzrokiem. Próbuje ocenić, czy powiedział prawdę?

- Ja chyba wiem, o czym był ten poemat - rzuciła.

- Doprawdy? - Johnny zerknął na nią przelotnie. Czyżby Kirsten i jej powiedziała?

- Bohaterem tego wiersza był drozd. Widziałyśmy kiedyś, jak zabił jaszczurkę.

- Drozd? Ach, rozumiem. - Zalała go fala ulgi. Aż dziw, że tak wielka. No cóż, ta dziewczyna próbuje po prostu zrozumieć okrutną prawdę i jakoś się z nią uporać. On oczywiście zrobi wszystko, żeby jej w tym pomóc. Przywykł ją uważać za członka rodziny i gdy teraz sytuacja się zmieniła, nie potrafił się przestawić na inne myślenie. Nie da się przecież z dnia na dzień zerwać tak bliskiego związku, jaki łączył go z Sam. Patrząc wciąż prosto przed siebie, poklepał ją lekko po rękę. Może dlatego zawsze tak dobrze rozmawia się w wozie, że kontakt wzrokowy ze zrozumiiałych powodów trzeba ograniczyć do minimum?

- Wiem, jakie to wszystko musi być dla ciebie trudne - powiedział ciepło. - To znaczy... Nie wiem, bo nie mogę wiedzieć, potrafię to jednak sobie wyobrazić. Koroner miała rację, gdy stwierdziła w podsumowaniu, że nikt nie wie i nigdy już się nie dowie, w jakim stanie psychicznym znajdowała się Kirsten tego ostatniego dnia. Tylko że to, co zrobiła, było do niej tak niepodobne! Bywała nieraz przygnębiona jak każdy człowiek, jednak generalnie rzecz biorąc, zawsze myślała pozytywnie i tak kochała życie! I nagle taka desperacja! Bóg widzi, jak trudno to zaakceptować zwłaszcza nam, jej bliskim. Musimy jednak się z tym pogodzić Ty też. Musiała to być jakaś... czy ja wiem? Chwilowa aberracja. Naruszenie równowagi umysłowej, cokolwiek znaczy ten medyczny termin. A może jakiś niewiarygodnie pechowy zbieg okoliczności... Jak już mówiłem, nigdy nie poznamy odpowiedzi. Lecz ty, uwierz mi, Sam, nie dojdiesz ze sobą do ładu, póki nie zaakceptujesz wersji koronera. Pomyśl: przemawiają za nią wszystkie dowody.

- Może niektóre - krnąbrnie stwierdziła Sam - ale na pewno nie wszystkie.

- Wystarczająco wiele.

Odwróciła się w stronę okna, tak że nie widział wyrazu jej twarzy, ale linia zaciśniętej szczęki świadczyła dobitnie, że jej nie przekonał. No cóż, trochę to potrwa, był jednak pewien, że prędzej czy później i ona dojdzie do wniosku, że rację ma większość: koroner,



ludzie prowadzący śledztwo i wszyscy przyjaciele zmarłej. No bo jakież inne wyjaśnienie mogłoby tu wchodzić w grę? Sam nie może sobie przecież wyobrazić, że jakiś chory psychicznie włóczęga przypadkiem znalazł się na ścieżce prowadzącej do Gull Cottage, wszedł do łazienki, zobaczył kobietę w kąpieli i po prostu ją zamordował? Dom wprawdzie stoi na odludziu, a Kirsten nie zamykała drzwi, mimo to taki scenariusz wydawał się całkiem nieprawdopodobny. Morderstwo z innych przyczyn również. Nie znaleziono śladów przemocy. Nic nie zginęło.

Jednakże rozmowa z Sam pozostawiła po sobie jakiś gorzki osad, na tyle przykry, że zepsuł całą przyjemność, którą sprawiał mu dotąd każdy przyjazd do Wardley. By choć trochę poprawić sobie nastrój, pomyślał, że wkrótce, już za następnym zakrętem, mignie mu stara wieża wznosząca się dumnie wśród pól; potem znów na chwilę zasłonią ją drzewa rosnące po obu stronach drogi. Uśmiechnął się lekko, ale tylko dlatego, że uśmiechał się zawsze w tej fazie podróży. Po raz pierwszy odkąd został właścicielem Wardley, nie był to spontaniczny wyraz przyjemności, ale po prostu akt woli.

- Jesteśmy prawie na miejscu - poinformował Sam.

Odpowiedziała mu cisza. Sam nadal spała. Zasnęła zaraz za Bristolem, podłożywszy pod głowę płócienną torbę z jakimś etnicznym wzorem. We śnie wyglądała strasznie młodo i krucho. Pamiętał ją z czasów, kiedy opuściwszy ojcowską farmę, wprowadziła się wraz z Kirsten do domu Rapha. Była wtedy zgryźliwą, nienaturalnie bladą jego zdaniem piętnastolatką, ubraną w ponurą czerń, z mnóstwem srebrnych ozdób, w tym zwłaszcza kółek w nieprawdopodobnych miejscach, a jej włosy, mój Boże! sprawiały wrażenie, jakby ktoś je ostrzygł sekatorem. Wprost trudno było uwierzyć, że taka kobieta jak Kirsten, promienna i pełna życia, może być matką tak nieatrakcyjnej córki. Kiedy jednak później Johnny miał okazję zobaczyć tę dziewczynę w innej sytuacji, zmuszony był zmienić zdanie. Bo gdy tylko uniosła smyczek, by przeciągnąć nim po strunach wiolonczeli, zniknęło brzydkie kaczątko, a jego miejsce zajął wspaniały łabędź.

Przez następne dwa lub trzy lata zmieniała się nie do poznania. Pod wieloma względami stała się młodsza i bardziej niewinna - jakby tu, w tym domu, odzyskała prawo do dzieciństwa - lecz zarazem nabrała pewności siebie, a jej gra mocy i piękna. Ostatniego lata przed odejściem matki od Rapha znajdowała się w szczytowej formie. Była jedną z najzdolniejszych studentek Królewskiej Akademii Muzycznej, odnosiła sukcesy i pewnie to one sprawiły, że wyglądała prześlicznie.

Przykro było patrzeć, jak po śmierci Kirsten traci cały swój blask. Jak zamyka się znów w swej skorupie. Johnny miał nadzieję, że to tylko chwilowy regres, że muzyka raz jeszcze

wyprowadzi ją z dołka. Zbliżał się ważny konkurs muzyczny; jeśli Sam odniesie w nim sukces, będzie to dla niej początek naprawdę wielkiej kariery. Zamierzał jej w tym pomóc, jak tylko potrafi. Jego małżeństwo z Miriam było niestety bezdzietne i pewnie dlatego ulokował swoje ojcowskie uczucia w córce Kirsten. Chętnie by przychylił jej nieba.

Skręciwszy w drogę dojazdową do Wardley, włączył drugi bieg. Wśród drzew było już ciemno, nie zapalił jednak reflektorów. Tak dobrze znał ten skrawek ziemi, że mógłby chyba prowadzić z zawiązanymi oczami. Jechali teraz zielonym tunelem, który tworzyły gęsto rosnące drzewa; rzędły one dopiero za ostatnim zakrętem, w miejscu gdzie zginął Anthony. Mijając to miejsce, czuł zawsze bolesny skurcz serca. Pragnął postawić tu kamień z imieniem zmarłego brata albo zasadzić drzewo, ale wciąż nie potrafił zdecydować, co byłoby bardziej odpowiednie. Wyjechali już spośród drzew. Miał przed sobą budynek mieszkalny i wieżę. Nareszcie był w domu.

Dobrze, że Sam zgodziła się tu przenocować. Obiecał, że wczesnym rankiem odwiedzi ją do Londynu - oboje z Miriam mieli tam również coś do załatwienia - tak więc nie będzie musiała rezygnować ze swoich zajęć. Szkoda, że nie może zostać trochę dłużej, ale dobra i jedna noc. Johnny święcie wierzył, że czas spędzony w Wardley leczy duszę. Sam przecież tego doświadczał.

Zatrzymał samochód przed frontowym wejściem. Dom nie był imponujący, a jednak na swój sposób doskonały. Tę osiemnastowieczną rezydencję wzniesiono w taki sposób, że łączyła się ona z sześcioboczną średniowieczną wieżą. Sama wieża, unikatowy relikwiarz epoki, w której ludzie, by przeżyć, musieli się chronić za potężnymi murami, miała wielką wartość historyczną. Profesor Pevsner napisał o niej istny panegiryk. Ta typowo angielska rezydencja była dla Johnny'ego jego zamkiem. Z westchnieniem satysfakcji wyłączył silnik. Już czuł się lepiej. Wcześniejszy dyskomfort, a nawet poczucie winy wywołane świadomością, że ukrył przed Sam niektóre fragmenty swej ostatniej rozmowy z Kirsten w białym od marcowego śniegu Connecticut, ustąpiło miejsca przekonaniu, że zrobił to dla jej dobra. Gdyby wiedziała, w jakim stanie ducha była wtedy Kirsten i o czym myślała, byłoby jej jeszcze trudniej zaakceptować werdykt koronera.

On sam był mimo wszystko przekonany, że doktor Riley ma rację. Z obiektywnego punktu widzenia tylko samobójstwo pozwalało w tym wszystkim znaleźć jakiś sens.

\*

Diana spacerowała właśnie po trawniku ze swoim pieskiem, gdy na drodze dojazdowej spostrzegła jakiś samochód. W pierwszej chwili pomyślała, że to pewnie Craig, ale przecież Craig, jej młody kierowca, miał przyjechać dopiero około dziesiątej. Mimo że był jej

krewnym - ściśle mówiąc, synem jej brata Ronalda - wolała ograniczyć do minimum jego kontakty ze swą obecną rodziną. „To człowiek nie z naszej sfery” - wyjaśniła kiedyś Johnny’emu i Miriam, na co Johnny wybuchnął śmiechem - zawsze śmiał się trochę zbyt głośno - i odrzekł: „Prawdę rzekłszy, Diano, Craig nie należy do żadnej sfery. Pewnie dlatego tyle czasu spędza za kratkami”.

Był to z jego strony gruby nietakt - są rzeczy, o których się nie mówi. Dianę mocno zdziwił ten niespodziewany wyskok, gdyż normalnie Johnny zachowywał się bardzo taktownie, a na jego dyskrecji można było polegać. Dyskrecja zdaniem Diany była rzeczą ogromnie ważną. Craig poza tym był miłym młodzieńcem, całkiem niepodobnym do swego ojca i stryjów. Ona też, dzięki Bogu, w młodości była dobrą i piękną dziewczyną, co pozwoliło jej świetnie wyjść za mąż, no i wyrwać się ze swego środowiska. Nigdy zresztą nie czuła się członkiem rodziny, w której los kazał jej przyjść na świat. Czuła się tam jak księżniczka porwana w dzieciństwie przez złą czarodziejkę, która dla kaprysu wrzuciła ją między pospólstwo. Ze swych dzieci była bardzo dumna - charakter odziedziczyła po niej. Wszyscy mówili - i była to sama prawda - że Raph i Miriam przynoszą jej chlubę, że wspaniale ich wychowała. Oboje byli ludźmi sukcesu i co najważniejsze, cieszyli się świetną opinią.

Z siebie i swego obecnego życia też była zadowolona, choć oczywiście zdarzały się i gorsze chwile. Mocno się zdenerwowała, gdy po śmierci Anthony’ego została poinformowana, że będzie musiała oddać prawo jazdy. To było niesprawiedliwe. Okropna pomyłka. Przyczyną wypadku wcale nie był przecież jej wzrok. Wzrok i teraz ma dobry. No ale Raph się uparł. Tak więc przez ostatnie lata przywykła polegać na Craigu. Żył własnym życiem, wiedziała jednak, że stawi się na każde zawołanie, gdy trzeba będzie gdzieś jechać albo coś zawieźć. Dobrze było mieć świadomość, że ktoś taki istnieje. No i Bobbo, jej piesek, go lubił.

Zawsze nastawiona była pozytywnie - nawet w obliczu tego, co nieuniknione. W tym miała swe źródło niezmacona pogoda ducha, której wszyscy jej zazdrościli. W takim też nastroju weszła do domu; w holu zobaczyła Sam i Johnny’ego witających się z Miriam. Wymieniano rytualne pocałunki; Miriam pytała męża o rozprawę. Jej przebieg najwidoczniej był taki, jak przewidywał Raph. W tych sprawach, dzięki Bogu, zawsze miał rację. Zdecydowanym tonem włączyła się do rozmowy.

- Doskonale, że tę przykrość mamy już za sobą - oznajmiła.

- Och Sam, koniecznie musisz mi opowiedzieć o swych ostatnich sukcesach. Zagrasz nam dziś wieczorem?

Sam wybałuszyła na nią oczy, jakby zobaczyła dziwoląga, bąknęła niewyraźnie, że musi się przebrać, czy też wziąć kąpiel, i natychmiast czmychnęła wraz z Miriam na górę.

- Napijesz się czegoś, Diano? - spytał Johnny.

- Miła propozycja.

- Sam miała dziś ciężki dzień - powiedział tonem usprawiedliwienia. - No wiesz, ta rozprawa i tak dalej...

- Z tym już koniec - powtórzyła twardo. Gdyby ktoś ją zapytał, czego się nauczyła w ciągu swych siedemdziesięciu już lat na tej ziemi - a Bóg widzi, że nie były łatwe - odparłaby bez wahania, że kobieta bez względu na okoliczności zawsze musi mieć na ustach uśmiech i że dobre maniery to rzecz najważniejsza.

\*

- Będziesz spała w pokoju wieżowym - oznajmiła Miriam.

- Myślałam, że wieża nie jest zamieszкана.

- Ten pokój nie mieści się w samej wieży, lecz w jej najbliższym sąsiedztwie. Umieściłam cię tutaj, bo drugi pokój gościnny zajmuje Craig, wiesz, ten kierowca matki. Gdybym wcześniej wiedziała, że przyjedziesz, urządziłabym to inaczej...

- Nie przejmuj się, Miriam, dobrze jest, jak jest.

Było lepiej niż dobrze. Niewielki pokoik na tyłach domu, oddzielony od innych długim korytarzem, miał piękne wysokie sklepienie i wąskie pojedyncze okno wychodzące na ogród.

- Za to tuż obok masz własną łazienkę.

Położywszy torbę na łóżku, Sam wyszła za Miriam na korytarz. Fragment ściany przed drzwiami do łazienki zasłonięty był szarozieloną brezentową płachtą.

- Co tu jest?

- Wejście do wieży, to znaczy dopiero będzie, kiedy ukończymy renowację.

- W nocy mogłabym tam wejść przez pomyłkę.

- Och nie, broń Boże! - Oczy Miriam rozszerzyły się ze zgrozy. Takim gestem chwyciła Sam za ramię, jakby ta mimo wszystko zamierzała rzucić się naprzód jak na nic niebaczny leming. - To byłoby strasznie niebezpieczne! Brakuje tam części podłogi.

Sam uwolniła ramię. Z jakichś niejasnych powodów unikała kontaktów fizycznych z tą kobietą. W tej chwili Miriam miała oczywiście dobre intencje, była jednak tak strasznie spięta, że jej chwyt przypominał drucianą obręcz najeżoną w dodatku kolcami.

- Nie martw się o mnie. Na pewno tam nie wejdę.

- Wkrótce będzie tu całkiem inaczej - wyjaśniła pani domu. - Umówiliśmy się już z fachowcem. Ma tu przyjść, obejrzeć to wszystko i poradzić, co mamy robić.

Sam nie była zainteresowana restauracją rodzinnej schedy Johnsów. Chciała pomówić z Miriam w cztery oczy, a że teraz właśnie mogła mieć ku temu jedyną okazję, spytała, nie bawiąc się w żadne wstępy:

- Dlaczego przyszło ci na myśl, że Raph może mieć dziennik Kirsten?

Miriam wytrzeszczyła na nią oczy. Były szersze niż u pozostałych członków rodziny Howesów i bardziej wypukłe, zwłaszcza gdy tak jak teraz nie umiała ukryć zaskoczenia.

- O czym ty mówisz?

- Nie pamiętasz? Po pogrzebie Kirsten rozmawialiśmy o tym, że nikt nie wie, co się z nim stało. Słyszałam, jak pytałaś o to Rapha.

- Musiałaś się przestyszeć.

- Brzmiało to tak, jakbyś podejrzewała, że on go ma - nie ustępowała Sam.

- Ależ nie, skądże! Nie rozmawialiśmy o tym ani wtedy, ani nigdy - zaprotestowała Miriam, wpatrując się w nią nadal nieruchomym wzrokiem. Nawet nie mrugnęła powieką. Sam miała wrażenie, że gwałtownie się nad czymś zastanawia. Potrząsnęła potem głową, jakby chciała odpędzić jakiś niefortunny pomysł, i nagle zaczęła się spieszyć. - Zostawię cię teraz - oznajmiła. - Kolacja jest o ósmej, ale gdybyś potrzebowała czegoś wcześniej, zjedź na dół i powiedz. Drinki są w salonie. Muszę iść do kuchni zająć się kolacją.

Po tych słowach prawie sfrunęła ze schodów. Można by nawet nazwać to ucieczką, pomyślała Sam. Czyżby tak ją spłoszyła sama wzmianka o dzienniku Kirsten? Ciekawe. Może jednak ją krzywdzę, pomyślała po chwili. Może sobie coś uroiłam?

Lekki przeciąg zatargał brezentem. Sam odchyliła płachtę. Musiała chwilę odczekać, aż jej wzrok przystosuje się do czerni zalegającej we wnętrzu starej wieży. Zerknąwszy w górę, spostrzegła kilka świetlnych punktów: aha, dziury w dachu. Jeśli wieża miała jakieś okna, zabito je pewnie deskami. W ciemnym otworze - na tym samym poziomie co jej stopy - wypatrzyła kilka poprzecznych belek i niewielkie fragmenty podłogi, pomiędzy którymi ziała mroczna przepaść.

Czując, że chwytą ją zawrót głowy, czym prędzej zasłoniła otwór. Odkąd ukończyła dziesięć lat, nawiedzał ją wciąż ten sam koszmar: widzi przed sobą otchłań, tak głęboką, że nie sposób sięgnąć wzrokiem dna. Jak te studnie, do których wrzuca się kamień i nie słyszy odgłosu upadku. Wie, że musi przedostać się na drugą stronę, ale jak? Przeskoczyć? Bierze rozpęd i odbija się od ziemi, lecz gdy już jej się zdaje, że wszystko skończy się dobrze, drugi brzeg zaczyna się oddalać, i to coraz szybciej, a ona, o Boże, zaraz runie w przepaść... W tym momencie zawsze się budziła, trzęsąc się ze strachu. Zawsze też była ciekawa - gdy już trochę ochłonęła - czym by ten sen się skończył, gdyby się nie zbudziła? A nuż by jej się udało

przedostać na drugi brzeg?

Od tej wieży jednak lepiej się trzymać z daleka. Miriam może się o nią nie martwić.

Wróciwszy do swego pokoju, podeszła do okna i spojrzała na tonący w zmierzchu ogród. Odkąd Johnny i Miriam zamieszkali w Wardley, zapraszano ją tu setki razy. Dziwne, że właśnie dzisiaj zgodziła się odwiedzić ten dom, który chyba już zawsze będzie jej się kojarzyć z przemocą i śmiercią. Czy o tym, że się tu znalazła, zdecydowały dzisiejsze wydarzenia - rozprawa i werdykt koronera?

Przedtem była tu tylko raz. Z matką i Raphem. Choć nie czytała *Skrzydlatego mordercy*, czuła, że pomysł tego wiersza powstał właśnie w Wardley, podczas jej pierwszej wizyty. Zdarzył się wtedy pewien incydent, którego były świadkami - ona i Kirsten. Wszystko to działo się przed dwoma laty. Była jeszcze studentką Królewskiej Akademii Muzycznej, a Raph i Kirsten szczęśliwym małżeństwem. W jakich dobrych nastrojach wybierali się wtedy do Wardley. A potem...

Na samo wspomnienie przeszedł ją dreszcz. Czemu nie wróciłam prosto do Londynu? - pomyślała. W tym domu narodził się ptasi morderca. Nie powinnam tu była przyjeżdżać.

## 6

*Ten dom znaczy dla niego więcej niż cokolwiek innego*

- Myślisz, że zanosisz się na próbę ognia? - spytała Kirsten w ten słoneczny poranek przed dwoma laty. Szykowali się do wyjazdu.

- Próba ognia? Co masz na myśli? - Raph krzątał się po kuchni, pakując do wielkiego kosza porcje wędzonej gęsi, cieniućkie plasterki parmeńskiej szynki, świeże bułeczki, kilka różnych sałatek i oczywiście szampana. Przycisnął kciukiem kawałek sera Brie, żeby się przekonać, czy jest już wystarczająco dojrzały, odłożył go do lodówki i zastąpił kawałkiem Camemberta, który przedtem starannie obwąchał. - Ten będzie w sam raz - mruknął, umieściwszy ser w koszu obok paczki owsianych placuszków.

- Przecież wiesz - prychnęła Kirsten. Siedziała na brzegu kuchennego stołu, obserwując krzątanicę Rapha. Miała na sobie obcięte jasnoniebieskie dzinsy i luźną płócienną bluzkę; jasne włosy swobodnie opadały jej na ramiona. Wyglądała rewelacyjnie w tym niedbałym stroju i lubiła się tak ubierać w przeciwieństwie do Rapha, który czuł się dobrze tylko w garniturze. Kiedy tak jak teraz ubrany był weekendowo w dzinsy w kolorze khaki i koszulkę polo, wszystko wisiało na nim jak na przebierańcu. - Uważasz zatem - kontynuowała Kirsten,

częstując się cienką serową pałeczką - że czeka nas kolejny dzionek w stylu Howesów, kiedy to wszyscy chodzą na paluszkach, udając, że bawią się kapitalnie, żeby tylko nie mówić o tym, co im leży na wątrobie.

- Przy tobie nam to nie grozi - uśmiechnął się Raph.

- Ha, i to mnie właśnie martwi. - Kirsten zmarszczyła nos.

- Zaczyna mnie już męczyć rola Wielkiej Amerykańskiej Gęby.

Raph podszedł do niej, ujął ją za biodra i czule przyciągnął do siebie.

- Jedyne mój kłopot z tą twoją „amerykańską gębą” polega na tym, że nie mogę się nią nasycić - oświadczył, całując ją w usta.

- W takim razie wszystko w porządku - zachichotała, otarła się nosem o jego nos i oddała mu pocałunek. - Mówiłeś, że o której musimy wyjechać? - spytała przeciągle, gdy objął ją mocniej.

- Niestety, nie mamy już czasu...

Siedząca nieopodal Sam jadła właśnie spóźnione śniadanie. Wieczorem brała udział w studenckim koncercie, toteż dopiero co zwlokła się z łóżka, i to tylko pod wpływem twardej zapowiedzi Rapha, że muszą wyruszyć przed jedenastą. Teraz na widok małżeńskich czułości jęknęła demonstracyjnie i z kubkiem w ręku wyszła do ogrodu. Była jeszcze na tyle młoda, że wprawiała ją w zakłopotanie przejawy nietajonej namiętności łączącej Rapha z jej matką. Nie przywykła do takich zachowań. Davy i Linda odnosili się do siebie ze znacznie większą rezerwą. Sam wskutek tego uważała nawet, że właściwie nic ich nie łączy, i nie ustawała w wysiłkach, by nakłonić ojca do pozbycia się nowej żony. Nawet gdy od ich ślubu upłynęło już kilka lat, nadal sabotowała ten związek. W wypadku Rapha i Kirsten taka taktyka byłaby nie do pomyślenia. Sam zresztą, choć czasami zakłopotana, zmuszona była przyznać, że ich szczęście udziela się i jej. Zaczynała się przekonywać, że prawdziwa miłość między dwojgiem ludzi jest jak przepelniona czara, a tego, co z niej kapnie, wystarczy dla całego otoczenia. Raph nigdy nie dał jej odczuć, że jest w jego domu intruzem, co Lindzie niestety zdarzało się dosyć często.

Dzisiejsza wyprawa do Wardley nie napawała jej jednak zbytnim entuzjazmem. Raph i Kirsten rzadko się kłócili, szybko też następowało pojednanie, ale Sam zauważyła, że powodem ich sprzeczek było prawie zawsze coś związanego z rodziną Rapha. Dziś również mogło tak być.

Dużo słyszała o Wardley, ale nigdy tam jeszcze nie była. Wiedziała, że Johnny tam się wychował, że bardzo kocha to miejsce i że po śmierci ojca posiadłość odziedziczył jego starszy brat Anthony, który teraz zamierzał ją sprzedać. Johnny rzecz jasna był temu wprost

desperacko przeciwny, brakowało mu jednak środków, by odkupić rodzinne dziedzictwo od brata. Dzisiejsza podróż do Wardley miała jakiś związek z tą sprawą, nie wiadomo było tylko jaki. Czy Anthony po to zaprosił członków rodziny, by im zakomunikować, że udało mu się wymyślić jakieś kompromisowe wyjście z sytuacji, czy też miała to być dla nich wizyta pożegnalna - ostatnie spojrzenie na dom i posiadłość, zanim przejdą one w obce ręce.

- Czy aby nie zapomniałeś posypać arsenikiem tych kanapek, które tak lubi Anthony? - spytała z grobową miną Kirsten, kiedy ładowali prowiant do wozu.

Raph posłał jej swój „piracki” uśmiech.

- Do niczego się nie przyznaję, radziłbym ci jednak nie tykać pasztetu.

Podróż minęła przyjemnie. Dzień był doprawdy piękny, a widoki jak z obrazkowej książeczki dla dzieci - błękitne niebo, puchate białe obłoczki, złote pszeniczne łany kołysane lekkim wiatrem, zadowolone krowy stojące w cieniu pod drzewami. Raph i Kirsten tryskali humorem. Kirsten zawsze była najszczęśliwsza, gdy siedząc obok Rapha, miała ruszyć w drogę. Często powtarzała, że jeszcze nigdy i z nikim nie tkwiła tyle czasu w jednym miejscu i że bardzo jej trudno poskromić swoją cygańską naturę. Apelowwała do Rapha, żeby nie pozwolił jej zaśnieść, gdyż zawsze wtedy popełnia jakieś szaleństwo.

- Nie powiem, że godzinna jazda po M4 oraz piknik w szacownej posiadłości zaspokoją mojego ducha przygody, ale chwilowo będzie mi to musiało wystarczyć!

Raph śmiał się z tych tekstów, jednak w miarę zbliżania się do Wardley, zaczynał z wolna pochmurnieć.

- Jeśli Anthony faktycznie chce sprzedać posiadłość, będzie to straszny cios dla Johnny'ego - powiedział ponuro. - Ten dom znaczy dla niego więcej niż cokolwiek innego.

- Z wyjątkiem Miriam - rzuciła Kirsten.

Raph dumał nad tym przez chwilę, jakby nie był pewien, ile właściwie znaczy dla Johnny'ego jego żona, po czym chyba się zmytygował.

- Tak, oczywiście z wyjątkiem Miriam.

- Może Anthony wymyślił jakieś rozwiązanie, które zadowoli obu.

- To mało prawdopodobne.

- Dlaczego? Gdyby Johnny i Miriam sprzedali swoje londyńskie mieszkanie, wystarczyłoby im na początek, powiedzmy, na pierwszą wpłatę, a resztę mogliby pożyczyć.

- Musiałoby to trochę potrwać.

- No to co? Jeśli Anthony'emu zależy na tym, żeby posiadłość została w rodzinie...

- Myślę, że on tego nie chce. W tym właśnie sęk. Ani sam nie zamierza zatrzymać domu, ani go oddać Johnny'emu. Chce szybko opchnąć posiadłość za możliwie najwyższą



cenę. Johnny nie rozumie, o co tu chodzi. Jest zbyt hojny, zbyt wspaniałomyślny, aby mogło mu przyjść do głowy, że Anthony to nie tylko chciwiec, ale i wredny zazdrośnik, który zrobi wszystko, żeby jego brat nie dostał Wardley.

- O Jezusie, biedny Johnny.

- Właśnie. Biedny Johnny.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, słuchając *Larga* Haendla. Sam, którą w pewnej chwili zmorzyła senność, ocknęła się z drzemki, gdy Raph skręcił już na dróżkę prowadzącą do Wardley, i z rosnącą ciekawością zaczęła wyglądać przez okno. Widząc górującą nad drzewami wieżę, poczuła znajomy ucisk koło serca. Tak było zawsze, gdy zobaczyła coś niezwykłego - budynek czy obraz stworzone z miłością i autentycznym talentem. Podobnie było z muzyką. Jej umysł momentalnie rozpoznawał arcydzieło. Wrażenie to jeszcze się wzmogło, gdy po wyjściu z samochodu ruszyła w stronę domu po chrząszczącym nagrzanym żwirze. Skąpany w słońcu, otoczony głęboką ciszą dom wyglądał tak, jakby powolutku i z niezwykłym wdziękiem chciał zapaść się w ziemię, z której kiedyś wyrósł. Jakby chciał do niej wrócić. Po starych murach pięły się zdziczałe róże, pod tajemniczymi kurtynami bluszczu pleśniała się wysoka trawa przerośnięta bujnymi chwastami, wśród których śmigały malutkie jaszczurki.

Mogło się wydawać, że nic nie mąci pogody tego miejsca; jeśli istniało tu jakieś napięcie, tłumił je skutecznie jego iście magiczny urok. Ktoś z zewnątrz, widząc wypakowywanie piknikowych koszy, rozkładanie mat i poduszek, uznałby ten obrazek za sielską rodzinną scenkę: oto grupka krewnych i przyjaciół zebrała się w owym czarodziejskim miejscu, aby spędzić razem wolny dzień, odprężyć się i zabawić.

Anthony przyjechał tu już wieczorem i nocował czy raczej obozował w domu. Już od lat nikt tu nie mieszkał - odkąd stary pan Johns przeniósł się do domu opieki w Bracknell.

Obecny właściciel zaprosił tym razem do Wardley parę swoich londyńskich znajomych - Yvette i Oscara. Yvette miała podobno jakieś zajęcie w teatrze; mimo przekroczonej już dawno czterdziestki była nawet dosyć atrakcyjna, aczkolwiek trudno by ją było uznać za wytworną. Miała gęste, „artystycznie” rozczochrane włosy, najwyraźniej farbowane henną, wydatne usta z tkwiącym wciąż w kąciku gauloise'em i głęboki, lekko ochryply głos, którego seksowne brzmienie psuł tylko co chwila suchy kaszel namiętnej palaczki. Jej grubo młodszy kochanek był właścicielem najcieńszych nóg, jakie Sam kiedykolwiek zdarzyło się widzieć, i niemal bez przerwy chichotał - chyba z nerwów.

Johnny i Miriam zjawili się już przed dziesiątą, znacznie wcześniej, niż chciał Anthony. Johnny, powodowany palącym pragnieniem rozwiązania problemu Wardley, już zapewne o

świcie zerwał się z łóżka, kipiąc energią i swym niespożytym entuzjazmem. Miriam jak zwykle próbowała dotrzymać mu kroku, brakowało jej jednak optymizmu męża, a wewnętrzne napięcie mimo wszelkich wysiłków dawało znać o sobie w niedwuznaczny sposób. Jej zaciśnięte usta tworzyły cieniutką kreskę i nawet przez ciemne okulary można było dostrzec, jak podkrążone ma oczy. Wszystko to świadczyło nieomylnie o kolejnym ataku migreny. Nawiedzały ją one dość często.

Zdaniem Sam błada i oschła Miriam oraz jej mąż przypominający rozhukanego, przerośniętego szczeniaka tworzyli wybitnie niedobraną parę. Dla Kirsten ich związek był typowym przykładem przyciągania się przeciwieństw. Ktoś taki jak Johnny, mówiła, niepoprawny entuzjasta, potrzebuje spokojnej partnerki, która dzięki wrodzonej dbałości o codzienne realia utrzyma w jego życiu pewien ład, a jego samego w ryzach. Kiedy w rosnącym tempie zaczęto opróżniać kolejne butelki szampana, Sam zauważyła zatroskane spojrzenie, jakim Miriam obrzuciła męża. Martwi się o niego, pomyślała, i trudno się temu dziwić.

- Jak sprawa? - zapytał Raph szwagra krótko po przyjeździe. Anthony udał się właśnie do domu po dodatkowe poduszki.

- Na razie nie najlepiej, ale jestem pewien, że w końcu się dogadamy - odrzekł Johnny wciąż jeszcze pełen nadziei. - Mój brat postanowił ostro się potargować. Trzeba go po prostu skłonić, żeby trochę obniżył żądania.

- A jeśli ci się nie uda? Może tu nie chodzi tylko o pieniądze? Może jest na tyle wredny, że nie chce ci oddać Wardley?

- Daj spokój, przecież jesteśmy braćmi.

Powiedziane to zostało z takim przekonaniem, że Raph zamknął usta. Później, już w trakcie pikniku, z coraz większą troską przysłuchiwał się wymianie zdań między braćmi, podczas której Anthony bez przerwy kontrował każdą propozycję Johnny'ego, wymyślając coraz to nowe przeszkody uniemożliwiające takie załatwienie sprawy, jakie proponował jego brat. Johnny w pewnej chwili nie wytrzymał.

- Ale po co ten pośpiech, Ant? - wybuchnął, odkładając kawałek czegoś, co właśnie miał wziąć do ust. - Zupełnie cię nie rozumiem. Dlaczego nie możemy rozłożyć płatności na raty? Dla ciebie to taki problem?

Anthony zmierzył go wzrokiem pełnym szyderczej pogardy. Wyraz ten zresztą bardzo często gościł na jego chudej nieprzyjemnej twarzy. Pasowały do siebie - ta twarz i ten wyraz.

- Daj spokój, Johnny - wycedził - zaczynasz być nudny. Nie psuj nam wszystkim pikniku.

- Ależ, Ant... Musi przecież istnieć jakieś rozwiązanie dobre dla nas obu.

- Ja takiego nie widzę.

- Ale o co ci chodzi? Dlaczego wciąż mnożysz trudności?

- Strasznie mi przykro, braciszku, ale nie mogę nic na to poradzić - oświadczył Anthony z udanym żalem, czym jednak nikogo nie zmylił. - Musisz zrozumieć, że w życiu nie wszystko dzieje się po naszej myśli. Ciebie to też dotyczy. Smutna to prawda, ale tak to już jest. Wiem, trudno ci się z tym pogodzić, bo zawsze wszystko szło ci jak z płatka. Doprawdy bardzo mi przykro, że muszę przekazać ci złą wiadomość: wygląda na to, że twój fart cię opuścił.

Zapadła śmiertelna cisza. Teraz dopiero dla wszystkich stało się jasne, o co chodzi w całej tej rozgrywce. Jadowita zazdrość, którą latami pielęgnował w sobie Anthony, w końcu znalazła ujście. Johnny oniemiał. Żal było na niego patrzeć. Przypominał pełnego ufności spaniela, któremu ktoś nagle wymierzył kopniaka. Lubił ludzi i darzył ich życzliwością, zakładał więc, że i oni będą mu się odplacać tą samą monetą. Miałby całkowitą rację, gdyby nie jeden wyjątek. Tym wyjątkiem był jego brat.

Powód widać było gołym okiem. Cały rodzinny urok skupił się w Johnnym, Anthony natomiast wyrósł na chudego jak patyk mężczyznę, z twarzą, którą można było straszyć dzieci, i paskudną naturą wiecznego szydery, pełnego pogardy dla całego świata. To on przerwał ciszę, zwracając się ze sztucznym uśmiechem do Kirsten:

- Dolać ci szampana, moja droga?

- Nie, dzięki - odrzekła chłodno. - Posłuchaj, Anthony, może to nie moja sprawa...

- Masz rację, nie twoja - przerwał jej z uśmiechem, od którego robiło się zimno - więc lepiej się w to nie mieszaj. Czas, żeby nasz złoty chloptaś nauczył się samodzielnie prowadzić swoje batalie.

- Może dotąd nie widział takiej potrzeby, bo nie zdawał sobie sprawy, że ma w tobie wroga.

- Świadczy to tylko o jego głupocie. Och, spójrzcie! - zawołał, wymachując chudą dłonią. - Kawaleria przybywa z odsieczą! To chyba twoja matka - rzucił w stronę Rapha. Podniósł się i ruszył na dziedziniec. Jak na kogoś o tak długich nogach chodził dziwnie drobnym, „szarpanym” kroczeniem. Całkiem jak na szczudłach, pomyślała niezyczliwie Sam.

Golf Diany właśnie pokonał ostatni zakręt. Mieszkała w pobliżu Exeter, miała więc za sobą dosyć długą trasę. Gdy tylko wysiadła z wozu, natychmiast zaczęła opowiadać, jak koszmarne to była podróż! Tuż za Honiton powstał okropny korek, w którym tkwiła prawie przez godzinę!

Między zwaśnionymi stronami nastąpił chwilowy rozejm. Diana tymczasem nie przestawała zanudzać towarzystwa błahymi szczegółami swojej „koszmarnej” podróży, a jej ulubieniec Bobbo zajął się wyjadaniem co smaczniejszych kąsków z talerzy nieuważnych gości. Anthony zachęcał pieska do jedzenia, Dianę zaś do dalszych opowieści.

- O, popatrz, Bobbo, tu masz pyszny paszтет! Tylko się nie pochoruj! Co to mówiłaś, Diano? Na której obwodnicy zdarzył się ten wypadek? Ile wozów brało udział w kraksie? A korek? Ile mógł mieć kilometrów?

Już po dwóch czy trzech tego rodzaju pytaniach wszyscy z wyjątkiem Diany doskonale wiedzieli, co jest grane: Anthony złośliwie bawi się jej kosztem, a przy okazji chce odwrócić uwagę od Wardley. Kiedy padło pytanie, przez które wioski przebiegała trasa objazdu, atmosfera zgęstniała. Nieświadomi tego, co się dzieje, byli tylko Yvette i Oscar. Usadowieni na obrzeżu grupy karmili się nawzajem czereśniami, chichocząc jak para nastolatków na gimnazjalnej wycieczce.

- Chodzi ci o nazwy wiosek? - Diana zmarszczyła czoło. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że jest obiektem złośliwej kpiny. - Jedna z nich zaczynała się chyba od „P”.

- Och, na litość boską! - warknął Raph. - Nie możemy pomówić o czym innym?

- Nie rozumiem cię, Raph. Anthony zadał mi pytanie, więc próbuję na nie odpowiedzieć - zachnęła się jego matka. - Powtarzam: mogło to być „P”, ale nie jestem pewna.

- Nazwa na „P”? Ciekawe, jak brzmiała? Pójdę po mapę drogową, żebyśmy mogli to sprawdzić.

- Przestań, Anthony! - syknęła Kirsten.

- Mam przestać? A niby dlaczego?

- Pytasz, jakbyś nie wiedział.

- Ach, widzę, że przyszła pora na zagadki. Mamy się w nie bawić?

- Ant, do jasnej cholery, czemu jesteś taki niemiły? - zawołał Johnny, niezdolny już dłużej utrzymać nerwów na wodzy. Wciąż też najwidoczniej nie dopuszczał do siebie myśli, że nie zdoła dogadać się z bratem. - Dlaczego nie chcesz pójść na kompromis? Przedstawiłem ci plan Miri. Wiesz, że jest uczciwy. Zapłacimy ci kwotę, jakiej żadasz, tyle że nie wszystko na raz. Możesz przecież poczekać parę miesięcy, a my w tym czasie załatwimy kredyt hipoteczny czy jak tam się on nazywa.

Anthony odchylił się do tyłu i oparł na łokciach, patrząc na swego młodszego brata z kamiennym wyrazem twarzy.

- Czas minął, chłopaczkę. Wciąż nie rozumiesz? Wardley od miesiąca wystawione było na sprzedaż, no i znalazło się wielu chętnych. Pewien facet ze Szkocji z dużą gotówką chce

zapłacić żadaną kwotę od ręki. Za późno na twoje głupiutkie plany. Mnie one nie interesują.

- Ale... ale przecież... - zająknął się Johnny.

- Ale co? Zatkąło cię, mój mały? Czyżby nasze dziecko szczęścia zaczynało wreszcie pojmować, że tym razem nie dostanie zabaweczki?

Johnny wpatrywał się w niego w milczeniu - chyba zabrakło mu słów. Nawet Yvette i Oscar przestali jeść czereśnie. Na ich twarzach malowało się zakłopotanie. Miriam przyłożyła rękę do czoła i zaczęła rozcierać sobie skronie. Raph poczerwieniał z gniewu.

- Mam w samochodzie mapę - oznajmiła Diana. Tylko ona jedna nie zwracała uwagi na rozgrywającą się scenę. - Możemy sprawdzić nazwę tej wsi. Nazywała się chyba Pilkington albo jakoś podobnie.

- Powiedz mi, Anthony, jak to jest być największym gnojkiem na świecie? - zapytała lodowatym tonem Kirsten.

Diana wzięła serwetkę i wytwornym gestem osuszyła kąciki ust.

- Och, Kirsten, doprawdy! Cóż to za język? Piknik jest tak przyjemny, a ty...

- Czasem trzeba nazwać rzeczy po imieniu.

- Wiesz, Anthony - Diana odkaslnęła lekko - później sprawdzimy tę nazwę. Teraz chętnie wypiję jeszcze kropelkę - powiedziała z uśmiechem, podsuwając mu swój kieliszek.

- To rozumiem! Uwielbiam cię, Diano!

- Jak to miło z twojej strony! Dziękuję, że nas zaprosiłeś. Że rodzina mogła się spotkać. Rodzina! - parsknęła zduszonym śmiechem. - Mamy swoje wzloty i upadki, ale dzięki Bogu nigdy nie jest to nic groźnego.

- Oczywiście, że nie - gorliwie przytaknął Anthony.

- O rany boskie! - westchnęła Kirsten.

- Już powiedziałam, że nie chcemy tu słyszeć takiego języka - powtórzyła Diana. - Przecież to tak przyjemnie spędzić rodzinny dzień na wsi! Po co go psuć?

- Przepraszam, zapomniałam. Bóg jest na niebie, a ze światem wszystko w porządku. Teraz dobrze?

- Mniej więcej - odparł Anthony. W miarę jak goście tracili humory, on bawił się coraz lepiej, najszcześniejszy zaś bywał wtedy, gdy wszyscy skakali sobie do gardeł.

- Wystawiłeś Wardley na sprzedaż? - wykrztusił Johnny jak człowiek budzący się z transu.

- Brzdęk! Nareszcie dotarło?

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo chcę sprzedać ten dom. To chyba zrozumiały powód. Mam też kupca. Z gotówką.

- Ale przecież ja go mogę kupić. Od rana próbuję ci to powiedzieć. Miri obmyśliła szczegółowo...

- Mam gdzieś wasze plany. Przepraszam cię, Diano, za ten nieelegancki zwrot. Chcę dostać gotówkę, Johnny. Przystań żyć marzeniami. Wardley już nie ma. Sprawa zamknięta. Koniec.

- Och! - Johnny wyglądał jak przekłuta dętka, z której uszło całe powietrze. - Och! - powtórzył bezradnie. Sam patrzyła na niego ze zgrozą. Twarz skurczyła mu się i poczerwieniała jak u skrzywdzonego dziecka, z oczu trysnęły łzy. - Nie wierzę! - zaszlochał.

- To uwierz! - warknął Anthony. Już się nie uśmiechał. Nie musiał. Dokonał zemsty. Wstał i zaczął zbierać talerze i sztućce.

- Ja ci pomogę - zaofiarował się Oscar. Jego zakłopotanie osiągnęło już takie rozmiary, że aby je przewyciężyć, potrzebne mu było bardziej wymagające zajęcie niż karmienie Yvette czereśniami.

- Nie wierzę - powtórzył Johnny. - Mówisz tak tylko, żeby mnie nastraszyć.

Jego brat wzruszył ramionami i odszedł w stronę domu tym swoim drobnym, „szarpanym” kroczeniem. Oscar z naręczem talerzy pospieszył za nim. Yvette odprowadziła go głodnym spojrzeniem, a gdy zniknął jej z pola widzenia, wyciągnęła się znów na macie i z westchnieniem zamknęła oczy.

W ciszy, która zapadła wokół resztek pikniku, tym głośniejsz brzmiało tłumione łkanie Johnny'ego. Spojrzawszy na własne ręce, Sam uświadomiła sobie, że bezwiednie obrywa główki stokrotkom. Obok jej kolan piętrzył się już biało-zielony kopczyk. Raph, zakłopotany i gniewny, wydobyl z kieszeni starannie złożoną chustkę do nosa i podał ją przyjacielowi.

- Przejdźmy się, Johns. Masz jeszcze na stawie tę starą krypę?

Johnny pokręcił głową, ale pozwolił Raphowi poprowadzić się poza dom. W chwili gdy znaleźli się przy żywopłocie wyznaczającym formalną granicę ogrodów, przystanął i spojrzał za siebie, jakby chciał wrócić do brata i od nowa podjąć z nim dyskusję. Raph jednak wziął go za ramiona i poprowadził dalej. Sam patrzyła za nim ze współczuciem. Po chwili zniknęli jej z oczu.

Diana wyjęła z torby jakiś kolorowy tygodnik i usadowiła się na leżaku.

- Moim zdaniem był to bardzo przyjemny piknik - oznajmiła nie wiadomo komu. - Miło jest jeść na dworze. Wszystko smakuje o wiele lepiej.

- Cholera - rzuciła Kirsten przez zęby - co za pieprzone świństwo! - Poderwała się z trawy takim ruchem, jakby przez nadmiar energii nie mogła usiedzieć na miejscu, lecz zarazem nie wiedziała, co z nią powinna zrobić.

Yvette wstała również i zaczęła się przeciągać.

- Pójdę zobaczyć, czy nie trzeba im pomóc przy zmywaniu - zdecydowała, przebiegając ręką po swej rudej grzywie.

- No pięknie - syknęła Kirsten, nie kierując tego do nikogo w szczególności. Popatrzyła na Miriam i Dianę, które z zamkniętymi oczami spoczywały na swych leżakach. Na twarzy Diany zastygł jej zwykły beztreściwy uśmiech; twarz Miriam dla odmiany mogłaby służyć za obraz skrajnego napięcia i stresu. - Sam? Chciałabyś zwiedzić posiadłość? Nie możemy tu przecież tak siedzieć.

- Pewnie.

- Miłego zwiedzania - odezwała się Diana, nie podnosząc powiek.

- Miriam - zawahała się Kirsten - widzę, że źle się czujesz. Nie wiem, czy możemy cię zostawić...

- To tylko ból głowy - wyszeptała Miriam. Nawet mówienie sprawiało jej trudność.

- Może ci coś przynieść?

- Wzięłam już pigułkę. Wkrótce zaczniesz działać, a przynajmniej powinna. Muszę tylko na chwilę zamknąć oczy.

- Skoro tak mówisz.

Miriam skinęła głową - i mrugnęła z bólu.

- Cóż za piękne popołudnie - stwierdziła z zachwytem Diana.

- Chyba się zdrzemnę.

- Czemu nie? - mruknęła Kirsten, dodając szeptem już tylko na użytek Sam: - Przesypiasz wszak całe życie. Z otwartymi oczami. Odnieśmy do domu resztę tych naczyń i zabierajmy się stąd.

Gdy z resztą talerzy podeszły do tylnych drzwi domu, ze środka dobiegł je dziki wrzask.

- O Jezusie, a to co? - jęknęła Kirsten.

Z drzwi wypadła Yvette, ciągnąc za sobą Oscara.

- Tego już za dużo! Wyjeżdżamy! Kirsten, musisz nas odwieźć na dworzec!

- Co się stało?

Z domu niespiesznie wyszedł Anthony, uśmiechając się lekceważąco.

- Uspokój się, Yvette, przecież to był tylko pocałunek. A zresztą nie możesz mieć tylko dla siebie takiego pięknego chłopca.

Czerwona jak burak twarz Oscara mówiła jasno, co zobaczyła Yvette.

- Nie zamierzam się uspokajać! - krzyknęła. - Wyjeżdżamy! Natychmiast! Kirsten odwiezie nas na dworzec.

- Przykro mi, moja droga, nie mogę. Wypiłam za dużo szampana, a poza tym nie umiem zmieniać biegów.

- A Sam?

- Ona nie ma prawa jazdy.

- W takim razie poproszę Miriam.

- Ma migrenę.

W końcu dopiero Diana zaofiarowała się odwieźć kochanków na pociąg. Anthony również proponował im swe usługi, lecz Yvette odmówiła stanowczo, używając przy tym dosadnych określeń, z których najłagodniejsze brzmiało: „Ty plugawy gadzie”.

Johnny’ego i Rapha nie było - nie wrócili jeszcze znad stawu. Miriam w ostatniej chwili postanowiła towarzyszyć matce. Zrobiła już dziś kawał drogi, powiedziała, byłoby zatem nie fair kazać jej jechać samej.

Sam i Kirsten stały wraz z Anthonym na trawniku, obserwując odjeżdżających. Obok Diany wpatrzonej z taką uwagą w szybę, jakby próbowała przebić wzrokiem nieistniejącą mgłę, siedziała Yvette, wykrzykując przez okno kolejne obelgi pod adresem uwodziciela. Miriam i Oscar w milczeniu siedzieli z tyłu. Gdy już golf zniknął za drzewami, Anthony zapytał tonem uprzejmego gospodarza:

- Któraś z pań życzy sobie kawy? - Do licha! Jakby nic się nie stało.

- Ja dziękuję - sucho odmówiła Kirsten. - Umiesz ty zapewnić gościom rozrywkę, trzeba ci to przyznać!

- Masz na myśli tę drobną sprzeczkę kochanków? Wyjdzie im tylko na dobre. Wyobrażasz sobie to rozkoszne pojednanie, które ich teraz czeka?

- Yvette i Oscar to interludium. Mówię o twoim bracie.

- Johnny niestety wciąż nie umie stawiać czoła faktom - oznajmił Anthony z obłudnym ubolewaniem - i musi się tego nauczyć. Czasami trzeba być okrutnym, by wyświadczyć komuś przysługę.

- Doprawdy? A nie lepiej byś się zabawił, obrywając skrzydła paru muszkom?

- Ależ zrobiłem to już, moja droga. Przed śniadaniem.

Kiedy Kirsten wpadała w gniew, wyglądała jak piękna a groźna bogini. Jej oczy miały ogień.

- No tak, okrucieństwo daje ci kopa. Gdzie do licha podziewa się Raph? Chcę już wracać do domu.

- Pewnie nad stawem, gdzie zabawia się z Johnnym w kotka i myszkę. Mam ci ich przyprowadzić?



- Nie fatyguj się. Pobędziemy tu jeszcze chwilę, dopóki nie wróci Miriam.

- Ach tak, rozumiem. Nie można zostawić biedaczka sam na sam z jego złym starszym bratem.

- Nie miałam pojęcia, że aż tak go nienawidzisz.

- Nie wiesz, złotko, bardzo wielu rzeczy. - Wąły uśmiezek Anthony'ego stał się zimny jak lód.

- Chodź, Sam, musimy zaczerpnąć świeżego powietrza - zdecydowała Kirsten, odwracając się do niego tyłem. - Tu od tych trujących wyziewów zaczyna boleć mnie głowa.

- Jak można być takim gnojkiem? Skąd się to bierze? - szepnęła Sam zdławionym głosem, idąc wraz z matką przez trawnik. Była bliska łez. - Skoro nie zależy mu na tym domu, czemu nie pozwala Johnny'emu go kupić? - Bardzo lubiła Johnny'ego, wszyscy go przecież lubili, a tu nagle ktoś z bezwzględną premedytacją stara się go zranić! I to kto! Rodzony brat!

- Nie mam pojęcia, kochanie. Mogłabym ci długo opowiadać o rywalizacji pomiędzy rodzeństwem, pupilach i kozłach ofiarnych, ale nie chcę cię karmić psychologicznym chłamek, powiem więc tylko tyle: Anthony to sadystyczny sukinsyn, który czerpie przyjemność z zadawania bólu.

- Ale przecież Johnny to jego brat!

- Co z tego? Wiesz, ile nienawiści kryje się nieraz w rodzinach? Och, gdy pomyślę, do czego byli zdolni moi bracia i siostry! W końcu tego nie wytrzymałam. Ty też na moim miejscu spakowałabyś walizkę i wsiadła do samolotu.

Sam słyszała opowieści o rodzicach i rodzeństwie matki; spędziła nawet u nich parę tygodni podczas którychś wakacji w Ameryce. Trudno było uwierzyć, że ci powolni, ciężko pracujący ludzie to te straszne szatany opisywane przez matkę. Wuj Vernon na przykład, który podczas niedzielnych nabożeństw zbierał pieniądze na tacę, miał podobno pewnego wieczoru przywiązać Kirsten do drzewa i zostawić tak na kilka godzin. Dwaj młodszy przyrodni bracia matki bywali przeważnie nieznośni, mimo to Sam szczerze ich polubiła, nie umiała też sobie wyobrazić, żeby ich wzajemne uczucia mogły być obecnie tak wrogie jak to, co zademonstrował dziś Anthony wobec swego młodszego brata.

Miały już wejść na ścieżkę, którą poszli Johnny i Raph, gdy Kirsten nagle skręciła w bok - w stronę niewielkiej furtki.

- Lepiej im nie przeszkadzać - wyjaśniła. - Jeśli ktoś jest w stanie pomóc w tej chwili Johnny'emu, to tylko Raph. A ja chcę ci coś pokazać.

- Co takiego?

- Mój ulubiony skrawek ogrodu. Moją kryjówkę. Wiesz, że nie lubię bywać w takich domach, gdzie nie ma dokąd uciec od towarzystwa, kiedy człowiek chciałby już zostać sam.

Za furtką Sam zobaczyła zapuszczony ogród owocowo-warzywny. Osłonięty gęstym żywopłotem, z okien domu był niewidoczny. O tak, Kirsten uwielbiała takie zakątki. Spośród wysokiej zachwaszczonej trawy strzelały pędy dziczytałych malin, między metalowymi słupkami, gdzie kiedyś była pewnie kwatery porzeczek, rosło jeszcze kilka starych krzewów.

- Spójrz tam - zachęciła ją matka - to jest najprzyjemniejsze miejsce.

Przy samym końcu ogrodu, tuż przy murze, na którym wyrosło jakieś drzewo owocowe, stała pochylona ze starości ławka osłonięta cieniem tego drzewa. Sprawdziwszy na wszelki wypadek wytrzymałość spróchniałego już pewnie siedziska, Kirsten usiadła, westchnęła głęboko i zamknęła oczy.

- Ach - powiedziała - „Spokój, doskonały spokój...”

- „Gdy ukochani daleko” - dokończyła za nią Sam. Był to cytat z wiersza Elizabeth von Arnim<sup>1</sup>, który dobrze znała, wisiał bowiem nad biurkiem Kirsten jako coś w rodzaju jej mantry.

- Do ciebie, mój skarbie, te słowa się nie odnoszą - powiedziała Kirsten, obejmując ją ramieniem.

- Czasami tak.

- Czasami dotyczą wszystkich - przyznała ugodowo Kirsten.

Sam nie umiałaaby wyjaśnić, dzięki czemu jej stosunki z matką są tak serdeczne i bliskie, mimo że Kirsten zostawiła ją z Davym i babcią, kiedy jeszcze nie wyrosła z pieluch. Matka ją porzuciła, mówiono. Miałaby prawo darzyć za to Kirsten niechęcią, być zgorzkniałą istotą pełną kompleksów i pretensji do całego świata, lecz o dziwo, wcale tak nie było. Judy Saunders, przyjaciółka matki, która wciąż powtarzała każdemu, kto chciał jej słuchać, że najważniejsze dla niej są dzieci, a która teraz nie mogła się z nimi dogadać, uważała, że los ją skrzywdził, dla Kirsten zaś okazał się zbyt łaskawy. To, że Sam nie żywi żadnych pretensji do matki, wynikało jej zdaniem z nieświadomości; dziecko nie rozumiało, czego je pozbawiono, uznało zatem swoją sytuację za normalną.

Było w tym trochę prawdy, lecz Judy Saunders nie doceniła roli samej Kirsten. Matka Sam nigdy nie starała się usprawiedliwiać, przepraszać za swe zachowanie ani udawać, że sytuacja była inna, niż była. Swoją decyzję wyjaśniła Sam w taki sposób: Nie mogła zostać z Davym, zdawała sobie jednak sprawę, że dziecku będzie lepiej z ojcem i babcią w dobrze

---

<sup>1</sup> Poetka niemiecka (1785-1859), bardziej znana jako Bettina Brentano.

znanym domu niż na ciągłej włóczędze z pozbawioną korzeni matką. Sam rzeczywiście było dobrze, przynajmniej dopóki w życiu ojca nie pojawiła się Linda. Do tego czasu miała dla siebie całą miłość taty i babci, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa, utwierdzając zarazem w przekonaniu, że wszystko jest takie, jak trzeba. Dzięki Kirsten nauczyła się później czegoś bardzo ważnego, czego nie nauczyłyby jej nikt inny: rozumiała, że istnieje świat całkiem odmienny od tego, w którym żyła, że w tym świecie bywają cenniejsze wartości niż dom i rodzina i że jeśli się w nie wierzy, godne są wszelkich poświęceń. Kiedy taką wartością stała się dla niej muzyka, rozumiała w pełni trudną decyzję swej matki.

Nie znaczy to jednak, że nie była zadowolona, kiedy Kirsten nie musiała już wybierać między nią a swoim światem. Podczas tych kilku lat w domu Rapha zbliżyła się bardzo do matki, choć była akurat w wieku, kiedy dzieci na ogół oddalają się od rodziców. Tak też działo się z większością jej kolegów.

Usiadła teraz obok Kirsten i na chwilę zapadło milczenie. Otaczała je głęboka cisza wypełniona jedynie głośnym brzęczeniem owadów. Teraz dopiero poczuła, jak ogromne napięcie towarzyszyło jej przez kilka ostatnich godzin.

- Jak myślisz, czy Johnny ma szansę odkupić posiadłość? - zapytała po paru minutach.

- Nie sądzę. Anthony nie odpuści.

- Co będzie z Johnnym? Myślisz, że się pozbiera?

- Wszystko zależy od niego - odrzekła po namyśle Kirsten. - Wprawdzie Wardley to tylko dom, ale w domach mieszka tyle wspomnień, tyle duchów i uczuć... - Uśmiechnęła się nagle, jakby coś jej przyszło do głowy. - Może jednak Johnny znajdzie radość w czym innym, na przykład w podróżach.

- A jeśli nie?

- Pst! - uciszyła ją Kirsten. - Popatrz.

Jakieś pięć metrów od ławki Sam zobaczyła ptaka. Był to drozd. W pierwszej chwili nawet się zdziwiła, co w nim tak interesuje matkę, potem dopiero spostrzegła, że nie jest sam. Przekrzywiwszy łebek, wpatrywał się bacznie w siedzącą przed nim jaszczurkę. Wyglądała jak malutki smok szykujący się do ataku - podniesiona głowa i ogon, wszystkie cztery łapki mocno wparte w wyschniętą ziemię. Ale to ptak zrobił pierwszy ruch. Kiedy ruszył naprzód, stąpając ostrożnie na sztywnych nogach, wydawało się, że nie ma złych zamiarów i nagle... ruchem tak błyskawicznym, że trudno go było uchwycić, jego dziób ostry jak rapier ugodził w głowę jaszczurki. Zaraz potem odskoczył i stanął znów w miejscu, z którego rozpoczął atak. Jaszczurka zwinęła się z bólu, ale podniosła głowę. Drozd tymczasem, przekrzywiwszy łebek w drugą stronę, przyglądał jej się przez parę sekund, jakby był ciekaw, co też zrobi to

dziwne stworzenie, a potem - znów zaatakował.

- Czemu one walczą? - szepnęła Sam.

- Nie wiem - odrzekła głuchym szeptem Kirsten. - Może ten drozd broni swego gniazda.

Sam poruszyła się niespokojnie. Miała ochotę przerwać tę walkę, mimo że pojedynek wydawał się uczciwy i żaden z przeciwników nie próbował uciec. Lekką przewagę miał chyba ptak, ale jeśli jaszczurka przepędziła go z gniazda, żeby pożreć jajka, czy należy pomagać napastnikowi?

Po chwili dopiero zrozumiała, że nie jest to wcale równy pojedynek, że jaszczurka walczy o życie! Po każdym ciosie ptasiego dzioba podnosiła się wprawdzie, jednak z coraz większym trudem, nie próbowała też w żaden sposób rewanżować się swemu wrogowi.

- Dlaczego ona nie ucieka?

- Nie wiem. - Kirsten pokręciła głową.

- Musimy to przerwać!

- Za późno.

Matka miała rację. Gdyby teraz odpędziły ptaka, skazałyby jego ofiarę na długą bolesną agonię. Jaszczurka nie próbowała już nawet uchylać się przed ostrym dziobem. Wiła się tylko desperacko, czując pewnie, że uchodzi z niej życie.

I nagle nastąpił koniec. Upadła na grzbiet, a drozd gwałtownymi uderzeniami zaczął rozdzierać różowe powłoki jej brzuszka. Przez ciało zwierzątka przebiegł ostatni śmiertelny skurcz - gdy z rany zaczęły wypływać wnętrzności. Raz jeszcze drgnęły jej łapki, ogonek zwiotczał - i znieruchomiła.

Sam zerwała się z ławki, wymachując rękami.

- Idź precz, ty wstrętny ptaku! - Nawiedziła ją fala mdłości. - Och, co za okropność! A my patrzyłyśmy na to beczynnienie!

- Takie są prawa natury - sucho odrzekła Kirsten, ale Sam widziała, że też jest wstrząśnięta. - Tak dzieje się w całej przyrodzie, tylko że zwykle tego nie widzimy.

- To odrażające! Musimy pochować to biedactwo.

- Wiesz, Ted Hughes napisał kiedyś wiersz o drozdach, w którym nazwał je maszynami do zabijania. Dotychczas uważałam, że wyrządził im krzywdę, ale teraz przyznaję mu rację. Po powrocie do domu jeszcze raz przeczytam ten wiersz. Z innym nastawieniem.

- Ta jaszczurka nie miała żadnej szansy - powiedziała Sam z oczami pełnymi łez.

- Nie miała, biedaczka, ale my nie wiedziałyśmy przecież, czym się to skończy. Myślałam poza tym, że to ona jest agresorem, że poluje na jajka.

- Ja też.

- Tak więc morderca sprytnie nas oszukał, udając dzielnego obrońcę rodziny. Kim jest naprawdę, zobaczyliśmy dopiero później. Zauważyłaś, jak się wtedy zmienił? Pod koniec wyglądał jak wcielone zło - zakończyła szeptem Kirsten.

- Powiedziałaś przecież, że robił tylko to, co mu nakazywał instynkt.

- To prawda, gdy jednak ruszył do ataku, wyglądał jak ptasi zabójca.

- To tylko ptak...

- Skrzydlaty morderca - powtórzyła Kirsten. Wpatrzona w przestrzeń niewidzącym wzrokiem wydawała się nieobecna. Sam dobrze znała ten wyraz jej oczu. Pojawiał się zawsze wtedy, gdy w umyśle matki zaczynał kiełkować wiersz.

Właśnie w tym momencie usłyszały wycie syreny. Z początku odległe, ale z każdą chwilą stawało się coraz głośniejsze.

- Pogotowie - uśmiechnęła się Sam, rada z przypomnienia, że świat i życie toczą się dalej. - Myślisz - zażartowała - że dowiedzieli się jakoś o biednej pani jaszczurce i spieszą jej teraz z pomocą?

- Jaszczurcze pogotowie? Niestety, przybędzie za późno.

- Uśmiech Kirsten zaczął z wolna znikać, ustępując miejsca głębokiej zmarszczce na czole. - Posłuchaj, Sam, wydaje mi się, że skręcili do posiadłości.

- Może jadą obok na farmę.

- Nie, jadą tutaj! Coś musiało się stać! - zawołała Kirsten, zrywając się na równe nogi. - Biegiem, Sam!

Pędząc przez zdziczały warzywnik, Sam myślała ze zgrozą, że coś pewnie stało się Johnny'emu. Próbował się utopić. Albo pobił się z bratem. Och, można było się tego spodziewać! Tragedia wisiła w powietrzu.

Przy końcu drogi dojazdowej, w miejscu gdzie zaczynała ona przechodzić w dziedziniec, widać było dwa samochody. Jednym był wóz policyjny z błyskającymi wciąż jeszcze światłami, a drugim golf Diany. Sądząc po tym, że stał w poprzek drogi, coś musiało z nim być nie w porządku. Dwójka umundurowanych policjantów - mężczyzna i kobieta - wysiadała właśnie ze swego pojazdu. Mężczyzna przykucnął obok czegoś, co wyglądało z daleka jak porzucona koszula. Raph pomagał matce wysiąść z golfa. W pobliżu stał Johnny, obejmując ramieniem Miriam. Podeszła do nich policjantka, ale nawet na nią nie spojrzeli. Zdyszana Kirsten zwolniła kroku.

- O Boże! - jęknęła.

Sam przystanąła. Nie, to nie była koszula. Między golfem a drzewem leżał Anthony. Jego ciało przecinały smugi blasku i cienia. Jeden z reflektorów wozu był stłuczony.

- Czy on... Nie żyje?

Policjant wyprostował się bez pośpiechu.

- Będzie musiał potwierdzić to lekarz, ale sprawa nie wygląda dobrze. - Spojrzał na zegarek. - Jest czwarta piętnaście.

- Jak to się stało? - spytała Kirsten.

Funkcjonariusz zerknął w stronę Diany, która stała oparta ramieniem o Rapha. Wyglądała strasznie staro. Nagłym gestem zasłoniła oczy przed widokiem zwłok Anthony'ego. Nogi miał skręcone pod dziwacznym kątem, spod jasnej koszuli sączyła się krew.

- Moja matka go nie widziała - stwierdził z wystudiowanym spokojem Raph. - Te blaski i cienie migające wśród drzew tak oślepiają kierowcę, że chwilami w ogóle nic nie widzi. Musiała wpaść w panikę, gdy go potrąciła.

- Myślę, że próbowała odbić do tyłu - podjęła Miriam. Twarz miała śmiertelnie bladą, lecz i ona starała się mówić spokojnie, waząc każde słowo. - No i wycofała samochód, ale była kompletnie zdezorientowana: nie wiedziała, gdzie upadł, gdy go potrąciła. Cofnęła się o parę metrów, a potem nie wiadomo czemu, nagle ruszyła znów naprzód. Krzyknęłam „stop!”, ale matka nie wiedziała chyba, co robi. Tym razem go przejechała - zakończyła, drżąc na całym ciele.

- O Jezuu - szepnęła Kirsten.

Raph zostawił Dianę obok stłuczonego reflektora i podszedł do swoich kobiet.

- Nie patrz na to, Sam - powiedział łagodnie. - Odwróć się i nie patrz. To przykry widok i nic już nie da się zrobić. Za późno.

Nie usłuchała, powodowana tym samym przymusem, który kazał jej patrzeć na śmierć jaszczurki. Nigdy dotąd nie widziała martwego człowieka, a jednak od razu miała absolutną pewność, że Anthony nie żyje. Mówiła o tym jego dziwnie wykręcona głowa i nieruchome, zakrzywione palce, jakby w ostatniej chwili chciał się uchwycić powietrza.

- Matka tego nie chciała... - szepnęła bezradnie Miriam.

- Oczywiście, że nie - przytaknął Raph drewnianym głosem.

Diana, chwiejąc się lekko na nogach, odsunęła się od golfa, po czym powiedziała takim tonem, jakiego Sam nigdy u niej nie słyszał:

- Nie biorę za to odpowiedzialności. Odmawiam, i to absolutnie. To nie moja wina.

- Nikt nie mówi, że zrobiłaś to umyślnie. - Raph znowu podszedł do matki. - Wiemy, że to wypadek, straszny, tragiczny wypadek.

- To moja wina - powiedziała Miriam, opuszczając ręce.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Nie bądź niemądra, Miri - zaprotestował Raph.

- Ale to prawda! - zawołała ze wzburzeniem. - Że też pozwoliłam mamie prowadzić! Była zmęczona, pół dnia siedziała za kółkiem! Może zasnęła, a może, czy ja wiem, może na moment straciła przytomność!

- Przecież chyba wszystko widziałas? - zdziwił się Raph.

- Niezupełnie. Ale wiem, że nie jechała zbyt szybko. Nasza matka jest bardzo ostrożnym kierowcą. Zamknęłam oczy, no wiesz, z powodu migreny, i nagle poczułam, że wóz w coś uderzył. Matka krzyknęła. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Anthony'ego. Upadł, ale chyba nic mu się nie stało. Został dosyć lekko potracony i właśnie próbował się podnieść. Widziałam nad maską jego głowę i otwarte usta. Coś mówił, a może krzyczał, ale nie wiem co. Wtedy nasz wóz skoczył naprzód. Chwyciłam za kierownicę, próbując nadepnąć hamulec, ale już było za późno. Anthony krzyknął, jego twarz zniknęła i... och! To było straszne! - zawołała, kładąc głowę na ramieniu męża. Johnny wciąż jeszcze nie powiedział słowa. Stał jak słup soli, nie odrywając oczu od ciała swojego brata.

- To nie ja - rzuciła z rozdrażnieniem Diana. Jakby obwinianie jej za ten wypadek uważała za niesprawiedliwość.

- Nie zrobiłaś tego specjalnie - powtórzył Raph. Patrzył na matkę z widoczną niechęcią, mimo to starał się ją uspokoić.

- Wiem, źle widziałas przez tę mozaikę światła i cieni. Coś takiego działa jak zasłona dymna. Policja z pewnością to zrozumie.

- Będziemy musieli zebrać zeznania od wszystkich obecnych - powiedział z westchnieniem policjant.

- Oczywiście - przytaknął Raph. - To należy do waszych obowiązków. - Widać było, że wziął się już w garść, że stara się przejąć kontrolę nad sytuacją. Ujął Dianę pod rękę i zwrócił się do policjanta swym najbardziej sugestywnym tonem, jakim zwykł był przemawiać do przysięgłych: - Jak pan jednak widzi, panie oficerze, moja matka jest w głębokim szoku. My wszyscy również. Proponuję poczekać z przesłuchaniem. Pośpiech nic tu nie da. Kiedy przyjedzie lekarz, poda jej być może jakiś środek uspokajający. Zawsze miała słabe nerwy. Teraz niewiele pan z niej wydobędzie. Chodź, mamó, zaprowadzę cię do domu. Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi.

- Jesteś pewny? - W jej oczach widać było rozpaczliwą prośbę o wsparcie.

- Wierz mi, nie masz się czego obawiać.

- Skoro jesteś pewny...

- Całkiem pewny, mamó. Zaraz tu będzie lekarz.

Poprowadził ją powoli w stronę domu. Uczepiona jego ramienia niepewnie dreptała po żwirze w tych swoich wysokich szpilkach.

- Możemy przykryć czymś ciało? - spytała Kirsten, zdejmując własną płócienną bluzkę. Pod spodem miała biały obcisły T-shirt.

Jej gest przywrócił Johnny'ego do życia. Upadł na kolana przy ciele i otoczył je ramionami.

- Proszę go nie ruszać - powiedziała łagodnie policjantka.

Johnny nie słuchał. Przywarł do ciała i zaczął szlochać. Złość i frustracja już z niego uszły, pozostała jedynie rozpacz.

- Och Ant, Ant! Dlaczego? Nie umieraj!

Reszta obecnych patrzyła na to bezradnie.

W końcu przyjechał lekarz, który sporządził akt zgonu. Przybyli przedsiębiorcy pogrzebowi.

A jednak gdy później Sam przychodziło na myśl to popołudnie, najboleśniejszym wspomnieniem była dla niej zawsze śmierć jaszczurki. Nigdy przedtem nie widziała istoty zmuszonej walczyć o życie, istoty, która za całą swą broń ma tylko instynkt przetrwania. Była tym zafascynowana. Tak, zafascynowana, choć jednocześnie chora z odrazy. Jej matka odczuwała to chyba podobnie. Mogły przerwać tę rzeź, a jednak tego nie zrobiły. Zachowały się jak publiczność oglądająca zmagania gladiatorów na starorzymskiej arenie. Walka na śmierć i życie wyzwoliła w nich obu coś takiego, czego w sobie nawet nie podejrzewały.

Śmierć Anthony'ego była tragicznym wypadkiem, śmierć jaszczurki bezwzględny morderstwem, dlatego tak mocno wryła jej się w pamięć. Widziała, na co się zanosi, a jednak patrzyła na to beczynnie, przez co stała się współwinna zbrodni.

## 7

- To ma być lekkie jak oddech! Muzyka musi śpiewać! - wołał Grigory, przekrzykując dźwięki instrumentów i gwałtownie machając rękami. - Śpiewaj, Sam! Włóż w to całe serce!

Sam bardzo chciała spełnić życzenie mistrza. Bóg świadkiem, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie starała się o to z taką determinacją. Gdyby osiągnięcie ideału było jedynie kwestią silnej woli, byłaby już pewnie drugą Jacqueline du Pré. Czuła, że bluzka lepi jej się do pleców z wysiłku. Przygarbiona nad instrumentem, wyczuwając całym ciałem jego znajome



krzywizny, robiła wszystko, aby precyzyjnie zagrać każdą nutę, nadać każdemu dźwiękowi krystaliczną czystość, uchwycić to coś, co wydawało się tak bliskie, a pozostawało wciąż nieuchwytnie. Finał. Odchyliła się do tyłu i mocnym uderzeniem smyczka przeciągnęła po strunach w końcowym *crescendo*. Włożyła w to wszystkie swe umiejętności, zastosowała wszystkie znane sztuczki techniczne, zadbała o każdy najdrobniejszy niuans - i wszystko na nic. W tej muzyce nie było duszy. Zabrakło tej ulotnej tajemniczej siły, która sprawia, że zwykła sekwencja dźwięków staje się dziełem sztuki.

Przebrzmiał ostatni akord. Z uniesionym smyczkiem czekała na wyrok. Wiedziała, że Nadira, jej akompaniorka i zarazem wierna przyjaciółka, też na to czeka, i wołała na nią nie patrzeć. Grigory był bardzo surowym nauczycielem, prawdziwym tyranem, ale właśnie dlatego chciała zostać jego uczennicą. W roku 1956 opuścił Węgry jako jeden z najbardziej obiecujących wiolonczelistów swego pokolenia, jednak tu, na Zachodzie, nigdy nie rozwinął tak swych możliwości, żeby się znaleźć na szczycie. Ceniony w świecie muzycznym, pozostał postacią nie znaną szerszej publiczności. „Jeszcze jeden muzyk, co miał być”, powtarzał gorzko, lekceważąc gramatykę w takim samym stopniu, w jakim uwielbiał przysłowia i powiedzonka. Mawiał tak w czasach, gdy jeszcze mógł grać. Teraz, bliski już osiemdziesiątki, cierpiał na artretyzm, który nie pozwalał mu utrzymać smyczka i uczynił z niego tyrana, choć i przedtem bywał dosyć krewki. „Wynoś się!” - ryknął na Sam w połowie jej pierwszej lekcji. „Zejdź mi z oczu i nie waż się pokazywać, póki nie zrozumiesz, co jest sercem muzyki Schumanna!” Nie lepiej było i później. „Chcesz mi wcisnąć taką tandetę? Co ty sobie myślisz? Że to przedszkole?”

Z pochyloną głową i wzrokiem utkwionym w wystrzępiony dywan czekała teraz na atak furii. Bała się spojrzeć mu w twarz; była pewna, że zobaczy na niej gniew i straszliwe rozczarowanie. Z pewnością doszedł do wniosku, że nie warto tracić na nią czasu. Skreśli ją z listy swych uczniów. Nie miała pojęcia, co z sobą pocznie, jeśli tak się stanie. Przez ostatnie dwa lata ten nieznośny starzec o powykręcanych, niesprawnych palcach i twarzy pokrytej mnóstwem brzydkich plam wątrobowych stał się dla niej duchowym ojcem, a ten zatłoczony pokój w czynszowym bloku przy St. John's Wood, śmierdzący kurzem, kotami i zakazanym tytoniem ukrytym w różnych przemysłnych miejscach, z bezładnymi stertami nut, wielkim fortepianem i nigdy nie mytymi oknami, jej prawdziwym londyńskim domem.

Tak ciężko pracowała, by zasłużyć na pochwałę mistrza - i co? Marnowała tylko czas, swój i jego. Bo gdy nadszedł moment prawdy, zagrała płasko i bezdusznie. Nie było w tym bożej iskry. Ale jeszcze gorsza od poczucia własnej klęski była myśl, jak strasznie zawiodła tego starego człowieka.

Milczał, i było to gorsze niż wściekłość.

Pozostało jej już tylko czekać na odprawę. Za chwilę pewnie usłyszy: „Pomyliłem się, Sam. Myślałem, że masz talent, ale byłem w błędzie. Koniec z lekcjami. Do widzenia”.

I któż by go mógł za to winić? Po co jeden z najlepszych profesorów muzyki w Europie miałby sobie zawracać głowę uczennicą, która ma tyle talentu co metronom? Bo czy mechaniczną umiejętność wydobywania prawidłowych dźwięków w nakazanej kolejności można nazwać prawdziwym darem?

Grigory wciąż milczał.

Sam westchnęła ciężko. To koniec. Zerknęła na Nadirę i widząc, że przyjaciółka wodzi ręką po klawiaturze - była to u niej oznaka zdenerwowania - podjęła decyzję: trzeba stąd wyjść. Otworzyła futerał i bez słowa schowała smyczek.

- Co to ma znaczyć? - usłyszała głos profesora.

- Myślałam... - Ach, w tym momencie mogła myśleć już tylko o jednym: o tym, że się nawet nie rozzłościł. Uznał, że niewarta jest jego gniewu.

- Sam...

Powiedział to tak miękko, że wreszcie spojrzała mu w twarz. Nie, nie dostrzegła gniewu. Po raz pierwszy odkąd go poznała, wydawał się skonfundowany.

- Sam, od czasu śmierci twojej matki...

- Nie, to nie to - z pośpiechem weszła mu w słowo. Nie miała zamiaru odwoływać się do jego współczucia ani okłamywać samej siebie. W pierwszych trzech tygodniach po śmierci Kirsten grała przecież lepiej niż kiedykolwiek. Miała wtedy wrażenie, że daje się porwać muzyce i że wspólnie płyną w magiczny świat dźwięków. Teraz wydawało jej się, że tych cudownych uczuć doznawał ktoś inny.

- Więc co?

Jak miała opisać ból, który niby czyjaś nienawistna pięść zagnieździł się gdzieś w jej sercu, nie pozwalając głębiej odetchnąć? Jak wytłumaczyć wściekłość, którą budzą w niej kłamstwa o śmierci matki, kłamstwa, które jak trucizna kalają pamięć o zmarłej? Jak można żyć w świecie, z którego zniknęła wszelka harmonia, a pozostały w nim tylko kłamstwa i uniki, miałkie banały, fałsz i udawanie? Jak można wyczarowywać muzykę, kiedy człowiekowi chce się tylko krzyknąć: „Nikt z was nie ma racji! Jesteście w błędzie!”. Gdy pod tym wszystkim czai się w dodatku okropna myśl, tak głęboko skryta, że dochodzi do głosu tylko w snach: a może się jednak nie mylą? Może mimo wszystko Kirsten odebrała sobie życie? Myślałaś, że znasz matkę, ale to nieprawda. To ty się mylisz - we wszystkim. Gdybyś przynajmniej miała ten dziennik... Ale dziennik zniknął albo nawet został zniszczony.

Jak żyć w takiej niepewności, w takiej nieznośnej niewiedzy?

Nie umiała znaleźć słów dla tych uczuć. Dawniej wyraziłaby je w muzyce, ale teraz już by tego nie umiała.

- Nie wiem - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Uwierz mi, Sam, to wróci. Muzyka cię nie zawiedzie.

Wróci? W żaden sposób nie mogła w to uwierzyć. Nigdy dotąd nie zdarzył jej się taki kryzys. Bez względu na wszystko, co kiedykolwiek działo się w jej życiu - kłótnie z macochą, kłopoty w szkole, zawody miłosne, imprezy, które źle się kończyły - muzyka była jej wierna. Stanowiła jedyny stały element w niestabilnym świecie i oto teraz, kiedy była jej tak potrzebna, talent ją opuścił. Może tak dzieje się zawsze, gdy człowiek dorasta? Może odtąd będzie umiała już tylko grać tak jak dzisiaj, a Grigory chce ją po prostu pocieszyć, z litości? Ta myśl była najstraszniejsza.

Nie chciała niczyjej litości.

- Marnuję pański czas - powiedziała sucho.

- Ja to osądzę. - W jego głosie pojawił się dawny despotyczny ton. - Myślę, Sam, że powinnaś sobie zrobić paratygodniową przerwę. Możesz grać gamy i wprawki, ale z resztą daj sobie spokój. Opłakuj matkę. Oczyść umysł ze wszystkich złych myśli. Daj sobie trochę luzu - dorzucił z lekkim uśmiechem.

- Jak to? Za niecałe dwa miesiące konkurs Frobishera, a ja mam pauzować?

- Nie musisz stawać do tego konkursu. Będą inne.

- Ale... - Spojrzawszy na Nadirę, Sam zobaczyła, że i ona jest zszokowana. Konkurs Frobishera od ponad roku stanowił ich wspólny cel. Gdyby jej się powiodło - nawet Grigory napomknął, że ma spore szanse na zwycięstwo - jej kariera nabrałaby rozpędu. Tak długo o tym marzyła i miałyby teraz rezygnować?

- Muszę wziąć udział w konkursie - powiedziała twardo.

- Wiesz, co ci powiem, Sam? Gdy wyciągasz ze studni puste wiadro, czasem lepiej poczekać na deszcz.

- Czy to stare węgierskie przysłowie?

- Nie, moje własne. A wymyśliłem je teraz. Dla ciebie.

Sam wyjrzała przez okno. Niebo nad Londynem było bezchmurne i mocno wyblakłe, jak zwykle przy długotrwałych upałach. Na deszcz przyjdzie pewnie jeszcze poczekać.

- Jeśli teraz nie przystąpię do konkursu, cała praca pójdzie na marne.

- Nic nigdy nie idzie na marne.

Zadumała się nad tym i doszła po chwili do wniosku, że w jej wypadku chyba jednak

tak. W najbliższym czasie nie będzie żadnego innego konkursu, w którym by mogła wziąć udział. Skup się, powiedziała sobie. Musisz po prostu bardziej się przyłożyć.

- Jeśli się wycofam - powiedziała głośno - nigdy sobie tego nie daruję. Nie będę mogła z tym żyć.

- A jeśli nie zdołasz dać z siebie wszystkiego, na co cię stać? Z tym będziesz umiała żyć?

- Cóż, sam pan powiedział, że będą inne konkursy.

Grigory pokręcił głową. Wszyscy troje wiedzieli, że kiepski występ podczas imprezy tej rangi co konkurs Frobishera to rzecz znacznie gorsza niż rezygnacja z udziału.

- Wiem, że to ryzyko, ale muszę je podjąć - oświadczyła Sam.

- Jesteś uparta jak osioł. Nie pochwalam twojej decyzji. - Grigory podniósł się z krzesła i sięgnął po laskę. - Gdzież to zachomikowałem tę moją słodką truciznę?

Sam i Nadira wymienili uśmiešky. Lekarz surowo zakazał mistrzowi palenia papierosów, a żona skrupulatnie pilnowała, żeby nie łamał zakazu. Mistrz oczywiście ani myślał poddać się rygorom. Miał dziesiątki rozmaitych schowków, w których trzymał swą słodką, jak mówił, truciznę i cieszył się jak dziecko, kiedy udawało mu się przechytryć „domową policję”. Sprawiało mu to chyba większą satysfakcję niż palenie. Sam pewnego razu znalazła paczkę papierosów w swojej wiolonczeli.

Teraz niecierpliwie człapał po pokoju, zaglądając w różne miejsca, lecz na razie bez rezultatu. Wazon na kominku był pusty, pod dywanem też nic nie było.

- Już wiem! - zawołał w końcu triumfalnie. - Manewr Casablanca! - Niezmiernie zadowolony z siebie, podniósł pokrywę fortepianu i zapuścił rękę za podpórkę. - Są! - wykrzyknął. - Tutaj ich nigdy nie znajdzie!

- Manewr Casablanca? - zdziwiła się Sam.

Mistrz wytrząsnął z paczki papierosa i starannie odłożył ją na miejsce.

- Znasz chyba ten film. Pamiętasz, jak Humphrey Bogart chował ważne dokumenty w pianinie?

Faktycznie! Sam nagle doznała olśnienia. *Casablanca!* Ulubiony film Rapha. Że też nie przyszło jej to na myśl! Z pośpiechem odkręciła nóżkę wiolonczeli i czym prędzej schowała instrument do pudła.

- Mam przyjść w przyszłym tygodniu o tej samej porze?

- Tak. - Mistrz zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i natychmiast zaczął strasznie kaszleć. - Pamiętaj, co ci powiedziałem: przez parę dni ćwicz tylko gamy i wprawki, a jeśli nie potrafisz wytrzymać bez muzyki, graj Bacha. Suitę *G-dur*. Jeśli coś może ci teraz pomóc,

to tylko Bach.

- Dobrze - odrzekła Sam, lecz naprawdę słuchała tylko jednym uchem. Zarówno ona, jak i Nadira zazwyczaj ociągały się z wyjściem, gdyż Grigory, zakończywszy lekcję, opowiadał im często o swych młodych latach w Budapeszcie, o wielkich artystach, których tam poznał i z którymi miał zaszczyt pracować. Dziś jednak było inaczej. Pragnęła ulotnić się stąd jak najprędzej.

Było to tak widoczne, że wzbudziło ciekawość mistrza. Wciąż kaszląc rozdzierająco, wychylił głowę przez okno. Dziewczyny wychodziły właśnie na ulicę. Dziwne, że tym razem nie skręciły w prawo, do metra, tylko przystały na chodniku, najwidoczniej o czymś dyskutując. Miał nadzieję, że Nadira poprze jego stanowisko w sprawie ćwiczeń, jak również konkursu, nie był jednak pewien, czy Sam zechce zastosować się do jego rad. Ze smutkiem pokręcił głową.

Polubił tę dziewczynę. Nie tylko dlatego, że miała talent i potrafiła ciężko pracować; miała w sobie coś jeszcze: wielkość ducha i wolę podejmowania ryzyka, cechy odróżniające prawdziwego artystę od sprawnego instrumentalisty. Wiedział, choć nikt mu o tym nie mówił, jak strasznym ciosem stała się dla niej śmierć matki. Wystarczyło posłuchać jej gry, by zrozumieć, że ta śmierć zmieniła jej życie w jeden wielki koszmarny dysonans. Miał nadzieję, że ból z czasem minie, wiedział jednak, również ze swoich własnych doświadczeń, że bywają cierpienia zbyt wielkie dla psychiki młodego artysty. Bał się, że coś takiego może spotkać Sam. Dziewczyna może się załamać, a jej talent nigdy nie osiągnie pełni. Pomyślał przy tym z goryczą, że niewielu utalentowanym jednostkom udaje się taka sztuka.

Zamierzał zrobić wszystko, co możliwe, żeby pomóc ulubionej uczennicy. Nadira z pewnością też. Był wszakże świadom, że jedynie Sam potrafi ocalić swój talent. W tym nie wyręczy jej nawet najbardziej oddany przyjaciel.

Spostrzegł, że dziewczyny się rozstały. Nadira poszła w stronę metra, a Sam przywołała taksówkę i po krótkiej rozmowie z kierowcą wskoczyła do wozu, umieściwszy tam wprawdzie swój instrument. Dokąd to ją niesie? - nie przestawał się dziwić. Nigdy dotąd nie widział, żeby jeździła taksówką.

\*

Sam nie przypuszczała, że Raph będzie w domu. O tej porze we wtorki zwykle bywała tam tylko sprzątaczką, z którą miała nadzieję się dogadać. Rozsadzało ją podniecenie; była prawie pewna, że wie, gdzie Raph schował dziennik jej matki, a może nawet ten zaginiony poemat. Liczyła, że dziś go znajdzie, gdy jednak, zapłaciwszy kierowcy, zadzwoniła do drzwi, otworzył je były ojczym.

Nie wydawał się zadowolony z jej odwiedzin.

- Sam? - rzucił chłodno. - Co cię tu sprowadza?

- Wpadłam po prostu z wizytą. - Za jego zwalistą postacią spostrzegła Lolę schodzącą akurat ze schodów. Wysoka i smukła, z burzą cieniowanych blond włosów i przesadnie pełnymi wargami, wyglądała jak typowa „żona trofeum”. Żona? - zachnęła się sama na siebie. Nie są przecież nawet zaręczeni.

- Raph? Kto przyszedł? - zawołała jego damska zdobycz.

- Sam. - Raph nie tylko nie zaprosił jej do środka, ale nadal stał w drzwiach, blokując wejście. Lola wyczekująco przystanęła u podnóża schodów. Miała na nogach sandały na bardzo wysokich platformach, a na sobie króciutką tunikę z szerokim paskiem na biodrach.

Sam musiała szybko coś wymyślić, żeby się dostać do domu.

- Pozwolisz mi wejść? - spytała. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Skoro nalegasz... - Nie było to zbyt uprzejme, odsunął się jednak na tyle, że udało jej się wnieść wiolonczelę do holu. - Rozumiem, że Johnny odwiózł cię wtedy do domu? Nie było żadnych problemów?

- Nie. Zatrzymaliśmy się na noc w Wardley.

Pozostawił to bez komentarza. Lola oparta obnażonym łokciem o poręcz patrzyła na nich bez słowa. Gdyby nawet oboje z Raphem ćwiczyli tę scenę przez tydzień, nie mogliby jaśniej dać jej do zrozumienia, że jest tu niechcianym gościem. Natrętem, którego należy się pozbyć.

- No dobrze, posłuchaj, Sam. Nie jest to dobry moment na wizytę. Muszę jechać do kancelarii, a po drodze podrzucić Lolę na Bond Street. Mogę cię gdzieś podwieźć?

- A nie mogłabym tu chwilę zostać? Napiłabym się wody, jest strasznie gorąco.

- Rzeczywiście. Kiedy ten upał się skończy? Przepraszam cię, Sam, ale może wpadniesz innym razem. Dzisiaj naprawdę bardzo nam się spieszy.

- Mogłabym wyjść sama po waszym wyjeździe.

- To niemożliwe. No wiesz, alarm i tak dalej.

- Pani Crouch jest chyba w domu? - Z kuchni słychać było odgłosy co najmniej dwóch pracujących urządzeń domowych.

- Ma dziś wolne. - Odgłos odkurzacza ucichł. Czyżby sam się wyłączył? Cóż za mądra maszyna! Raph tymczasem niecierpliwie spojrział na zegarek. - Przyszłaś tu w jakiejś konkretnej sprawie? Mam nadzieję, że nie jest tak pilna, aby nie mogła poczekać. Ciężko dźwigać takie pudło w tym upale - dorzucił, zerknąwszy na wielki futerał.

- Jestem przyzwyczajona.

Podniósł futerał i zważył go w rękę.

- Myślę, że jeśli trochę się ściśniemy, zmieścimy się jakoś w audi - oznajmił. - Jesteś gotowa, Lolu? Muszę wpaść do kancelarii po dokumenty, a potem jechać do Camberwell, więc lepiej już chodźmy.

Takie zaaferowanie i pośpiech nie pasowały do Rapha. Nasuwało to jeden oczywisty wniosek: był zdecydowany nie zostawiać jej samej w domu, nawet pod dozorem nieobecnej rzekomo sprzątaczk. Powodem tego mogła być Lola i jej nagła zaborczość wobec wszystkiego, co stanowiło teraz jej przestrzeń życiową, ale niekoniecznie. Przyczyna mogła być zupełnie inna.

Lola jak dotąd nie zaszczyciła Sam nawet słówkiem. Chwyciła torebkę, ominęła niechcianego gościa i z lekkim uśmiechem na ustach poszła do samochodu. Sam uznała, że to chyba uśmiezek triumfu. Raph tymczasem, przepuściwszy byłą pasierbicę, zamknął frontowe drzwi, nie włączając jednak alarmu, co nie uszło uwagi Sam. Zrobi to pewnie sprzątaczk, kiedy będzie wychodzić z domu. Nie zadbał nawet o to, żeby uprawdopodobnić swoje nędzne kłamstwo, pomyślała z pogardą. Lola stała już przy drzwiach samochodu w bardzo malowniczej pozie. Każdy jej gest, nawet najdrobniejszy, obliczony był zawsze na efekt - jakby ją obserwowało co najmniej kilku zachwyconych widzów. Sam musiała przyznać, że jest na co patrzeć.

Przez całą drogę na Bond Street w samochodzie panowała cisza. Lola, wysiadając, obdarzyła swego partnera długim pocałunkiem, pracowicie trzepocząc rzęsami, lecz odchodząc, nie spojrzła już nawet za siebie.

Sam też chciała wysiąść, lecz Raph nieoczekiwanie zrobił się uprzejmy.

- Mogę cię zawieźć do domu, jeśli chcesz.

A tak się spieszyłeś! - pomyślała Sam.

- Chętnie skorzystam z twojej propozycji - powiedziała grzecznie. - Pozwolisz, że usiądę z przodu?

Już w pobliżu Piccadilly Circus odezwał się znowu.

- Wiesz, takie niespodziewane wizyty jak dzisiejsza to nie jest najlepszy pomysł. Nie chodzi o mnie, ja zawsze chętnie cię widzę, ale zrozum, wszystkie te nieprzyjemności związane z Kirsten dały się Loli we znaki. No wiesz, dla niej to za dużo...

Sam odczuła to jak cios w żołądek. „Nieprzyjemności związane z Kirsten”! Odkąd to tragiczna śmierć matki stała się „nieprzyjemnością”? Zanim jednak zdążyła zareagować, Raph postawił kropkę nad „i”.

- Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś do nas nie przychodziła. Lola wiele dla mnie

znaczy. Oczywiście nie tyle, ile twoja matka i nie w taki sam sposób, ale jednak. Prawda, że się bardzo różnimy, mam na myśli zainteresowania i wiek, mimo to zależy mi na tym związku. To nie znaczy, że nie chcę cię widywać. Moglibyśmy czasami spotkać się na lunchu. Co ty na to? Może w przyszłym tygodniu? Masz czas?

- Nie - odparła Sam bez namysłu.

- No cóż, żałuję. - Były to jednak tylko słowa. W jego głosie brzmiała ulga, której nie umiał ukryć.

Sam odsunęła się aż pod drzwi, żeby znaleźć się od niego jak najdalej.

- Posłuchaj - powiedział, zerknąwszy na nią z ukosa - wiem, co przeżywasz, ale...

- Nie, nie wiesz - przerwała mu szorstko. - Nie masz o tym pojęcia. Dla ciebie to tylko „nieprzyjemność”. Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że ty, ty to mówisz!

- Przecież wiesz, że wcale tak nie myślę. Kirsten...; Kirsten była dla mnie... - Głos nagle ochrypl mu z emocji. - O Jezu, jak ja ją kochałem! Nikt nigdy nie będzie mi tak bliski i nikt mi jej nie zastąpi. Tylko że... ona nie żyje, a moje życie toczy się dalej i jego częścią jest teraz Lola.

- Jest dla ciebie wygodnym pretekstem, który chętnie wykorzystujesz.

- Doprawdy? A możesz powiedzieć dokładniej, do czego ją wykorzystuję?

Jego protekcjonalny ton podziałał na Sam jak ostroga.

- Na przykład do tego, żeby ukryć przede mną dziennik Kirsten - wypaliła, chociaż wcale nie miała tego w planie.

Zamrugnął oczami, jakby ktoś wymierzył mu policzek, lecz natychmiast się opanował.

- I cóż by to miał być za dziennik?

- Ostatni. Prowadziła go przed samą śmiercią.

Spojrzał na nią z wyrazem udanego zdumienia.

- I ty myślisz, że ja go mam? Och moja droga, co też ci przyszło do głowy?

Sam popatrzyła w okno, żeby ukryć uśmiech. Przejeżdżali właśnie przez Tamizę. Pod mostem płynęła łódź wycieczkowa pełna turystów i londyńczyków pragnących miło spędzić czas.

- Powiedział mi to pewien mały ptaszek - rzuciła lekko.

- Jaki znów ptaszek?

- Może mały skrzydlaty morderca?

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- To taka metafora.

- Jesteś w błędzie, Sam. Nie mam żadnych papierów twojej matki. Ty wszystkie



zabrałaś, pamiętasz? Gdy byliśmy razem w Gull Cottage.

- Tak, oczywiście, jestem niemądra.

- Proszę cię, Sam, nie wymyślaj niestworzonych rzeczy. Żałuję, że nie mogę być ci teraz bardziej pomocny, ale... Nie denerwuj się, proszę, ale muszę ci coś powiedzieć. Rozmawiałem o tym z paroma osobami i wszystkie są zdania, że dobrze by ci zrobiła terapia. Jeśli brak ci pieniędzy, z przyjemnością wezmę na siebie koszty. Tyle przynajmniej mogę zrobić.

- Nie, Raph, dziękuję. Już mi ogromnie pomogłeś.

I rzeczywiście tak było, chociaż on o tym nie wiedział. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że w tej krótkiej chwili, gdy go zaskoczyła pytaniem o dziennik, maska opadła mu z twarzy, ona zaś w tym momencie pozbyła się reszty swoich wątpliwości. Była już teraz pewna, że to on ukraść dziennik.

- Co do tego lunchu... - bąknął, zatrzymawszy wóz przed jej domem.

- Dzięki, zadzwonię do ciebie. Nie bój się, nie do domu; zadzwonię do biura. Nie ma sensu denerwować Loli, prawda?

- Przykro mi, że tak wyszło.

W to akurat wierzę, pomyślała Sam.

\*

Nadira niespokojnie czekała na powrót swej współlokatorki. Nie lubiła być sama w mieszkaniu, choć za nic w świecie nie przyznałaby się do tego nikomu. Jej zamieszkała w Leicester hindusko-sikhijska rodzina bez przerwy kładła jej do głowy, że w tym okropnym Londynie, gdzie wprost roi się od chuliganów, zabójców i gwałcicieli, grozi jej w każdej chwili śmiertelne niebezpieczeństwo. Wyśmiewała się z tych obaw: cóż za nonsens! Jest absolutnie bezpieczna i potrafi o siebie zadbać. Jest jednak samodzielną współczesną dziewczyną. W głębi serca jednak przyznawała rodzicom rację. Londyn był naprawdę przerażającym miastem; ludzie raz po raz padali tu ofiarą napadów i gwałtów. Ostatnio w jej dzielnicy jacyś złoczyńcy w biały dzień okradli kilka mieszkań.

Ilekrót z ulicy dochodził ją odgłos kroków lub gdy wyjrząwszy przez okno, zobaczyła kolejnego ciemnowłosego młodzieńca z torbą pełną ulotek reklamujących dostarczycieli pizzy bądź obniżkę cen curry, z gwałtownie bijącym sercem biegła zabezpieczyć drzwi łańcuchem. Ostatnio jej nerwowość jeszcze się pogłębiła. Dawniej w chwilach paniki mogła się udać do Sam, której życzliwe kpinki przywracały jej zwykle rozsądek, teraz jednak było bardzo trudno rozmawiać z Sam o czymkolwiek.

Poznały się w akademii. Nadira już pierwszego dnia zwróciła uwagę na tę dziewczynę;

nie tylko z powodu jej cech zewnętrznych, lecz także dlatego, że obie zdawały się bardzo podobnie odczuwać atmosferę ich nowej uczelni. W tych pierwszych dniach łatwo było pomyśleć, że ich koledzy to zgrana paczka przyjaciół. Kilkoro studiowało w Szkole Menuhina, inni przyszli z wiodących akademii Londynu lub z Narodowej Orkiestry Młodych. Sam i Nadira były tu outsiderkami i obie to zaraz wyczuły.

Później, gdy rodzice Nadiry coraz mocniej ją naciskali, żeby zrezygnowała z muzyki na korzyść bardziej konwencjonalnej kariery, to właśnie Sam natchnęła ją odwagą, żeby dalej iść wybraną drogą. Również dzięki wspólnym ćwiczeniom z nową koleżanką Nadira odkryła, w czym jest najlepsza. Okazała się świetną akompaniorką. Miała teraz stałą pracę, pieniądze przestały być dla niej takim problemem jak kiedyś, mogłaby zatem powiedzieć, że jest z siebie zadowolona, gdyby nie to, że pomiędzy nią i Sam ostatnio wyrósł jakiś mur. Ściślej mówiąc, to Sam oddaliła się od niej.

W pierwszych tygodniach po tragicznej śmierci pani Waller łącząca je przyjaźń stała się jeszcze bliższa. Sam powtarzała, że nie ma pojęcia, jak by sobie poradziła, gdyby nie pomoc wiernej przyjaciółki. Nadira zrezygnowała z wyjazdu na urlop, żeby nie spuszczać jej z oka. Zaczęła chodzić za nią jak cień. Zmuszała Sam do jedzenia, zaganiała wieczorem do łóżka, nie pozwalała opuszczać lekcji u mistrza ani zaniedbywać ćwiczeń. Muzyka była dla Nadiry lekarstwem na każde nieszczęście. Upewniła się o tym, gdy opuścił ją narzeczony; nie zgadzał się na jej wyjazd do Londynu, a gdy mimo to wyjechała, zerwał z nią wszelkie kontakty.

W wypadku Sam jednak to niezawodne remedium jakoś nie chciało skutkować. W początkach sierpnia, jakieś sześć tygodni po śmierci Kirsten, sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Tragedia przeszła w dramat, który zdaniem Nadiry nie rokował rychłego końca. Nie była oczywiście aż tak naiwna, aby się spodziewać, że Sam powie już jutro: trudno, trzeba żyć dalej, mocno zaniepokoiły ją wszakże rzucone mimochodem słowa przyjaciółki, że śmierć matki nie była samobójstwem. Nadira uważała, że Sam się myli i że nie zazna spokoju, dopóki nie zechce pogodzić się z prawdą. Żadna z nich nie powiedziała otwarcie, co myśli, ale od tej pory ich relacje mocno się zmieniły. Obie stały się bardzo ostrożne; zaczęły uważać na każde słowo. Obie też były przez to nieszczęśliwe, nie potrafiły jednak przełamać impasu. W tygodniach poprzedzających rozprawę sądową ich rozmowy ograniczały się już tylko do kwestii czysto praktycznych: co zjeść na kolację, jeśli przypadkiem obie były w domu, która powinna wyczyścić kuchenkę, a która jako pierwsza skorzystać z prysznica. Nadira miała nadzieję, że może teraz, po rozprawie, ich stosunki powrócą do normy.

- Nad, to ja! - usłyszała głos Sam. - Zdejmij ten łańcuch! Nie mogę się dostać do

środka! - Zawstydzona pobiegła otworzyć drzwi.

- Bardzo cię przepraszam, zrobiłam to chyba odruchowo - zełgała. - Powiedz, jak ci poszło?

Sam oparła o ścianę pudło z wiolonczelą i wyjęła z lodówki butelkę wody.

- Nie wpuścił mnie do domu - wyznała, a potem krótko streściła przebieg spotkania z Raphem.

- Dobrze chociaż, że cię podwiózł.

- Och, to nie żaden altruizm. Chciał wywieźć mnie jak najdalej od swojego domu.

- Skąd możesz wiedzieć, o co mu chodziło? - rzuciła Nadira i natychmiast pożałowała tych słów. Krucha chwila ufności mogła pęknąć jak bańka mydlana.

- Nie widziałas jego twarzy - burknęła Sam.

- Był aż tak niemiły? - czym prędzej spytała Nadira, próbując naprawić swój błąd. - Czemu nie chciał wpuścić cię do domu?

- Boi się o to, co bym tam mogła znaleźć. Mówię ci, gdybyś widziała jego minę, gdy go spytałam o dziennik, też byś doszła do takiego wniosku.

Nadira nie była o tym przekonana, nie zamierzała jednak popełnić kolejnego błędu. Spróbowała innej taktyki.

- A nie przyszło ci na myśl, że może Raph ma uzasadniony powód, dla którego ukrywa ten dziennik? Jeśli rzeczywiście go zabrał.

- Jaki to mógłby być powód?

- Może jest tam coś, co by cię zraniło. Na przykład coś o tobie.

Sam wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem ostrożnie odstawiła szklankę na kontuar i przeszła do małej bawialni, gdzie usiadła na sofie, skrzyżowawszy ręce na piersi. Nadira pospieszyła za nią.

- Sam, przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować.

- Nie zdenerwowałam. Masz rację, istnieje taka możliwość. Też się nad tym zastanawiałam.

- No to chyba rozumiesz, dlaczego Raph nie chce ujawnić dziennika.

- Sęk w tym, że nie wierzę w taki powód. A nawet gdyby było, jak mówisz, nie boję się prawdy. Tak czy inaczej muszę przeczytać ten dziennik.

- No a jeśli ci się nie uda? Raph może nie wpuścić cię już do domu. Jeśli Lola będzie cały czas tam siedzieć, a sprzątaczką nie zechce ci pomóc, co wtedy zrobisz?

- Zawsze można coś zrobić.

Nadira zamilkła. Wiedziała, że byłoby błędem nie doceniać przyjaciółki, jej odwagi i

determinacji. Sama także miała te cechy, tyle że u niej objawiały się one inaczej. Potrafiła pracować bardzo ciężko i nigdy nie zmieniała podjętych decyzji; różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do Sam była konserwatystką, i to do szpiku kości. Nie lubiła zwracać na siebie uwagi, nie zdobyłaby się zatem na żaden postępek, który by ją postawił w świetle jupiterów. Miała również głęboki respekt dla władzy i autorytetów, przez co sprzeciwianie się rodzicom było dla niej istną torturą. Z tego też powodu nie ustawiała w wysiłkach, aby im udowodnić, że postępuje słusznie.

W Sam od początku pociągało ją właśnie to, że była wolna od zahamowań. Łamiąc te czy inne zasady, Sam przeważnie nie zdawała sobie nawet sprawy, że takie zasady istnieją. Przez swą prostolinijność mogła czasami wydawać się nawet bezwzględna, gdyby zarazem nie była tak dobra i wspaniałomyślna.

- O czym myślisz? - spytała Nadira, widząc jej minę.

- Mm... Właśnie coś sobie uświadomiłam.

Nadira znała ten wyraz twarzy. Oznaczał, że Sam obmyśliła sobie krótszą i prostszą drogę z punktu A do punktu B i że zdecydowała się pójść tą drogą bez względu na konsekwencje. Taką też minę miała w miniony weekend, gdy o jedenastej w nocy wyszła bez słowa z domu uzbrojona w młotek i latarkę. Nadira nie śmiała wtedy o nic pytać z obawy przed szorstką odprawą, dziś jednak Sam była trochę bardziej skłonna do zwierzeń.

- Widzę, że masz jakiś plan - powiedziała ostrożnie.

Sam obdarzyła ją swym dawnym zaraźliwym uśmiechem, który po raz ostatni gościł na jej twarzy chyba wieki temu.

- Być może - rzuciła tajemniczo.

- Powiesz mi, co zamierzasz?

- Myślę, że nie chciałabyś wiedzieć.

- Ale nie zamierzasz się włamywać?

- Nie.

- Dzięki bogom i za to.

- Włamanie mam już za sobą.

- Co takiego?

- Tym razem zamierzam nakłonić kogoś innego, żeby mnie w tym wyręczył.

Przysięgli mieli kłopot z uzgodnieniem werdyktu, czemu trudno się było dziwić. Dokonano szczególnie złośliwej napaści, połączonej z rabunkiem, na niewielką pizzerię w Chingford. Skradziona suma nie była duża - wynosiła niecałe dwieście funtów - lecz właściciel, niejaki pan Patel, został dotkliwie pobity i skopany, a jego syn, który wrócił tam w trakcie napadu i pospieszył ojcu z pomocą, był wciąż jeszcze niezdolny do pracy z powodu ciężkich obrażeń. Oskarżenie utrzymywało, że trzech napastnicy postanowili sobie już z góry brutalnie pobić właściciela i jego syna celem zastraszenia innych drobnych przedsiębiorców działających na tym terenie. Blizny i tatuaże, którymi byli pokryci, buńczuczne zachowanie, a równocześnie przesadna uniżoność wobec sądu, wszystko to sprawiało, że można ich było uznać za karykatury niegdysiejszych wielkich gangsterów. W przeciwieństwie do nich liczni członkowie rodziny Patelów uczestniczący we wszystkich posiedzeniach sądu z budzącą szacunek spokojną godnością czekali na wyrok, przekonani, iż sprawiedliwości musi stać się zadość.

Niestety, podczas okazania, czyli tak zwanej parady podejrzanych, Soli Patel wskutek wstrząsu bądź tremy nie rozpoznał prawidłowo wszystkich trzech opryszków. Wystarczyło to Raphowi do zasiania ziarna wątpliwości w umysłach sędziów przysięgłych. Ani razu co prawda nie stwierdził otwarcie, iż jego klienci są niewinni, powtórzył jednak wielokrotnie, że aby odebrać komukolwiek wolność, należy udowodnić mu winę w sposób nie pozostawiający żadnych uzasadnionych wątpliwości. Oznacza to, panie i panowie, powiedział, że jeśli istnieją jakiegokolwiek kwestie, nawet drobne, co do których nie jesteście w pełni przekonani, waszym obowiązkiem jest uwolnić podsądnych od winy i kary.

Kiedy w drugim dniu obrad przysięgli wciąż jeszcze nie uzgodnili werdyktu, stało się jasne, że te „drobne kwestie” stanowią poważny problem. Sędzia wezwał członków ławy na salę, aby im oświadczyć, że zaakceptuje decyzję większości. Przysięgli ponownie udali się na naradę.

Mick zaczynał się przekonywać, że oczekiwanie na werdykt to najmniej przyjemna strona zawodu obrońcy. W trzecim dniu przymusowej odsiadki w pustym pokoju za salą, gdzie za całe towarzystwo miał tylko swojego laptopa, znał już każdą rysę na ścianie i każdy najmniejszy zaciek na suficie. Raph zapowiedział, że idzie do pubu naprzeciwko, Mick zaś ma trzymać rękę na pulsie i natychmiast go zawiadomić, kiedy tylko coś się zacznie dziać. Teoretycznie rzecz biorąc, była to dla Micka idealna okazja, żeby zająć się sprawą Grace Hobden, szef bowiem zręcznie przerzucił na niego całą pracę przygotowawczą.

Położywszy stopy na niskim stoliku, odchylił się z krzesłem do tyłu, tak że balansowało ono na dwóch nogach, i zaczął studiować fotografię mężobójczyni. Mistrz nie udzielił mu

zbyt wielu rad, a on, choć oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał, czuł się jak kiepski pływak rzucony nagle na głęboką wodę. Przekopał się już kilka razy przez opasłą stertę dokumentów, cóż, kiedy nadal nie przychodziło mu na myśl nic takiego, na czym dałoby się zbudować sensowną linię obrony. Czy ta kobieta jest wariatką? Czy jest zła do szpiku kości, czy też wszystko, co musiała znosić od swego brutalnego męża, doprowadziło ją w końcu do skrajnej rozpacz? Jej zeznanie niczego nie wyjaśniało. „Nie mogłam już tego wytrzymać... To działo się jak we śnie”. Jej fotografia też nie tłumaczyła zbrodni; wprowadzała tylko jeszcze większy zamęt.

Widoczna na niej kobieta sprawiała wrażenie solidnej i całkowicie normalnej i choć stanowczo nie była w jego typie, nigdy by nie powiedział, że ma twarz morderczyni.

Z jakiego powodu Raph Howes postanowił prowadzić tę sprawę? - głowił się Mick. Wiadomo było przecież, że unika rodzinnych morderstw, a ta sprawa jest akurat takiego gatunku, jaki odpowiada Selinie.

„To działo się jak we śnie”...

I cóż to właściwie ma znaczyć?

Mick odchylił krzesło jeszcze bardziej i tępo zagapił się w sufit. Widoczna w samym środku plama - całkiem jak z testu Rorschacha - nabrała ostatnio dziwnej zdolności upodobniania się do tego, co go akurat dręczyło. Przypominała teraz kobiecą twarz, choć nie potrafił zdecydować, czy bardziej mu się kojarzy z twarzą tej kłopotliwej Grace, czy może raczej Loli. A może to zlepek ich obu? O Chryste, cóż za ponura myśl!

Gdyby słabiej znał Rapha, mógłby podejrzewać, iż szef dowiedział się czegoś o jego wieczorze z Lolą i rozmyślnie obarczył go sprawą tej Hobden - żeby się na nim zemścić.

Ale właściwie za co? Mick nie czuł się winowajcą; nie zrobił nic takiego, co by mu leżało na sumieniu. Zupełnym przypadkiem natknął się na Lolę na przyjęciu u Billa i Fi. Rozpoznał dziewczynę Rapha, no i podszedł do niej porozmawiać; fakt, że była najatrakcyjniejszą z kobiet obecnych na tej imprezie miał rzecz jasna pewne znaczenie. Później, gdy już całkiem o niej zapomniał, zauważył, że jest zalana, i to do tego stopnia, że ledwo się trzyma na nogach. Propozycja, że odwiezie ją do domu, była całkiem bezinteresowna. Uznał, że Raph będzie mu wdzięczny, jeśli się o tym dowie.

Czy byłby wdzięczny?

Plama na suficie przybrała obecnie wyraz twarzy Rapha, i nie był to wyraz wdzięczności. Można by raczej nazwać go oskarżycielskim. Czy słusznie? Czy po odwiezieniu Loli do domu musiał z nią spędzić aż cztery godziny? Tak, musiał, ponieważ Lola... chciała... no cóż, nalegała, żeby został. Po co?... Hm... trudno jej było odmówić... A

poza tym w domu była Sam.

Sam... Pomimo irytacji z powodu ogólnego stanu rzeczy Mick nagle uśmiechnął się szeroko i jeszcze bardziej odchylił krzesło do tyłu. Kąt, pod którym teraz wisiał, zrobił się tak niebezpieczny, że musiał wsunąć stopy pod mocny blat biurka, żeby się nie wywrócić. Prawda, że wbił mu się w pamięć wyraz twarzy dziewczyny przyłapanej w gabinecie Rapha, no ale było to przecież najbardziej niekonwencjonalne spotkanie, jakie można sobie wyobrazić.

Wciąż jeszcze nie przestawał się uśmiechać, gdy zadzwoniła jego komórka. Opuścił stopy na podłogę, przywracając zarazem pionową pozycję krzesła.

- Mick? - odezwał się kobiecy głos. - Mówi Sam Boswin.

A to ci dopiero! - pomyślał Mick. Więc zdarzają się aż takie zbiegi okoliczności? Niepojęte!

- Cześć, Sam. W czym ci mogę pomóc?

- Musimy pomówić.

- Jasne. A o czym?

- To nie jest rozmowa na telefon. Musimy się spotkać.

- Hm, no dobrze, muszę zerknąć w kalendarz. - Mick znów odchylił się na krześle i wbił oczy w sufit. - Och, nie wygląda to dobrze. - Miał przeczucie, że kontakt z Sam Boswin oznacza dla niego kłopoty, a on bardzo nie chciał psuć sobie stosunków z szefem. - Przykro mi, Sam, w tym tygodniu jestem dość zajęty.

- Dziś wieczorem - oznajmiła sucho. - Kiedy skończysz pracę.

Mick uznał, że to pytanie, choć brzmiało bardziej jak rozkaz.

- Cóż, bardzo bym chciał, ale niestety nie mogę. Mam zamówione boisko do squasha, a potem...

- Tak? To odwołaj rezerwację. Nasze spotkanie nie zajmie ci dużo czasu. Potem możesz robić, co chcesz.

- Dziękuję za pozwolenie. O co ci chodzi?

- Już powiedziałam: nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Spotkamy się o szóstej w pubie naprzeciwko twojego biura.

- Och nie! - Aby odzyskać jaką taką kontrolę nad konwersacją, Mick znów usiadł prosto. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, było spotkanie z pasierbicą szefa pod czujnym okiem kolegów. Około ósmej miał być w Notting Hill, zaproponował więc w miarę spokojnie: - Znam pewną winiarnię w pobliżu Westbourne Grove. Mogę się tam z tobą spotkać o wpół do ósmej.

- Niech będzie.

Podał jej nazwę i adres lokalu.

- Do zobaczenia o siódmej trzydzieści - rzucił bez entuzjazmu.

- Masz tam być! - oświadczyła tonem rozkazu. Połączenie zostało przerwane.

Mick nie przywykł do takiego traktowania. Gdyby go to spotkało ze strony kogoś innego, straciłby ochotę na dalszą znajomość, ta dziewczyna jednak była pasierbicą szefa, a jej poczynania - płądrowanie nocą w gabinecie ojczyma - wyglądały dość podejrzanie. Doszedł do wniosku, że w tej sytuacji nie od rzeczy będzie dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Włączył laptopa i wszedł do Sieci.

\*

Przewodniczący jury nosił wąskie okulary bez oprawy i robił wokół siebie mnóstwo szumu, jednak odczytany przez niego werdykt nie był jednomyślny. Brzmiał on: niewinni.

Oznaczało to najwidoczniej, że członkowie ławy nie byli w stanie uzgodnić wyroku skazującego.

Mick miał ochotę triumfalnie wyrzucić ręce w górę: zwycięstwo! Klienci są wolni. Po miesiącach zmudnych przygotowań, grzebania się w detalach, ciągłych przerw i bezproduktywnego czekania - nareszcie koniec! Wbrew wszelkim przeciwnościom Raph i jego zespół wygrali!

- Dobra robota - szepnął do swego mistrza. Raph miał minę pokerzysty, ale pod tą profesjonalną maską można było wyczuć satysfakcję. Chyba żaden ze znanych Mickowi prawników nie umiał tak się cieszyć z dobrze rozegranej partii, jak właśnie Raph Howes.

Zerknąwszy w tę stronę sali, gdzie siedzieli członkowie rodziny Patelów, zobaczył na ich twarzach wyraz zdumienia i skrajnego niedowierzania. Patel senior tłumaczył jakiejś starszej pani, swojej matce, a może ciotce, co się przed chwilą stało. Soli Patel, który stracił wzrok w jednym oku i przez wiele miesięcy miał cierpieć na ciężkie bóle głowy, był tak zszokowany, że nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Mick poczuł lekki niepokój. Jeden z trzech klientów, Shaun Boyd, oskarżony o to, że nadepnął na głowę młodszego Patela, gdy ten leżał nieruchomo na podłodze, po raz pierwszy spojrzął swej ofierze w oczy. Nie wyszczerzył wprawdzie zębów w uśmiechu, nie wykonał też żadnych triumfalnych gestów, ale jego spojrzenie niosło czytelne przesłanie: To my jesteśmy górą, więc lepiej się teraz pilnuj. Mick spostrzegł, że Soli Patel gwałtownie zacisnął pięści.

- Dobrze nam poszło - stwierdził Raph. - Lepiej niż się spodziewałem.

Mick bardzo pilnie zajął się wkładaniem papierów do teczek. Nie podniósł oczu, dopóki



na sali nie zrobiło się prawie pusto.

- Brawo, panie Howes - powiedział Jason Franks, jeden z podsądnych, gdy spotkali się po rozprawie. Trzej gangsterzy, którzy przez trzy tygodnie pocili się jak myszy w garniturach i krawatach, pozrzucali teraz marynarki. Na ich obnażonych przedramionach błyskały liczne tatuaże. - Był pan super. Pan i pański zespół - uśmiechnął się do Micka. - Nie wiem, jak panu dziękować. Kiedykolwiek będzie pan w Chingford, proszę do nas zajrzeć. Będziemy szczęśliwi, jeśli pozwoli nam pan się ugościć. Zapraszamy o każdej porze.

- O tak - włączył się Shaun. - Proszę nam tylko dać znać, jak się możemy odwdziękzyć.

- To bardzo miło z waszej strony.

- Zrobimy wszystko, o co pan poprosi. Może trzeba kogoś nauczyć rozumu albo...

- Shaun! - rzucił ostrzegawczo Jason.

- No co? - zachnął się jego kolega z miną urażonej niewinności. - Proponuję przecież tylko pomoc, prawda?

Raph uśmiechnął się pobłaźliwie, całkiem jak do dziecka, które z dobrego serca chciało się z nim podzielić nieapetycznym lizakiem.

- Nic nie słyszałem - oświadczył stanowczo. - Miłej podróży, panowie.

- Czy zdarzało się już panu coś takiego? - nie wytrzymał Mick, gdy we dwójkę wychodzili z sądu. - Mówię o tej propozycji nauczania rozumu wskazanych przez pana osób.

- Tak - parsknął Raph - choć zwykle nie mówią tego tak otwarcie. Jeśli chodzi o inne propozycje, bywają czasami dosyć oryginalne. Powiedzmy, kredyt w bardzo dziwnych miejscach. Albo gdybyś na przykład wpadł w jakieś kłopoty w Ekwadorze, znam pewnego człowieka, który cię z nich wyciągnie.

- Dziękuję - mruknął Mick - będę to miał na uwadze.

\*

Odnowiona ostatnio winiarnia błyszczała od mnóstwa nierdzewnej stali; zainstalowano halogenowe światła, rozstawiono też sporo doniczkowych bambusów, które jednak wyglądały marnie. Tłok był tu trochę mniejszy niż gdzie indziej, jako że w czasie upałów ludzie woleli siedzieć pod gołym niebem, a tutaj nie było ogródka. Mick, który przyszedł aż dziesięć minut przed czasem, wybrał stolik pod ścianą, skąd dobrze widać było drzwi, i zamówił u kelnera szklankę piwa.

Po telefonie Sam wypełnił sobie czas oczekiwania na werdykt zbieraniem informacji o swojej dziwnej znajomej. Rozpoczął od Kirsten Waller. Internet jak zwykle zarzucił go mnóstwem artykułów niezwiązanych z interesującym go tematem, dokonał więc selekcji, koncentrując się głównie na wspomnieniach pośmiertnych i sprawozdaniach z rozprawy u

koronera. Jako że pani Waller zachowała obywatelstwo amerykańskie, większość tych wspomnień pochodziła ze Stanów, jednak i po tej stronie Atlantyku poświęcono jej tyle uwagi, że zrobiło to na nim wrażenie. Wiedział oczywiście, iż żona Rapha była poetką, nie zdawał sobie jednak sprawy, że to taka literacka wielkość. Nic dziwnego, uśmiechnął się w duchu, że Raph wybrał sobie teraz Lolę. Musiał być już zmęczony rozmowami o literaturze. Lola pewnie myśli, że Emily Dickinson to marka jakichś kosmetyków.

Zdjęcia Kirsten Waller ukazywały przystojną, tryskającą zdrowiem kobietę w typie nordyckim, o długich, delikatnych blond włosach i szerokim uśmiechu; owszem, dość atrakcyjną, lecz dziennikarz, który wciąż powtarzał; że wyglądała „jak gwiazda filmowa”, musiał pewnie być jej przyjacielem, i to dosyć starym. Pisano, że wydała kilka tomików poezji, że co najmniej trzy razy wychodziła za mąż, a poza tym była niespokojnym duchem; na dowód przytaczano informacje o jej udziale w licznych radykalnych akcjach. Było tego mnóstwo, poczynając od Greenham Common<sup>2</sup>, kończąc zaś na prawach zwierząt. Mick mógł się tylko domyślać, że jej małżeństwo z Raphem, zagorzałym konserwatystą, musiało być typową ilustracją tezy o przyciąganiu się skrajnie różnych osobowości.

Jako dwudziestoletnia mniej więcej kobieta Kirsten zawędrowała do Kornwalii, gdzie poznała Davy’ego Boswina, określanego przez niektórych autorów mianem farmera, przez innych zaś nazywanego rybakiem lub po prostu Kornwalijszym. Ich małżeństwo trwało tylko parę lat, podczas których przyszła na świat córka. Kiedy związek się rozpadł, młoda kobieta wróciła do Stanów, zabierając chyba z sobą dziecko, lecz po dziesięciu latach ściągął ją do Anglii mąż numer trzy. Numer dwa był jakimś działaczem związkowym z Pittsburgha, ale małżeństwo to było tak krótkie, że w żadnej gazecie nie wymieniano nawet jego nazwiska. Trzecim mężem był Raph. Gdy i to małżeństwo się rozpadło, Kirsten na parę miesięcy pojechała znów do Ameryki, a potem osiadła w Kornwalii. Zamieszkała w odludnym letnim domku należącym do jej przyjaciółki, gdzie w wigilię przesilenia letniego napełniła wannę, rozebrała się i weszła do wody. Niestety, wzięła z sobą podłączone do sieci małe radio, które wpadło do wody wraz z mydłem. Śmierć musiała nastąpić natychmiast. Można było sądzić, że to tragiczny wypadek, jednak pozostawiona na stole kuchennym notka przekreśliła taką koncepcję. Orzeczono samobójstwo.

O tego rodzaju szczegółach autorzy wspomnień nie pisali, ograniczając się co najwyżej do zawołowanych aluzji, jednak wszyscy zatrudnieni w kancelarii doskonale wiedzieli, w

---

<sup>2</sup> Greenham Common, pierwotnie nazwa bazy nuklearnej NATO na południu Wielkiej Brytanii, a od 1981 r. Pokojowy Obóz Kobiety, którego uczestniczki organizowały liczne akcje protestacyjne przeciwko rozwojowi zbrojeń nuklearnych.

jaki sposób zginęła żona Rapha. O Sam Mick dowiedział się właściwie tylko jednego: jak ma naprawdę na imię.

Właśnie przyszła, również z lekkim wyprzedzeniem. Z początku go nie dostrzegła; zatrzymała się przy drzwiach obok gigantycznego fikusa, skąd zaczęła penetrować salę. Na ramieniu miała zielono-czerwoną torbę, a pod pachą ogromne pudło z wiolonczelą. Ubrana była chyba tak samo jak tej nocy, kiedy się poznali: w „wojskowe” spodnie koloru khaki, czarny T-shirt i sportowe buty. Mick zapamiętał ją jako szczupłą dziewczynę średniego wzrostu i rzeczywiście tak było. Odczesane z czoła krótkie ciemne włosy mogły uchodzić za fryzurę punka, ale podejrzewał, że czesze się tak dla wygody.

Nie miała skandynawskiej urody swej matki, a mimo to wpadała w oko. Nawet sposób, w jaki stojąc w wejściu, rozglądała się po sali, był niezwykły: zupełnie jakby przyszła się tu spotkać z uzbrojonym oddziałem partyzantów, a nie po prostu z przygodnym znajomym. Mick westchnął ciężko. Lubił po pracy wypić sobie piwo w beztroskim i zabawnym towarzystwie, a żaden z tych przymiotników nie pasował niestety do stojącej przy drzwiach dziewczyny.

Zobaczyła go wreszcie. W jej oczach pojawił się błysk rozpoznania, ale bez cienia uśmiechu.

- Witaj - powiedział, wstając, kiedy do niego podeszła.

- Trafiłaś bez problemu? - Bezwiednie przybrał zawodowy sposób bycia: życzliwie rzeczowy, lecz nacechowany leciutką rezerwą. - Czy to twoja wiolonczela? Nie wiedziałem, że grasz.

- Tak - odpowiedziała, kwitując tym wszystkie pytania. Postawiła futerał, wysunęła spod stolika krzesło i usiadła naprzeciw swojego rozmówcy. Czuł jej wewnętrzne napięcie; miał wrażenie, że gdyby jej dotknął, posypałyby się iskry.

- Co ci zamówić do picia?

- Och - bąknęła - wystarczy mi woda.

- Nie napijesz się czegoś mocniejszego? Ja zamówiłem piwo.

- Dobrze, niech będzie whisky. Podwójna z lodem, ale bez wody.

Jak widać, nie uznajemy półśrodków, pomyślał Mick, przywołując gestem kelnera.

- No więc powiedz, Sam, w czym ci mogę pomóc?

- Tamtej nocy u Rapha szukałam czegoś, co należy do mnie.

- Wiem, już mi mówiłaś.

- Wtedy tego nie znalazłam, ale teraz myślę, że wiem, gdzie to jest. I ty mi przyniesiesz tę rzecz.

Mick uśmiechnął się z rozbawieniem. Ach, co za ton! Można by pomyśleć, że to sprawa życia lub śmierci.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, czym jest to tajemnicze „coś” - zauważył lekko.

- To notes oprawny w niebieską skórę. Ma kartki bez linii. Moja matka zamawiała takie notesy w pewnej południowokalifornijskiej firmie. Robili je specjalnie dla niej. Używała ich przez całe lata. Był to roboczy notes, w którym prowadziła również coś w rodzaju dziennika. W tym może się też znajdować pewien wiersz.

- Zadajesz sobie tyle trudu z powodu jakiegoś wiersza?

- Jest... ważny.

- Domyślam się, że musi być ważny. - Zrobił pauzę, by jej dać okazję do bardziej szczegółowych wyjaśnień, a gdy się ich nie doczekał, powiedział wprost: - Musisz mi wytłumaczyć to i owo, moja droga. Jeśli to Raph ma ten notes, czemu go nie poprosisz o zwrot swojej własności?

Popatrzyła na niego z pogardliwym politowaniem.

- On twierdzi, że go nie ma.

- Może mówi prawdę.

- Wiem, że nie.

- Powinnaś wobec tego zwrócić się do adwokata.

- Cóż za światła rada! Jakbyś nie wiedział, że to Raph jest jedną z najtęższych głów w tym zawodzie. I ja bym miała wygrać z nim w sądzie? Nie ma mowy.

Mick miał uczucie, że drepczą w kółko.

- Skoro wiesz, gdzie jest ten pamiętnik, dlaczego nie zabrałaś go tamtej nocy?

- Już ci mówiłam: wtedy nie wiedziałam, gdzie go schował. Teraz wiem, a przynajmniej myślę, że wiem.

- No więc idź tam i weź go sobie.

Pokręciła głową.

- Musieli już założyć porządną zamek na okno. - Widząc po jego minie, że nie rozumie, o co chodzi, wyjaśniła: - Włamałam się tam przez okno na drugim piętrze.

- Nie masz kluczy?

- Nie. Lola podobno nie chce, aby cokolwiek jej przypominało, że obecny kochanek miał kiedyś prawdziwą partnerkę. Myślę jednak, że Lola to tylko pretekst. To Raph nie chce mnie widzieć w swym domu.

Mick na chwilę zamilkł. Pomyślał, że trudno dziwić się szefowi. Przed taką dziewczyną lepiej się mieć na baczności.

- Czy to wtedy rozciąłaś sobie rękę? - spytał, zerknąwszy na plaster.

- Tak.

- Uprawiasz wspinaczkę skałkową?

- Skądże. Nie wyobrażam sobie gorszej rzeczy niż taka wspinaczka.

- Więc jak to zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu musiałam.

Kelner przyniósł im drinki.

Mick przyjrzał się uważnie siedzącej naprzeciw dziewczynie. „Po prostu musiałam”. Całkiem jak Grace Hobden, a przecież nie są do siebie podobne. Ani trochę. Grace to wariatka, zabójczyni z przedmieścia przebrana za Normalną Panią Domu. Żonę i Matkę. Sam nie wygląda na osobę, która kiedykolwiek może zostać normalną panią domu. Trzeba przyznać, że ma wyjątkowe oczy: szarozielone, z gęstymi ciemnymi rzęsami. Robią wrażenie. Gdyby nie była tak beznadziejnie poważna, uznaliby ją nawet za atrakcyjną. Jest też z całą pewnością bardziej w jego typie niż ta pustogłowa różowo-blond Lola.

- Posłuchaj - powiedział - chciałbym coś dla ciebie zrobić, ale...

- Możesz. Zdobądź ten notes.

- Przykro mi, Sam, to niemożliwe.

- Nie zrozumiałeś mnie, Mick. Nie proszę cię o przysługę. Ty to musisz zrobić.

- Muszę?

- Właśnie. - Podniosła na niego oczy, z których ulotniła się wszelka słabość, jeśli kiedykolwiek tam była. - Nie możesz mi odmówić.

- Oczywiście, że mogę.

- W takim razie powiem Raphowi o tobie i Loli.

- Nie bądź żałosna. Wiesz, że między nami nic nie było ani wtedy, ani nigdy.

- No to co? Mogę sfabrykować niezłą historyjkę. Założę się, że żadne z was dwojga nie powiedziało mu o tym, że spędziłaś noc w jego domu. - Zamilkła wyczekująco, a gdy nie zaprzeczył, uśmiechnęła się z satysfakcją. - Wy rzecz jasna powiecie, że to nieprawda, ale Raph będzie się tego spodziewał i jeśli nawet powie, że wam wierzy, zawsze zostanie mu jakaś wątpliwość.

- Grozisz mi? Chcesz uraczyć Rapha stekiem kłamstw o mnie i o Loli?

- Nareszcie zrozumiałeś mnie dokładnie.

- Musiałabyś mu powiedzieć, że i ty tam byłaś.

- Owszem, ale ja nie mam nic do stracenia, a poza tym ta sprawa warta jest ryzyka.

Mick wpatrzył się w nią twardym wzrokiem. Odpowiedziała mu tym samym, bez jednego mrugnięcia powieką. Jej oczy przypominały zimne zielone kamyki. Jak mógł choćby przez chwilę myśleć, że jest atrakcyjna? Przecież to istna pirania.

- To szantaż - wycedził - nie mówiąc już o tym, że oparty na samych kłamstwach.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz.

- Nie ma w tym słowa prawdy!

- Na tym właśnie polega kłamstwo.

- Cholera! Mówisz serio?

- Żeby zdobyć ten dziennik, narażałam życie. W porównaniu z tym, ile znaczy parę kłamstw czy drobny szantaż? Tak, mówię serio, śmiertelnie serio.

- Do jasnej cholery! - Narażała życie! Cóż za nonsens! Większa z niej wariatka, niż myślał. Rozwścieczony do ostateczności odsunął się z krzesłem pod ścianę, jak najdalej od niej. Kusilo go, żeby zerwać się i wyjść, a przedtem powiedzieć tej wrednej piranii, co może zrobić z pieprzonym dziennikiem swej matki. Zaraz jednak uświadomił sobie, że jeśli ta... mniejsza o nazwę, faktycznie spełni swą groźbę, jeszcze w tym miesiącu będzie musiał szukać nowej pracy. - Na Boga, dziewczyno, czy ty musisz tak utrudniać sobie życie, a przy okazji i innym? - rzucił gniewnie. - Gdybyś mi po prostu wyjaśniła, jak bardzo ci na tym zależy, dodając może słówko „proszę” lub „dziękuję”, pewnie bym ci pomógł bez gróźb. - Nie była to zupełna prawda, poczuł się jednak odrobinę lepiej. - Ale nie, ty musiałaś od razu połamać mi kciuki!

- Raph jest twoim szefem, a ja całkiem obcą dziewczyną. Dlaczego byś miał mi pomagać?

- Może ci współczuję.

Natychmiast zrozumiał, że wykonał fatalny ruch. Jej twarz, która i przedtem nie wydawała się otwarta, zamknęła się teraz zupełnie.

- Wsadź sobie gdzieś swoją litość. Masz mi przynieść notatnik, to wszystko. Jeśli mój domysł jest słuszny, znajdziesz go w salonie pod pokrywą fortepianu.

- Skąd to wiesz?

- Tak było w *Casablance*, która jest ulubionym filmem mojego byłego ojczyma. On bardzo lubi naśladować swoich idoli.

Zdaniem Micka był to strzał na ślepo, czyli bardzo ryzykowny, a on ani myślał ryzykować.

- Twoja wyprawa do tego domu skończyła się fiaskiem.

- A ty będziesz musiał odbyć teraz drugą. O to ci chodzi?

- Przypuśćmy, że tam wcale nie ma pamiętnika.

- Dla twojego dobra mam nadzieję, że jest. Po prostu go przynieś.

Wstała, szukając wzrokiem kelnera, a gdy podszedł, poprosiła o rachunek. Mick nie zamierzał protestować; jeszcze chyba nigdy nie odczuwał takiego oporu przed płaceniem za czyjeś drinka. Widząc, że grzebie w torebce w poszukiwaniu monet, też podniósł się z krzesła i zapytał chłodno:

- Dasz mi swój numer telefonu czy muszę sam cię odszukać? Bo może to również wchodzi w skład mego zadania?

- Chwileczkę. - Wyjęła z kieszeni notes adresowy, wyrwała z niego kartkę i szybko nabazgrała na niej kilka cyfr. Mick wpisał je nonszalancko do swego palmtopa, a kartkę wrzucił do kosza.

- Dzięki - powiedziała z wahaniem. Wargi jej zadrgały. Czyżby pirania chciała się uśmiechnąć?

Zdaniem Micka jednak na uprzejmości było już za późno.

- Nie dziękuj mi, to niepotrzebne - rzucił sucho. - Do widzenia, Samphire.

Jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Wszyscy mówią do mnie Sam.

Słusznie się domyślił, że nie cierpi swojego imienia, no i nic dziwnego. Łatwo było sobie wyobrazić, jaki ubaw miałyby dzieciaki, gdyby w klasie pojawiła się nowa dziewczyna o imieniu Samphire. Niełatwo mieć za matkę sławną poetkę. Podczas swych poszukiwań w Internecie Mick odkrył, że pierwszy tomik Kirsten Waller nosił tytuł *Samphire i inne wiersze* i został zadedykowany jednemu dziecku poetki. Wielka szkoda, że nie znalazł więcej takich rzeczy albo jeszcze gorszych. Chętnie by je teraz wykorzystał.

- Wstydzisz się swego imienia, co? A przecież to takie ładne imię.

Wzruszywszy ramionami, wyszła bez słowa z baru, taszcząc tę swoją wielką wiolonczelę. Na widok jej lekko przygarbionych pleców zrobiło mu się prawie jej żal. Prawie. Kiedy jednak weszła na chodnik, wyprostowała się nagle, jakby nie zamierzała poddawać się żadnym słabościom, i po chwili zniknęła w tłumie.

Mick zamówił sobie drugą szklankę piwa. Nigdy jeszcze nie był obiektem szantażu i musiał przyzwyczać się do tej nowości. Uznał, że piwo pomoże mu w tym najlepiej.

Ani myślał pozwalając, aby ktoś taki jak Sam groźbami zmuszał go do czegoś, na co absolutnie nie miał ochoty, ale żeby się jej przeciwstawić, musiał obmyślić jakąś strategię. Na razie widział tylko dwie możliwości: ugiąć się przed szantażem lub wyjechać gdzieś nad Morze Południowochińskie. Sam jest na tyle szalona, myślał, że stać ją chyba na spełnienie

groźby, mimo to nie zamierzał jej ulec. Wśród przyjaciół miał opinię człowieka, który zrobi wszystko, jeśli ładnie się go poprosi - tak jak wtedy Lola - każdy nacisk natomiast wywoływał w nim tylko zaciekły opór.

Sam wyzwoliła w nim właśnie taką reakcję. W zasadzie nie skłamał, mówiąc, że Samphire to ładne imię. Jako rzeczownik pospolity słowo to oznaczało dziką roślinę jadalną. Nie tylko całkiem ładną, ale i pożyteczną<sup>3</sup>.

Szkoda, że do niej pasowało jak pięść do nosa.

## 9

Lola wrzasnęła.

Chciało jej się wrzeszczeć przez cały ten ranek, ale to dlatego, że rodzina Rapha miała dzisiaj zjechać na kolację, a nalot takiej Upiornej Brygady to rzecz straszna. Każdemu chciałoby się krzyczeć. Ten wrzask natomiast, który wyrwał jej się teraz z gardła, należał do zupełnie innej kategorii: nie narastał w niej godzinami, był żywiołowo spontaniczny.

Stała w drzwiach do pokoju gościnnego, jednego z najładniejszych pomieszczeń w tym domu, które za czasów feralnego małżeństwa Rapha należało do jego pasierbicy. Lola zamierzała wkrótce je zaanektować, niestety matka Rapha też bardzo lubiła ten pokój, więc Lola, chcąc nie chcąc, przyniosła tu dziś wazon tulipanów. A teraz skutek nagłego szoku wazon i rozsypane tulipany leżały na podłodze.

Wrzask jednak dobrze jej zrobił, toteż krzyknęła ponownie. Nie ma to jak zdrowy wrzask. Szkoda, że w tym domu nikt go nie usłyszał, ale i na to jest sposób. Zbiegła z drugiego piętra do sypialni i czym prędzej wystukała numer Rapha.

- To ty, Raph?

- Oczywiście.

- Dzięki Bogu! Jak to dobrze, że jesteś! Tak strasznie się zdenerwowałam!

- O co chodzi tym razem? Złamałaś paznokiec?

- Ktoś włamał się do domu. Na podłodze pełno rozbitego szkła. Boję się, Raph!

- Sądzisz, że ktoś jest w domu? Wezwałaś policję?

- N-nie...

- Więc wezwij.

- Okej. Zaraz to zrobię.

---

<sup>3</sup> Jej polska nazwa brzmi: koper morski.



- Gdzie jest teraz ten intruz?

- Nie wiem. Chyba już go nie ma. Nie wiem zresztą, kiedy to się stało. Och Raphie, tak się boję! Przyjedziesz? Proszę cię, przyjedź!

- Wiesz, że nie mogę. Za chwilę idę do sądu. I nie mów do mnie Raphie.

- Och! - Lola zaczęła chlipać.

- Posłuchaj, spróbuję przysłać ci kogoś. A teraz dzwoń na policję, okej?

- Okej.

Lola zadzwoniła pod 999, wyjąkała straszną opowieść o stłuczonej szybie jakiejś osobie o matczynym głosie, a potem poszła się ubrać. Nie myślała rzecz jasna ani przez chwilę, że intruz może być w domu, zakładając, że w ogóle ktoś się tutaj włamał. Sądząc po leżących na podłodze liściach, można było przypuszczać, że okno zostało wybite już pewnie kilka dni temu; najprawdopodobniej stało się to wtedy, gdy Raph, wyjeżdżając do Bazylei, nie włączył alarmu, a ona poszła balować. Ale cóż to szkodzi trochę zamieszać? Kiedy Raph siedział w kancelarii lub w sądzie, a tam właśnie spędzał większość czasu, dni były długie i nudne, a paru krzepkich policjantów to zawsze jakaś rozrywka.

Dzień był upalny, jak zwykle w ostatnich tygodniach. Lola włożyła bikini - dwa minimalne skrawki materiału - narzuciła przewiewny sarong, umalowała się bardzo dyskretnie i tak uzbrojona wyszła do ogrodu czekać na policję.

\*

- O do licha, a ciebie co tu przyniosło?

Raph wprawdzie powiedział, że kogoś przyśle, ale Mick Brady był chyba ostatnią osobą, której się mogła spodziewać. Całkiem zapomniała, że ten młodzieniec jest jego podwładnym. Stał teraz pod drzwiami z teczką pod pachą, w białej, rozpiętej pod szyją koszuli, podczas gdy marynarka i obowiązkowy krawat, dość zresztą ponury, zwisały mu smętnie z ramienia. Nie wydawał się zachwycony swą drugą wizytą w tym domu.

- Raph mnie przysłał - odrzekł chłodno. - Podobno mieliście włamanie.

- Och, tak.

Mick zerknął spod oka na stojący pod domem wóz policyjny.

- Widzę, że wezwałeś policję.

- Tak. Przepraszam, że marnujesz przeze mnie czas.

- Skoro już tu jestem, mogę wejść do środka i trochę się tam rozejrzeć. Muszę złożyć szefowi raport.

Lola odsunęła się na bok, żeby go przepuścić. Już zapomniała, jaki on przystojny, jakie ładne ma włosy, takie brązowe i gęste, a i oczy w odcieniu tytoniu też niczego sobie. Zapisała

mu to na plus, zwłaszcza iż żaden z dwóch policjantów stanowczo nie był w jej typie. Mówiąc ściślej, żaden z nich nie mógł być w niczym typie. Dwaj funkcjonariusze, jeden wysoki i chudy, a drugi niski i gruby, całkiem jak duet z komedii, wyłonili się właśnie z salonu. Ten wysoki, który raz po raz łytał ukradkiem to na jej nagie ramiona, to na długie opalone nogi, oznajmił:

- To byłoby wszystko, proszę pani. Zebrane informacje wystarczą nam na razie do wdrożenia śledztwa. Na pani miejscu skontaktowałbym się z firmą, która zainstalowała alarm. System powinien być wykryć wrzucony do pokoju przedmiot, gdyby nawet nikt się tam nie włamał.

- Dobrze, panie oficerze. Jeszcze dziś do nich zadzwonię.

Towarzyszący tym słowom uśmiech przeznaczony był głównie dla Micka. Lola wystudiowanym ruchem poprawiła sarong, który opadł jej poniżej biustu.

- Gdyby coś jeszcze się działo, proszę dzwonić do nas bez wahania - powiedział wysoki policjant z wyraźną nadzieją w głosie.

- Będę o tym pamiętać.

- Powiadomimy panią o wynikach śledztwa - uzupełnił gruby.

- Dzięki, panowie. - Pożegnawszy policjantów, Lola zajęła się gościem: - Napijesz się kawy?

- Wolałbym szklankę wody, jeśli można.

- Oczywiście. - Poprowadziła go do kuchni, usiłując sobie przypomnieć, co właściwie zaszło między nimi tamtej weekendowej nocy. Pamiętała, że dość mocno zaiskrzyło, i widząc go teraz w świetle dnia, nie czuła się wcale zdziwiona. Ale... hm... nic ważnego się jednak nie stało. Nie wiedziała tylko, czy to ona dała mu kosza, czy on jej. A może żadne z nich dwojga nie miało odwagi na skok głową w dół? Istniała też możliwość, że obojgu urwał się film i Mick poszedł do domu. Tak czy inaczej była zadowolona z jego wizyty i z tego, że włożyła dzisiaj bikini. Tak, to był dobry pomysł.

Przywiązała się wprawdzie do Rapha i miała nadzieję, że ten związek potrwa bardzo długo, ale Raph był poważnym panem w średnim wieku, a ją nachodziła czasami ochota, żeby się zabawić z kimś młodszym, bliższym jej pod względem wieku i temperamentu. Czuła spojrzenie Micka na karku i nie wątpiła, że podoba mu się to, co widzi. Podobała się wszystkim mężczyznom.

- Gdzie dokonano tego włamania? - zapytał.

- Na górze. Mogę ci pokazać, jeśli jesteś ciekaw. - Sięgnęła do lodówki po butelkę wody mineralnej. - Może być gazowana?

Skinał głową.

W milczeniu napełniła mu szklanę. Cisza wywołała między nimi leciutkie przyjemne napięcie.

- Wspominałaś Raphowi - odezwał się po chwili Mick - że to ja odstawiłem cię do domu po tym sobotnim przyjęciu?

- Odstawiłeś? Wiesz, jak to brzmi? Jakbym była paczką!

- Wspominałaś?

- Czemu chcesz to wiedzieć? Czyżby zrobił się podejrzliwy?

- Tak tylko pytam.

Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Nie, nic mu nie mówiłam. A ty?

- Nie. Nie wydawało mi się to... ważne.

Lola poczuła się lekko dotknięta. Czyżby ją uznał za niewartą wzmianki?

- Raph mógłby być innego zdania - wycedziła. - Bywa bardzo zazdrosny. Nawet bez powodu.

- Mógłby też być mi wdzięczny, że cię odwozłem do domu - stwierdził Mick, patrząc jej w twarz.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Mógłby. - Pytanie, które jej zadał, i świadomość, że oboje zataili przed Raphem wiadomy incydent, nadawały ich spotkaniu wyraźnie seksualną aurę. Choć nic między nimi nie zaszło, a jeżeli już, to niewiele, nie mogłaby teraz wyznać Raphowi, że bawiła się z jego uczniem. Co on by sobie pomyślał? Od soboty minęło już siedem dni.

Mick odstawił szklanę na granitowy kontuar.

- Lepiej pokaż mi to miejsce, gdzie dokonano włamania.

- Co ci tak pilno?

- Muszę wracać do kancelarii.

- No tak, do kancelarii! - Lola prawie wypluła te słowa. Do diabła, ta kancelaria bez przerwy wchodzi jej w paradę. Dla mężczyzn takich jak Raph i Mick „kancelaria” to świetna wymówka, gdy nie mają ochoty dostosować się do jej życzeń. Dla niej to słowo stanowiło inną wersję znienawidzonej przez babcię ogrodowej szopy jej dziadka, do której ciągle uciekał. Miał tam wszystko, łącznie z czajnikiem elektrycznym i pochłapanym farbą tranzystorowym radjkiem. A teraz znów kancelaria, niech ją szlag! - Jakież to nudne tak ciągle tylko pracować! Chodź, zaprowadzę cię na górę.

Pierwsze piętro zajmowała ogromna sypialnia, dwie łazienki i dwie garderoby. Pokoje

gościnne mieściły się na drugim piętrze.

- Tutaj - oznajmiła Lola, otwierając drzwi do pokoju, który kiedyś zajmowała Sam.

Omijając rozsypane na podłodze tulipany i leżące na dywanie szkło z rozbitej szyby, Mick podszedł ostrożnie do okna. Przez dziurę już zdążyły wśliznąć się do środka wszędobylskie pnącza. Wystawiwszy głowę na zewnątrz, spojrzął w dół, na patio.

- O rany, ależ tu wysoko! Jak ci złodzieje tu weszli? Macie gdzieś drabinę?

- My na pewno nie i nie sądzę, żeby ją ktoś tu przytaszczył. Może się nie znam na złodziejskim fachu, ale gdyby ktoś w środku nocy paradował po ulicy z drabiną, wyglądałby dość podejrzanie, nie uważasz?

- Myślisz, że to stało się w nocy? - spytał żywo.

- Musiało tak być. Tej nocy, gdy poznaliśmy się na balandze. Pamiętasz, że kiedy weszliśmy do domu, alarm był wyłączony? Raph zapomniał go włączyć, lecz jak pewnie zauważyłeś, nie powiedziałam o tym policji.

- Dlaczego?

- Chodzi o ubezpieczenie.

- Czy coś zginęło?

- Nie zauważyłam. Prawdę mówiąc, nie wierzę, że ktoś się tu wdrapał. Pewnie jakieś dzieciaki rzuciły cegłą.

- Znalazłaś w tym pokoju cegłę?

- No nie, ale może to nie była cegła - zakończyła niepewnie Lola. Oboje zdawali sobie sprawę, że to niemożliwe, aby jakikolwiek wrzucony przedmiot mógł się tu gdzieś zapodziać. Pokój był na to za mały.

Mick chwycił garść pnączy, chcąc sprawdzić ich wytrzymałość.

- Cóż za idiotyczne ryzyko - mruknął jakby do siebie. - Ten, kto się tu wdrapał, musiał być kompletnym świrem.

- Jeżeli się wdrapał - sprostowała Lola.

- Chodźmy sprawdzić ogród.

- Po co?

- Żeby się przekonać, jak się tu dostali.

- A jakie to ma znaczenie?

Mick nie odpowiedział, schodził już na dół, do kuchni; stamtąd dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do oranżerii, z której wychodziło się do ogrodu. Lola zaczynała czuć się urażona: czyżby wolał się zabawiać w detektywa, zamiast zająć się jej osobą? Odchyliwszy głowę, stał teraz pośrodku patia, przyglądając się tylnej ścianie domu. W tej pozycji jego profil i wygięta

szyja prezentowały się bardzo korzystnie. Przyszło jej na myśl, że jeśli kiedyś zechce zdradzić Rapha, a bądźmy szczerzy, prędzej czy później musi to nastąpić, nie miałyby absolutnie nic przeciwko temu, żeby trafił jej się ktoś taki jak Mick Brady.

- Do licha, to bardziej trzecie piętro niż drugie, jeżeli liczyć suterene! - zawołał z podziwem. A co? Chciałbyś tym złodziejom przyznać może medal za odwagę? pomyślała zgryźliwie Lola. On tymczasem spytał nieoczekiwanie: - Czy zdarzyło ci się pragnąć czegokolwiek do tego stopnia, żeby zaryzykować taką wspinaczkę?

- Żartujesz? - parsknęła śmiechem. - Czy ja jestem jakimś pieprzniętym czubkiem?

Spochmurniał i zmarszczył czoło, jakby próbował podjąć niełatwą decyzję, Lola zaś poczuła z irytacją, że jakakolwiek jest ta decyzja, z nią na pewno nie ma nic wspólnego. Ku jej zdziwieniu uśmiechnął się nagle i spytał:

- Czy ta kawa jest wciąż aktualna?

- Jasne, jeśli tylko masz czas.

- Myślę, że Raph rozumie.

Poszli z powrotem do domu. Lola bez pośpiechu napełniła czajnik i zaczęła mleć kawę, zastanawiając się przy tym, co właściwie miał na myśli Mick, mówiąc, że „Raph rozumie”? Gdy zaczęła nalewać kawę, zadał jej doprawdy zaskakujące pytanie:

- Czy byłabyś zdolna zadźgać nożem swojego partnera? Czy umiałabyś w ogóle kogoś zabić?

- Chcesz mnie zabawić miłą konwersacją?

- Pracuję wraz z Raphem nad sprawą pewnej kobiety, Grace Hobden, która tak właśnie załatwiła swojego śpiącego męża. Nie mam pojęcia dlaczego, a z niej nie potrafię wydobyć żadnej sensownej odpowiedzi.

- Może nie wie, dlaczego to zrobiła. Może powodował ją impuls.

- Tak, to możliwe, ale mogła też działać z wyjątkową premedytacją. Ani rusz nie mogę tego rozgryźć.

- Jaka ona jest?

- Zwyczajna. Przynajmniej zewnętrznie, i na tym właśnie polega szkopał.

- Ładna?

- Owszem, ale nie w moim typie.

- A jaki jest twój typ?

- Podobają mi się długonogie blondynki, które chodzą po domu w sarongu - uśmiechnął się Mick.

- Skąd wiesz, że akurat w sarongu? - spytała zalotnie, wręczając mu filiżankę.

Odstawił ją na kontuar.

- Czy mogę najpierw skorzystać z łazienki?

- Oczywiście. Najbliższa jest zaraz za oranżerią.

Chyba nie usłyszał tej informacji, bo wyszedł z sutereny, zabierając ze sobą teczkę, i po paru minutach dał się słyszeć szum wody w toalecie na parterze. Kiedy wrócił na dół, udali się do ogrodu, gdzie popijając kawę, ucieli sobie miłą pogawędkę o wspólnych znajomych, gospodarzach pamiętnej imprezy. Lecz gdy Lola spytała w pewnej chwili, czy nie zostałaby na lunchu - och, zrobiłaby wszystko, żeby tylko nie myśleć o wieczornej wizycie matki i siostry Rapha - podziękował jej za zaproszenie: niestety, musi już wracać do pracy. Kancelaria, no jasne! Normalka.

Żegnając go w drzwiach, oparła się o framugę, tak że sarong opadł jej znów poniżej biustu, i spytała niedbałym tonem:

- Nie powiesz Raphowi o zeszłej sobocie? A gdybyś postanowił to zrobić, to mnie uprzedź, dobrze? Nie chciałabym, żeby bez powodu zaczął sobie coś wyobrażać.

Zerknął na jej piersi.

- Och, tym się nie musisz martwić! - odrzekł z szerokim uśmiechem, po czym cmoknął ją lekko w policzek. - Nie ma sprawy, skoro ani ty, ani ja nie zamierzamy mu o tym wspominać. Trzymaj się, Lolu. Do zobaczenia.

- Pa.

Ściskając pod pachą teczkę, Mick ruszył żwawo do stacji metra. Kiedy już się oddalił na bezpieczną odległość, wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Sam.

\*

- Pozwól, że ci pomogę.

- Dzięki. - Lola podała Johnny'emu pudełko malutkich świeczek i parę długich ogni bengalskich.

- Aż tyle ci tego trzeba? - spytał dobrodusznie.

- Świeczek nigdy za dużo. Chcę je umieścić wzdłuż całej ścieżki. Kiedy się ściemni, będzie wyglądać jak rzeka światła.

- Wspaniale. W takiej odległości jedna od drugiej?

- Nawet jeszcze gęściej. Mam ich setki.

Johnny zajął się jedną stroną ścieżki, Lola drugą. Rzeka światła miała płynąć od stołu aż po sam koniec ogrodu. Wygnano ich z kuchni, gdzie Raph przy pomocy swej matki i siostry, czy raczej w ich towarzystwie, przygotowywał kolację. Był tak fachowym i tak wymagającym kucharzem, że jeśli nie spędziło się życia w kuchni, lepiej było nie kręcić mu

się pod nogami. Przed rokiem, w takie wieczory jak dzisiejszy, Johnny dotrzymywał towarzystwa Kirsten, podczas gdy ich małżonkowie wrzucali do garnków jakieś tajemnicze ingrediencje, coś siekali, ubijali i tłukli. Teraz miejsce Kirsten zajęła Lola. Jako że trójka Howesów, kiedy tylko zebrała się razem, tworzyła zwartą formację, ich partnerzy zawierali obronny sojusz; życie stawało się wtedy łatwiejsze.

Teraz Johnny napełnił dwie szklanki musującym winem Saumur i podał jedną z nich Loli, która w milczeniu kontemlowała swe dzieło.

- Dzięki i na zdrowie - powiedziała. - Uwielbiam świece, a ty? Raph nie chce ich widzieć w domu, nawet tych zapachowych. Ma bzika na punkcie pożarów.

- Trudno mu się dziwić.

- Tak? Ja się dziwię - kpiąco rzuciła Lola.

- Musiałaś przecież o tym słyszeć.

- O czym?

Johnny westchnął lekko. Kirsten też nie знаła tej historii, i to nie Raph, tylko on opowiedział jej, co się stało. Przebywali wtedy na południu Francji. Cała ich czwórka siedziała wieczorem przy kominku, a Kirsten dosyć beztrudno piekła nad ogniem kasztany. Jeden stoczył się nagle z metalowej łopatką i wypalił dziurę w dywanie. Raph i Miriam zareagowali na to w taki sposób, że ktoś obcy mógłby uznać ich za wariatów.

- Ojciec Rapha i Miriam zginął w pożarze - wyjaśnił Loli, tak jak wtedy Kirsten.

Jej duże oczy zrobiły się nagle ogromne.

- Żartujesz?

- Ani mi to w głowie. Raph miał wtedy pięć czy sześć lat, więc Miriam musiała mieć około dziesięciu. W któreś niedzielne popołudnie ich ojciec poszedł do sypialni uciąć sobie drzemkę. Musiał zasnąć z papierosem w ręku lub niedokładnie go zgasić, no i stało się. Oni sądzą, że udusił go dym. Diana zdążyła wyprowadzić dzieci, lecz ich ojciec nie zdołał uciec. Z budynku pozostały gołe ściany.

Lola popatrzyła w stronę domu. Przez okno suterenu widać było niewyraźną sylwetkę Rapha krążącego zygzakiem między kuchenką a stołem.

- Biedaczysko - mruknęła - może dlatego ma te koszmary.

- Wciąż je miewa?

- Mniej więcej raz w tygodniu, ale o tym pożarze nigdy mi nie mówił.

- Nikomu o tym nie mówi. Ja wiem od Miriam. - Zawahał się lekko. - A opowiedziała mi o tym dopiero rok po ślubie.

- Czuję, że coś jest na rzeczy - stwierdziła Lola. - W towarzystwie swej matki i siostry

Raph robi się jakiś dziwny. To znaczy... widać, że są sobie bliscy, ale to nie taka bliskość, jaka łączy ludzi, którzy się kochają. Trudno to nazwać czułością.

Johnny spojrział na nią z uznaniem; nie jest głupia, pomyślał, powiedział jednak lojalnie:

- Są do siebie bardzo przywiązani.

- Tak, ale nie wydaje ci się, że nie bardzo lubią być razem? Jakoś ich to nie cieszy. Dla mnie wygląda to tak, jakby coś im kazało być razem, jakby działała na nich jakaś siła... jakże to się nazywa?... Nie odśrodkowa, tylko odwrotnie.

- Dośrodkowa.

- No właśnie. I to ona nie pozwala im od siebie uciec, mimo że czasami mają na to ogromną ochotę.

- Taka tragedia zazwyczaj bardzo mocno łączy pozostałych przy życiu członków rodziny.

- Tak myślisz? Pewnie masz rację. Być może dlatego Diana zawsze wydaje się taka... nie wiem, jak to określić... jakby miała na sobie lodowy pancerz. Jakby rzeczywistość była dla niej zbyt trudna do zniesienia.

- Widzę, Lolu, że nie jesteś tylko ładną buzią - zauważył Johnny, ponownie napełniając szklanki. Siedzieli przez chwilę w przyjaznym milczeniu, patrząc na ogród, który powoli pogrążał się w zmierzchu. - Cieszę się, że jesteś z Raphem. Dobrze mu z tobą. A my dwoje... wiesz, Kirsten zawsze mówiła, że partnerzy Howesów muszą stać ramię w ramię... Pewnie dlatego, że cała ich trójka tak mocno trzyma się razem.

Lola obdarzyła go za to uśmiechem, od którego mężczyzna może oślepnąć.

- Z tobą, Johnny, zawsze będę stać ramię w ramię.

- Bardzo się cieszę. Nie masz mi za złe, że wspomniałem przy tobie o Kirsten?

- Nie. Czuję się zagrożona tylko przez młodsze i ładniejsze ode mnie kobiety. Miałabym się przejmować jakąś starą nieżywą smutaską?

- Co? - Tak go zaskoczyła tą wypowiedzią, że aż zabrakło mu tchu. Zawsze tak było, gdy spotykał się z czymś bezsensownym okrucieństwem.

Lola momentalnie zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Pewnie przez te bąbelki.

- Przecież to prawda, że nie żyje - powiedziała obronnym tonem - i że musiała być smutna, skoro odebrała sobie życie.

Johnny odstawił szklankę.

- Kirsten - powiedział cicho, acz dobitnie - była najbardziej błyskotliwą, najbardziej zachwycającą kobietą, jaką znałem. Jej śmierć to potworna tragedia. Nigdy więcej nie mów o



niej w tak okropnie nonszalancki sposób.

- Okej. - Lola wlała do swej szklanki resztę wina i spojrzała w stronę ciepłarni, z której właśnie wyłoniła się Miriam. - Odwiedziłeś Kirsten zeszłej zimy? Kiedy wróciła do Stanów?  
- spytała niedbale.

- Tak. Czemu o to pytasz?

- Tak tylko... bez powodu. Hej, Miriam, jak tam sytuacja w kuchni?

- Dobrze - odrzekła machinalnie Miriam, wędrując niespokojnym spojrzeniem po rządach płonących świeczek. - Czy naprawdę musi ich być aż tyle?

Jej mąż natychmiast podniósł się z krzesła i opiekuńczo objął ją ramieniem.

- Nie bój się, kochanie. Zapewniam cię, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. - Wolał nie patrzeć na Lolę, żeby nie oglądać jej domyślnego uśmiešku. Wydaje jej się, że rozgryzła całą tę rodzinę, ale się grubo myli. Nie takie to łatwe.

\*

- Kto ma ochotę na brandy?

Odłożywszy deserowy widelczyk, Raph opadł na krzesło z westchnieniem głębokiej satysfakcji. Udała mu się ta kolacja. Raz jeszcze udowodnił, że jest znakomitym kucharzem, prawdziwym profesjonalistą.

Lola zlizwała z łyżeczki resztki czekolady.

- Pycha - orzekła.

- Hm. Byłoby jeszcze lepsze z niesolonym masłem - zauważył skromnie, widać było jednak, że duma wprost go rozpiera.

- Mnie smakowało.

Widziała, jakim wzrokiem obserwuje jej krążący po wargach język. Nie wiedziała, czemu tak się dzieje, ale gotowanie zawsze mocno go podniecało. Gdyby nie to, wolałaby jadać w restauracji.

- Ja bym się napił brandy - oświadczył Johnny, wyjmując z kieszeni grube cygaro. - Zostaw to, kochanie - zawołał, widząc, że Miriam zaczyna sprzątać ze stołu. - Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Lola zdawała sobie sprawę, że to aluzja pod jej adresem. Powinna natychmiast zerwać się na nogi jak rasowa *hausfrau*. Cóż, kiedy wprost wyjątkowo nienawidziła zmywania, a poza tym skoro Miriam tak bardzo pragnie odgrywać rolę domowego popychadła, czy wypada psuć jej przyjemność?

- Ja się tym zajmę - włączył się Raph - a ty usiądź, Miriam. Odpręż się, moja droga.

- „Odpręż się”? Dla Miri takie słowo nie istnieje - zażartował Johnny.

Raph zerknął na Lolę, która z resztek stopionej świecy ugniatała małe kulki. Było to spojrzenie pełne aprobaty.

- Powinna się uczyć od Loli - stwierdził całkiem serio.

Rzuciła w niego kulka, ale on już zmierzał w stronę domu.

Dianie najwyraźniej nie podobała się postawa Loli, mimo to nic nie mówiła. Nie miała zwyczaju wypowiadać jakichkolwiek negatywnych uwag, co Lola zaliczała jej na plus zwłaszcza w takich momentach jak ten, kiedy Raph jakże wspaniałomyślnie brał na siebie jej obowiązki.

Nie było go długą chwilę. Lola nie żywiła nadmiernej nadziei na to, że zaczął już ładować brudne naczynia do zmywarki, a ponieważ następnego dnia ich stała sprzątaczką miała wolne, pomyślała melancholijnie, że będzie pewnie zmuszona zająć się tym sama. Nie chciała narzekać, lecz nie cieszyła jej ta perspektywa. Johnny tymczasem wdał się w długą opowieść o trudnościach związanych z renowacją Wardley. Każdy plan dotyczący konserwacji wieży, opowiadał, trzeba konsultować z taką masą ludzi, że nie sposób ruszyć z miejsca. Wszyscy powtarzają, że to przecież bezcenny zabytek...

- Miriam! - przerwał mu donośny okrzyk Rapha. Żadne z siedzącej w ogrodzie czwórki nie zauważyło, że wrócił, co gorsza, jak natychmiast spostrzegła Lola, wcale już nie wyglądał na pełnego satysfakcji gospodarza. - Miriam, czy to ty...? - huknął, nie kończąc zdania. Patrzył tylko na siostrę z taką furią, że Lola niemal zaczęła jej współczuć.

Diana odchrząknęła niespokojnie.

- Takie miłe są te wrześniowe wieczory - poinformowała wszystkich. - I prawie nie słychać ulicznych hałasów.

Raph nie zwrócił uwagi na matkę. Nadal piorunował wzrokiem Miriam.

- Czy to ty? - powtórzył nie wróżącym nic dobrego tonem.

Wybałuszyła na niego oczy. Jej płaska, szeroka twarz zawsze kojarzyła się Loli z jakimś ziemnowodnym stworem, a dziś bardziej niż kiedykolwiek przypominała żabę, lecz o dziwo, zamiast się przestraszyć krzyku brata, nagle się uśmiechnęła.

- O co chodzi, Raph? Czy coś zginęło?

- Nie udawaj, do diabła! Dobrze wiesz, że tak!

- Co zginęło? - zaniepokoił się Johnny.

- Ją o to spytaj. Ona wie.

- Miri?

Nie odpowiedziała, lecz jakimś cudownym sposobem z jej twarzy zniknął wyraz niepokoju, z którym obnosiła się przez cały wieczór. Ha, wydawała się nawet

podekscytowana!

Raph stanął nad nią.

- Do diabła, co z nim zrobiłaś?

- Wcale go nie mam.

- O czym wy mówicie? - wtrącił Johnny.

- Nie wierzę ci - syknął Raph. - Kiedy go ukradłaś?

- Nie był twój.

- Nie twoja sprawa.

Diana zaczęła kręcić się nerwowo, jak zwykle gdy w powietrzu wisiał jakiś konflikt.

- O, to już dziesiąta? - rzuciła z przesadnym zdziwieniem. - Pora obejrzeć wiadomości.

- My też powinniśmy się zbierać - oświadczyła Miriam. - Chodź, Johnny.

- Nie tak szybko! - warknął Raph. - Muszę się wpierw upewnić, że go naprawdę nie masz.

- Proszę bardzo, możesz przeszukać nasze rzeczy.

- To śmieszne! - zawołał Johnny. - O co wy się kłócicie? Powiedzcie, na miły Bóg!

Raph opadł na krzesło i zakrył rękami oczy.

- O dziennik Kirsten. Ten ostatni. Zabrałem go z Gull Cottage, kiedy byłem tam razem z Sam. Pomyślałem po prostu, że lepiej go nie ujawniać.

- Cała spuścizna po Kirsten należy przecież do Sam - zaprotestował Johnny. - Ty i Kirsten byliście w separacji.

- Z punktu widzenia prawa nie była to separacja. Formalnie byliśmy nadal małżeństwem.

- Tylko formalnie. Wszystkie papiery po matce są w posiadaniu Sam, powinna więc mieć i ten dziennik.

- Teoretycznie tak - westchnął Raph - ale pomyśl, co ona teraz przeżywa. Chciałem po prostu ją chronić.

- Przed czym, na Boga?

Raph nie odpowiedział.

- No tak, jasne, że to Sam - mruknął po chwili milczenia.

- Powiedz, Lolu, kto tu dziś był? Może Sam?

- Skądże! - zachnęła się Lola. - Przecież bym ci o tym powiedziała.

- A inni?

- Dwaj policjanci, ale oni na pewno nic nie wzięli.

- Nie chodzi mi o nich.

- A o kogo? Ach, był tu ten młody człowiek, który u ciebie pracuje. Ten Mick Jakmutam... - Lola sprytnie udała, że nie pamięta nazwiska. - Czyżbyś go podejrzewał?

- Och, nie. Nazywa się Mick Brady i nie ma z tą sprawą nic wspólnego. To musiała zrobić Sam, tylko skąd wiedziała...?

Lola była nie tylko zdumiona, ale i kompletnie zbita z tropu. Przypadkiem widziała ten dziennik, kiedy Raph przywiózł go z Gull Cottage. Był wtedy tak roztrzęsiony, że zostawił notatnik na toaletce w swojej garderobie, a ponieważ wszystko, co miało związek z jego świeżo zmarłą żoną, budziło w niej żywą ciekawość, postanowiła przejrzeć zapiski. Treść bardzo szybko przestała ją interesować. Nie znalazła żadnych pikantnych opisów łóżkowych igraszek z Raphem ani też z innymi kochankami; były tam tylko fragmenty jakichś wierszy, głównie o ptakach, i niezrozumiałe notatki. Doprawdy nic ciekawego, i o co tu tyle szumu?

- Och, Raph, to był uroczy wieczór - wyrecytowała Diana z tym swoim pustym uśmiechem. - Jestem ci za to ogromnie wdzięczna. I tobie, Lolu. Doprawdy było cudownie.

Raph nalał sobie potężną dawkę koniaku, zakręcił szklanką i odrzekł z lekkim przekąsem:

- Masz rację, mamu, ale przecież to rozumiałe. Jesteśmy po prostu najszcześniejszą rodziną na świecie, nieprawdaż? Nic nigdy tego nie zmieni.

- Tak, to był uroczy wieczór - powtórzyła jego matka. - Zastanawiam się właśnie, czy jeszcze w tym roku będziemy mogli tak sobie posiedzieć w ogrodzie.

- Grożą nam podobno burze i ulewy. Tak twierdzą meteorolodzy - poinformowała ją Miriam.

Jej brat chwycił się za głowę.

\*

Siedząc na brzegu łóżka, Diana nadsluchiwała dochodzących z dołu kroków Rapha i Loli. Starła się myśleć tylko o konkretach - o doskonałym czekoladowym musie przygotowanym przez Rapha, o tym, jak pięknie wyglądał ogród oświetlony mnóstwem płonących świeczek, o plamie na swojej spódnicy, niestety, fale strachu wzbierające raz po raz w żołądku w żaden sposób nie chciały ustąpić. Nakazała sobie myśleć o swych jutrzejszych zajęciach: trzeba pojechać do sklepu, poszukać ładnej tkaniny na obicie starego fotela. Najlepiej będzie wziąć do domu próbki i spokojnie się zastanowić. W tak ważnej sprawie nie ma się co spieszyć. Ach, no tak! Trzeba również kupić jakiś kryształ; córka sąsiadki wychodzi za mąż. Wszystko to zajmie ładnych parę godzin. Prawie całe popołudnie.

Strach jednak ciągle w niej tkwił. Miała uczucie, że coś się skrada w ciemności, że na jej niewielką rodzinę czyha niebezpieczeństwo. Jest jak fala przyływu, która na razie liże

tylko brzegi, lecz z dnia na dzień staje się coraz wyższa i coraz groźniejsza. Czy były w jej życiu chwile, kiedy nie czuła strachu? Nie. Zawsze się trochę bała. Prawdę mówiąc, nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez tego niechcianego towarzysza. Nie zawsze jednak był aż tak dokuczliwy jak teraz. I tak uparty.

Położyła się na poduszkach, naciągnęła kołdrę pod brodę i zapatrzyła się w ciemność.

Trzeba utrzymać rodzinny statek na fali. Tylko jak to zrobić?

\*

Raph odłożył telefon i zaczął rozsznurowywać buty. Lola przed chwilą taktownie wycofała się do łóżka, nie zadając mu żadnych pytań, i chyba zasnęła lub udawała, że śpi. Mniejsza o to.

Powinien był zniszczyć ten dziennik od razu po przeczytaniu. Zabierał się do tego kilka razy, już nawet włączył niszczarkę; zamierzał wyrzucić szczątki do śmietnika razem z resztą domowych odpadków, cóż, kiedy w żaden sposób nie potrafił się na to zdobyć. Czytając pamiętnik Kirsten - za pierwszym razem bardzo szybko, za drugim bardzo uważnie - miał zdumiewające wrażenie, że znowu słyszy jej głos. Jej cudowny, jedyny w świecie głos. Dźwięczały mu w uszach te szerokie środkowozachodnie samogłoski nadające każdej frazie rytm spokojnej rzeki zmierzającej powoli ku morzu.

Tęsknił za jej uśmiechem, za ciepłym zapachem jej ciała, lecz najbardziej brakowało mu jej głosu, tego głosu, którego jak mówił sobie z rozpaczą, nigdy już nie usłyszy. Dlatego nie potrafił zniszczyć notatnika, jedynej rzeczy, która mu po niej została.

A teraz było już na to za późno.

Wyrzucał sobie słabość, ale czy była to słabość?

\*

- Muszę jeszcze zadzwonić - oznajmiła Miriam mężowi po powrocie do ich londyńskiego mieszkania. Po śmierci Anthony'ego zmuszeni byli sprzedać swój wygodny dom przy Ladbroke Grove, żeby pokryć koszty pogrzebu i uregulować inne należności, lecz na szczęście zostało im trochę pieniędzy, za które kupili to skromne mieszkanko nieopodal Gloucester Road. Johnny korzystał z niego bardzo często; spędzał w Londynie kilka dni w tygodniu. Podobno w interesach. Nie zawsze była absolutnie pewna, czy to rzeczywiście interesy. - Kładź się już, Johnny - dodała z uśmiechem - ja zaraz przyjdę.

- Dobrze, kochanie. - Wszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę przyglądała się tym drzwiom ze znajomym niepokojem w sercu. „Dobrze, kochanie”. Jak obojętnie to brzmiało! Ostatnio każda jego uprzejmość wydawała się rutynowa. Prawdziwa czułość dawno już zniknęła. Owszem, pozostał miły i lojalny, bo po prostu taki miał

charakter. Wiedziała o tym, wychodząc za mąż; był to jeden z powodów, dla których go poślubiła, aczkolwiek nie najważniejszy. Najważniejsze było to, że zaprzyjaźnił się z Raphem (nie miał dotąd bliskich przyjaciół), a ona zdała sobie sprawę, że może stracić jedynego brata, jeśli w jakiś sposób nie zwiąże ze sobą ich obu. Przez długie lata po śmierci ojca Raph wiernie stał u jej boku, lecz gdy poślubiła Johnny'ego, nagle odsunął się od niej, mimo że Johnny był przecież jego przyjacielem, najbliższym i prawdę mówiąc, jedynym. Odsunął się od niej? Cóż za dziwne słowa przychodzą jej na myśl. Raph nigdy tego nie zrobi. W ich stosunkach nic się nie zmieniło poza tym, że Johnny stał się członkiem rodziny... Spajająca rodzinny krąg więź pozostała nienaruszona.

Ta więź musi nadal istnieć. Nie wolno dopuścić, żeby pękła. Nigdy i w żadnych okolicznościach. Trzeba zdobyć ten dziennik. Na szczęście jest ktoś, do kogo można się zwrócić... Szybko przekartkowała notatnik telefoniczny, po czym otworzyła go na stronie oznaczonej literą „C”.

Tak, to logiczne. Kiedy stłucze się szyba lub samochód wymaga naprawy, wzywa się fachowca. To jest podobna sprawa. Sytuacja awaryjna. Czemu nie załatwić jej w taki sam sposób?

Zakończywszy rozmowę, przez chwilę siedziała bez ruchu. Czowała się wyczerpana. Nie tyle zmęczona, ile jakby... wypłukana ze wszystkiego. Tak było zawsze, gdy zmuszona okolicznościami zaczynała działać. Każdy taki akt woli pozostawiał po sobie to uczucie. Nie zdarzało się to często. Nikt by nie mógł jej tego zarzucić.

Było to jednak dobre uczucie. Przynosiło ulgę.

W takich chwilach wspomnienia stawały się prawie znośne. Teraz też przed oczami stanął jej dom, w którym mieszkała w dzieciństwie, kiedy jeszcze żył ojciec - biały dom z pięcioma oknami, tak jak rysował go Raph.

Czy ten dom naprawdę tak wyglądał, czy może zawodzi ją pamięć, ustępując pola wyobraźni? Są jednak rzeczy, których się nie zapomina.

Wtedy też panował upał. Tak duszny, że trudno było oddychać.

Przez widoczną z okien domu łąkę biegł Raph, niosąc w ramionach martwego pieska. Ulubienca tatusia. Och, wiedział doskonale, że nie wolno mu się z nim bawić! Dlaczego nie posłuchał ojca? Czyżby całkiem zapomniał, co się stało, kiedy poprzednim razem zabrał Chippy'ego na spacer? O Boże, jak tu duszno! Zaczynało brakować jej tchu.

- Dostaniesz nauczkę, której do końca życia nie zapomnisz - powiedział wtedy ojciec. - Przynies tu swoją świnkę morską.

Miriam właściwie nie lubiła tej świnki, lecz starała się z tym nie zdradzać. Nie chciała

sprawiać przykrości Raphowi, a poza tym wbito jej w głowę, że dzieci powinny lubić zwierzęta i troszczyć się o swych ulubieńców. Tylko że Tuppence miała takie głupie czarne oczka, które nie zmieniały nigdy wyrazu, i bardzo ostre pazury, którymi mogła dotkliwie podrapać, jeśli nie trzymało się jej jak należy.

Raph przyniósł świnkę, a ojciec kazał im wyjść do ogrodu i zaczął tam kopać dziurę, w miejscu gdzie posadzono niedawno kartofle, toteż ziemia była jeszcze miękka. Była to bardzo głęboka dziura. Gdy skończył kopać, włożył Tuppence do pudełka i mocno zacisnął wieko. Świnka rzucała się jak szalona, drapiąc po ściankach swojego więzienia, ale ojciec nie puszczał pokrywki. Włożył pudełko do dołu i zasypał ziemią, którą starannie wyrównał. Miriam płakała, ale Raph tylko patrzył, jakby nie rozumiał, co się dzieje.

- Teraz mogę się z nią pobawić? - zapytał.

- Jutro - odrzekł ojciec.

Wtedy dopiero Raph zaprotestował.

- Ale ona nie chce tam być! Wypuść ją! Nie ma czym oddychać w tym dole!

Oboje krzyczeli wniebogłosy, gdy ojciec włókł ich do domu. Nie pozwolił im wyjść aż do rana. Miriam tej nocy nie zmrużyła oka. Kiedy rankiem odkopali tekturową trumnę, Tuppence była zimna i sztywna.

Ojciec odnalazł ich nad dołem.

- Niech to będzie dla ciebie nauczką - powiedział z okrutnym uśmiechem do Rapha. - Jeśli następnym razem pozwolisz sobie na nieposłuszeństwo, ty znajdziesz się w takim pudle. Zrozumiałeś?

A Raph znów go nie posłuchał, myślała z rozpaczą Miriam, patrząc na brnącego przez trawę braciszka z nieżywym Chippym w ramionach. Tym razem to Raph znajdzie się pod ziemią...

\*

- Źle się czujesz, kochanie? - spytał Johnny. W ciemności nie widział łez toczących się po jej twarzy.

- Przytul mnie - poprosiła. - Po prostu mnie przytul.

## 10

*Nie mogłam już tego wytrzymać*

- Na litość boską, czemu nie powiedziałaś nam o tym od razu? - wykrzyknął Raph.

Rzadko bywał tak zdenerwowany.

- Myślałam, że to nieważne.

- Nieważne? To, że miałaś kochanka? Kobieto, czy ty nie rozumiesz, co by prokuratura mogła z tego zrobić? Ależ by mieli używanie!

Grace Hobden utkwiła w nim puste spojrzenie. W takich chwilach jej blada szeroka twarz nabierała wyrazu krowiej tępoty. Więzienne jedzenie i środki uspokajające, których jej tu pewnie nie szczędzono, nie poprawiły jej wyglądu. Przybrała na wadze, brudne włosy tłustymi strąkami opadały jej na policzki. Okrzyk Rapha nie wzbudził w niej żywszej reakcji. Nadal niespokojnym ruchem skubała wystrzępione skórki przy paznokciach. Mick przyglądał jej się z mieszaniną zakłopotania i swoistej fascynacji. Próbował wyobrazić sobie tę pospolitą kobietę z nożem w ręku i gest, jakim wbija ostrze w brzuch śpiącego męża, jednak „taśma” z całym tym incydentem, którą starał się odtworzyć w głowie, po prostu nie chciała ruszyć. Wciąż miał uczucie, że w tej dziwnej układance brakuje jakiegoś fragmentu. Czy tym elementem jest ujawniony przed chwilą kochanek?

- Grace, musisz nam pomóc. Postaraj się, proszę - odezwał się Alan Caulder, jej stały doradca prawny. Już po raz drugi wszyscy trzej odwiedzili ją w więzieniu i znowu było tak samo: nie odmawiała współpracy, lecz z jej zachowania można było sądzić, że chce się poddać bez walki. - Próbujemy wymyślić jakiś sposób, żeby cię z tego wyciągnąć - mówił dalej Alan - póki jednak nie powiesz nam czegoś, co by mogło przekonać sędziów... - Za tym urwanym zdaniem kryła się pewność, że żaden cud nie uchroni jej przed dożywociem. Alan mówił to zresztą Raphowi, zanim jeszcze tu przyszli.

- Przepraszam - szepnęła tak cicho, że prawie niedosłyszalnie - ale Fergus nie miał nic wspólnego z tym... z tym, co zrobiłam.

- Chcesz mi wmówić - warknął Raph - że to zwykły zbieg okoliczności?

W milczeniu kiwnęła głową.

- Więc przyjmij do wiadomości, że ci nie wierzę.

Grace wbiła wzrok w podłogę. W pokoju zapadła cisza. Z odległej części więzienia niosły się czyjeś podniesione głosy, walenie w drzwi i ostry kobiecy krzyk.

- Jesteś w ciąży, Grace? - spytał nagle Raph.

Drgnęła gwałtownie.

- Skąd pan wie?

- Raptem mnie olśniło - odrzekł z uśmiechem. Głos też mu się zmienił. Brzmiał teraz tak, jakby ten intuicyjny domysł pozwolił mu nawiązać bliższą więź z klientką. - Posłuchaj, Grace, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jestem po twojej stronie. Wszyscy trzej chcemy ci



pomóc. Być może są ludzie, którzy uważają cię za złą kobietę, zasługującą na długoletnie więzienie, ja jednak jestem przekonany, że miałaś powód to zrobić.

- Bił mnie - powiedziała drewnianym głosem.
- Wiem, już to mówiłaś, ale sądzę, że to nie wszystko.
- Musiałam to zrobić.
- Dlaczego?

Mick nie poznawał Rapha. Jego mentor, tak zwykle pełen dystansu wobec swych klientów, przemawiał do tej kobiety jak połączeni w jedno dobrotliwy ojciec, spowiednik i lekarz. Można by pomyśleć, że wcale nie siedzą w tym ponurym pokoju bez okien, z łuszczącą się na ścianach farbą i podrapanym stołem, lecz gawędzą sobie poufnie w jakiejś przytulnej kafejce. A więc tak chce się przebić przez wszystkie te mury obronne, które wokół siebie zbudowała, pomyślał z podziwem.

Gdy wreszcie spojrzała w twarz swemu obrońcy, Mick odniósł wrażenie, że próbuje ocenić, do jakiego stopnia może mu zaufać. Wyraz krowiej tępoty zniknął z jej twarzy, a w jego miejsce pojawiło się coś innego. Wyglądała teraz jak bystra kobieta dokonująca błyskawicznej kalkulacji swych szans. Po chwili odwróciła oczy. Sprawdzian, któremu poddała Rapha, musiał chyba wypaść negatywnie.

- Nie może mi pan pomóc - stwierdziła. - Zabiłam męża i muszę ponieść za to karę. Życie za życie.

- Może niekoniecznie.

Wzruszyła ramionami. W pokoju zapadła znów cisza.

Alan zakłopotany odmową współpracy z najlepszym obrońcą, jakiego mógł jej wynaleźć, próbował interweniować.

- Posłuchaj, Grace, jeśli dostarczysz takich informacji, o jakie nam chodzi, postaramy się zmienić kwalifikację czynu z morderstwa na zabójstwo. Dostaniesz niższy wyrok, rozumiesz? Jeśli uda nam się udowodnić, że zostałaś sprowokowana lub działałaś bez premedytacji, nie będziesz długo siedzieć w więzieniu. Może nawet całkiem krótko. Chciałabyś tego, prawda?

Po jej twarzy przemknęło lekkie ożywienie, mimo to rzuciła lekceważąco:

- To niemożliwe.
- Dlaczego tak sądzisz? - spyta! Raph.

Zamiast odpowiedzieć, zajęła się znowu obrywaniem skórek.

- Uważasz się za osobę, której nigdy nie zdarza się nic dobrego? Którą wciąż prześladowają źli ludzie?

Kiwnęła głową.

- A wtedy, no wiesz, co ci groziło?

Odwróciła się na krzesło o sto osiemdziesiąt stopni i mruknęła, patrząc w ścianę:

- Mój mąż zamierzał... - pozostała część zdania była niesłyszalna.

- Co zamierzał? - przynaglił ją Raph.

Szepnęła coś z ręką na ustach.

- Powiedz, co chciał zrobić! - Raph tak wychylił się z krzesła, że prawie dotykał jej pleców. - Zamierzał cię zabić?

Potwierdziła to ruchem głowy.

- Dlaczego?

Zaczęła głośno dyszeć, wbijając palce w drewniane oparcie krzesła.

- Z jakiego powodu Paul Hobden zamierzał cię zabić? - nieustępliwie powtórzył Raph.

Jej reakcja była równie gwałtowna, jak nieoczekiwana. Błyskawicznie obróciwszy się do niego twarzą, zerwała się na równe nogi z oczami płonącymi furją.

- Z powodu dziecka! - krzyknęła. - Bo byłam w ciąży! A dziecko nie było jego!

- Mąż wiedział, że jesteś w ciąży?

- A skądże! Wciąż pan nie rozumie? Gdyby ten drań o tym wiedział, już bym nie żyła!

- Zabiłby cię za to, że nie był ojcem twego dziecka?

- No pewnie. - Jej twarz znów się zmieniła. Teraz obok furii malowało się na niej obrzydzenie, pogarda i desperacja. - Od miesięcy zażywał viagrę i wszystko, co wpadło mu w ręce, ale bez żadnego skutku. Przez to także ciągle tłukł mnie, ile wlezie, wredny gnojek. Czuł, że mam kogoś, ale do łba mu nie przyszło, że to może być Fergus. Chociaż nic mi nie mógł udowodnić, wciąż się nade mną pastwił. Powiedział też, co mi robi, jeśli spróbuję od niego uciec.

- To znaczy?

Grace powoli usiadła na krzesle. Wyglądała teraz jak przekłuta dętka, a na jej twarzy znów pojawił się ten krowi wyraz.

- Powiedział, że zabije mnie i dzieci, a potem siebie. I że ucieczka nic mi nie pomoże, bo znajdzie mnie na końcu świata.

- Uwierzyłaś mu?

- Och tak!

- Miał broń?

- Jego brat, który mieszka koło Newcastle, ma strzelbę i w zeszłym roku pożyczył ją Paulowi, gdy w garażu zaległy się szczury.

- Myślisz, że byłby zdolny zabić dzieci?

- Ja to wiem.

- Aha.

- Pan uważa, że zmyślam, żeby się z tego wykręcić? - krzyknęła gniewnie. - Takie rzeczy zdarzają się na każdym kroku! Wciąż piszą o tym w gazetach! O, parę tygodni przed tym, jak załatwiłam Paula, pisali o jednym Azjacie. Miał takie śliczne dzieciaczki! - Nie zważając na łzy, które nagle trysnęły jej z oczu, zaczęła tak gwałtownie wyrzucać z siebie słowa, jakby pękła w niej jakaś tama. - Najmłodsze było jeszcze niemowlęciem! Najpierw zadźgał nożem ich matkę, potem te biedactwa, a na końcu siebie, głupi sukiny! Ja nie zamierzałam siedzieć i czekać, aż mój mąż zrobi to samo z nami! Może wyglądam na głupią, ale aż taką idiotką nie jestem! Wiem, że zabójstwo to zła rzecz! Tak, postąpiłam źle, ale przynajmniej żyję, a moje dzieci są wreszcie bezpieczne! Ten łajdak - załkała - już nic im nie może zrobić, i to jest najważniejsze! A ze mną niech się dzieje, co chce! Nie dbam o to i niczego nie żałuję! Gdyby wstał z martwych, zrobiłabym to jeszcze raz! Och, nawet dziesięć razy! Musiałam to zrobić!

- Dziękuję ci, Grace - powiedział z szerokim uśmiechem Raph. Wydawał się tak zadowolony, jakby go ktoś obdarował czymś niezwykle cennym. - To, co powiedziałaś, bardzo nam się przyda. I wiesz, co myślę? Że chyba jednak zdołamy ci pomóc.

- Prowokacja? Chwilowa niepoczytalność? - rzucił podekscytowany Alan.

Klientka zgromiła go wzrokiem. Mick, patrząc na nią, pomyślał, że znacznie łatwiej mu teraz wyobrazić ją sobie szlachtującą męża zwyczajnym kuchennym nożem.

- Nieprawda! - krzyknęła z płaczem. - Bardzo dobrze wiedziałam, co robię! Niech mnie diabli, jeżeli pozwolę zrobić z siebie wariatkę! Nigdy!

- Uspokój się, Grace - próbował uciszyć ją Alan, ale Raph z uśmiechem pokiwał głową.

- Ja jestem pewien, że świetnie wiedziałaś, co robisz. Twój czyn był wynikiem logicznej analizy sytuacji. Doszłaś do wniosku, że nie masz innego wyjścia, prawda?

Przestała płakać i zerknęła na niego podejrzliwie, jakby się bała, że ten chytry prawnik chce wciągnąć ją w jakąś pułapkę.

- Musiałam to zrobić - powtórzyła z głuchym uporem.

- Premedytacja to ostatni gwóźdź do jej trumny - niespokojnie zauważył Alan Caulder. - Jeśli przysięgli orzekną morderstwo, a tak na pewno się stanie, nie wybronisz jej przed dożywociem.

Raph wcale się tym nie przejął.

- Zapominasz o obronie koniecznej. Jeśli udowodnimy, że nie miała innego wyboru,

Grace będzie wolna.

- Ale...

Raph wstał i uściśnął dłoń swej klientki.

- Głowa do góry, Grace. Wyciągnę cię stąd. Zobaczysz, na Boże Narodzenie będziesz już w domu z dziećmi. Myśl tylko o tym.

Mick i Alan wymienili spojrzenia. Prawda, że pełen nadziei klient chętniej współdziała ze swoim obrońcą, jednak z punktu widzenia etyki jest rzeczą niedopuszczalną obiecywać komuś uwolnienie, gdy szanse na to są tak niepewne. Mruknąwszy Grace „do widzenia”, pospieszyli za Raphem do wyjścia. Idąc długim więziennym korytarzem w towarzystwie muskularnego strażnika, Alan uznał za stosowne dać wyraz swym wątpliwościom:

- Wiem, Raph, że współczujesz tej kobiecie, ale czy to rozsądne rozbudzać w niej takie nadzieje? Przecież wiesz, że czeka ją odsiadka, jeśli nawet zdołamy przekonać przysięgłych, że było to tylko zabójstwo.

- Obrona konieczna - rzucił przez ramię Raph, który wysforował się naprzód. - Już ci mówiłem. Jeśli udowodnimy, że podjęła całkowicie uzasadnioną decyzję w najlepiej pojętym interesie dzieci, sąd musi się zgodzić na taką kwalifikację. Bóg widzi, że ta kobieta i jej biedne dzieci dość się nacierpiały. Niech teraz zaznają choć trochę sprawiedliwości. Najwyższa na to pora, nie uważasz? Ja w każdym razie pragnę zafundować im szczęśliwą Gwiazdkę i dotrzymam swojej obietnicy. Bierz się do roboty, Mick.

Mick zrównał się z mistrzem przy kolejnych zamkniętych drzwiach, obok których stał strażnik z kluczami.

- Patrząc na to realistycznie, myślę, że najlepsza linia obrony polegałaby na tym...

- Pieprzyć realizm! Ta kobieta musi stąd wyjść! Wszystko albo nic. Rzuć w diabły koncepcję zabójstwa. Z jakiej racji nasza klientka ma przyznawać się do zabójstwa, skoro to, co zrobiła, było uznanym przez prawo aktem samoobrony? Wystarczy przekonać ławę, że logicznie rzecz biorąc nie miała innego wyjścia.

Mówił to z taką pewnością siebie, że Mick nieomal uwierzył w wygraną, ale trwało to tylko przez moment.

\*

Po wyjściu z budynku Mick i Alan pożegnali Rapha, a potem wymienili kilka smętnych uwag na temat proponowanej przez Howesa ekscentrycznej linii obrony. Mick przyrzekł koledze, że on osobiście będzie trzymał się bardziej utartych ścieżek. Choć żaden z nich tego nie mówił, obaj myśleli z niepokojem, że Raph zdecydowanie przekroczył niewidzialną linię dzielącą klienta od jego obrońcy, tracąc przy tym zawodowy obiektywizm. Dlaczego to

zrobił? - zastanawiał się Mick. Nie mógł przecież zadurzyć się w Grace! To nieprawdopodobne, żeby mężczyzna, który ma w domu takiego kociaka jak Lola, mógł choćby na chwilę zainteresować się kobietą już nie tylko całkiem nieciekawą, lecz w dodatku jeszcze zabójczynią. Nieprawdopodobne, ale możliwe, doszedł po chwili do wniosku. Mało to jest mężczyzn, którzy mają fantastyczne żony, a zadają się z dziwkami o twarzach jak stary kapeć? Swe rozważania zakończył refleksją, że widocznie dość słabo zna jeszcze Rapha.

Pożegnawszy Alana, złapał autobus do Euston, a potem spacerkiem ruszył po Gower Street. Do umówionego spotkania z Sam miał jeszcze całe pół godziny, kupił więc w jakiejś kafejce butelkę wody mineralnej, po czym usadowił się na skwerze, wybrawszy w tym celu jedną z zacienionych ławek. Wciąż jeszcze nie podjął decyzji, czy odda Sam dziennik jej matki. „Masz dziennik?” - spytała natychmiast, gdy do niej zadzwonił. „Musimy pogadać”, odrzekł wymijająco. Trzymanie jej w niepewności było paskudną podłostką, więc czuł się z tym dość parszywie, lecz po ostatnim spotkaniu każda myśl o tej dziewczynie sprawiała, że tak się czuł. Starał się przecież być miły, okazać jej swoją przyjaźń, i proszę, co za to zyskał! Nie zamierzał się na niej mścić, uważał jednak, że należy mu się drobny rewanż. Doszedł również do wniosku, że jeśli ma dać jej ten dziennik, musi go najpierw przeczytać.

W innych okolicznościach Mick Brady miałby poważne opory przed czytaniem czyichś prywatnych notatek, tym razem jednak nie miał żadnych. Surfując po Internecie, dowiedział się między innymi, że większość manuskryptów Kirsten Waller, łącznie z jej dziennikami, trafiła już do archiwów kilku amerykańskich uniwersytetów, które udostępniają je ludziom zajmującym się jej twórczością. Należało przypuszczać, że tak samo będzie z tym ostatnim. Kirsten musiała zresztą mieć świadomość, że i te zapiski staną się niebawem własnością publiczną, w przeciwnym razie pewnie by je zniszczyła. Zrobiłby tak każdy potencjalny samobójca. Mick nie miał skrupułów również z tego powodu, że nie miała ich Sam. Jej postępowanie było tak bezwzględne, że czuł się usprawiedliwiony. A poza tym gryzła go ciekawość.

Nie pozbył się jej nadal. Tego dnia, gdy wyjął dziennik z fortepianu Rapha, przeczytał go skrupulatnie od deski do deski, zwracając szczególną uwagę na ostatnie strony; skutek był taki, że pozostało mu więcej pytań, niż ich miał na początku. Denerwujący był zwłaszcza brak odpowiedzi na najważniejsze z tych pytań: o co tyle hałasu wokół tych notatek? Z jakiego powodu Raph zadał sobie aż tyle trudu, żeby je ukryć przed Sam, a ona, żeby je odzyskać? Przecież omal nie skreśliła sobie karku.

Siedząc teraz na skwerku, wydobył pamiętnik z teczki i ponownie zaczął go przeglądać. Pismo Kirsten Waller wydało mu się dość staroświeckie. Litery były duże, a słowa wiły się i

tańczyły po stronach, przybierając miejscami takie rozmiary, że na jednej kartce mieściło się ich ledwie kilka. Ich treść była często niezbyt zrozumiała. Niektóre z tych zapisków zawierały pomysły do następnych poematów bądź całe gotowe frazy, jak na przykład „Nemezis błękitnego nieba i wody”, lecz trafiały się także zupełnie zwyczajne notatki, jak choćby: „Pamiętać o urodzinach Sam”. Były też strony, na których dla odmiany pisała maczkiem, wypełniając całą powierzchnię metaforami, fragmentami wierszy i różnymi obserwacjami. Czasem znów bawiło ją pisanie w niezwykle wymyślny sposób: ze słów powstawało coś w rodzaju kółka bądź innej figury geometrycznej albo nawet zarysu zwierzęcia. Na przykład szczegółowy opis wieczornego powrotu farmera wraz z jego bydłem z pastwiska umieszczony został w rogu strony, w formie biegnącej do wewnątrz spirali. W miarę zbliżania się do środka zagęszczała się coraz bardziej i kończyła wypisanym w samym centrum słowem „Dom”. Kilka kartek dalej inna wersja tego poematu przybierała postać krowiej głowy, obok niej zaś widniało coś w rodzaju listy zakupów: „marmolada, herbata, baterie”.

Zasadnicza część pamiętnika powstała w czasie minionej zimy, którą Kirsten spędziła w Stanach. Nie zawsze datowała swoje zapiski, ale ich zawartość pozwalała jako tako zorientować się w chronologii. Z tych najwcześniejszych można było wyczytać, że wyjazd z Anglii kosztował ją wiele bólu i że lekarstwem na to miała stać się dla niej praca. Jeśli wspominała o ludziach, to oznaczała ich zwykle literami. Dla Micka było jasne, kim są „R” i „S”, ale „A” i „M”? A osoba oznaczona literą „J”, z którą Kirsten rozmawiała o „D”? Wyobrażał sobie, jaką zagadkę będą mieć studenci. Co innego Sam. Ona pewnie zrozumie to wszystko bez trudu.

Widać było wyraźnie, że Kirsten fascynowały ptaki. Mick też w dzieciństwie miał taką fazę; skończyła się ona z chwilą, gdy zakochał się w niejkiej Amy Taggart, znanej uwodzicielce z szóstej klasy. Zupełnie wtedy zapomniał o czubatych perkozach, szlamnikach z pasiastymi ogonami i całym tym ptasim bractwie. Ale Kirsten nie była zwyczajną miłośniczką ptaków; nie posługiwała się nawet ich prawdziwymi nazwami. Te, które im nadawała, brzmiały bardzo poetycko. „Ptak letniego nieba”? Ciekawe, co to mogło być? - zastanawiał się Mick. Skowronek? Myszołów? A „złodziej lodów”? Może to nawet wcale nie był ptak, chociaż z dalszych zapisków wynikało, że jednak tak. Był również „ptak kłamstwa”, „ptak pożegnania” i „ptak morderca”. Przypuszczał, że ten ostatni może być sroką lub orłem, ale wzmianka o rozbitych skorupkach, którą znalazł na tej samej stronie, nasunęła mu myśl o drożdzie. Ciekawe, co się stało z wierszami poświęconymi tym ptakom? Pewnie ma je Sam.

Zaskoczyła go energia i entuzjazm bijące z każdej z tych stron. Nie mógł dociec, kiedy powstały ostatnie, lecz przypuszczał, że Kirsten musiała przerwać pisanie na jakiś czas przed

śmiercią, bo nie znalazł na nich ani śladu depresji, już nie mówiąc o nastrojach samobójczych. Nie był ekspertem od takich nastrojów, spodziewał się jednak, że w dzienniku samobójczyni znajdzie coś, co pomoże mu zrozumieć motywy takiego czynu lub przynajmniej będzie jego zapowiedzią. Wyobrażał sobie, że mógłby to być jakiś poetycki odpowiednik ostatniego obrazu Van Gogha, tych czarnych wron śmierci nad prowadzącą donikąd polną ścieżką, nic takiego jednak nie znalazł.

Schował znów dziennik do teczki. Nie spieszyło mu się z oddaniem go Sam. Nie chodziło tylko o szantaż ani o to, że był na nią zły. Nie miał ochoty rozstawać się z Kirsten Waller. Polubił tę interesującą i pełną życia kobietę, obdarzoną w dodatku wspaniałym poczuciem humoru i jakże niezwykłym umysłem. Można ją było pokochać. Szkoda, że córka nie odziedziczyła po niej żadnej z tych pięknych cech.

\*

Usłyszał Sam, zanim ją jeszcze zobaczył. Wyznaczyła mu spotkanie przed jakimś sklepem w Covent Garden, nie powiedziała jednak, że będzie tam grać. Nad szumem silników, rozmowami i śmiechem przechodniów niosły się czyste, matematycznie precyzyjne dźwięki sonaty Bacha.

Przystanął kawałek dalej i zaczął przyglądać się Sam. Zmieniła w końcu te ulubione spodnie khaki i czarną koszulkę na bawełnianą kwiecistą sukienkę na wążutkich ramiączkach, w której nagle nabrała kobiecości. Efekt psuły jedynie płócienne sznurowane buty, oczywiście czarne, i wystrzyżone włosy, lecz poza tym wyglądała niemal ładnie, jeśli nawet niezupełnie elegancko.

Tak kompletnie zatoneła w muzyce, że nie zwracała uwagi na ludzi, którzy co chwila przystawali obok, by położyć monetę na zmiętej dżinsowej kurtce leżącej przed nią na chodniku. Całkiem sporo było tych słuchaczy, no i nic dziwnego. Grała bardzo dobrze. Mick szczególnie znał się na muzyce klasycznej, ale nawet on wyczuwał nieomylnie, że wykonanie tego utworu zdradza rękę dobrego artysty.

Kiedy skończyła, rozległy się lekkie oklaski. Wtedy dopiero ocknęła się z transu. Wyprostowała ramiona i posłała słuchaczom dziękczynny uśmiech. Mick był zdumiony: jakże ten uśmiech odmienił jej twarz! Wyglądała jeszcze młodziej i naprawdę ślicznie.

Szybko postąpił naprzód i dorzucił funta do kupki monet. Momentalnie przestała się uśmiechać. Z kamienną twarzą podniosła monetę i wcisnęła mu ją do ręki. Widział, że patrzy na teczkę, że desperacko pragnie się dowiedzieć, czy zdobył dziennik, lecz ambicja nie pozwala jej o to zapytać. Nie szkodzi, niech się jeszcze trochę pomęczą.

Zaczęła odkręcać nóżkę wiolonczeli.

- Chciałeś porozmawiać - rzuciła, nie patrząc na niego.
- Tak. Może przy jakimś drinku?
- Dobrze. Mam ochotę na piwo. Po takim graniu strasznie chce się pić.
- Długo tu grałaś?
- Chyba godzinę. To moje stałe miejsce.
- Nie wiedziałem, że w tych sprawach obowiązuje rejonizacja.
- O tak.

Umieściwszy instrument w futerale, chwyciła go w jedną rękę, w drugą zaś składany stółek.

- Może ja coś poniosę? - zaproponował.
- Nie trzeba, jestem przyzwyczajona.

W ogródku pobliskiego pubu wszystkie miejsca były zajęte, przepchnęli się więc do środka. Mick poszedł po piwo, zerkając ukradkiem na swą towarzyszkę. Z pozbawioną wyrazu twarzą siedziała przy stoliku, wodząc palcem po blacie, lecz linia jej ramion i zaciśnięte szczęki zdradzały zdenerwowanie. Nagle poczuł się niegodziwcem: jak można tak dręczyć zdesperowaną dziewczynę, jeśli nawet nie przebiera ona w środkach.

Postawił szklanki na stole i usiadł.

- No to napijmy się.
- Na zdrowie.
- Mam dziennik.
- Domyśliłam się tego.
- Doprawdy? - Poczul się troszeczkę zawiedziony: oczekiwał żywszej reakcji.
- Raph bez przerwy bombarduje mnie wiadomościami. Przypuszczałam, że chodzi o dziennik.

- Muszę ci powiedzieć, że nie miałem zamiaru kraść tego notesu. Nie lubię szantażu. Nie wierzyłem zresztą, że zechcesz spełnić swą groźbę. - Zrobił pauzę, licząc na przyznanie, że faktycznie był to tylko blef, lecz gdy nie skorzystała z tej szansy, wyjaśnił: - Tak się jednak złożyło, że Raph nie miał czasu pojechać do domu, kiedy Lola odkryła, że ktoś się tam włamał, więc poprosił, żebym go wyręczył. Jak zatem widzisz, nadarzyła mi się okazja, lecz i to jeszcze nie zmieniło mojej decyzji. Wiesz, kiedy postanowiłem jednak zajrzeć do fortepianu? Kiedy zobaczyłem, na jaką wysokość musiałaś się wdrapać. Rany boskie, dziewczyno, tobie chyba całkiem odbiło!

- Chciałam odzyskać ten notes. Nie myślałam o niebezpieczeństwie - odrzekła, ale zauważył, że przeszedł ją dreszcz; jakby dopiero teraz uświadomiła sobie rozmiary ryzyka.



Udając jednak, że nic jej nie jest, wypija duży łyk piwa.

- Pomyślałem, że skoro ty zdobyłaś się na taki wyczyn, ja nie powinienem odmawiać ci drobnej przysługi, zwłaszcza że niewiele mnie ona kosztuje.

- Rozumiem. Dziękuję ci, Mick.

- Ten notes musi być dla ciebie bardzo ważny. - Chciał ją pociągnąć za język, a wiedział z doświadczenia, że wygłaszanie prawd oczywistych daje często dobre wyniki. Nie tym razem. Sam nie chwyciła przynęty. Wydobyć z niej czeokolwiek wymagało widocznie bardziej zaawansowanych metod psychologicznych; pewnie ekwiwalentu noża do otwierania ostryg, pomyślał nieco zgryźliwie. Zezłościł się nagłe na siebie: po jakie лихо w ogóle próbuje cokolwiek od niej wyciągnąć? Po co mu to potrzebne? Nic już nie mówiąc, wyjął z teczki notatnik i położył na stole.

Głośno wciągnąwszy powietrze, chwyciła go jak diabeł dobrą duszę.

- Dzięki Bogu! - sapnęła. - Czy w tym schowku było coś jeszcze?

- Nie, tylko to.

Nie było powodu przedłużać tego spotkania, chyba że dla piwa, które jeszcze pozostało w szklankach. Co do reszty... Mick przestał się już spodziewać, że dowie się czegoś nowego o swojej dziwnej znajomej, żeby jednak podtrzymać konwersację, powiedział:

- Musiała być naprawdę niezwykłą kobietą. Mówię o twojej matce.

Skinęła głową. W taki sposób przyciskała ten notes do piersi, jakby to była poduszka elektryczna lub termofor. Pomyślał, że widocznie właśnie tak na nią działa. Pod wpływem tej myśli ogarnął go gniew na Rapha: jak mógł jej tego odmawiać?

- Jak myślisz, dlaczego Raph nie chciał ci oddać dziennika?

- Nie mam pojęcia. Może jest tam coś o mnie, chociaż w to nie wierzę. Bardziej prawdopodobny wydaje mi się inny powód: może bał się, że Kirsten napisała coś o nim, a on nie chciał, żeby ktoś to czytał. Albo może... czy ja wiem? Może starał się kogoś chronić. - Zamilkła na dłuższą chwilę. Mick tym razem nie przerywał ciszy. Obserwował spod oka dziewczynę, zdziwiony zmianą, która w niej zaszła, gdy tylko wzięła do ręki ten notes. Nikt nawet teraz nie nazwałby jej wylewną, jednak z chwili na chwilę stawała się mniej kolczasta. - Powodów może być wiele - podjęła - ale najbardziej oczywiste wydaje mi się to, że Kirsten niezbyt pochlebnie przedstawiła Rapha.

- W takim razie dlaczego nie zniszczył dziennika?

- Skąd mogę wiedzieć? Może kiedy go przeczytam, sprawa się wyjaśni.

Mick postanowił zmienić taktykę. Zaczął ją wypytywać o studia muzyczne i perspektywy na przyszłość. Wcale się też nie zdziwił, kiedy powiedziała, że stoi być może u

progu prawdziwej kariery.

- Za kilka tygodni zaczyna się wielki konkurs muzyczny. Jeśli mi się powiedzie...

- Zostaniesz gwiazdą? - zapytał półzartem.

Uśmiechnęła się na to i nawet spojrzała mu w oczy, szybko jednak uciekła wzrokiem.

- Nie, nie zostanę gwiazdą. Nie mam w sobie tego czegoś, co odróżnia naprawdę wielkich muzyków od dobrych. Jeśli jednak mi się powiedzie, będę mogła koncertować jako solistka, zamiast grać w orkiestrze czy w jakimś zespole kameralnym.

- To też wiele znaczy.

- Owszem. Długo na to pracowałam...

- Ale...? - zapytał, wyczuwając w niej jakąś niepewność.

- No cóż... Pod względem technicznym jestem dobra, nawet bardziej niż dobra, ale... och, trudno to wytłumaczyć... Chodzi o to, że odkąd... - urwała, Mick jednak bez trudu uzupełnił brakujące słowa: „Odkąd straciłam matkę”. - Od paru tygodni - zaczęła od nowa - w mojej głowie panuje cisza. Nie słyszę muzyki. Umiem wydobywać prawidłowe dźwięki, nigdy zresztą nie miałam z tym kłopotu, ale w mojej grze nie ma duszy.

- Trudno się temu dziwić, gdy się wie, ile ostatnio przeżyłaś. Śmierć matki i...

Pokręciła głową.

- Nie chodzi o to. Ta pustka... - znów urwała i zerknąwszy na niego przelotnie, zatopiła wzrok w szklance. Zaczynał się do tego przyzwyczajać. Pomyślał, że rzucając mu te spojrzenia, próbuje zdecydować, czy można mu ufać. Z powodów, których nie rozumiał, zapragnął, by doszła do wniosku, że jest tego wart. - Ta pustka w głowie, o której ci wspominałam... wiesz, kiedy się to zaczęło? Kiedy wszyscy dookoła zaczęli powtarzać, że moja matka odebrała sobie życie.

- Rozumiem. Jej śmierć stała się przez to jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Znów zerknęła na niego badawczo.

- To prawda.

- Na uniwersytecie miałem kolegę, którego ojciec popełnił samobójstwo, a on...

- To nie było samobójstwo.

- Jak to?

- Kirsten Waller, moja matka, nie popełniła samobójstwa.

- Myślisz, że był to wypadek?

- Nie.

- Więc co? Uważasz, że ktoś ją zabił?

- Jestem tego pewna.

- Ale kto coś takiego mógł zrobić?

- Ja... - Po raz pierwszy straciła pewność siebie. - Nie wiem.

- Zabrzmiało to tak bezradnie! - Mógł to być ktoś obcy, włóczęga, który wszedł do domu, kiedy siedziała w wannie. Nigdy nie zamykała drzwi. Ale to mało prawdopodobne.

- Myślisz, że to ktoś, kogo znała?

- Tak. I wiesz, co jeszcze myślę, choć to trochę niesamowite? Dla niej to nie była niespodzianka. Spodziewała się tego.

Mick chciał zaprotestować: nie bądź szalona, ludzie nie wiedzą takich rzeczy, ale potem przypomniał sobie kilka fraz do poematu *Skrzydlaty morderca* i pomimo gorąca po grzbiecie przebiegły mu ciarki.

- Mówisz, że się tego spodziewała?

- Tak. Ostatni tomik poezji, ten, nad którym pracowała zeszłej zimy, miał nosić tytuł *Skrzydlaty morderca i inne wiersze*.

- Uważasz, że w tym wierszu może znajdować się jakaś wskazówka?

- Może, ale to tylko domysł, bo wiersz zaginął razem z dziennikiem. Dlatego cię pytałam, czy nie było go w fortepianie. Przypuszczałam, że mógł wziąć go Raph, kiedy był razem ze mną w Gull Cottage. To domek w Kornwalii, w którym mieszkała przed śmiercią.

- Myślisz, że ten, kto go ukradł, i jej zabójca to ta sama osoba?

- Tak by się mogło wydawać.

- Dziennik miał Raph.

- Ale to nie może być on. Kiedy ją zabito, był na kolacji ze znajomymi.

- Nie rozumiem, co wspólnego ma z tym wszystkim dziennik.

- Ja też nie. Może był w nim ten poemat? Wciąż myślę, że wiersz zabrał Raph, choć nie posądzam go o morderstwo. Może wpadł mu w oko od razu po wejściu do domu, no i ukrył go w takim miejscu, które mnie by nie przyszło do głowy. Nie byłoby to trudne. Byłam w takim stanie...

- Wyobrażam sobie.

- ...że mogłam nie zauważyć jego podejrzanych ruchów.

Mick zamyślił się nad tym. Morderstwami zajmował się zawodowo; badał takie sprawy, znał ich definicje prawne, czasami pomagał bronić morderców, tak jak teraz Grace Hobden, wiedział, jak niszcząco wpływają na ludzkie losy, ale to wszystko działo się w godzinach pracy. Morderstwo nie powinno wnikać w jego życie prywatne; nie było tego w umowie! Sam i jej matka nie były wprawdzie częścią jego życia, lecz morderstwo na osobie Kirsten, jeśli rzeczywiście było to morderstwo, wykaczało poza ramy zawodowe.

Najbezpieczniej byłoby przyjąć, że Kirsten popełniła jednak samobójstwo, a jej córka, która nie potrafi się z tym pogodzić, wymyśliła sobie morderstwo i spodziewa się, że dziennik potwierdzi jej hipotezę. O morderstwie nic tam nie ma, jeśli jednak Sam ma nadzieję znaleźć tam dowody, że w ostatnich tygodniach życia jej matka była jak najdalej od myśli o śmierci w ogóle, a o samobójstwie w szczególności, to w tym pamiętniku znajdzie ich w nadmiarze.

- No cóż, w sprawie samobójstwa możesz mieć rację - powiedział głośno.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem.

- Naprawdę tak myślisz? - Na jej twarzy wykwitł nagle uśmiech. To niesamowite, że uśmiech może aż tak kogoś zmienić!

- Naprawdę. Wyobraź sobie, że chcesz kogoś zabić i nie ponieść za to odpowiedzialności. Co robisz? Tak wszystko aranżujesz, żeby twoja zbrodnia wyglądała na samobójstwo. Znam wiele takich przypadków.

- Nie znałeś mojej matki, ale możesz mi wierzyć, ona nie była osobą, którą podręczniki psychologii nazywają typem samobójczym. Bywała czasami w dołku jak każdy, ale nigdy nie trwało to długo, a poza tym miała duszę wojownika! Taki człowiek nie poddaje się depresji. Ustaliliśmy, że do niej przyjadę zaraz po dwudziestym czerwca. Bardzo się z tego cieszyła. I w takiej chwili miałyby się zabić? Nonsens.

Mick miał wrażenie, że siedzi przed nim zupełnie inna dziewczyna. Opadła z niej cała kąśliwość. Była tak odmieniona, że odważył się wziąć ją za rękę.

- Żałuję, że jej nie znałem - powiedział szczerze.

Popatrzyła na jego rękę, ale nie cofnęła swojej.

- Polubiłbyś ją, a ona ciebie.

- Zdaje mi się, że trochę ją już poznałem. Dzięki temu pamiętnikowi.

- Dzięki pamiętnikowi?

- Masz rację, nie ma tam nic takiego, co by pozwalało sądzić, że myślała o samobójstwie.

Zorientował się natychmiast, że zmylony ociepleniem atmosfery popełnił straszliwy błąd, było już jednak za późno. Jej spojrzenie zlodowaciało, gwałtownie cofnęła rękę.

- Ty go czytałeś?

- No... pozwoliłem sobie... zerknąć. Nie zabroniłaś mi czytać, a poza tym wszystkie inne dzienniki twej matki są już własnością publiczną, myślałem więc...

- Nie miałeś prawa! To rzecz osobista!

- Hej, gdzie podziała się twoja wdzięczność? Zapomniałaś, że dzięki mnie masz ten notes?

- Czytanie czyjegoś prywatnego dziennika to prawie to samo co jego kradzież.

- No rzeczywiście! I kto to mówi? Osoba, która uprawia szantaż, i to bez żadnych skrupułów!

Podniosła się z krzesła.

- No cóż, piękne dzięki.

- Twoja szczerość jest obezwładniająca.

- Nie umiem stwarzać fałszywych pozorów.

- Coś takiego! A ja bym powiedział, że jesteś w tych sprawach mistrzynią. Nie dopijesz piwa?

Wepchnęła notes do tej swojej czerwono-zielonej torby i chwyciwszy w jedną rękę stołek, w drugą futerał z wiolonczelą, skierowała się do wyjścia. W normalnych warunkach przywołałby jej taksówkę lub odprowadził do metra, teraz jednak był pewien, że każda taka oferta spotkałaby się z odmową, i to bardzo szorstką. Zaczynał mieć tego dosyć. Zmęczyły go lodowate humory Sam Boswin.

- Dziękuję za dziennik - powiedziała jeszcze.

- Nie ma o czym mówić.

Odeszła bez słowa. Widocznie uznała, że faktycznie nie ma o czym mówić. Mick dopił swoje piwo i przysunął sobie jej szklanekę. Był zły na siebie, że tak się głupio wygadał. Powinien był wiedzieć, że jest drażliwa jak diabli na punkcie tego dziennika. Co gorsza, przeczytał go przed nią.

Po chwili doszedł do wniosku, że gdyby nawet nie popełnił tego błędu, ona prędzej czy później i tak by doprowadziła do kłótni. Taki ma charakter. Na moment opuściła gardę, a dla niej to po prostu niewybaczalna słabość. Teraz z pewnością żałuje, że okazała tyle zaufania spryciarzowi, który niecnymi sztuczkami wymógł na niej chwilę szczerości.

A idź sobie! - myślał z irytacją, odprowadzając ją wzrokiem. Szła przez plac w stronę autobusów, każdym ruchem dając do zrozumienia całemu światu, jaka to jest niezależna i samowystarczalna! Zdumiewające, pomyślał, że ta dziewczyna wyzwala w nim tyle złości i innych niemiłych uczuć! A był przekonany, że dawno już się ich pozbył.

Całe szczęście, że nie musi już więcej się z nią spotykać. Bo i po co? Ludzie, z którymi warto spędzać czas, powinni być zabawni i dobroduszni, a ona jest przecież ich całkowitym przeciwieństwem.

Minęło już południe, gdy opuściwszy urząd pocztowy, Sam wyszła na zalaną jaskrawym słońcem ulicę. Cały ranek spędziła w pewnym zakładzie usługowym, gdzie na jej zlecenie wykonano dwie fotokopie pamiętnika Kirsten. Jedną z nich wysłała przed chwilą do siebie, na adres Davy'ego Boswina w Menverren, drugą miała w torbie razem z oryginałem. Mogła teraz rozprawić się z byłym ojczymem.

Skręciwszy w boczną ulicę, dopóty wędrowała rozgrzanym chodnikiem, dopóki łoskot przetaczających się po głównej drodze ciężkich tirów i autobusów nie ucichł do poziomu odległego szumu. Wtedy dopiero włączyła komórkę. Aparat zarejestrował sześć nieodebranych połączeń i tyle samo wiadomości. Nie fatygując się ich sprawdzaniem, wcisnęła klawisz z zakodowanym numerem Rapha. Zgłosił się natychmiast.

Spodziewała się, że zacznie na nią wrzeszczeć, on tymczasem o dziwo! odezwał się tonem zatroskanego rodzica:

- Sam? Czy to ty? Wszystko u ciebie w porządku?

O nie, nie nabierze jej na taki numer! Znała jego sztuczki.

- A dlaczego miałyby nie być? - odparła z lekką ironią i nie dając mu szans na odpowiedź, rzuciła sucho: - Nawiasem mówiąc, mam dziennik.

- No tak, to musiałaś być ty - usłyszała po krótkiej pauzie.

- Może mi powiesz, czemu go ukradłeś?

- Miałem ważne powody, których pewnie byś nie zrozumiała.

- Może bym zrozumiała, gdybyś zechciał mi je wyjaśnić.

Zmienił taktykę.

- Jak się do niego dobrałaś? Lola twierdzi, że na pewno nie wpuściła cię do domu i że w ogóle cię nie widziała.

- Nieważne. - Sam nie płonęła nadmierną sympatią do Loli, nie miała też jednak powodu niesłusznie obciążać jej winą za współuczestnictwo w spisku. - Lola nie ma z tym nic wspólnego.

- Więc jak to zrobiłaś?

- Czy razem z dziennikiem wzięłaś też poemat?

- Jaki poemat? Nie było żadnego poematu! Posłuchaj, Sam, musisz mi zwrócić ten dziennik.

- Żarty sobie stroisz? Czy ty masz pojęcie, ile mnie kosztowało jego zdobycie? I po tym wszystkim miałabym ci go oddawać? Z jakiej racji?

Nie od razu odpowiedział. Po paru chwilach zapytał cicho:

- Przeczytałaś?

- No pewnie.

- I pewnie się zastanawiasz, o co to wielkie halo - powiedział z westchnieniem. - Mam rację?

- Możliwe. - Kiedy po wczorajszym spotkaniu z Mickiem Sam przeczytała pamiętnik, spotkało ją gorzkie rozczarowanie, choć za nic w świecie nie zdradziłaby się z tym przed Raphem. W zapiskach Kirsten nie znalazła żadnej odpowiedzi na pytanie, o co w tym wszystkim chodzi? Czemu Raph zadał sobie tak wiele trudu, by ją powstrzymać od przeczytania tych kartek. Czego on się boi? - Nie rozumiem, dlaczego mnie okłamałeś? - syknęła. - Wyobrażałam sobie setki powodów, dla których to robisz. Myślałam, że chcesz mi oszczędzić bólu, bo może Kirsten coś się we mnie nie podobało i napisała o tym w pamiętniku. Okazuje się, że nic podobnego. Pisała tylko, że za mną tęskni i że... - urwała, czując łyzy w gardle - i że chce ze mną o czymś pomówić.

Na chwilę zapadła znów cisza. O, Raph był mistrzem takich zamilknięć! Kiedy się odezwał, w jego miękkim głosie brzmiał dobrze udany spokój.

- Przepraszam cię, Sam, jeśli sprawiłem ci przykrość. Zaufaj mi, proszę. Skoro przeczytałaś już pamiętnik, powinnaś mi go teraz oddać.

- Dlaczego?

- Obawiam się, że musisz uwierzyć na słowo w to, co ci teraz powiem: będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli te notatki pozostaną w moim posiadaniu.

- Nie ma mowy. Zadzwoiłam do ciebie właśnie po to, aby ci powiedzieć, że ich nie dostaniesz. Bez względu na to, skąd się bierze twoja obsesja na punkcie tego dziennika, on jest mój, tak jak cała spuścizna po Kirsten. Nie masz do niego prawa.

- Wiem o tym, Sam. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale jestem po twojej stronie i dlatego właśnie muszę się domagać, żebyś oddała mi dziennik. Im prędzej, tym lepiej.

- Musisz się domagać? To śmieszne! Zapomnij o tym! Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. I nie blokuj mi telefonu swoimi wiadomościami!

- Nie wyłączaj się, Sam! Do licha, nie bądź idiotką! Nie rozumiesz, że próbuję cię jedynie chronić?

- A to dobre? - Sam parsknęła śmiechem. - Ty chcesz mnie chronić? Ty mnie próbujesz nastraszyć! Jak śmiesz!

- Nie denerwuj się, Sam. Wciąż nic nie rozumiesz. Posłuchaj.

- Zniżywszy głos, powiedział wolno i dobitnie: - Musisz mi zaufać. Wiem, że to trudne, zwłaszcza że nie mogę podać ci przyczyn, dla których domagam się zwrotu dziennika, uwierz mi jednak: dopóki znajduje się on w twoich rękach, grozi ci niebezpieczeństwo.

- Tak? A niby dlaczego?

- Nie jesteś jedyną osobą, która go pragnie posiadać.

- A kim są te inne?

- Tego już nie musisz wiedzieć.

Tym razem to Sam zamilkła.

- Nie wierzę ci ani trochę - odparła po chwili namysłu. - Ty naprawdę chcesz mnie zastraszyć.

- Nie, Sam, to nie tak. Zawsze traktowałem cię jak córkę, a teraz... próbuję ci po prostu uświadomić, jak wygląda twoja sytuacja.

- A cóż to ma znaczyć, do diabła?

- To, co powiedziałem: dopóki masz dziennik...

- Tak, wiem: grozi mi niebezpieczeństwo. Zrozumiałam cię za pierwszym razem i wiesz, co ci powiem? Nie uwierzyłam ci, Raph, ani wtedy, ani teraz. I nie nękaj mnie telefonami. Mam dość twoich gróźb. Wystarczy.

- Nie wyłączaj się, Sam! Poczekaj!

Sam nie miała zamiaru dłużej tego słuchać. Mierzył ją już nawet jego głos. Przerwała rozmowę i natychmiast wyłączyła komórkę. Głos ucichł. Gdyby z równą łatwością mogła wraz z tym głosem wyłączyć i Rapha ze swojego życia!

\*

Ulica, przy której mieszkał Trevor Clay, zabudowana była wysokimi białymi domami. Sam doskonale pamiętała i tę ulicę, i swą jedyną wizytę u wieloletniego agenta Kirsten, choć od tej chwili upłynęło już sporo czasu. Zdarzyło się to wkrótce po jej przeprowadzce do Londynu; była wtedy niezmiernie ciekawa wszystkiego, co dotyczyło jej długo niewidzianej matki. To właśnie podczas spotkania z Trevorem zaczęło jej świtać, jak wysoką pozycję zajmuje Kirsten wśród współczesnych sław literackich. Clay wydał jej się ogromnie życzliwy, interesujący i bardzo dowcipny, lecz za tym miłym sposobem bycia krył się głęboki szacunek dla dotychczasowych dokonań Kirsten i chłopięca niemal ekscytacja każdą jej twórczą koncepcją.

Dom oznaczony numerem 44 był najelegantszą posesją na tej ulicy. Tylko on jeden stanowił w całości własność Trevora i jego żony - wszystkie inne podzielono na mieszkania. Polly Clay odziedziczyła znaczny kapitał po ciotce, który stopniowo udało jej się pomnożyć dzięki bardzo trafnym inwestycjom. Tak korzystnym, że oprócz domu w Londynie mogli nabyć drugi w hrabstwie Suffolk oraz willę na południu Francji. Ku zdziwieniu przyjaciół, jak również całego otoczenia ich małżeństwo było trwałe i niezwykle harmonijne, mimo że



ogromnie się różnili. Trevor był typowym molem książkowym, jego żona natomiast uwielbiała towarzystwo. Zdaniem Kirsten każde z nich jednak wychodziło naprzeciw potrzebom swego partnera. Polly zapewniała mężowi bezpieczeństwo finansowe i tym samym niezależność w promowaniu jego podopiecznych, co w innych warunkach byłoby dość trudne: lansowanie talentów literackich było wprawdzie powszechnie cenionym zajęciem, nie przynosiło wszakże kokosów. Polly z kolei lubiła gościć artystów na swych wystawnych przyjęciach, a dzięki kontaktom Trevora mogła zaspokoić swe ambicje. Ich małżeństwo łączyło więc dwa różne światy, i to w sposób przynoszący chlubę obu stronom. „Poza tym każde z nich dwojga żyje własnym życiem, nie wchodząc drugiemu w paradę”, mówiła Kirsten, „dzięki czemu i jedno, i drugie jest zadowolone”.

Sam nie zdążyła jeszcze nacisnąć dzwonka, gdy Trevor otworzył drzwi; musiał pewnie wypatrywać jej z okna.

- Jesteś nareszcie! - wykrzyknął. - Masz go?
- Kazałam zrobić fotokopie. Na wszelki wypadek.
- Świetnie! Znakomicie! Wejdz, wejdz!

Sam uśmiechnęła się pod nosem. Trevor nie miał zwyczaju tracić czasu na czcze uprzejmości. Kiedy była tu z Kirsten, powitał je z tomem poezji w ręku i nie czekając, aż zdejmą płaszcze, zaczął im głośno odczytywać wiersze. Okrągły i niewysoki, byłby prawie niezauważalny, gdyby nie to, że buchała z niego energia i niegasnący entuzjazm. Kirsten zauważyła kiedyś ze śmiechem, że w towarzystwie swojego agenta czuje się jak człowiek zamknięty w szklanym kloszu razem z wielką natrętną muchą bzyzącą mu koło nosa. Żartowała, że czasami miałyby ochotę go trzepnąć, gdyby nie był „taki kochany”.

Sam wspominała to wszystko, idąc za gospodarzem przez nieskazitelnie utrzymany hol. U jego końca kilkanaście stopni prowadziło do sutereny, gdzie znajdowało się królestwo książek podległe wyłącznej władzy Trevora. Na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie starego antykwariatu, którego właściciel nie ma ani czasu, ani zdolności, żeby zaprowadzić tu jakiś ład, było to jednak wrażenie zupełnie mylne. Trevor z absolutną swobodą poruszał się w swym labiryncie. Teraz uprzejmym gestem poprosił Sam, by usiadła, usunąwszy wpierw z krzesła stertę książek, po czym wyczekująco stanął tuż obok, nie odrywając oczu od koperty wydobytej przez nią z czerwono-zielonej torby.

- Przyniosłam ci fotokopię, którą możesz sobie zatrzymać - oznajmiła Sam. - Oto ona.
- Wyśmienicie. Oczywiście mogę ci ją zwrócić w każdej chwili...
- Nie trzeba. Powinieneś wiedzieć, że ukradłam ten dziennik Raphowi. - Widząc, że oczy zrobiły mu się okrągłe, dodała: - Raph zachowuje się podejrzanie. To on zabrał

pamiętnik z Gull Cottage, a mnie powiedział, że go tam nie było. Teraz dla odmiany próbuje mi go odebrać. Dla mego własnego dobra. Twierdzi, że zatrzymując ten notes, narażam się na wielkie niebezpieczeństwo! Kochający tatuś! Dla mnie zabrzmiało jak groźba. Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon i odniosłam niemiłe wrażenie, że aby odzyskać pamiętnik, gotów jest użyć wszelkich możliwych środków, łącznie z siłą.

- Dziwne, bardzo dziwne. Zakładam, że zdążyłaś już wszystko przeczytać, nieprawdaż?

- O tak. Poświęciłam na to całą noc.

- No i?

- Uczciwie mówiąc, nie rozumiem powodów całej tej afery - westchnęła Sam. - Myślałam, że może matka napisała o Raphie coś takiego, co jego zdaniem nie nadaje się do publikacji, albo że na przykład niepochlebnie wyraziła się o mnie, a on pragnął oszczędzić mi bólu. Przychodziło mi też do głowy, że może chciał chronić kogoś innego, powiedzmy, Lolę lub jakąś osobę, której nie znam, ale nie! Nic takiego tam nie znalazłam. To zupełnie taki sam dziennik jak wszystkie poprzednie: fragmenty wierszy, robocze notatki, tu i ówdzie krótkie wzmianki o rozmowach z różnymi ludźmi. To wszystko. Żadnych rewelacji. Odkąd go przeczytałam, bez przerwy dręczy mnie myśl, że musiałam chyba coś przeoczyć, jakąś zakodowaną informację czy aluzję. Może ty potrafisz ją wykryć.

- No cóż, spróbuję. Na pewno spróbuję. - Niezdolny już dłużej hamować niecierpliwości, Trevor wyjął niebieski notes z koperty i z widocznym pośpiechem jął przerzucać kartki.

- Zauważyłam natomiast - mówiła dalej Sam - że są tu notatki, a nawet całe frazy do tego zaginionego poematu, no wiesz, do *Skrzydlatego mordercy*. Wydaje mi się, że Kirsten osnuła go wokół pewnego incydentu, którego świadkami byliśmy w Wardley. Był to pojedynek drozda z jaszczurką. Wygrał go drozd, zabijając to biedne stworzenie.

- Tak, rzeczywiście. Pamiętam, że chyba w marcu widziałem jeden z pierwszych szkiców tego wiersza. Kirsten była strasznie podekscytowana. Mówiła, że ten poemat wywoła wielką sensację.

- Pozwoliła ci go przeczytać?

- Tak. Poprosiłem o kopię, ale powiedziała, że nie jest jeszcze gotowy do druku i że musi nad nim popracować.

- Jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Hm... Nie był skończony - powiedział z wahaniem Trevor - ale jeśli mam być szczerzy, to ci powiem, że nie mogłem zrozumieć powodów jej ekscytacji. Wiersze Kirsten miały zwykle za temat jakiś ogólny problem, zawierały też zawsze przesłanie moralne lub

filozoficzne, ten natomiast był po prostu opisem tego incydentu, o którym przed chwilą wspomniałaś. Według mnie nie dorównywał poziomem innym jej utworom, mówiąc wprost, był znacznie słabszy. Pewnie w końcu i ona doszła do takiego wniosku i dlatego zniszczyła ten wiersz.

- Jeśli rzeczywiście go zniszczyła.

- Ty uważasz, że nie?

Sam pominęła to milczeniem.

- Wiesz, co mnie dziwi? - rzuciła. - Wspominając o *Skrzydlatym mordercy*, napisała, że musi porozmawiać o nim ze mną.

- Naprawdę? Aha, widzę tu coś takiego: „Skonsultować z S”. „S” to ty, prawda? I dalej: „*Skrzydlaty morderca* będzie kijem wetkniętym w mrowisko”. Z wykrzyknikiem w nawiasach. - Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w tekst. - Mój Boże, jakże mi brakuje twej matki i jej czarnego humoru!

- Czy ta wzmianka o kiju w mrowisku coś ci mówi?

- Niestety nie.

- Nic ci nie mówiła na ten temat?

- Nie. Była w tej sprawie dziwnie powściągliwa, nawet tajemnicza. Pomyślałem, że to do niej całkiem niepodobne.

- Ale masz chyba jakąś koncepcję? Chodzi mi o ten utwór. Jeśli nie ty, to kto? Tak długo z nią pracowałeś! Znałeś ją przecież! Miała do ciebie zaufanie!

- Hm... Przyszła mi na myśl pewna rzecz, która może tłumaczyć dziwne zachowanie Rapha.

- To znaczy?

- Może chodzi o to, że... Kiedy odwiedziłem ją w Stanach...

- Ty też?

- Tak, a co? Ktoś inny też ją odwiedzał?

- Johnny, szwagier Rapha. - Sam, mówiąc to, pomyślała z pewnym zdziwieniem, że matka w tej swojej zimowej kryjówce nie była aż tak samotna, jak by się mogło wydawać.

- No owszem, byłem w Nowym Jorku i przy okazji wpadłem do Connecticut. Odniosłem wtedy wrażenie, że twoja matka ogromnie tęskni za Raphem i oczywiście za tobą. Kobieta, która ucieka od męża, zazwyczaj cieszy się wolnością, ale to nie ona. Nie wyglądała mi na szczęśliwą. Powiedziała nawet, że nadał go kocha i że zawsze tak będzie. Istnieje jednak pewien powód, który sprawił, że musiała się z nim rozstać, i dopóki ten problem nie zostanie rozwiązany, nie widzi żadnych szans na powrót.

- Powiedziała ci, co to za problem?

- Och nie, skądże. Wydawało mi się jednak, że chodzi o jej twórczość. O to, że Raph nie akceptuje czegoś w jej pracy. Albo że chciała coś zrobić, a jemu się to bardzo nie podobało. Zacząłem się później nad tym zastanawiać i nasunęło mi się przypuszczenie, och, luźny domysł, którego nie sposób już dziś potwierdzić, że kto wie, czy ten *skrzydlaty morderca* to nie Raph.

- Raph?

- Nie dosłownie! - roześmiał się Trevor. - Nie sędzę, by w tym wierszu chciała zasugerować, że jej mąż ma mordercze instynkty! W żadnym razie, ale... zastanów się, Sam, jak nagle rozkwitła jej twórczość po rozstaniu z Raphem. Powstało wtedy tyle wierszy!

- Ja tłumaczyłam to sobie jej stanem ducha. Była samotna i nieszczęśliwa.

- Otóż to. Samotna i nieszczęśliwa. Nie uważasz, że aby tworzyć, musiała być w takim właśnie stanie? Przypomnij sobie ten cudowny poemat *Samphire*. Narodził się wkrótce po opuszczeniu Davy'ego i ciebie. W czasie małżeństwa z Raphem prawie nic nie napisała, i to ją niepokoiło. Żyła jej się zbyt wygodnie; była zbyt zadowolona ze swej egzystencji. Musiała opuścić Rapha, tak jak kiedyś ciebie, żeby ratować swą twórczość. Kochała go, owszem, czuła jednak, że tłumi on jej kreatywność. Stał się *skrzydlatym mordercą*, zabójcą jej natchnienia, bez którego nie ma poezji.

- A twórczość była dla niej ważniejsza niż cokolwiek innego na świecie - dodała w zadumie Sam. - Może masz rację, mimo to wciąż nie rozumiem, czemu chciała rozmawiać ze mną o tym wierszu i z jakiego powodu Raph tak desperacko starał się ukryć przede mną jej dziennik.

- Może znajdę w nim coś takiego, czego ty nie dostrzegłaś.

- Ja też przeczytam go jeszcze raz. Szkoda, że nie mamy tego poematu. Rzuciłby może jakieś światło na całą tę dziwną sprawę.

- Myślę, że go zniszczyła.

- Skoro tak, to dlaczego nie zmieniła tytułu planowanego zbiorku?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Tytuł rzeczywiście trzeba zmienić, skoro zniknął *Skrzydlaty morderca*. Zastanówmy się zatem, jak powinien brzmieć. Mam tu spis tytułów poszczególnych wierszy. Jeden z nich, *Ptak pożegnania*, wydaje mi się bardzo adekwatny. Pasuje do sytuacji. To jeden z tych wierszy, nad którymi pracowała, gdy odwiedziłem ją w Stanach. Pod względem siły wyrazu jest znacznie lepszy aniżeli *Skrzydlaty morderca*.

- Polegam na twojej ocenie.

- Doskonale. Zaczę przygotowywać tomik do druku. Ukaże się w połowie przyszłego

roku.

Sam uznała, że pora wyjść. Widać było, że Trevor myśli już tylko o tym, żeby zasiać do lektury pamiętnika. Ona zresztą także. Gdzieś na tych stronach musi się przecież znajdować wyjaśnienie dziwnego zachowania Rapha.

Idąc ulicą, przyciskała do piersi torbę z oryginałem. Mimo istnienia dwóch kopii, nie miała ochoty spuszczać go z oka. Lekturę jednakże trzeba będzie odłożyć - ten wieczór miała zajęty. Rano zadzwoniono z agencji, która od czasu do czasu podrzucała jej jakieś zlecenia, z propozycją zastępstwa chorego muzyka w wieczornym koncercie. Na kilka godzin będzie musiała zapomnieć o wszystkich rodzinnych zagadkach. Zapomnieć? Wątpliwe. Będzie pewnie grała jak automat. Miejmy nadzieję, pomyślała, że nikt tego nie zauważy, a zwłaszcza członkowie orkiestry...

Była godzina szczytu; na przystanku autobusowym ustawiła się spora kolejka. Stojąc między ludźmi, Sam miała dziwne wrażenie, że jest obiektem czyjejś obserwacji. Rozejrzała się nawet dookoła, nie dostrzegła jednak nic podejrzanego. Nie bądź głupia, powiedziała sobie, zaczynasz chyba mieć halucynacje. To przez tę dzisiejszą rozmowę z Raphem.

Przyjechał autobus, ale tak nabity, że zabrał tylko trzy osoby. Reszta pozostała na przystanku. Sam mocniej przycisnęła torbę. Wciąż czuła się dziwnie nieswojo; chwilami wydawało jej się, że coś delikatnie muska jej włoski na obnażonych ramionach i karku.

Że śledzą ją czyjeś niewidoczne oczy.

## 12

- Twój opór na nic się nie zda. Nie przyjmujemy odmowy, więc lepiej rób, co ci każe.

- A jeśli nie zrobię?

- Czeka cię sroga kara.

Sam uśmiechnęła się szeroko. Kiedy ostatnio zdobyła się na taki uśmiech? Chyba całe wieki temu. W ustach Johnny'ego nawet pogrożki brzmiały dobrotliwie, a perspektywa spędzenia reszty weekendu w Wardley pod jego czułą opieką była niewątpliwie kusząca. Zadzwoniła do niego w sprawie pamiętnika; było tam parę wzmianek, które tylko on mógł wyjaśnić. Zamierzała umówić się z nim gdzieś w Londynie, ale w Wardley będzie pewnie skłonniejszy do rozmów...

- Hm...

- Przyjadę po ciebie za pół godziny. Jeśli masz ochotę zagrać nam coś przy księżycu,

weź wiolonczelę, ale to niekonieczne. U nas nie musisz zarabiać graniem na kolację.

- Poczekaj, jeszcze nie powiedziałam, że jadę.

- Ale ja tak mówię. Zamierzamy porozpieszczać cię przez ten weekend. Nie sprzeciwiaj mi się, bo to na nic. Bądź gotowa za pół godziny, w przeciwnym razie będę musiał cię związać i siłą wsadzić do wozu.

Z promiennym uśmiechem na ustach Johnny odłożył słuchawkę. Nie tylko nie próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, żeby Sam spędziła z nimi weekend, lecz usilnie starał się odpędzić pewną niemiłą myśl; tę mianowicie, że perspektywa sam na sam z Miriam nawet w ukochanym Wardley napawa go coraz większą niechęcią. Powiedział sobie, że po prostu lubi towarzystwo tej miłej dziewczyny. Lubi Sam, i koniec.

\*

W ciągu tych kilku miesięcy odkąd zamieszkali w Wardley, Miriam na pozór bez trudu weszła w rolę typowej angielskiej dziedziczki. Rezydowała teraz na tarasie pod wielką kremową markizą rozpiętą nad okrągłym stołem zastawionym tym wszystkim, co w wiejskiej posiadłości podaje się na podwieczorek. Obok dopiero co wyjętych z pieca trójkątnych jęczmiennych placuszków stały gliniane miseczki z kuleczkami masła, domowe powidła i dżem malinowy, a na wiktoriańskiej wiklinowej tacy piętrzyła się góra biszkoptów. Miriam w lekkiej kwiecistej sukni i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem z należą powagą nalewała herbatę z pękatego dzbana. Ten pogodny wizerunek wiejskiej pani domu psuły tylko podkrążone oczy skryte za ciemnymi okularami i drobniutkie zmarszczki rysujące się wokół zaciśniętych ust. Nietrudno się było domyślić, że większość dnia spędziła pewnie w sypialni nękana kolejnym atakiem migreny, który teraz dopiero zaczynał tracić na sile.

- No i co? Cieszysz się, że przyjechałaś? - uśmiechnął się Johnny, sięgając po drugi jęczmienny trójkącik.

- Hm, trudne pytanie - odrzekła Sam, udając głęboki namysł. - Bo czy łatwo się zdecydować, gdy w upalne wrześnie popołudnie człowiek ma do wyboru: siedzieć w ciasnym i dusznym mieszkanku czy też zakosztować życia w wielkim stylu w czyjejsz zabytkowej rezydencji? Chyba rozumiesz, że muszę nad tym pomyśleć.

- Ja nie muszę. Cieszę się, że tu jesteś.

Sam czuła wprost namacalnie, jak opada z niej napięcie ostatnich dni i tygodni. Dziennik Kirsten bezpiecznie spoczywał w torbie opartej o jej nogę, a dwom jego kopiom też nic nie groziło. Teraz nawet ostatnia rozmowa z Raphem nie wydawała się już tak nieprzyjemna. Być może wyolbrzymiła jego pogroźki. Może po prostu pragnął sobie

zatrzymać jakąś pamiątkę po Kirsten. Wiedziała, że mimo rozpadu małżeństwa żadnemu z nich dwojga nie przestało zależeć na drugim.

- Może jeszcze placuszka? - zagadnął ją Johnny.

- Och, nie. Dawno nie jadłam takich delicji, ale już dziękuję.

- Masz ochotę przejść się nad jeziorko?

- Mmm... kusząca propozycja, ale wiesz, co by mi sprawiło największą przyjemność?

Długa, leniwa kąpiel w wannie.

- Świetny pomysł.

- Kolacja o ósmej - powiedziała z nikłym uśmiechem Miriam.

- Będziemy tylko we trójkę. Mam nadzieję, że nie będziesz się nudzić.

- Oczywiście, że nie. Mogę ci pomóc?

- To zabronione - włączył się Johnny. - Dzisiaj ja gotuję.

- Na jutrzejszym lunchu będzie moja matka - oznajmiła Miriam, starannie zgarniając okruszki na małą zgrabniutką stertę.

- Mówiłam jej, że przyjeżdżasz.

- Och! - wyrwało się Sam. - To bardzo miło - dodała z pośpiechem, próbując zatrzeć mimowolną gafę. Było dość wątpliwe, aby gospodarze dali się nabrać na jej udany entuzjazm, pocieszała się jednak myślą, iż nawet oni muszą przecież zdawać sobie sprawę, że towarzystwo Diany to doprawdy średnia przyjemność. Wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze.

- Zostaw to, Sam! - zagrzmiął Johnny. - Zaprowadzę cię do pokoju. To ten, w którym spałaś ostatnio - oznajmił, chwytając jej torbę. - Zapomniałaś, że masz mnie słuchać? Wolno ci tylko odpoczywać, jeść, spać i dobrze się bawić - dodał z nagłym marsmem na czole, co zdarzało mu się zwykle w chwilach, kiedy dochodził do wniosku, że zrobił się zbyt wylewny.

Niektóre rozkazy bardzo łatwo spełniać, pomyślała Sam, spiesząc za Johnnym do domu.

\*

Następne dwie godziny spędziła w towarzystwie matki; takie przynajmniej miała uczucie, czytając ponownie jej dziennik. Powróciwszy do domu po spotkaniu z Mickiem, przerzuciła stroniczki w iście ekspresowym tempie, zwracając głównie uwagę na wzmianki o sobie i Raphie, jak również na notki, które mogły mieć związek z zaginionym wierszem o ptasim mordercy. Zwolniła dopiero pod koniec, licząc, że znajdzie tam informacje o nastrojach Kirsten w ostatnich dniach życia. Teraz mogła wreszcie pozwolić sobie na luksus niespiesznej lektury.

Napuściwszy gorącej wody do wanny, usiadła obok na macie i zabrała się do czytania.

Ten łaźniakowy nawyk pochodził z czasów, kiedy jeszcze mieszkała w Menverren razem z ojcem, Lindą i chłopcami. Przy tylu ludziach w domu o samotność było dosyć trudno.

Teraz nikt jej nie przeszkadzał, czytała więc bardzo uważnie, starając się wydobyć maksimum znaczenia z każdej pozornie przypadkowej notki. Jako że ich większość powstała w Ameryce, w kilku dłuższych fragmentach znajdowały się opisy sąsiadów i przyjaciół z Connecticut, panującej tam mroźnej zimy, a zwłaszcza dręczącej autorkę tęsknoty za Anglią i jedyną córką. Były też wzmianki o gościach; odwiedził ją ktoś oznaczony literą „T”, pewnie Trevor, a później „B”, „N” i „J”. Sam z irytacją pokręciła głową: te litery zamiast imion! „J” oznaczało pewnie Johnny’ego, trzeba będzie to jednak sprawdzić; postanowiła to zrobić, gdy zostaną sami - bez Miriam. O „M”, czyli Miriam, było również kilka zapisków.

O tym, że próbowała naprawić stosunki pomiędzy Kirsten i Raphem. Pod koniec znajdowała się notatka o planowanym przyjeździe „S”, a obok słowa: „Pomówić z S o SM”.

Niewiele mądrzejsza niż przedtem, nareszcie weszła do wody, która do tego czasu zdążyła kompletnie wystygnąć. Szybko zmyła z twarzy łyż zmieszane z potem i londyńską sadzą, po czym owinięta puchatym ręcznikiem powędrowała do swego pokoju. Jakiś dziwny impuls kazał jej odchylić brezentową płachtę zasłaniającą wejście do wieży. W ciemnej pustce zionącej wonią wilgoci i próchniejących desek rozległ się nagle łopot ptasich skrzydeł. Jakiś przerażony kos, a może gołąb zerwał się z którejś z ocalałych belek i z hałasem godnym całego stada wyfrunął na zewnątrz przez widoczny tuż pod dachem otwór. Sam czym prędzej zrobiła krok w tył; znowu ten diabelny zawrót głowy! Pomyślała zarazem, że gdyby była tu Kirsten, napisałaby pewnie poemat o strwożonym ptaku i sędziwej opuszczonej wieży.

Już ubrana w spódnice i bawełnianą koszulkę raz jeszcze wzięła do ręki notatnik. W pierwszej jego części znajdowały się wzmianki, które wzbudziły w niej lekki niepokój. Starła się o nich nie myśleć, teraz jednak powiedziała sobie, że trzeba stawić im czoło. Dotyczyły poematu *Ptak pożegnania*, o którym wspominał Trevor. Były to różne obrazowe skojarzenia nasuwające się Kirsten w początkowej fazie powstawania tego wiersza, metafory i całe frazy. Nękający Sam niepokój brał się stąd, że były to zwroty bardzo podobne lub wręcz identyczne z tymi, które widniały na kartce uznanej przez koronera za „list pożegnalny”. Dla wszystkich z wyjątkiem Sam właśnie ta kartka stanowiła ostateczny dowód, że Kirsten odebrała sobie życie.

Nietrudno było odgadnąć, na jakich przesłankach oparto ten wniosek: Kirsten Waller uległa depresji, i to z całkiem oczywistych przyczyn. Po rozpadzie małżeństwa wylądowała samotnie w wynajętym mieszkaniu w jakimś małym miasteczku w Connecticut. Cóż mogła tam robić podczas przynębiająco długiej zimy? Dzień po dniu coraz bardziej osaczały ją



myśli o pożegnaniu ze światem. Po powrocie do Kornwalii nastąpił tragiczny finał. Tym, którzy nie znali Kirsten, mogło to wydawać się logiczne, dla Sam jednak była to koncepcja nie do przyjęcia. Od początku była przekonana, że istnieje inne wyjaśnienie zagadkowej śmierci jej matki. Wierzyła, że zdoła je odkryć, i chociaż wciąż jeszcze była od tego daleka, uparcie nie dawała za wygraną, bez przerwy analizując wszelkie możliwe opcje.

Dumała nad tym nawet podczas kolacji. Miriam nękał coraz silniejszy ból głowy, toteż gdy tylko skończyli jeść, Johnny mimo wczesnej pory - była dopiero dziewiąta - kazał jej iść do łóżka. Sam pomogła mu zmyć naczynia, a potem wyszli na taras - obserwować wrześnie niebo.

Dobrze było siedzieć tak w ciemności rozjaśnianej jedynie ognikiem cygara i od czasu do czasu błyskiem spadającej gwiazdy. Gawędzili właściwie o niczym, ale Sam wystarczyło ciepłe brzmienie głosu Johnny'ego i jego miłe żarciki, by poczuć, że wreszcie ogarnia ją spokój.

\*

Już leżąc w łóżku, po raz kolejny zerknęła do pamiętnika. W pewnej chwili zaczęła morzyć ją senność, i oto gdzieś na granicy dzielącej jawę od snu objawiło jej się nagle rozwiązanie problemu, który dręczył ją przez cały dzień.

*Ptak pożegnania*, no jasne! Całkowicie rozbudzona, gwałtownie usiadła na łóżku i otworzywszy niebieski notes, wydała westchnienie triumfu. W pewnym miejscu brakowało strony; ktoś najwyraźniej ją wyrwał, o czym świadczył wążutki poszarpany brzeżek widoczny dopiero przy bardzo uważnej inspekcji, a kartki dziennika i ta, na której znajdował się rzekomy „list samobójczy”, były identyczne! Taki sam papier i format! Wszyscy się mylili! Policja, koroner, nawet przyjaciele! Te elegijne frazy, które z taką pewnością uznano za pożegnanie poetki ze światem, były luźnymi fragmentami wiersza, którym Kirsten zamierzała pożegnać Amerykę, gdy zdecydowała się wrócić do Anglii! „Pofrunąć w szarość”. Właśnie w ten sposób bardzo często określała Kornwalię. Szary jest przecież cały tamtejszy krajobraz - wszechobecne skały i posępnie zachmurzone niebo, ha, nawet morze ma w Kornwalii barwę metalu!

Nie, to nie był „samobójczy list”! Kirsten nie odebrała sobie życia. To ta kartka na stole winna jest wszystkiemu. Gdyby nie ona, prowadzący śledztwo musieliby wziąć pod uwagę inne możliwości - wypadek albo morderstwo.

Na korytarzu skrzypnęły deski: ktoś bardzo ostrożnie szedł do łazienki. Wydawało się to dosyć dziwne, jako że Miriam i Johnny mieli własną łazienkę przyległą do ich sypialni... Sam wytłumaczyła to sobie w ten sposób, że Miriam pewnie zasnęła, a Johnny bał się ją

zbudzić. Słyszając po chwili głośny szum wody, utwierdziła się w tym przekonaniu.

Kontynuując swoje rozważania, uświadomiła sobie jasno, że dokonane przed chwilą odkrycie wyklucza teorię wypadku, bardzo mocno przemawia natomiast za koncepcją morderstwa upozorowanego na samobójstwo.

Tylko kto je popełnił?

Dziennik zabrał Raph. On też najprawdopodobniej wyrwał z niego stronę. Analizując teraz przebieg ich wspólnej bytności w Gull Cottage, Sam przypomniała sobie, że to on „zauważył” tę kartkę, jakże ostentacyjnie wyeksponowaną na stole! Czyżby kogoś osłaniał? A może zabójca działał na jego zlecenie?

Kto to mógł być, na Boga? Lola? Miriam? Johnny? Im dłużej próbowała dopasować do siebie elementy tej łamigłówki, tym bardziej zagmatwana stawała się cała sprawa. Krótka chwila triumfu minęła bez śladu; Sam znów ogarnęło uczucie, że stoi przed ślepym murem.

Zniechęcona wsunęła notes pod poduszkę i zgasiła światło - może sen przyniesie jakąś radę, cóż, kiedy sen nie przychodził. Była to ta godzina nocy, kiedy świat pogrąża się w kompletnej ciszy; umilkł nawet szelest liści, ustały skrzypnięcia i trzaski towarzyszące zwykle zapadaniu się ścian starych domostw...

Ale co to? Na korytarzu znów skrzypnęły deski, a potem gałka u drzwi obróciła się z lekkim szcęknięciem...

Sam momentalnie oprzytomniała. Wcisnąwszy notes głębiej pod poduszkę, na chwilę wstrzymała oddech. Do pokoju ktoś wszedł. Ciemna postać na palcach przemknęła do krzesła, na którym leżały jej plecak i torba. Nakazując sobie spokój, Sam odczekała jeszcze chwilę i dopiero słysząc brzęk monet - ktoś poruszył jej portmonetkę - gwałtownie włączyła światło.

- Johnny?! Co ty tu robisz, do licha?

Błyskawicznie obrócił się w jej stronę, omal nie tracąc przy tym równowagi. Miał na sobie luźną piżamę w biało-czerwone pasy, zmierzwił blond włosy sterczały mu dziko nad czołem, a ta jego mina! Sam nagle zachciało się śmiać. Przypomniła jej się niedźwiedz, którego przyłapały kiedyś z Kirsten w swym obozowisku w parku narodowym Algonquin. Ten zwierzak miał bardzo podobną minę.

- Co ty tu robisz? - powtórzyła.

- Wybacz mi, Sam. Nie chciałem cię budzić... Miriam wciąż boli głowa, a skończył nam się paracetamol. Pomyślałem, że może ty go masz. Naprawdę nie chciałem cię zbudzić...

- Powinieneś był to zrobić. Nie miałabym nic przeciw temu, choć nie byłabym w stanie wam pomóc. Nie noszę przy sobie środków przeciwbólowych. A poza tym... paracetamol?

Myślałam, że Miriam używa czegoś silniejszego.

- Stara się nie brać silnie działających środków, chyba że w ostateczności. Raz jeszcze bardzo cię przepraszam.

- Nie ma sprawy.

- W takim razie dobranoc - powiedział, człapiąc do drzwi.

- Dobranoc, Johnny. Mam nadzieję, że do rana Miriam poczuje się lepiej.

- Spij dobrze.

Akurat. Sam długo nie mogła zasnąć. W bajeczkę o paracetamolu oczywiście nie uwierzyła. Ale Johnny zamieszany w całą tę aferę? Czy to Raph go nasłał? Znając dobroduszość Johnny'ego, łatwo było sobie wyobrazić, że zgodziłby się spełnić prośbę przyjaciela, gdyby nawet nie rozumiał jej powodów.

I pomyśleć, że to jego serdeczne zaproszenie i cała wylewna gościnność nie były bezinteresowne! Chodziło o dziennik.

Jak by tu wydobyć z niego prawdę? Dumiała nad tym prawie aż do świtu.

## 13

- Och nie, niech pan tam nie wchodzi! - krzyknęła Miriam. - Te deski są całkiem spróchniałe!

- Proszę się o mnie nie martwić - odparł Simon Rednal wpatrzony z zachwytem w odsłonięte wejście do wieży. - Mój Boże, toż to oryginalne piętnastowieczne drewno! Mają tu państwo prawdziwy skarb!

- Proszę uważać - powtórzyła Miriam z rosnącym zdenerwowaniem.

- Nic mi nie będzie - rzucił beztrząsowo jej gość. Nie mogąc już pohamować kipiącego w nim podniecenia, zrobił krok do przodu i wszedł do wieży.

Był uznanym autorytetem w dziedzinie konserwacji starych budowli. Drobny i żyłasty, miał na oko ze czterdzieści pięć lat i dosłownie tryskał energią. Natychmiast po przyjeździe z Bath - zjawił się tuż po śniadaniu - przywdział roboczy kombinezon, z którym bardzo zabawnie kontrastował teraz uroczysty krawat, i nie tracąc ani minuty, kazał Miriam zaprowadzić się do wieży. Sam przyłączyła się do nich, nie było natomiast Johnny'ego, który tajemniczo gdzieś zniknął. Miriam nie przestawała nad tym lamentować.

- Nie mam pojęcia, co się z nim stało - westchnęła, przykładając rękę do czoła. Chyba jeszcze nigdy nie wydawała się tak strasznie krucha. Skórę miała wprost przezroczystą,

zaciśnięte usta tworzyły cieniutką kreskę. - Mąż wiedział, że pan dziś przyjeżdża, dlatego nie rozumiem, jak mógł tak zniknąć. Zazwyczaj jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym.

Sądząc z wyrazu twarzy eksperta, był on zbyt zafascynowany wspaniałym zabytkiem, aby miał się przejmować czymś tak nieistotnym jak nieobecność pana domu czy zdenerwowanie jego żony. Nie bacząc na kruche deski, które miał pod sobą, jął obracać się dookoła ze wzrokiem utkwionym w sufit.

- Och, proszę tu spojrzeć! - wykrzyknął entuzjastycznie. - Oryginalne sklepienie! Cóż za mistrzowska robota! A jakie ozdoby! - Urzeczony pięknem oglądanego wnętrza, zrobił następny krok naprzód.

- Ostrożnie! - pisnęła Miriam. - Stąd do parteru jest dwadzieścia stóp, a na dole kamienne płyty! Można się zabić!

- Proszę się uspokoić, jestem niezniszczalny!

- O Boże - jęczała Miriam, wykręcając sobie palce. - To takie niebezpieczne!

Sam uspokajająco dotknęła jej ramienia.

- Ten pan chyba wie, co robi.

Konserwator tymczasem ostrożnie posuwał się naprzód, badając każdą kolejną deskę czubkiem lśniącego pantofla.

- No tak - oznajmił nagle posępnym tonem lekarza stawiającego tragiczną diagnozę - obawiam się, że mamy tu do czynienia nie tylko z czerwiem drzewnym, ale i z czymś znacznie gorszym. Widzę tu przecieki - stwierdził surowo, zerkając w górę, po czym przykucnął i końcem noża podważył brzeg jednej z desek - lecz i to jeszcze nie jest najgorsze. Chyba nie mylę się, sądząc, że drewno zaatakował dobrze nam znany, bardzo niebezpieczny nieprzyjaciel, pewien chrząszcz zwany kołatką. Musi pani wiedzieć, że to bardzo poważna infekcja.

- Czy to znaczy, że deski trzeba wymienić? - spytała Sam, jako że Miriam chwilowo straciła mowę.

- Och nie, broń Boże! - wykrzyknął pan Rednal, którego tak przeraził sam ten świętokradczy pomysł, że zerwał się na równe nogi, omal nie przyplacając tego życiem. Zdążył jeszcze powiedzieć: - Oczywiście trzeba będzie poddać je kuracji... - po czym deska, na której spoczywała jego lewa stopa, rozpadła się nagle jak mokra tektura, i kończyzna eksperta zniknęła w dziurze. Miriam wrzasnęła. Równie przerażony ekspert stracił równowagę, jednak w ostatniej chwili zdołał wykonać desperacki skok w stronę wyjścia i chwyciwszy się ościeżnicy, wygramolił się na korytarz.

- Co się tam dzieje? - dał się słyszeć głos Johnny'ego. Zaraz potem on sam ukazał się w

korytarzu. - Co się stało, Miri?

Oparty o ścianę Simon Rednal zdążył już trochę ochłonąć.

- Wprawdzie nie był to test rekomendowany przez ekspertów - rzucił z uśmiechem - uważam wszakże, iż spełnił swą rolę. Wiemy teraz, że deski trzeba usunąć i poddać dłuższej kuracji. Z belkami poradzimy sobie na miejscu.

- Mógł się pan zabić! - jęknęła Miriam, trzęsąc się konwulsyjnie.

- Och nie, nic by mi się nie stało. - Ekspert otarł pot z czoła, strząsając jednocześnie kilka pajęczyn. - Jestem pewien, że belki utrzymałyby mój ciężar. Pękła tylko ta jedna deska.

- Nie powinnam była pozwalać panu na takie ryzyko! - nie przestawała zawodzić Miriam. - Wiedziałam, jak zdradliwa jest ta podłoga. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby spadł pan z tej wysokości! O Boże! Nigdy bym sobie tego nie darowała!

Jej mąż najwyraźniej postanowił przerwać te lamenty.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Johnny Johns - powiedział z uśmiechem, ściskając rękę eksperta.

- Bardzo mi miło. - Wbrew zapewnieniom, że nic mu nie jest, pan Rednal wydawał się mocno wstrząśnięty.

- Przepraszam za spóźnienie - jał usprawiedliwiać się Johnny. Miał na sobie jakieś stare łachy, a na jego twarzy widniały plamy od kurzu i sadzy. - Zacząłem czyścić jedną z naszych stajen i zupełnie straciłem poczucie czasu. Od miesiący zabierałem się do tej roboty... Czy moja żona pokazała panu wszystko, co chciał pan zobaczyć?

- Chciałbym jeszcze obejrzeć parter.

- Oczywiście. Przez wiele lat była tam rupieciarnia, ale w zeszłym roku zdołaliśmy ją opróżnić. Są tam bardzo piękne i bardzo stare kamienne płyty. Chodźmy, zaprowadzę pana.

Sam zauważyła, że podczas całej tej rozmowy Johnny nawet na nią nie spojrzał; zachowywał się w taki sposób, jakby jej w ogóle nie było. Pomyślała, że to całkiem nie w jego stylu, powód jednak był dla niej jasny.

\*

Od razu po wyjeździe Simona Rednala poszła za Johnnym do kuchni, gdzie bez słowa postawiła przed nim buteleczkę paracetamolu.

Drgnął lekko, ale zdołał się opanować.

- Więc jednak miałaś paracetamol.

- Nie, to ty go miałaś.

- Jak to?

Kiedy Johnny i Miriam dyskutowali z panem Rednałem o próchnieniu drewna,

kołatkach i rządowych subwencjach, Sam miała okazję porozglądać się trochę po domu. Teraz wzięła do ręki efekt swego śledztwa - buteleczkę z paracetamolem - i lekko nią potrząsnęła.

- Znalazłam te tabletki w waszej łazience.

- Doprawdy? Musiałem je przeoczyć - odrzekł Johnny. Wydawał się bez reszty pochłonięty gotowaniem. Przegarnął dłonią kilka młodych kartofli leżących w zlewozmywaku, zajrzał do piekarnika, gdzie skwierczał jagnięcy udziec, obrzucił szybkim spojrzeniem wielki sosnowy stół, na którym spoczywał pęczek świeżo zerwanej mięty, po czym całą swą uwagę poświęcił znowu ziemniakom. Sam bardzo lubiła tę kuchnię, szczególnie gdy Johnny zajmował się kucharzeniem. W przeciwieństwie do Rapha nie robił wokół siebie szumu, nie spożywał też zbyt dużo trunków, a jego potrawy były bardzo smaczne, choć proste.

- Napijesz się sherry? - zapytał.

- Nie, dziękuję. A co do tabletek: nie mogłeś ich przeoczyć. Oprócz paracetamolu znalazłam zresztą z pół tuzina innych środków przeciwbólowych. Macie tam całą aptekę.

Johnny z taką uwagą przyglądał się leżącym przed nim kartoflom, jakby mogły mu one podszeptać jakieś wyjście z trudnej sytuacji.

- Ach - bąknął - więc i ciebie bolała głowa? Biedną Miri znowu ścięło z nóg. To przez ten upał.

- Powiedz mi, Johnny, czego naprawdę szukałeś dziś w nocy.

- Czego szukałem? Przecież ci mówiłem. Miri prosiła, żebym sprawdził, czy nie masz jakichś tabletek od bólu głowy, a ja nie chciałem cię budzić, więc...

- Daj spokój, Johnny, przecież to wierutne kłamstwo. - Gdyby istniał światowy konkurs kłamców, Johnny z pewnością zająłby w nim ostatnie miejsce. Był tak zażenowany i nieszczęśliwy, że Sam zrobiło się go prawie żal. Mimo to nie zamierzała mu odpuścić. -  
Odpowiedz: czego szukałeś?

- Ach, no... przepraszam cię, Sam. Naprawdę nie chciałem cię budzić...

- Chodziło o dziennik mojej matki?

- Co?

Sam poklepała swą czerwono-zieloną torbę, którą trzymała pod pachą.

- Pytam, czy szukałeś pamiętnika Kirsten.

Johnny rzucił tęskne spojrzenie w stronę drzwi do ogrodu. Jego twarz przybrała kolor dojrzałej truskawki i pokryła się gęsto kropelkami potu.

- Pamiętnika Kirsten? Co też ci przyszło do głowy?

- Czy to Raph kazał ci go ukraść?

- Raph? - Tym razem w głosie Johnny'ego brzmiało prawdziwe zdumienie. - Ależ nie! -  
Urwał gwałtownie, uświadamiając sobie, że właściwie przyznał się do winy.

- Jeśli nie Raph, to kto? Nie sądzę, że był to twój pomysł.

- Nie przyszłoby mi to do głowy.

- Więc kto ci to zlecił?

Sam była tak przekonana o winie Rapha, że nikogo innego nie brała dotąd pod uwagę, jednakże milczenie Johnny'ego nasunęło jej pewną myśl:

- Bo przecież chyba nie Miriam? - rzuciła bez wiary w skutek. - To ona? - spytała z niedowierzaniem, widząc po jego minie, że tym razem trafiła w dziesiątkę. Przypomniała sobie nagle fragment rozmowy Rapha z jego siostrą zaraz po pogrzebie Kirsten. Miriam indagowała go wtedy o dziennik...

- Wcale nie powiedziałem, że to Miri - zaprotestował Johnny.

- Och, przestań blefować. Idzie ci to bardzo kiepsko. Powiedz mi lepiej, dlaczego Miriam kazała ci ukraść ten notes?

- To nie miała być kradzież - odrzekł zgnębiony do ostateczności.

- A jak byś to nazwał?

- Posłuchaj, Sam... Chodzi o to, że... Przykro mi, że cię zbudziłem... Przepraszam.  
Doprawdy nie wiem, co jeszcze powinienem zrobić.

- Może powiedziec mi prawdę?

- Ale...

- Proszę cię, Johnny. To dla mnie ogromnie ważne.

Wytarł ręce w papierowy ręcznik i z ciężkim westchnieniem usiadł przy stole.

- Mój Boże, tak strasznie mi przykro... No dobrze, powiem. Musisz mi jednak obiecać, że nie będziesz już drażyć tej sprawy. Obiecujesz?

- Tak ci na tym zależy? Dlaczego? - Sam wysunęła sobie krzesło i też usiadła przy stole.

- Bo widzisz... Miri poprosiła, żebym pożyczył od ciebie ten dziennik... Nie ukradł, tylko pożyczył, najwyżej na kilka godzin. Chciała po prostu go przejrzeć. Miałem go odnieść na miejsce, zanim się obudzisz.

Wyglądało na to, że tym razem powiedział prawdę.

- Co takiego Miriam spodziewała się tam znaleźć?

- Nie wiem. - Teraz znów próbował się wykręcić.

- Przecież musiała ci coś powiedzieć. Nie wyobrażam sobie, że zgodziłbyś się zrobić coś takiego, gdyby nie podała ci powodu.

- Hm... no tak... Powiedziała, że chodzi o rodzinę. No wiesz, ten dziennik podobnie jak poprzednie pamiętniki Kirsten zostanie opublikowany, prawda? Lub przynajmniej znajdzie się w archiwum, do którego każdy, komu to przyjdzie do głowy, będzie mógł sobie sięgnąć, zatem to zupełnie zrozumiałe, że Miri chciałaby znać jego treść. Po prostu na wszelki wypadek. Nikt nie lubi, żeby obcy ludzie grzebali w jego prywatnych sprawach. Jestem pewien, że ty również. Tylko o to chodziło Miri.

- Mogła mnie zapytać, czy są tam tego rodzaju szczegóły. Powiedziałabym jej, że nie ma się o co martwić. Kirsten prawie nie wspomina o rodzinie Rapha.

- No cóż, brzmi to uspokajająco. Powiem jej o tym, jeżeli pozwolisz.

- Uspokajająco? Czego konkretnie bała się Miriam?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że chodzi o to, co zwykle: rodzinne niesnaski, konflikty...

- Sekrety?

- Możliwe.

- Ale jakie?

- Och, zwykłe sprawy, zdarzające się w każdej rodzinie... - Johnny urwał nagle i uśmiechnął się z wyraźną ulgą, słysząc zbliżający się warkot silnika. - Aha, to pewnie Diana! Punktualna co do minuty - dodał, zerknąwszy na zegarek. - Muszę się pospieszyć z warzywami. A co do dziennika twojej matki: powiedzieliśmy sobie już wszystko.

- Nie, Johnny. Nie powiedziałeś mi jeszcze, czego tak boi się Miriam.

- Wybacz, Sam. Chętnie bym jeszcze z tobą pogawędził, ale muszę przywitać się z Dianą. Znasz ją, wiesz, jaka jest czuła na punkcie dobrych manier.

Odzyskawszy nagle całą swą energię, Johnny wymaszerował z kuchni. Sam wyszła za nim do holu, skąd stojąc w otwartych drzwiach, mogła obserwować powitalną scenkę. Szofer Diany pomagał jej właśnie wsiąść z samochodu. Od czasu wypadku, w którym zginął Anthony, a ona straciła prawo jazdy, miała już kilku kierowców, rekrutujących się zwykle spośród jej młodych krewniaków, lecz najlepszy jak dotąd okazał się ten szczupły ciemnowłosy chłopak imieniem Craig. Jako nastolatek miał podobno pewne kłopoty z policją, ale wyrósł już z młodzieńczych grzeszków. Chciał zostać technikiem komputerowym i zamierzał wkrótce rozpocząć naukę.

Zaraz po Dianie z wozu wyskoczył Bobbo, który z szaleńczym ujadaniem zaczął tańczyć dookoła swej pani. Johnny, uczyniwszy zadość ceremoniom powitalnym, zapytał Craiga, czy zechce zostać na lunchu, ten jednak grzecznie podziękował: pójdzie do pubu. Po ustaleniu, o której ma wrócić po Dianę, Johnny z najwyższą atencją poprowadził teściową do



domu. Sam usłyszała, jak tłumaczy jej z troską w głosie, że Miriam znów ma migrenę, lecz jest nadzieja, że do lunchu poczuje się lepiej. W domu ani na moment nie odstępował Diany, która popijając sherry, gawędziła z nim o błahostkach. Sam w tych warunkach musiała zrezygnować z dalszej indagacji - ku widocznej uldze Johnny'ego.

\*

Zaraz po lunchu pan domu powrócił do czyszczenia stajni; wyniesione z niej pudła i inne rupiecie starannie ułożył w stertę, którą zamierzał podpalić. Miriam leżała na sofie w salonie, trzymając na brzuchu ciemne okulary. Wszystkie okna były zasłonięte. Kiedy do pokoju weszła Sam, Miriam powoli uniosła powieki.

- Przepraszam, nie chciałam cię budzić.

- Nie spałam - mruknęła Miriam.

- Jak tam twoja głowa? Trochę lepiej?

- Raczej nie, ale bywało gorzej.

- Chciałam cię o coś spytać - zaczęła Sam i umilkła: w drugim końcu salonu ktoś się poruszył. Diana.

Zatopiona w pasiastym niebiesko-kremowym fotelu, musiała pewnie się zdrzemnąć, gdyż kolorowy niedzielny tygodnik zsunął jej się z kolan na podłogę. Kiedy się schyliła, żeby go podnieść, śpiący obok Bobbo otworzył jedno oko, półprzytomnie podniósł głowę, jakby chciał ją polizać w rękę, i natychmiast znów zapadł w sen.

- W tych dzisiejszych gazetach wypisują tylko same bzdury - cierpko rzuciła jego pani.

- O jakichś młodych idiotkach, o których nikt nigdy nie słyszał. I to mają być artykuły? Kiedyś czytając gazetę, można było się czegoś nauczyć, a teraz to tylko marnowanie czasu.

Miriam pominęła to milczeniem. Przewróciła się na bok, oparła na łokciu i uważnie spojrzała na Sam.

- Chciałaś mnie o coś spytać?

Sam nigdy jeszcze nie widziała u niej takiego wyrazu twarzy, a jej oczy... były zimne jak kostki lodu. O co jej chodzi? Jeśli boi się pytań o dziennik, to niepotrzebnie się martwi, pomyślała. Obecność Diany w salonie wykluczała taką dyskusję. Ta kobieta miała w sobie coś dziwnie niepokojącego.

- Nie ma sprawy - powiedziała w miarę obojętnie. - Pomówimy o tym kiedy indziej. Kiedy poczujesz się lepiej.

- Nie. Mów teraz! - Zabrzmiało to jak rozkaz.

Sam zawahała się lekko.

- No dobrze...

- Co to za zapach? - odezwała się nagle Diana. - Czy to dym? Czy coś się pali?

Miriam głośno wciągnęła powietrze, a potem gwałtownie opuściła nogi na podłogę, usiłując podnieść się z sofy.

- To dym! - sapnęła. - Tak, coś się pali! O Boże, to pożar!

Gdyby ktoś inny tak się zachował, Sam pewnie by się roześmiała, teraz jednak nie było jej wcale do śmiechu. Te kobiety nie były komiczne. Były... nie umiała tego określić.

- Johnny podpalił rupiecie, które wygarnął ze stajni - powiedziała uspokajająco. - Jakieś stare pudła i kawałki drewna.

Miriam zaczęła się krztusić, jakby w pokoju było pełno dymu, choć w rzeczywistości jego zapach ledwie dawało się wyczuć.

- Och, zamknijcie te okna! - krzyknęła. - Jak on może być taki bezmyślny! No prędeż, bo się podusimy! - Rozkaszała się gwałtownie, co ją tak wyczerpało, że osunęła się znowu na sofę.

Sam pobiegła zamykać okna. Diana tymczasem zaczęła z pośpiechem zbierać swoje rzeczy. Wyglądało na to, że przygotowuje się do ucieczki.

- Jesteś pewna, że to na zewnątrz? Może coś pali się w kuchni? - dopytywała się niespokojnie. - Ogień rozprzestrzenia się tak szybko. Wstawaj, Miriam! Tu może być niebezpiecznie.

- Proszę mi wierzyć, nie ma żadnego niebezpieczeństwa - powiedziała Sam, domykając ostatnie okno. - Te rupiecie palą się na zewnątrz, i to bardzo daleko od domu. Naprawdę nie ma się czym przejmować.

- Ogień zawsze jest groźny - warknęła Diana. - Nie masz pojęcia, jak bardzo. - Chwyciła tygodnik i zaczęła się nim wachlować.

Miriam ułożyła się znów na poduszkach.

- Jak on mógł to zrobić - wymamrotała. - Przecież wie, jak nienawidzę ognia. Ten piekielny dym mnie udusi.

Sam zasunęła kotary.

- Gotowe - powiedziała rażno. - Dym już się tutaj nie wciśnie.

Nie odniosło to większego skutku. Miriam, jęcząc cicho i trzymając się ręką za czoło, zaczęła kołysać się teraz na sofie jak zrozpaczone dziecko. Diana wprawdzie usiadła na powrót w fotelu, widać było jednak, że w każdej chwili jest gotowa zerwać się i uciec.

Ten Johnny! - pomyślała Sam z nagłą złością. Nie powinien ich tak denerwować. Dobrze wie, jak zginął mąż Diany.

- Pójdę zobaczyć, czy nie dałoby się jakoś podsycić tego ognia - powiedziała głośno. -

Byłoby wtedy mniej dymu.

- Każ mu przestać - szepnęła słabym głosem Miriam. - Dłużej tego nie wytrzymam.

- Dymu? - Diana nagle zmieniła front. - Już go nie ma - stwierdziła, nie przestając wszakże rozglądać się dookoła.

- Ja wciąż czuję ten zapach! - jęknęła Miriam.

- Nonsens! Już się ulotnił. A dymu wcale tu nie było.

- Był, właśnie że był!

- Przestań o tym myśleć, to nie ma sensu. Myśl o czymś przyjemnym.

Obróciwszy się twarzą do matki, Miriam spojrzała na nią z taką nienawiścią, że Sam poczuła ciarki na grzbiecie.

- Doprawdy, matko? - rzuciła z gryzącą ironią. - No tak, powinnam cię słuchać. Jesteś w tych sprawach nie lada ekspertem.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- O, czyżby? Dobrze, przypomnę ci twoją dewizę: nie widzieć zła ani go nie słyszeć, a przede wszystkim o nim nie mówić.

Diana wzięła Bobbo na kolana; ten podniósł mordkę i czule polizał ją w twarz.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, Miriam. O jakież to zło ci chodzi? Wygadujesz kompletne bzdury.

- Masz rację. - Ku zdumieniu Sam Miriam wybuchnęła okrutnym śmiechem. - Nie ma żadnego zła, prawda, mam? Dymu również, ani teraz, ani nigdy! Musiałam go sobie uroić! Głupia Miriam! Co ona jeszcze wymyśli? Słuchaj matki, Miriam! Matka umie poradzić sobie ze wszystkim! - Znowu zaczęła się śmiać i nagle urwała, przyciskając palcami skronie.

- Ty już zupełnie zgłupiałaś - stwierdziła Diana. - No, Bobbo, wystarczy tego dobrego - dodała tym samym tonem, stawiając na podłodze swego ulubieńca, a gdy Miriam znów parsknęła śmiechem, rzuciła pod jej adresem: - Nie odezwę się do ciebie, dopóki nie oprzytomniejesz. - Podniosła tygodnik, otworzyła go na chybił trafił i z twarzą jak pusta karta (tylko ona potrafiła tak wyglądać) wlepiła oczy w gazetę.

## 14

Mick już z daleka usłyszał czyste tony wiolonczeli górujące nad ulicznym zgiełkiem. Nie znał wykonywanego utworu, lecz gdy tylko wyszedł zza rogu, natychmiast rozpoznał artystkę siedzącą przed kawiarnią na składanym stołku.

Wolał, by go nie widziała, więc po kilku ostrożnych krokach skrył się za plecami stojących półkolem słuchaczy. Niepotrzebnie. Była tak pochłonięta muzyką, że nie zwróciłby jej uwagi, gdyby nawet stał na widoku. Tym razem miała na sobie czarną sukienkę z cienkiej bawełny odsłaniającą ramiona i barki. Dobrze mu znaną czerwono-zieloną torbę trzymała tak blisko siebie - wciśniętą za instrument - jakby bała się stracić z nią kontakt nawet na krótki moment. Spozstrzegł, że z torby wystaje brzeg niebieskiego notesu. Aha, chodzi o dziennik. Patrząc na jej odchyloną głowę, pełen wdzięku łuk szyi, obnażone ramiona i szczupłe, ale silne palce, pomyślał, że gra całym ciałem, że każda dosłownie cząstka jej jestestwa bierze udział w tym tajemnym akcie, który sprawia, iż zwyczajne dźwięki stają się muzyką.

Wychodzący z kawiarni klienci rzucali monety na zmiętą dżinsową kurtkę, dziękując artystce za ten nieoczekiwany koncert. Nie zwracała na nich uwagi. No cóż, milutka jak zwykle, pomyślał zgryźliwie Mick; może niepotrzebnie tu przyszedł? Właśnie zakończyła utwór szerokim pociągnięciem smyczka i na chwilę zastygła w bezruchu.

Słyszając gromki aplauz publiczności, zamrugała oczami jak człowiek wyrwany ze snu, powoli przebiegła wzrokiem po słuchaczach i wtedy dopiero twarz jej rozjaśnił przepiękny uśmiech. Taki sam jak uśmiech jej matki utrwalony na zdjęciach, które Mick oglądał w Internecie. Musiał przyznać, że w chwilach gdy opuszcza ją kocia nieufność, Sam Boswin staje się nagle dziewczyną, która może rzucić na kolana.

Kiedy zdecydował się już do niej podejść, dwoje Amerykanów, którzy właśnie położyli na kurtce pięciofuntowy banknot, poprosiło ją o wspólne zdjęcie. Zgodziła się od razu i z szerokim uśmiechem stanęła pomiędzy dwojgiem nieznanym, nie rozstając się jednakże z torbą. Trzymała ją pod pachą nawet wtedy, gdy odeszli wraz z resztą słuchaczy, a ona zaczęła odkręcać nóżkę swego instrumentu.

Właśnie w tym momencie pojawił się jakiś chłopak w zielonej baseballówce i zagadnął ją o coś, stukając palcem w otwarty przewodnik. Sam przybrała natychmiast ten odpychający wyraz twarzy, który zmieniał ją w małą jędzę. No tak, pomyślał Mick cierpko, znowu wyrosły jej kolce. Przyszedł powiedzieć jej coś ważnego, ale nagle poczuł zniechęcenie. Cała ta znajomość była strasznie zniechęcająca. Informacja, którą jej przyniósł, przestała wydawać się ważna. Niech jej to powie ktoś inny, pomyślał, a zresztą pewnie już wie. Postanowił odejść.

Zdażył zrobić ledwie parę kroków, kiedy kątem oka uchwycił jakiś ruch. Nie wiedział, co to było, lecz odwróciwszy się szybko, natychmiast wyczuł chyba szóstym zmysłem, że coś łączy właściciela baseballowej czapki z nieznanym rowerzystą w zasłaniającym twarz czarnym kasku, który nagle pojawił się znikąd i z ogromną prędkością gnał teraz prosto na

Sam. W rękę trzymał jakiś metalowy przedmiot. Mick rzucił się naprzód.

- Sam! - krzyknął ostrzegawczo. - Uważaj!

Tamten, prawie leżąc na kierownicy, pochylił się na bok, z impetem wjechał na chodnik, gdzie gwałtownie przyhamował i ruchem tak szybkim, że trudno go było dostrzec, zamachnął się czymś na dziewczynę. Mick złowił okiem błysk ostrza.

- O Jezu, nie!

Sam wykonała desperacki unik, osłaniając rękami twarz. Wypuściła zarazem torbę, pozwalając jej na kilka sekund zawisnąć luzem na ręku, lecz ten krótki moment wystarczył napastnikowi, który jednym uderzeniem noża przeciął płócienny pasek. Zdołała go schwycić, lecz wysliznęła jej się z dłoni, wyszarpnięty przez rowerzystę, który podparłszy się nogą, złapał torbę i natychmiast umknął na jezdnię, między gęsto jadące samochody. Wszystko to trwało kilkanaście sekund. Mick nawet nie zauważył, kiedy młody człowiek w baseballowej czapce, najwyraźniej wspólnik napastnika, ulotnił się gdzieś bez śladu.

- Zatrzymajcie go! - wrzasnęła Sam. Krzyknawszy następnie do kogoś w kawiarni, żeby przypilnował wiolonczeli, rzuciła się w szaleńczy pościg za cyklistą.

Mick zdążył ją wyprzedzić o kilka metrów. W biegach odnosił kiedyś sukcesy i choć ostatnio wyszedł trochę z wprawy, wciąż jeszcze był bardzo szybki. Mimo to widział z przykrością, że odległość pomiędzy nim a rowerzystą ciągle się powiększa. Szczupły i zwinny napastnik z doskonałym wyczuciem dystansu lawirował wśród samochodów, mijając je nieraz dosłownie o włos.

- Zatrzymajcie ten rower! - ryknął Mick do ludzi na chodniku, cóż, kiedy nikt się do tego nie kwapił. Wszyscy woleli po prostu się gapić. Widząc to, zaniechał krzyków: trzeba było oszczędzać oddech.

Zapaliło się czerwone światło. Rowerzysta, wśliznąwszy się w wąziutką lukę między samochodami a krawężnikiem, zaczął się przeciskać ku czołu kolejki. W drogę weszła mu jakaś kobieta z telefonem przy uchu, która widząc zielone światło dla pieszych, wkroczyła na jezdnię - prosto pod koła roweru. Hamując gwałtownie, omal się nie przewrócił, kobieta zaś w ostatnim ułamku sekundy odskoczyła z wrzaskiem na chodnik.

- Łapcie go! - sapnął Mick. Zaczynało brakować mu tchu.

Nie odniosło to żadnego skutku. Cyklista, odzyskawszy równowagę, przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, skręcił w lewo na wolny pas i pognął ile sił przed siebie.

- A żeby cię pokreśliło! - krzyknęła niedoszła ofiara wypadku, wyładowując całą swą złość na przebiegającym obok Micku.

Sytuacja stawała się beznadziejna; rowerzysta tak już daleko wysforował się naprzód,

że Mick lada chwila mógł stracić go z oczu. Widząc, że na prostej drodze, wolnej w dodatku od ruchu, nie ma szans dogonić roweru, zwolnił kroku, ale gdy już postanowił się zatrzymać i rozejrzeć za jakąś taksówką, spostrzegł coś, co wzbudziło w nim nową nadzieję.

Niedoszła kolizja na przejściu dla pieszych sprawiła, że uciekinier omal nie upuścił torby. Zaraz wprawdzie przycisnął ją znowu prawą ręką do boku, ale nie zauważył, że przecięty pasek rozwinął się na całą swą długość i dynda sobie wzdłuż jego nogi, niebezpiecznie blisko tylnego koła. Przy końcu ulicy, gdy wyprzedziwszy granatową furgonetkę, był już gotów z tą samą prędkością skrócić w prawo, a jechał o wiele za szybko, dyndający pasek zniknął nagle Mickowi z pola widzenia. W następnej sekundzie koło roweru wystrzeliło w górę, a jego właściciel z gracją godną tańczącego minojskiego byka przeleciał łukiem nad kierownicą, by wylądować ciężko na asfalcie.

Nadjeżdżający z przeciwka autobus zdołał na szczęście wyhamować, lecz zatrzymał się zaledwie o kilka cali od jego głowy. Gdy Mick dobiegł na miejsce wypadku, cyklista leżał nieruchomo, przywalony rowerem. Twarzy nie było widać, gdyż zasłaniał ją czarny kask. Obok jego wyciągniętej ręki leżała czerwono-zielona torba z paskiem nadal wplątany w szprychy tylnego koła.

Przy leżącym zdążył już zebrać się tłum. Ktoś zapytał delikwenta, kim jest i jak się czuje, lecz odpowiedziało mu milczenie. Mick przycisnął się obok tęgiej niewiasty w białej haftowanej bluzce, przykucnął i sięgnął po torbę, lecz gdy spojrzał na leżącego, zrobiło mu się słabo. Ten człowiek wydawał się martwy. Mój Boże, pomyślał, czy warto ginąć z powodu jakiejś głupiej torby? Stojący mu nad głową gapie zaczęli wykrzykiwać jeden przez drugiego:

- Trzeba zadzwonić po karetkę!
- Zdejmijcie mu kask!
- Nie ruszajcie go!
- Przestańcie się tłoczyć! Musi mieć trochę powietrza!

Kobieta prowadząca autobus wyskoczyła z kabiny - zszokowana i wściekła. Z twarzą zalaną strugami potu stanęła nad leżącym, bezładnie mamrocząc przekleństwa. Mick zdjął tylne koło z piersi cyklisty i zaczął rozplątywać pasek, ale tęga dama, roztaczająca wokół siebie intensywną woń mięty, chwyciła go mocno za ramię.

- Co ty wyprawiasz? - spytała z oburzeniem. - Wszystko widziałam. Gdybyś go nie gonił, nie doszłoby do wypadku.

- Ta torba została skradziona - burknął Mick.
- Co takiego?
- Ten tutaj ją ukradł.

- Skąd mamy wiedzieć, że mówisz prawdę? - zachnęła się gruba jejmość. - Może sam chcesz ją ukraść. Jeśli myślisz, że pozwolimy ci ją zabrać, to się mylisz.

- Zobaczymy - sapnął Mick, nie próbując się tłumaczyć. Brakowało mu na to tchu.

- Wybij to sobie z głowy! - warknął mały człowieczek ze sterczącymi dziko włosami. Tęga dama uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

- Och, na litość boską! Ten człowiek to złodziej! - zirytował się Mick.

- To ty tak mówisz - prychnęła jego przeciwniczka. - Poczekamy na policję. Niech oni powiedzą, kto tu jest złodziejem.

Spod czarnego kasku dał się słyszeć przeciągły jęk. Mick na ten odgłos spocił się z nagłej ulgi.

- Żyje! - pisnęła kobieta.

- Aha. Zapytajmy, co on o tym myśli - zdecydował mały człowieczek, przydeptyując pasek, który Mickowi udało się wreszcie wyplątać z koła.

- A nie lepiej byłoby zrobić coś pożytecznego? - syknął Mick.

- Na przykład zadzwonić po karetkę? Chwała Bogu, że jesteś! - wykrzyknął na widok Sam, która właśnie dobiegła na miejsce wypadku. - Ci kretyni myślą, że próbuję ukraść twoją torbę!

Momentalnie uświadomił sobie, że nazywając „kretynami” dwoje swych przeciwników, popełnił fatalny błąd strategiczny. Utracił przez to całą przewagę moralną, którą nad nimi zdobył wraz z pojawieniem się Sam. Tak też się stało.

- Jak śmiesz! - krzyknęła tęga jejmość. Sam tymczasem padła na kolana, próbując odzyskać swą własność, ale mały człowieczek twardo trzymał nogę na pasku.

- Puszczaj, do cholery! Ta torba jest moja!

- Tak? No to powiedz, co jest w środku!

- Po pierwsze, niebieski notes - włączył się Mick.

- Ale mądrała! - zakpił sojusznik tęgiej niewiasty. - To akurat widać gołym okiem. - Z torby rzeczywiście wystawał róg pamiętnika.

Rozwścieczona Sam pchnęła drobnego mężczyznę w kolano, wyciągnęła mu spod buta pasek i chwyciwszy odzyskaną torbę, przycisnęła ją mocno do piersi.

- Chwileczkę, młoda damo - zagadkała kobieta. - Powiedz nam, co jest w środku, to może ci uwierzymy.

- To nie wasz interes! - odgryzła się niezycliwie, odwracając się od swoich przeciwników. Nie doceniła ich determinacji. Mężczyzna nagłym ruchem chwycił za róg torby, a tęga kobieta za drugi.

- Poczekamy na policję! - powtórzyła.

- Jeszcze czego! Puszczajcie!

Zajęci szarpaniną, nie zauważyli, że nieruchomy dotąd cyklista nie tylko zdążył się podnieść, ale zostawiwszy swój rower na jezdni, pokuśtykał chyłkiem do taksówki. Zorientowali się dopiero w chwili, kiedy zamykał już drzwi.

- No proszę! Czy waszym zdaniem tak się zachowuje niewinny człowiek? - rzucił ironicznie Mick. Podniósł rower i położył go na chodniku. Kobieta prowadząca autobus wdrapała się do kabiny i włączyła silnik. Gapie zaczęli się rozchodzić.

- Próbowaliśmy tylko pomóc! - zawołała z urazą tęga dama.

- Właśnie - poparł ją wierny sojusznik - i co nas za to spotyka? Piękne podziękowanie, nie ma co!

Sam wydała z siebie jakiś dziwny odgłos podobny do czkawki. Zebrawszy swoje drobiazgi rozsypane podczas szarpaniny, wcisnęła to wszystko do nieco nadwężonej czerwono-zielonej torby, znad której spojrzała na Micka z błyskiem wesołości w oczach.

Ją to bawi, pomyślał zdumiony. A to ci dopiero!

\*

- Dobrze, że tu byłeś - stwierdziła, gdy wrócili do kawiarni po zostawioną tam wiolonczelę. - Przechodziłeś tędy przypadkiem?

- To nie był przypadek. Szukałem cię.

- Doprawdy? Z jakiego powodu?

- Mam ci coś do powiedzenia. Ale nie tutaj. Proponuję znaleźć jakieś bardziej przytulne miejsce. Masz ochotę napić się czegoś?

- Może później. Teraz chciałabym się przejść. Poczekaj chwileczkę, muszę tylko zaparkować wiolonczelę. - Weszła do kawiarni, gdzie za kontuarem stał jakiś osiłek o bicepsach świadczących wymownie, że nie mógł się ich dorobić, nalewając cappuccino, opowiedziała mu krótko, co się stało, a on jej obiecał popilnować instrumentu. Mick przyglądał im się przez szybę.

Sam wydawała się ogromnie ożywiona, wręcz promienna. Można by pomyśleć, zakpił w duchu, że uwielbia być ofiarą napaści. Dziwna z niej dziewczyna. Musiał jednak przyznać, że i jego rozpira energia.

- Dan powiada, że mu napędzam klientów - oznajmiła ze śmiechem po wyjściu z kawiarni. - Mam za to u niego darmową kawę, tak więc oboje jesteśmy zadowoleni.

- Dobry kontrakt - uśmiechnął się Mick.

Idąc w stronę Lincoln's Inn Fields, prawie nie rozmawiali. Mick z grzeczności



wypowiedział kilka uwag, ale Sam pogrążona we własnych myślach kwitowała je tylko uśmiechem. Kiedy wreszcie dotarli do przyjemnego ogródka pośrodku dużego placu, podniecenie już ich opuściło; z zadowoleniem usiedli na ławce.

- Dzięki, Mick, że pobiegłeś za tym opryszkiem - odezwała się Sam. - Gdybym straciła ten notes...

- Wiem, jak to jest. Straciłem kiedyś wszystkie karty kredytowe.

- Karty to drobiazg w porównaniu....

- Z dziennikiem?

- Uhm.

- Miałaś pecha, że upatrzyli sobie właśnie ciebie.

Spojrzała na niego jakoś dziwnie.

- Pecha? Ale chciałeś mi coś powiedzieć - dodała po chwili.

- Tak. Chyba ci nie mówiłem, że pracuję nad obroną pewnej kobiety, niejkiej Grace Hobden, która zadźgała nożem swojego śpiącego męża. Chciałem skonsultować pewne szczegóły techniczne... no wiesz, metoda takiego zabójstwa ma swoje znaczenie dla sądu...

- W tych sprawach nie jestem ekspertem.

- Wiem. Spotkałem się z pewną znajomą, specjalistką w dziedzinie medycyny sądowej.

- I co? Pomogła ci ta rozmowa?

- Nie bardzo. Korzystając jednak z okazji, poprosiłem tę moją znajomą, żeby mi wyjaśniła, jak działa na człowieka porażenie prądem w wodzie.

Teraz dopiero zdobył całą jej uwagę.

- Tak? No i co ci powiedziała?

- Wiele ciekawych rzeczy. To między innymi, że takie porażenie w przeciwieństwie do innych, takich jak na przykład śmierć od pioruna, nie pozostawia na ciele żadnych śladów. Zdaniem mojej znajomej jest to niemal doskonały sposób uśmiercenia człowieka bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Kiedy ofiara jest martwa, wystarczy wyjąć z wody urządzenie elektryczne, pozbyć się go, i tyle. Diagnoza brzmi wtedy: atak serca, czyli śmierć z przyczyn naturalnych. Prawdziwa przyczyna prawie nigdy nie wychodzi na jaw.

- Więc nareszcie mi wierzysz? - zawołała żarliwie Sam. - Wierzysz, że moja matka została zamordowana?

- Nie, wprost przeciwnie. Nie rozumiesz? To, co mówię, dowodzi niestety, że musiała popełnić samobójstwo.

- Jak to? Dlaczego tak uważasz?

- Zastanów się, Sam. Przypuśćmy, że ktoś zabił twoją matkę, wrzucając do wanny

radio. Gdyby tak było, to po jej śmierci wystarczyłoby mu tylko wyłączyć główny bezpiecznik, wyjąć radio, włączyć prąd i wyjść z domu, a radio utopić w morzu. Wszyscy by uznali, że Kirsten Waller umarła na atak serca, i sprawa by się skończyła. Po cóż morderca miałby inscenizować samobójstwo? Rozumiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale wszystko wskazuje na to, że jednak twoja matka własnoręcznie odebrała sobie życie.

- Och nie!

Mick miał wrażenie, że widzi, jak Sam zamyka się znów w swej skorupie.

- Przykro mi, Sam. Tak, to okrutne, lepiej jednak znać prawdę, niż ulegać złudzeniom.

- Złudzeniom? Co ty pleciesz? Ja znam prawdę, a przynajmniej znaczną jej część, więc daruj sobie fałszywe współczucie. Jestem po prostu rozczarowana, bo przez chwilę myślałam, że w końcu przyznasz mi rację.

- Pytam cię raz jeszcze: po co ktoś miałby fingować samobójstwo, skoro o wiele łatwiej byłoby urządzić to tak, żeby wyglądało na śmierć naturalną lub nieszczęśliwy wypadek?

- Dziś jeszcze nie umiem na to odpowiedzieć, ale jedno jest dla mnie pewne: to nie było samobójstwo. I nie jest to jakiś czysto intuicyjny domysł; świadczy o tym wiele dowodów.

- Na przykład? Podaj mi choć jeden.

Zamilkła. Widać było, że się waha.

- Mówiłaś policji o swych podejrzeniach?

- Próbowałam. Raz. Ale oni tak już się przywiązali do swojej teorii, że nie chcieli uwierzyć niczemu, co do niej nie pasowało.

Mick w głębi duszy skłonny był przyznać rację policji, mimo to powiedział:

- Posłuchaj, Sam: ja chcę ci uwierzyć, skoro jak mówisz, istnieją dowody, że popełniono morderstwo, musisz mi jednak je podać.

- Jak myślisz, dlaczego ktoś próbował ukraść mi torbę?

- Takie rzeczy są tutaj na porządku dziennym. Nie zauważyłaś, że Londyn to istny raj dla złodziei? Dzisiejsza napaść nie ma nic wspólnego ze śmiercią twojej matki.

- Tak twierdzisz? Gdybyś był zawodowym lub nawet tylko półzawodowym złodziejem, połaszczyłbyś się na taką torbę? Zadałbyś sobie dla niej tyle trudu? Ja, owszem, bardzo ją lubię, bo to prezent od przyjaciółki, która przywiozła mi go z Gwatemali, ale czy wygląda na to, że w środku jest coś cennego? A nie zauważyłaś, że chłopak w zielonej baseballówce wyraźnie się starał odwrócić moją uwagę od swego koleżki, tego rowerzysty? Czego to dowodzi? Że to nie był przypadkowy napad. Ktoś dobrze go zaplanował. Spytajmy teraz, z jakiego powodu? Przecież nawet mój telefon komórkowy ma już prawie dwa lata. Zawodowi złodzieje polują na torebki bogatych Amerykanek, a nie na takie rzeczy jak moja.

- Może to amatorzy albo, no wiesz, złodziejscy praktykanci.

- Nie wydaje mi się.

- Myślisz, że ten gnojek polował na dziennik?

- Polowali. Nie zapominaj, że było ich dwóch.

- Zaraz. Komu by mogło aż tak zależeć na pamiętniku twojej matki, żeby mu się chciało wkładać tyle wysiłku w jego zdobycie? Poza tobą oczywiście, a ty już go przecież zdobyłaś. Tak, wiem, była wybitną poetką, ale to śmieszne wyobrażać sobie, że ci dwaj zrobili to z miłości do poezji. Można nawet wątpić, czy umieją czytać.

- A jednak polowali na notes - powtórzyła Sam z niezachwianą pewnością siebie.

- No dobrze, załóżmy, że się nie mylisz. Czy według ciebie to oni zamordowali Kirsten?

- Mick starał się mówić neutralnym tonem, mimo to w jego głosie słychać było jawny sceptycyzm.

- Nie. Myślę, że wynajął ich morderca.

- Kto konkretnie? I z jakiego powodu ten dziennik ma dla niego aż takie znaczenie? Nie, to zupełnie bez sensu.

Sam chwilę milczała.

- Czy wiesz - spytała wreszcie - co według policji i sądu było głównym dowodem świadczącym o samobójstwie? To, że Kirsten zostawiła pożegnalną kartkę.

- Tak, wiem. Musisz przyznać, że taki list to naprawdę bardzo mocny dowód.

- Tylko że ona nie napisała żadnego listu. Popatrz. - Wyjęła dziennik i otworzyła go w miejscu, gdzie widać było poszarpany brzeżek po wyrwanej kartce. - Ta wyrwana strona - mówiła dalej - to właśnie ten rzekomy list. A naprawdę są to tylko fragmenty poematu, nad którym pracowała tuż przed powrotem do Anglii. Nosi on tytuł *Ptak pożegnania*. Ktoś wyrwał kartkę z dziennika i zostawił na stole w Gull Cottage, licząc, że policja uzna ją za list pożegnalny.

- Jesteś pewna? Papier się zgadza?

- Jest taki sam.

- Cóż, nadal uważam, że niczego to jednak nie dowodzi - stwierdził Mick po namyśle. - Mogła sama wyrwać tę stronę, żeby zaoszczędzić sobie czasu.

Spojrzenie, które posłała mu Sam, mogło obrócić go w popiół.

- Moja matka była poetką - rzuciła z naciskiem. - I ona by miała posługiwać się jakimś starym tekstem, w dodatku w tak ważnej chwili jak pożegnanie ze światem? Nonsens. Kirsten tak kochała słowa, że z pewnością zadbałaby o to, żeby każde brzmiało należycie. A poza tym napisałaby do mnie. Jestem tego pewna! - zakończyła z ogniem w oczach.

Mick wciąż jeszcze nie umiał się zdecydować, czy może jej wierzyć, poczuł jednak nagle, że wbrew wszelkim logicznym racjom bardzo by tego chciał.

- Podsumujmy twoje argumenty. Uważasz, że ten, kto ją zabił, przypadkiem znalazł w dzienniku stroniczkę, która mogła uchodzić za list pożegnalny, skorzystał zatem z okazji, wyrwał kartkę i zostawił ją na stole. Ja jednak ciągle nie rozumiem, po co by miał to robić, skoro bez tej kartki morderstwo, które popełnił, mogło wyglądać na śmierć naturalną.

- A jeśli nie wiedział, że porażenie prądem w wodzie można uznać za śmierć naturalną? Ja tego też nie wiedziałam. Ty zresztą również, póki nie pogadałeś z tą swoją znajomą. Jest jeszcze coś, co moim zdaniem nie zgadza się z teorią o samobójstwie. Mam powody sądzić, że osoba, która dokonała całej tej inscenizacji, ukradła też pewien poemat. Wiersz zatytułowany *Skrzydlaty morderca*.

- Chcesz przez to powiedzieć, że twoja matka spodziewała się zamachu na swoje życie i napisała o tym poemat?

- To może za daleko idący wniosek. Nie sądzisz jednak, że musi istnieć jakiś związek między morderstwem na osobie Kirsten a kradzieżą dziennika i poematu?

Cel tego pytania był dla Micka jasny.

- Dziennik wziął Raph, czy wobec tego sądzisz, że to on odpowiada za śmierć twojej matki? Myślisz, że ją zabił? - Wymówił to słowo głośka po glosce, z nadzieją, że w ten sposób uświadomi Sam, jak niedorzeczna jest ta teoria. - Ty naprawdę sobie wyobrazasz, że przejechał taki kawał drogi, żeby zabić żonę, a po jej śmierci zainscenizować samobójstwo?

Na policzki Sam wypłynął lekki rumieniec, lecz jej zaciśnięte szczęki świadczyły dobitnie, że uparcie będzie trwać przy swoim.

- Raph jest zamieszany w tę inscenizację - powiedziała dosyć spokojnie - ale nie uważam go za mordercę. Po prostu nie mógł jej zabić, chyba że lekarz błędnie ustalił czas zgonu.

Dobre i to, pomyślał Mick z pewną ulgą, aczkolwiek jego zdaniem było to bardzo nikłe ustępstwo na rzecz zdrowego rozsądku.

- Skoro nie Raph, to kto jest mordercą? Zgodnie z twoją teorią rzecz jasna.

Tym razem milczała tak długo, że zaczął już mieć nadzieję na zupełną zmianę stanowiska; może wreszcie do niej dotarło, jak dziurawe są jej hipotezy?

- Spędziłam ten weekend w Wardley - powiedziała w końcu - w posiadłości Johnny'ego Johnsa, szwagra Rapha. I wiesz, co się stało? Johnny wśliznął się nocą do mego pokoju, żeby mi ukraść dziennik. Kiedy go na tym nakryłam, powiedział, że siostra Rapha chciała go tylko przejrzeć.

- Dlaczego cię o to nie poprosiła?
- Też bardzo bym chciała to wiedzieć.
- Rozmawiałaś z nią o tym?
- Chciałam, ale nie było okazji.

- Nie mam pojęcia, o co tu chodzi - wyznał Mick. - Wszystko to wydaje mi się bez sensu.

- Moja matka mawiała, że każde wydarzenie nabiera sensu, kiedy znane są już wszystkie fakty. My ich wciąż jeszcze nie znamy.

Mickowi przysłała na myśl Grace Hobden. Czy gdyby znał wszystkie fakty, jej zachowanie byłoby dla niego zrozumiałe? Po chwili doszedł do wniosku, że wcale nie jest pewien, czy chciałby myśleć takimi kategoriami, dzięki którym zabójstwo można uznać za coś sensownego. Spojrzał na dziewczynę siedzącą obok na ławce. Była tak okropnie uparta! Cóż, bardzo jej współczuł, jednak nic z tego, co mu powiedziała, nie zachwiało jego przekonaniem, że Kirsten Waller popełniła samobójstwo. Było to najprostsze i zarazem najlogiczniejsze wyjaśnienie tej smutnej sprawy. Sam po prostu nie chce widzieć prawdy, dlatego snuje te swoje dziecinne fantazje.

Postanowił jej nie oszczędzać; prawda boli, lecz na dłuższą metę okazuje się zwykle najlepszym lekarstwem.

- Wybacz, Sam, ale twoja teoria nie trzyma się kupy. Prędzej czy później będziesz musiała dać wiarę faktom. Dojdiesz wtedy do wniosku, że nie znałaś swej matki tak dobrze, jak ci się wydawało. Jeśli się z tym nie pogodzisz, sprawa ta będzie się jątrzyć, a ty nie zaznasz spokoju.

- Od kiedy to nagle ty tak dobrze znasz moją matkę? - parsknęła ze złością.

- Może tylko bardziej obiektywnie patrzę na całą sprawę. Bo nie jestem w nią zamieszany.

- Właśnie że jesteś. Przez Rapha.

- Nic podobnego.

- Więc to, że Raph jest twoim mistrzem i pracodawcą, nie wpływa na twoje opinie?

- Jasne, że nie!

- Akurat! - Była już teraz wściekła. - O Jezu, jak ja mogłam być taka głupia! Jak mogłam ci ufać! Powinnam była wiedzieć, że trzymasz jego stronę.

- Nie o to chodzi...

- No rzeczywiście! Po co w takim razie zadawałeś mi tyle pytań, udając w dodatku, że się ze mną zgadzasz? Chciałeś ze mnie wyciągnąć, co wiem!

- Pytałem cię o dowody, żeby się przekonać, czym uzasadniasz swoje teorie.

- Żeby polecieć do Rapha i zdać mu relację!

- Przestań, Sam. To już zakrawa na paranoję.

- Doprawdy? - zawołała, zrywając się z ławki. - Przyznaj się, Mick, czy to on cię nasłał?

A może sam chciałeś podlizać się swemu białemu panu? Chociaż nie. Wygląda mi to bardziej na jego pomysł. Kazał ci się pewnie dowiedzieć, jakie mam plany, co o tym wszystkim myślę i tak dalej. Tak było, prawda?

- Sam, zapewniam cię, że...

- Daruj sobie! Nie uwierzę już w żadne twoje słowo. Możesz powtórzyć swojemu drogiemu szefowi, że nie wiem, do jakiego stopnia jest zamieszany w to kłamstwo o samobójstwie, ale się dowiem, do diabła! Sama do tego dojdę! Nie potrzebuję policji ani takich pomagierów jak ty!

- Jesteś niesprawiedliwa. - Mick także podniósł się z ławki, ale Sam, nie patrząc za siebie, szła już wielkimi krokami przez park. Wydawała się taka drobna w tej czarnej sukience i taka samotna, lecz każdy jej ruch mówił o uporze i skrajnej determinacji. Pokręcone dziwadło! Sfrustrowany Mick kopnął ławkę.

Chciał za nią pobiec, powiedzieć, że źle go ocenia, wytłumaczyć, że źle zrozumiała jego intencje, zaraz jednak stłumił ten odruch. To na nic. Jest tak przekonana, że cały świat sprzyścił się przeciwko niej, że nie dałaby mu żadnej szansy. A poza tym nie zrobił nic złego, nie ma więc powodu czuć się winny.

A w ogóle po co się nią przejmować? Co mu dała znajomość z Sam Boswin poza szantażem, roztrząsaniem bezsensownych teorii i paranoicznych oskarżeń o rzekome morderstwo? Taka znajomość to żadna przyjemność.

Czas najwyższy dać sobie spokój z tą dziewczyną i jej obsesjami. Po prostu o niej zapomnieć.

\*

Sam nie była jedyną osobą, której można byłoby zarzucić, że popadła w paranoję. Nadira również przegrywała walkę ze swym obsesyjnym strachem przed wielkim miastem. W domu zabrakło kawy, ale bała się iść do sklepu. Dziś nie pomagała jej już nawet muzyka. Wciąż miała straszne uczucie, że siedzi w oblężonej twierdzy. Gdzie Sam? Dawno powinna już wrócić. Miały dziś ćwiczyć Schumanna. Dlaczego nie odbiera telefonu? Czy zna tego kogoś, kto jej dziś tu szukał? I jeszcze te telefony!

Trzask klapki od skrzynki na listy poderwał ją z miejsca. Trzęsąc się jak w febrze, zebrała z podłogi kilka reklamówek i bez czytania wrzuciła do kosza. Mój Boże, co się dzieje

z Sam?

O wpół do siódmej usłyszała wreszcie zgrzyt klucza w zamku, niecierpliwe westchnienie i okrzyk:

- Nad! Wpuść mnie!

- Już idę! Przepraszam. Zapomniałam zdjąć łańcuch. - Zawstydziała się nagle tego głupiego kłamstwa. - Nie, Sam, to nieprawda, wcale nie zapomniałam, tylko wiesz... łażą tu jacyś ludzie i ktoś ciągle do ciebie wydzwaniał. Nie chciał powiedzieć, czego chce ani kim jest.

- Może Raph?

- Nie, chyba nie. Dobrze się czujesz? - spytała nagle. - Wyglądasz fatalnie.

- Masz dla mnie więcej takich komplementów? Nie, Nad, nic mi nie jest. Ktoś tylko próbował ukraść moją torbę i trzeba go było gonić. Trochę mnie to zmęczyło.

- Widzę, że ją odzyskałaś.

- Tak. Ktoś mi pomógł.

- Powiedz mi, co się dzieje. O telefonach już ci mówiłam, a rano był tu jakiś człowiek. Koniecznie chciał się z tobą zobaczyć.

- Kto taki?

- Nie powiedział i nie wiem, jak wyglądał, bo rozmawiałam z nim tylko przez drzwi. Mówił, że chodzi o coś pilnego.

- Nie rozpoznałaś głosu?

- Nie. Co to za sprawa?

- Wybacz, Nad. Nie chcę cię w to wciągać.

- Gdybym wiedziała, co się dzieje...

- Nie jestem pewna, czy ja to wiem.

- Powiedz mi tyle, ile wiesz.

- Może raczej - rzuciła wymijająco Sam, przechodząc do małej bawialni - napijmy się herbaty, a potem zabierzmy się za Schumanna. Jeśli oczywiście nie uważasz, że dziś już na to za późno.

- Dobrze, ale najpierw powiedz mi wszystko. Muszę to wiedzieć.

Sam westchnęła ciężko.

- Spędziłam dzisiejsze popołudnie w towarzystwie pewnego znajomego, który uważa, że mi odbiło i że wymyślam niestworzone rzeczy. Chodzi o śmierć mojej matki. Chyba nie dam rady powtórzyć ci tego wszystkiego, co mówił, ale cały czas teraz myślę, że może on ma rację? Może naprawdę jestem wariatką, która nie chce pogodzić się z prawdą.

- Nie, Sam, nie jesteś szalona.

- Dziękuję ci, Nad. Tylko ty jedna jeszcze we mnie wierzysz, ale popatrz, co ci z tego przyszło! Umierasz przeze mnie ze strachu. Nie powinnam ci fundować takich przyjemności.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym wiedziała, w czym rzecz.

- Nie Nad, nie mam prawa wciągać cię w tę aferę. Powiem ci tylko, że ktoś poluje na dziennik Kirsten i robi wszystko, żeby go zdobyć. Dlatego skradziono mi torbę. Ten człowiek, z którym dziś rozmawiałaś, przyszedł tu w tym samym celu. Muszę wyjechać stąd na jakiś czas, a oni niech myślą, że już tu nie mieszkam. Mam nadzieję, że wtedy przestaną cię niepokoić.

- Oni? Co to za ludzie? Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

- Nie martw się, moja droga. Niedługo wrócę.

- Dokąd chcesz jechać?

- Jeszcze nie wiem.

- Wiesz, tylko nie chcesz powiedzieć.

- To prawda, ale zrozum: lepiej, żebyś nie wiedziała. Chcę coś zrobić i dlatego muszę być sama.

- A ja nie mogę ci pomóc?

- Nie. Chociaż... może i tak! - Sam takim wzrokiem obrzuciła przyjaciółkę, że Nadirę znów ogarnął lęk, tyle że teraz z innego powodu. - Ale musisz mi coś przyrzec, Nad.

- Zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

- Przyrzeknij, że gdyby coś mi się stało... mam na myśli jakiś wypadek albo coś, co by mogło wyglądać na samobójstwo, nigdy w to nie uwierzysz. I nie pozwolisz opowiadać o mnie takich kłamstw jak te o mojej matce.

- Och Sam, musisz mi powiedzieć, co ci grozi!

- Powiem ci, ale nie teraz. Muszę najpierw wykonać pewien ruch.

Znając przyjaciółkę, Nadira wiedziała, że Sam podjęła decyzję i nie powie już ani słowa. Wiedziała to od początku, ale czy w tej sytuacji można było nie zadawać pytań? Sam przez cały wieczór próbowała podnieść ją na duchu. Najpierw na jej prośbę ćwiczyły Schumanna, później obiecała, że wróci w przyszłym tygodniu na lekcję u Grigory'ego, dużo też mówiła o wspólnym udziale w listopadowym konkursie, mimo to Nadira nie mogła pozbyć się uczucia, że Sam się od niej oddała. Było jej strasznie smutno, ale cóż mogła zrobić?



Linda tym razem chciała być miła dla Sam. Przykre wydarzenia minionych miesięcy - śmierć Kirsten, jej pogrzeb, śledztwo i rozprawa - odbiły się mocno na wszystkich, ale oczywiście najciężej na Sam. Toteż gdy zadzwoniła, mówiąc, że przyjedzie popołudniowym pociągiem, Linda przyjęła to bez słowa, choć dobrze wiedziała, że Davy natychmiast rzuci wszystko i pojedzie na dworzec, a jej pozostawi całą domową robotę.

Trzeba było przecież przygotować pokój - przenieść Louisa do pokoju Nathana, a z graciarni Louisa zrobić przyzwoity pokój gościnny - lecz choć była to niełatwa operacja, rozpoczęła ją bez gadania. Teraz zbliżała się już do końca. Obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem wiszące na ścianach wizerunki jakichś fantastycznych stworów oraz liczne plakaty Britney Spears, westchnęła w duchu: to musi zostać. Klocki lego również, ale pudła stoją pod łóżkiem, więc nie będą rzucać się w oczy. Gorzej z wiszącą w powietrzu wonią przepoconych tramppek - ach, te nastolatki! Po tej woni wszędzie ich można rozpoznać.

Stojąc w drzwiach, spryskała pokój odświeżaczem powietrza, odnosząc jedynie połowiczny sukces: zapach był teraz taki, jakby ktoś pokropił przepocone trampki syntetycznym bzem. No cóż, Sam pewnie nie jest do tego przyzwyczajona, ale trudno. Można zrobić tylko tyle, ile można. Sam zresztą nie była uprzejma zawiadomić wcześniej o swym przyjeździe. Ale to dla niej typowe; uważa, że wszyscy powinni koło niej skakać - jakby człowiek nie miał nic do roboty! - bo ona raczyła złożyć rodzinie wizytę.

Pierwszy raz od roku! Ta noc przed rozprawą się nie liczy: wtedy musiała się u nich zatrzymać.

Linda nagle złapała się na tym, że jej pasierbica nie zdążyła jeszcze przyjechać, a ona mimo swoich szlachetnych intencji już jest na nią zła, już zaczyna się z nią sprzeczać w myślach. No bo czemu ta dziewczucha robi taką tajemnicę ze wszystkiego, co jej dotyczy? Powiedziała przez telefon, że musi wyjechać z Londynu z powodu jakiegoś byłego chłopaka, który podobno zrobił się kłopotliwy, ale nie chciała wyjaśnić, o co konkretnie chodzi. Jakby to było coś nadzwyczajnego. A potem zabroniła ojcu mówić komukolwiek o swoim przyjeździe.

Linda przełknęła kąśliwą uwagę, kiedy Davy jej to powtórzył. Cała Sam. Każdy drobiazg to u niej dramat. Ma to po matce. Kirsten też była taka, ale Davy nie chce słyszeć złego słowa o swej byłej żonie i córce. A przecież Kirsten wycięła mu niezły numer, zostawiając go samego z małym dzieckiem. Z początku pomagała mu matka, ale czyja to

zasługa, że on i dziecko zaczęli wreszcie normalnie żyć? To ona, Linda, stworzyła im prawdziwy dom. Tylko czy oni - Davy i Sam - zdają sobie sprawę, ile dla nich zrobiła?

Kiedy zaczęła spotykać się z Davym, serdecznie współczuła opuszczonemu biedactwu. Chciała otoczyć małą prawdziwie matczyną miłością, której musiało jej przecież brakować. Ha, ale Sam jasno dała do zrozumienia, że wcale nie czuje się osierocona ani za niczym nie tęskni. Słyszając, co wygaduje ta mała paskuda, można było pomyśleć, że żyło jej się jak w raju, dopóki w domu nie pojawiła się ta straszna Linda. „Ona się zmieni, zobaczysz”, mówił Davy. „Daj jej trochę czasu”.

Nieprawda. Nic się nie zmieniło, lecz gdy na świat przyszli chłopcy - najpierw Nathan, a potem Louis - Linda przestała przejmować się pasierbicą. Miała teraz własną rodzinę, o którą musiała się troszczyć.

Odetchnęła z ulgą, gdy Sam zamieszkała w Londynie wraz z Kirsten i Raphem. Zrobiłam dla niej wszystko, co w mojej mocy, powiedziała sobie, niech teraz inni zobaczą, jak to jest opiekować się taką smarkulą. Ona, Davy i chłopcy stali się wreszcie normalną rodziną.

Tylko że Sam nie zniknęła na dobre z ich życia. Właśnie przyjechała; wysiada z samochodu, a Davy jak głupi szczerzy do niej zęby. Córeczka jest w domu - co za radość! A chłopcy! Ci też witają Sam jak królową, a czy ona kiedykolwiek coś dla nich zrobiła?

No cóż, trzeba iść, nie ma rady. Przylepiwszy do twarzy powitalny uśmiech, Linda zeszła na dół. Sam właśnie ukazała się w kuchennych drzwiach. Obaj chłopcy trzymali ją za ręce, walcząc między sobą o jej względy. Za nimi szedł Davy z plecakiem i wiolonczelą. Szczęśliwy, jakby wygrał milion na loterii. Linda zrobiła krok naprzód.

- Witaj, Sam.

- Cześć, Lindo. Jak leci?

- Och, dziękuję, całkiem nieźle. Zaczęłam pracować...

- Wiesz, Sam - przerwał jej Louis - gram teraz w orkiestrze! Na trąbce.

- To świetnie, Louis! Musimy poćwiczyć w duecie! - Sam tak serdecznie uśmiechnęła się do swego przyrodniego brata, że Linda poczuła zazdrość. Do niej Sam nigdy tak się nie uśmiecha.

- Nastawię wodę na herbatę - powiedziała, lecz w tym powitalnym zamieszaniu nikt chyba jej nie usłyszał. A chciała opowiedzieć Sam, że pracuje teraz trzy razy w tygodniu jako recepcjonistka w miejscowym pogotowiu. Jest tam dopiero od dwóch miesięcy, ale już opanowała cały system komputerowy, nauczyła się też odróżniać naprawdę pilne wezwania od tych, które mogą spokojnie poczekać. Ludzie dzwonią nieraz z powodu całkiem błahych

dolegliwości.

Ale czy kogoś obchodzi jej praca? Przecież to takie zwyczajne zajęcie! Nie da się go porównać z grą na wiolonczeli czy pisaniem wierszy, nawet takich, których nikt nie czyta. Tymczasem ta zwykła pożyteczna praca przynosi regularny dochód, a jej na dodatek przywróciła wiarę w siebie i poczucie, że Linda Boswin potrafi być kimś więcej niż tylko żoną i matką. Czyż za to, co osiągnęła, nie należy jej się choć trochę uznania?

- Dzięki - rzuciła Sam, nawet na nią nie patrząc, gdy Linda postawiła na stole dzbanek z gorącą herbatą. - Czy tata przekazał ci moją prośbę? Żeby nikomu nie mówić, gdzie jestem? Chodzi o kilka dni.

- Przekazał. Mówił, że ma to coś wspólnego z jakimś niemiłym chłopakiem.

- Zgadza się.

Linda zamilkła wyczekująco. Zaczęła sobie wyobrażać, jak byłoby miło, gdyby Sam zechciała pogadać z nią o tym od serca, jak kobieta z kobietą. Udzieliłaby swej młodej pasierbicy kilku macierzyńskich porad, a Sam byłaby jej za to wdzięczna... Głupie mrzonki! - pomyślała szyderczo. Takie same jak to, że w Kornwalii nie będzie padać przez pół roku, a ja w ciągu tygodnia zrzucę piętnaście kilo.

- Sam będzie jutro potrzebny samochód - oznajmił Davy, nie przestając szczerzyć zębów do swej ukochanej córki. - Chce odwiedzić parę osób.

- No tak, ale ja muszę być jutro w pracy.

- Ja cię mogę podrzucić, a Sam, wracając, wstąpi po ciebie. To jak, Lindo? Zgadzasz się?

- W porządku - bąknęła.

Nie, to wcale nie jest w porządku, pomyślała z urazą. Wiedziała jednak, że czasami lepiej nic nie mówić.

\*

W innych okolicznościach jazda po wąskich kornwalijskich drogach sprawiłaby Sam przyjemność. Przemierzyła je setki razy o każdej porze roku, przy każdej możliwej pogodzie. Wiedziała, jak wyglądają w zimie, kiedy bezlistne głogi gną się w podmuchach wichury, i jak wszystko nagle się zmienia, gdy zaświeci wiosenne słońce. Na stromych obrzeżach drogi błyszczą wtedy tysiące pierwiosnków podobnych do małych gwiazdek, a gdy nadchodzi maj, w tych samych miejscach wyrastają jaskrawo różowe firletki na spółkę z mnóstwem niebieskich dzwoneczków. Cieszą one oko dopóty, dopóki ich nie zagłuszą strzelające wysoko we wszystkie strony pędy leśnej trybuli, które z głośnym młaśnięciem opadają potem na drogę pod ciężarem swych wielkich parasolowatych kwiatów. Jej ulubionym miesiącem

był jednak wrzesień, gdy na poboczach, oczyszczonych już z letnich roślin przez gminne kosiarki, pojawiają się znowu młode pędy ciernistych krzewów i niebieskie kropeczki polnych gwiazdników, a przydrożne jawory zaczynają gubić liście. Ranki i wieczory są już chłodne, znikają wycieczkowicze, dzięki czemu drogi stają się znów przejezdne.

Kirsten kochała te widoki, ten, jak mawiała, „kornwalijski drogowy show”. Napisała nawet o tym poemat wydany w zbiorze *Samphire*.

Przez ostatnie kilkanaście godzin Sam nie mogła pozbyć się wrażenia, że za sprawą jakiejś magicznej sztuczki czas, zamiast biec naprzód, zatoczył pijane koło, a ona nagle przeniosła się w przeszłość. Z jakąż ogromną łatwością wśliznęła się w dawny tryb życia! Przy śniadaniu wszystko było jak kiedyś. Nathan pochłonał wielką michę płatków, Louis natomiast po dawnemu nie chciał nic jeść, a Linda krzątała się po kuchni, słuchając lokalnego radia szemrzącego uspokajająco, że na drogach trwają tylko niewielkie remonty i że zbiórka funduszy na wyposażenie Legionu Brytyjskiego przynosi dobre rezultaty. Teraz jednak czas znowu zaczął płynąć naprzód, a ona na powrót znalazła się w świecie, w którym nikt poza nią nie przejmował się morderstwami, a ich sprawcy mogli spać spokojnie.

Polwithick było dużą wsią leżącą jakąś milę w głąb lądu od ostatniego mieszkania Kirsten. Był tam kościół, piekarnia i urząd pocztowy. Większość starych domków w centrum wioski wykupili ludzie napływowi; ich dawni właściciele, rodowici Kornwalijscy, mieszkali teraz w nowoczesnych rezydencjach rozsianych po otaczających dolinę zboczach.

Sam zaparkowała samochód w pobliżu pomnika bohaterów wojennych i ruszyła w stronę jednego z wąskich, przylegających do siebie domków pobudowanych na zboczach pagórków wzdłuż mocno spadzistej ulicy. Był to dom Judy Saunders, wieloletniej przyjaciółki Kirsten.

Zapukała do drzwi, lecz odpowiedziała jej cisza. Wszystkie okna były zamknięte. Gdy wspiąwszy się na palce, próbowała zajrzeć do środka, z sąsiedniego domku wyłoniła się jakaś starsza pani. Jej miły, aczkolwiek lekko protekcyjny uśmiech nasunął Sam przypuszczenie, że to chyba emerytowana nauczycielka. Okazało się później, że zgadła.

- Możesz pukać, jak długo zechcesz - oznajmiła. - Judy wyjechała.

- Dokąd?

- Nie mówiła.

- Czy pani wie, kiedy wróci?

- Może dziś, a może za tydzień. Powiedziała... - Starsza pani zmarszczyła czoło, jakby chciała sobie przypomnieć, co dokładnie mówiła sąsiadka. - Powiedziała, że nie ma konkretnych planów. Zobacz, jak jej się ułoży.

- Czy pani zna może numer jej komórki?

- Czego, kochaneczko?

Sam uśmiechnęła się w duchu.

- Nieważne.

Szybko napisała kilka słów na karteczce, którą wrzuciła do skrzynki na listy.

- Czy zechciałaby pani powiedzieć Judy, gdy wróci, że tu byłam? - poprosiła starą damę, która w milczeniu śledziła jej poczynania. - Nazywam się Sam Boswin i bardzo chcę z nią pomówić. Zatrzymałam się u mego taty. Judy wie, jak się z nami skontaktować.

- Dobrze, moja droga, powiem jej o tobie. - Kiedy Sam miała już odejść, kobieta dodała cicho: - Ogromnie mi przykro z powodu śmierci twojej matki, Sam. Była taką cudowną kobietą. Judy strasznie ciężko przeżyła jej śmierć, i wcale się temu nie dziwię. Wszystkim nam będzie brakować Kirsten.

- Dziękuję pani - szepnęła Sam.

Wróciła do samochodu i przez kilka minut siedziała za kierownicą. Takie niespodziewane uwagi sprawiały, że ból i tęsknota za matką odżywały w niej z nową siłą. Jakiś stary człowiek szedł wąskim chodnikiem, prowadząc na smyczy dotkniętego artretyzmem pudła. Wydawał się taki spokojny, tak pogodzony ze światem, że patrzyła na niego z zazdrością.

Czas było jednak ruszyć znów w drogę.

\*

Tam, gdzie po raz drugi zatrzymała samochód, gospodarze na pewno musieli być w domu. Już przy wejściu na farmę powitało ją stado rozgdakanych kur, a zaraz potem wyskoczyły skądś dwa wielkie psiska i zaczęły głośno ujadać. Tuż za nimi ukazała się krępa kobieta w wypłowiałej kwiecistej sukni i mocno znoszonych butach nałożonych na bose stopy. Na tej i kilku innych farmach zwierzęta i wszystkie budynki były zawsze idealnie zadbane, czego nie można było powiedzieć o właścicielach. Sam wiedziała jednak, że Ann i Bob Wearne'owie mogą wyglądać ubogo, ale to tylko pozory. Miejskowa fama niosła, że za swój nowy traktor zapłacili gotówką.

- Dzień dobry, pani Wearne! - zawołała, wyskakując z wozu, a ponieważ zbliżył się do niej czarno-brązowy collie, pochyliła się, by go pogłaskać. - Czy miałaby pani dla mnie chwilkę?

Chwyciwszy większego psa za luźną skórę na karku, Ann Wearne z uśmiechem kiwnęła głową, co miało oznaczać, że oczywiście ma czas. Jej rzadkie wijące się włosy sprawiały takie wrażenie, jakby nikt ich dzisiaj nie cesał, a gdy otworzyła usta, okazało się, że zęby

sterczą jej we wszystkie możliwe strony, a dwóch w ogóle brakuje.

- Uspokój się, Dooley, dość tego szczekania - upomniała wielkiego psa, który przestał udawać groźnego strażnika; powędrował pod drzewo i wygodnie ułożył się w cieniu. - Współczuję ci, Sam - dodała jego pani. - Strasznie mi przykro, że straciłaś matkę.

- Dziękuję.

- Była dobrą kobietą. Ale ty to wiesz.

- Wiem.

- Napijesz się kawy?

- Nie, bardzo dziękuję, wpadłam tylko na chwilę. Chciałam o coś zapytać panią i pani męża. Można?

Ann Wearne popatrzyła na nią z takim wyrazem twarzy, jakby spodziewała się tej prośby.

- Bob jest przy stawach. Jeśli chcesz, mogę cię tam zaprowadzić. Mam dla niego wiadomość, więc przekażę mu ją przy okazji.

Ruszyły w dół z boku wąską ścieżką zrytą głębokimi koleinami. Ziemia tu była sucha jak pieprz przez ten długotrwały upał. Ale krajobraz był piękny. Sam już zapomniała, jak cudownie śpiewają skowronki. Ich głosy mieszały się z dźwiękiem traktora, który niósł się od podstawy wzgórza.

- Jak sobie radzisz, Sam?

- W porządku.

- Gdyśmy usłyszeli o śmierci Kirsten, nie mogliśmy w to uwierzyć. Taka okropna strata! Nawet nie wiesz, dziecinko - dodała po chwili Ann Wearne - jak bardzo była z ciebie dumna.

Sam uśmiechnęła się na to. Wiedziała, że tu, w Kornwalii, takie odzywki jak „dziecinko”, „kochaneczko”, „mój ptaszku”, „moje śliczności” nie mają większego znaczenia, gdyż tutejsi ludzie używają tych zwrotów tak samo automatycznie, jak aktorzy słówka „kochanie”, mimo to poczuła wzruszenie. Słowo „dziecinko” przypomniało jej babcię, wszystkich wujków, ciotki i kuzynów, którzy otaczali ją w dzieciństwie, a ich czułość sprawiła, że po odejściu Kirsten nie cierpiała z powodu braku matki.

- Ja także byłam z niej dumna.

- Całkiem słusznie. Była dobrą kobietą. Masz prawo być z niej dumna. Wiem, że mnóstwo ludzi miało jej za złe, że cię opuściła, ale ja jestem pewna, że miała swoje powody. Nigdy nie skarżyła się na ludzi i ich ostre języki, ale kiedyś ktoś jej musiał dociąć, nie wiem, co to było, i nawet nie chciałam wiedzieć, a ona spjrzała wtedy na mnie jakoś tak smutno i

powiedziała: „Och Ann, gdyby ci ludzie wiedzieli, ile mnie to kosztowało, nie byłoby tacy skorzy do krytyk”. Ja jej uwierzyłam. Wiem, że mówiła prawdę.

- Tak. Myślę, że po prostu nie miała innego wyjścia.

- Mówiła mi o jakimś konkursie, w którym zamierzasz wziąć udział.

- O konkursie Frobishera? Zacznie się dopiero w listopadzie. Mój profesor uważa, że nie powinnam w nim brać udziału, bo ostatnio nie jestem w formie. Mówi, że jeśli źle wypadnę podczas tak ważnej imprezy, mogę zaprzepaścić całą swą karierę. Może ma rację, ale ja... jeszcze nie wiem, co zrobię.

- Tak, konkurs Frobishera. Kirsten wymieniała tę nazwę, ale wypadła mi z głowy. Bardzo się na to cieszyła. - Ann na moment zamilkła. - W każdym razie tak to wyglądało.

Szły potem przez chwilę w milczeniu, śledząc tańczące w powietrzu małe jesienne motylki.

- Często widywała pani moją matkę, kiedy mieszkała w Gull Cottage? - zapytała Sam.

- Tak, można tak powiedzieć. Zdarzało jej się zaglądać do nas nawet codziennie, kiedy szła do wioski lub gdy potrzebowała jajek albo mleka. Ja też byłam u niej raz czy dwa, żeby jej zanieść trochę domowych wypieków. Teraz żałuję, że nie robiłam tego częściej. Ale Kirsten zawsze mówiła, że lubi samotność, więc nie chciałam się jej naprzykrzać. Była zadowolona z tego, że jej nikt nie przeszkadza.

- Więc nie wydawała się przygnębiona? Nie podejrzewała pani, że coś ją trapi?

- Nie, ale myślę, że gdyby nawet tak było, to by mi nie powiedziała.

- Pani by to jednak zauważyła.

- Być może.

Sam miała wrażenie, że po tych słowach między nią i panią Wearne wyrosła nagle niewidzialna ściana. Pomyślała, że może Ann czuje się w jakiś sposób winna śmierci Kirsten: była przecież najbliższą sąsiadką. Może jej się zdaje, że nie dostrzegła oznak depresji? Uważa, że mogła coś zrobić, żeby zapobiec tragedii?

W milczeniu przebyły ostatni odcinek drogi dzielący je od ogrodzenia, za którym Bob Wearne bronował swój kawałek pola. Gdy Ann pomachała mu ręką, zatoczył traktorem szeroki łuk, wyłączył silnik i wysiadł z kabiny.

Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt pięć lat i utykał na jedną nogę. Był to rezultat poważnego nieporozumienia, jakie przed kilku laty zaszło między nim a pewną krową, która właśnie została matką. Sam jednym rzutem oka ogarnęła jego kraciastą koszulę, płaską czapkę na głowie i mnóstwo kurzych łapek koło oczu. Widać było po nim lata ciężkiej pracy w słońcu i słocie.

- Witaj, Sam! - zawołał z uśmiechem. - Cóż cię tu przyniosło? Masz do mnie jakąś sprawę?

Była mu wdzięczna za tę bezpośredniość.

- Próbuję się dowiedzieć, kto był w Gull Cottage krótko po śmierci mojej matki.

- Twój ojciec znalazł ciało, prawda? - odrzekł, zerknąwszy na żonę.

- Tak, ale chodzi mi o to, kto tam był przed nim. Słyszałam, że widziano kogoś obcego.

Bob zsunął czapkę do tyłu i podrapał się w głowę.

- No cóż, Gull Cottage stoi przy samej ścieżce, czyż nie? Chodzi tamtędy mnóstwo różnych ludzi, zwłaszcza w lecie. Kto by ich wszystkich spamiętał?

- Ale kogoś w samochodzie chyba pan zauważył.

- Ano tak. Masz rację.

- Zwłaszcza gdyby ten ktoś wyglądał na londyńczyka.

- To prawda.

- Który w dodatku jeździ wpadającym w oko samochodem. Takim jak na przykład TVR.

- Tak - odrzekł Bob Wearne - takiego łatwo zapamiętać.

- Więc widział pan kogoś w pobliżu Gull Cottage, zanim wszedł tam mój ojciec?

- Nie, Sam, tego nie powiedziałem.

- Ale przecież...

- Do czego zmierzasz tymi pytaniami?

Sam wzięła głęboki oddech, żeby nie dać się ponieść nerwom.

- Po prostu próbuję dowiedzieć się prawdy.

- Ach, no tak. Ale prawda to często niebezpieczna rzecz. A poza tym, dziecinko, odbyło się przecież śledztwo. Wydano orzeczenie.

- Oficjalne orzeczenia nie zawsze są prawdziwe. Pan to dobrze wie.

Bob Wearne przyjrzał jej się uważnie.

- A znasz to powiedzonko: „Nie wywołuj wilka z lasu”? Czasami...

- Moja matka nie zasłużyła na taką śmierć! - wybuchnęła Sam. - A ja nie spocznę, póki się nie dowiem, co się naprawdę stało!

Bob posłał żonie spojrzenie, które mówiło wyraźnie: zabierz stąd tę histeryczkę, i ruszył w stronę traktora. Po drodze rzucił przez ramię:

- Wybacz, Sam, niestety nie mogę ci pomóc, a czas ucieka... Mam jeszcze dużo roboty.

- Mimo wszystko dziękuję panu - powiedziała Sam, ale pewnie jej nie usłyszał, bo zdążył już włączyć silnik.



Idąc razem z Ann tą samą ścieżką pod górę, przypomniła swojej towarzyszce:

- Miała mu pani przekazać jakąś wiadomość.

- Wyleciało mi z głowy. Powiem mu przy lunchu.

- Widział wtedy kogoś, prawda?

- Możliwe, ale wiesz, jak to jest: człowiek nie jest pewny, kiedy coś widział. Daty łatwo pomylić. Przykro mi, Sam, z powodu tego wszystkiego. Musiało ci być bardzo ciężko.

- Nadal nie jest mi lekko. - Po tych słowach znowu zapadło milczenie.

Dopiero gdy Sam wsiadła do samochodu i właśnie miała już ruszyć, Ann powiedziała nagle:

- Myślę, Sam, że to, co zrobiła twoja matka... Ona tego nie planowała. To był jakiś impuls.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Tylko pomyśl: rankiem tego dnia, gdy to się stało, przyszła do nas po jajka. Mówiła, że muszą być świeże, bo ty przyjeżdżasz z wizytą. Była taka szczęśliwa, tak się cieszyła! Więc to musiał być impuls. Jak to mówili w sądzie? „Chwilowe naruszenie równowagi umysłowej”. Tak właśnie myślę. Coś zmaćniło jej umysł. Nie była sobą. I tak to się stało. Tak doszło do tej tragedii.

- Tak - szepnęła Sam.

Tragedia. Tylko to było prawdą w tym wszystkim, co mówiono o śmierci jej matki.

\*

- Dziękuję pani. Och nie, to wspianale. Absolutnie. Ogromnie mi pani pomogła. - Głos Rapha ociekał miodem. Była to jego stara, dobrze wypróbowana sztuczka. Nie podzielała jedynie na Kirsten, która przy pierwszej tego rodzaju próbie wyśmiała go niemiłosiernie. „Nie bądź takim nadętym starym hipokrytą!” - zawołała, rzucając w niego poduszką, a może kapciem. On też zaczął się śmiać, a potem... Nie. Nie myśleć o Kirsten. Teraz chodzi o Sam. Gładko wszedł w słowo zaniepokojonej osobie przy drugim końcu przewodu: - Przykro mi słyszeć, że ma kłopoty ze swoim chłopakiem. Nie, nic mi nie mówiła. Gdybym wiedział, postarałbym się pomóc. Tak, proszę jej przekazać moje pozdrowienia. Mam nadzieję, że pobyt u państwa dobrze jej zrobi. Bardzo jej to potrzebne. Tak, tak. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Bardzo pani dziękuję. Nawzajem. Do widzenia.

Odłożywszy słuchawkę, Raph zanotował sobie w pamięci, że tej Lindzie Boswin nie wolno powierzać żadnych sekretów - nigdy i w żadnych okolicznościach! Jest tak niedyskretna, że powinna pracować w jakimś ministerstwie. Dziennikarze by ją uwielbiali.

Dzięki temu jednak, że jest, jaka jest, udało mu się dowiedzieć bez trudu, gdzie zaszła

się Sam po swoim nagłym zniknięciu.

Jeśli chciała się ukryć, pomyślała, to wybrała nie najlepsze miejsce.

Tam każdy może ją znaleźć, i to bardzo szybko.

Nawet skrzydlaty morderca.

## 16

- Czemu od niego nie odeszła? - spytał Mick.

Martha Irving na chwilę zamilkła - jakby odpowiedź na to pytanie wymagała głębszego namysłu. Na jej biurku piętrzyły się kartoteki przemieszane z mnóstwem ulotek, a ze ściany za biurkiem krzyczały liczne plakaty. Część apelowała do kobiet, by powiedziały „nie” wszelkim formom domowej przemocy, inne informowały brutalnych partnerów, że nie ujdzie im ona bezkarnie.

- Porzucenie brutalnego partnera to statystycznie rzecz biorąc najniebezpieczniejsza decyzja, jaką może podjąć maltretowana kobieta - powiedziała wreszcie pani Irving. - Badania wykazują, że aż trzy czwarte takich kobiet doświadcza przemocy już po opuszczeniu partnera. Czasami... niestety o wiele za często kończy się to ich śmiercią.

- Słyszałem, że istnieją specjalne placówki, do których kobiety mogą się udać.

- Schroniska dla uciekinierek? Owszem, istnieją, ale ich partnerzy potrafią i tam je wysledzić. I zabić. A poza tym, kto chciałby do końca życia mieszkać w schronisku? Był pan kiedyś w takim domu? Tak myślałam - dodała, gdy Mick pokręcił głową przecząco.

- No a policja i sądy? Prawo powinno chronić kobiety przed okrucieństwem ich mężów. Czyż nie po to istnieje, aby chronić obywateli?

- Hm... Proszę to powiedzieć tym kobietom, które rokrocznie giną z rąk swych partnerów, byłych i obecnych. Regularnie jest ich ponad setka.

- Aż tyle? - wykrzyknął zdumiony Mick, choć zdawał sobie sprawę, że siedząca za biurkiem kobieta uzna go przez to za nierzadki wśród młodych adeptów prawa egzemplarz naiwnego ignoranta. - O Chryste, to strasznie dużo! Myśli pani, że Grace Hobden znała te liczby?

- Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że wiele kobiet zmuszonych żyć w takich związkach dochodzi w pewnym momencie do kresu wytrzymałości. Nabierają wtedy przekonania, że z tego chorego układu tylko jedno z partnerów może wyjść żywe. A gdy w takim związku są dzieci, im również grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Mówi pani o tych przypadkach, kiedy brutalni mężczyźni zabijają całe rodziny? Zdarza się to chyba niezbyt często?

- Tak, dosyć rzadko, ale się zdarza, więc taka groźba istnieje. Myślę, że ta pańska Grace Hobden znalazła się w zupełnie beznadziejnej sytuacji: nie mogła ani odejść od męża, ani z nim zostać. Takim kobietom jak ona zabicie partnera może się wydawać jedynym rozsądnym wyjściem.

- Chce pani przez to powiedzieć, że podjęła racjonalną decyzję?

- Może nie w tym sensie, w jakim pan czy ja rozumiemy słowo „racjonalna”, ale z jej punktu widzenia na pewno tak.

- Czy byłaby pani gotowa powtórzyć to w sądzie?

- Naturalnie. Chociaż nie jestem pewna, czy odniesie to właściwy skutek. W tych kwestiach prawo, czy raczej myślenie sędziów, nie nadąża za rzeczywistością. Mimo to każda nasza batalia w jakiś sposób zmienia status quo. Można powiedzieć, że wprowadzając drobnymi krokami, ale posuwamy się naprzód.

- Doskonale. Będziemy zatem w kontakcie. Zawiadomię panią o terminie rozprawy.

- To wszystko? - Pani Irving wydawała się zdziwiona, że jej gość zamierza już odejść.

- Było mi potrzebne właśnie to, co mi pani powiedziała.

- W takim razie w porządku - odrzekła, wzruszając lekko ramionami. - Gdybym mogła jeszcze w czymś pomóc, proszę dać mi znać. - W jej sekretariacie rozdzwonił się właśnie telefon. Mick drgnął. Brzmiało to w jego uszach całkiem jak krzyk kobiety.

Kiedy tylko wyszedł na ulicę, czym prędzej zaczerpnął wielki haust powietrza. Miał nadzieję, że pani Irving nie domyśli się powodu jego rejterady. A był on taki, że słuchając jej jakże spokojnej relacji o nieszczęsnym losie tylu kobiet zabijanych rokrocznie przez zwyrodniałych partnerów, czuł się winny temu, że jest mężczyzną. Mówił sobie, że to śmieszne, cóż, kiedy wcale nie poprawiło mu to nastroju. Może wszyscy obrońcy ofiar przemocy potrafią wywoływać takie uczucia? Może to element ich taktyki?

Słowo „winny” przywołało mu przed oczy obraz Sam. Działo się tak zresztą nie po raz pierwszy. Pomyślał, że dzisiaj jest to pewnie jakieś echo tej rozmowy o zabójstwach. Tak czy inaczej Sam okazała się osobą, o której trudno zapomnieć. Najgorsze, że kiedy przychodziła mu na myśl, za każdym razem doskwierało mu przykre uczucie, że w jakiś sposób ją zawiódł. Było to absurdalne; z powodu Sam Boswin nie powinien mieć przecież żadnych wyrzutów sumienia. Mimo to...

Dość! - powiedział sobie. Zrobił dla niej wszystko, co mógł. Dowiedział się, jak działa porażenie prądem, gdy ofiara znajduje się w wodzie, a wymagało to trochę zachodu,

ryzykował własnym życiem, byle tylko odzyskać tę cholerną torbę - w każdej chwili mógł przecież zginąć pod kołami jakiegoś pojazdu - wysłuchiwał szalonych teorii na temat śmierci jej matki, starając się zarazem przemówić jej do rozsądku. Co jeszcze miałby zrobić?

Przestań, do licha, zgromił się w duchu. Skończ z tą dziewczyną. Zacznij wreszcie zachowywać się logicznie. Skoro nawet myśl o niej psuje ci samopoczucie, zajmij się czymś innym, czy raczej kimś innym, mówiąc już całkiem ściśle. Przekonawszy w ten sposób samego siebie, wyjął telefon i wybrał numer atrakcyjnej i bardzo rozrywkowej dziewczyny imieniem Tara. Poznał ją na urlopie, a potem spotkał się z nią parę razy. Pamiętał, że była dobrą kompanią, dopóki udawało się ją powstrzymać od absyntu i karaoke. Na pytanie, czy po pracy wybrałaby się z nim na drinka, odrzekła ze śmiechem:

- Tylko na drinka? No dobrze, możemy od tego zacząć.

- Super - stwierdził Mick. - Do zobaczenia o ósmej.

Lecz gdy tylko zakończył rozmowę, ogarnęło go przygnębienie: po co? Po co, do licha, umówił się z tą dziewczyną? Przecież ona go w ogóle nie interesuje. Będzie się śmiać z jego żartów, plotkować o wspólnych znajomych... załamała go ta perspektywa. Może odwołać spotkanie? Przypomniało mu się nagle pogardliwe spojrzenie Sam, kiedy rzuciła przez zęby, że jej matka była poetką - jakby o tym nie wiedział! - a potem pełen furii wyraz twarzy, gdy krzyknęła, że Kirsten Waller została zamordowana i że nie ma co do tego wątpliwości.

Zaraz, zachnął się w duchu. Od kiedy to pogarda i furia zaczęły mu się podobać? Czyżby stał się nagle masochistą? Niemożliwe. Byłoby to sprzeczne z całą jego postawą życiową. Sam Boswin budzi w nim tylko współczucie. Straciła matkę i poza muzyką niewiele ma z życia. Popadła przez to w obsesję: wszędzie widzi mordercze spiski. Nieszczęsna dziewczyna. Każdy by jej współczuł.

Cóż, może i tak, tylko że on, Mick, nigdy nie chciał być błędnym rycerzem ratującym nieszczęśliwe damy. Nie leżało to w jego naturze, wprost przeciwnie. Damy w opresji budziły w nim tylko pragnienie natychmiastowej ucieczki. Jeśli więc nie chce psuć sobie nastroju ani przysparzać kłopotów - a zawsze potrafił się od tego ustrzec - powinien w przyszłości unikać Sam Boswin jak ognia. Związać się z kimś takim to katastrofa.

Z Tarą jest inaczej. Z nią można się dobrze zabawić, nawet gdy pije i zaczyna śpiewać. Postanowił, że się z nią spotka. Raz się żyje!

Do spotkania pozostało trochę czasu; zamierzał go wykorzystać na miły spacer po parku, musiał jeszcze tylko wpaść do kancelarii i zostawić tam dokumenty.

Siedząca w recepcji Corinna wyglądała żałośnie. Żaliła się, że wentylator litościwie zainstalowany na jej biurku pomaga jak umarłemu kadzidło: owiewa ją tylko jeszcze

gorętszym powietrzem, bo zgarnia je z góry na dół. Mick przyznał jej rację. Żaden zwierzchnik nie dba o swoich podwładnych. Nabywają tej znieczulicy już chyba w podstawówce. Kiedy on zostanie starszym wspólnikiem, natychmiast każe tu zainstalować przyzwoitą klimatyzację. Będzie to jego pierwsza decyzja.

- Obiecujesz? - zawołała Corinna.

Obiecawszy jej to uroczyście, udał się do biura Rapha, zamiast wejść jednak do środka, przystanął przy drzwiach. Były półotwarte, a Raph rozmawiał z kimś przez telefon. Niby nie było w tym nic niezwykłego, ale... Zwykle w takich chwilach szef siedział za biurkiem, zwrócony twarzą do drzwi. Kiedy chciał być szczególnie przekonujący, miał zwyczaj wstawać, gdy natomiast rozmawiał z Lolą lub z kimś dobrze znanym - zdarzało się to zresztą rzadko - przysiadł na brzegu biurka. Sama jego poza świadczyła wtedy o nieformalnym charakterze konwersacji. Dziś natomiast...

Mick nigdy jeszcze nie widział takiego Rapha.

Siedział, owszem, za biurkiem, ale dziwnie skulony, niemal zgięty w pałąk, trzymając słuchawkę w taki sposób, jakby piastował niemowlę. Mówił też całkiem inaczej niż zwykle - cicho i nagląco. Konspiracyjnie. Mick nastawił uszu.

- Nie, posłuchaj - mówił jego szef - powiedziałem tak tylko, żeby cię nastraszyć. To naprawdę nic ważnego. Tak, wiem, ale teraz musisz mi uwierzyć. Dlaczego? Bo mówię prawdę, na litość boską! Po co było kłamać? Chciałem cię powstrzymać, ale... nie, mówię ci, że to prawda. Posłuchaj mnie, proszę. Tam nic nie ma. Skąd wiem? Widziałem na własne oczy. Nie szkodzi, że ona go ma. Zrozum, to bez znaczenia.

Mick nie wierzył własnym uszom. Mniejsza już o to, że z twarzy Rapha kapały wielkie krople potu, ale ten błagalny ton! Było to szokujące. Mick widział swego szefa w różnych sytuacjach, wiedział, że potrafi zastraszać klientów, jednać ich pochlebstwami lub uwodzić, ale Raph Howes bezradny? Błagający? Nie mieściło mu się to w głowie.

- Już ci powiedziałem, że to było kłamstwo - podjął Raph po pauzie. - Tak, bardzo mi przykro. Źle zrobiłem, ale zrozum, chciałem cię powstrzymać... Wiem, że według ciebie miało mi to pomóc, ale... nie, nie w ten sposób. Nie, ona o tym nie pisze. Zapewniam cię, że w dzienniku nie ma o tym mowy... Tak, w poemacie, ale on nie istnieje, został zniszczony. Nie ma się czym martwić. Posłuchaj, mówię to z całą odpowiedzialnością: Sam w żadnym razie nie może z tego powodu ucierpieć... Mylisz się. Nie mówiłbym tego, gdyby tak nie było. Po prostu daj spokój, dobrze? Bardzo cię proszę. Będzie dobrze, dopóki nic nie zrobisz. O Chryste! Czy choć raz nie możesz mi zaufać?

Mick po cichu wycofał się od drzwi.

- Źle się czujesz? - zagadnęła go Corinna, gdy mijał jej biurko. Nie odpowiedział. - To przez ten upał - dodała współczująco. - Dziś nikt nie zachowuje się normalnie. Pan Howes na przykład zniknął gdzieś po lunchu i nie było go przez parę godzin. Będę szczęśliwa, gdy te upały wreszcie się skończą.

\*

Oddaliwszy się od kancelarii o jakieś pół mili, Mick skręcił w boczną uliczkę, gdzie nie dochodził łoskot pojazdów przewalających się po Gray's Inn Road, wyjął telefon i czym prędzej wystukał numer Sam. Odpowiedział mu automat: „Wybrany abonent znajduje się poza zasięgiem. Proszę spróbować ponownie”. Jasna cholera! Chyba nigdy w życiu tak go nie rozwścieczył żaden kobiecy głos. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko nadać wiadomość: „Myliłem się. Bardzo proszę, skontaktuj się jak najszybciej. Chcę pomóc. Mick”.

Przez chwilę oddychał głęboko, stojąc na chodniku.

Wiadomość nie wystarczy, zwłaszcza że nie wiadomo, kiedy Sam zechce ją odebrać. Trzeba skontaktować się z nią natychmiast, tylko jak? Musi być jakiś sposób! Co, do diabła, Raph miał na myśli, mówiąc, że Sam nie może z tego powodu ucierpieć?

I dlaczego teraz akurat musiała wyłączyć telefon? Może bierze udział w jakimś koncercie albo gra przed kawiarnią? Jeśli tak, to za jakąś godzinę zapewne włączy komórkę. Najprościej byłoby poczekać i powiedzieć, po godzinie zadzwonić do niej ponownie.

Nie. Nie mógł i nie chciał tak długo czekać.

Poszedłby do niej do domu, niestety nie znał adresu. Kto mógłby wiedzieć, gdzie mieszka Sam? Oczywiście Raph, ale Raph byłby bardzo zdziwiony takim pytaniem. Pewnie nawet przez myśl mu nie przeszło, że jego asystent i pasierbica mogą się znać.

Lola! Wciąż miał jej numer komórkowy. Wybrał już dwie pierwsze cyfry, gdy naszła go pewna wątpliwość: a jeśli to właśnie z Lolą Raph prowadził tę dziwną rozmowę? Jeśli to jej zabronił krzywdzić Sam?

Przestań fantazjować, przywołał się do porządku. Znasz Lolę; może niezbyt dobrze, lecz wystarczająco, aby wiedzieć, że choć pewnie ma coś za uszami, to jednak nie jest osobą, która pragnęłaby kogoś skrzywdzić... nie mówiąc już o zabijaniu.

Mick nagle znieruchomiał: teraz dopiero dotarło do niego prawdziwe znaczenie słów Rapha, nauczyciela i mistrza, którego sam sobie wybrał, ufając, że poprowadzi go bezpiecznie po krętych ścieżkach ich wspólnej profesji. „Sam w żadnym razie nie może z tego powodu ucierpieć”. Osołomiła go myśl, że nie chodzi tu tylko o taką czy inną przykrość, którą nieznany rozmówca mógłby wyrządzić Sam. Ale Raph...? Przypomnij sobie, co wciąż powtarzała Sam, podszeptała mu pamięć. Twierdziła, że matka została

zamordowana i że Raph wie o tym o wiele więcej, niż mówi. Jeśli ona ma rację, pomyślał, a sporo za tym przemawia, to znaczy, że Raph, ten wybitny jurysta, mistrz i nauczyciel, zna i osłania mordercę, jest zatem współwinny zbrodni.

- A niech to szlag! - powiedział głośno. Jego uporządkowany świat przestał istnieć, ustępując miejsca rzeczywistości, w której nic nie jest takie, na jakie wygląda. Pomyślał, że Sam żyje w tym świecie od miesięcy, u nikogo nie znajdując zrozumienia. Nie potrafił sobie wyobrazić, co musiała przeżywać tam, w sali sądowej, kiedy śmierć jej matki uznano za samobójstwo; teraz nareszcie zrozumiał, skąd się biorą jej gorycz i wściekłość.

Zawróciwszy w stronę kancelarii, przeszedł na drugą stronę ulicy i już bez wahania zadzwonił do Loli. Odezwała się po dwóch sygnałach.

- Cześć, Lolu - powiedział ze sztucznym ożywieniem - mówi Mick Brady. Pamiętasz mnie? Odwiozłem cię do domu po przyjęciu u Feilerów.

- Pamiętam cię, witaj. - Dobrze, pomyślał, słysząc w jej głosie zadowolenie, lecz zarazem i pewną ostrożność, co zmniejszało niestety szanse powodzenia.

- Wyobraź sobie, co mi się zdarzyło! Natknąłem się przypadkiem na tę pasierbicę Rapha, na imię jej chyba Sam. Tak, zupełnym przypadkiem. Dziwne, co? Gra na wiolonczeli, prawda? No właśnie. Tak się składa, że znam kogoś, kto mógłby jej pomóc w karierze, więc chciałbym wpaść do niej, żeby jej to przekazać. Tak, mam jej numer komórkowy, ale jestem akurat w południowej części miasta i pomyślałem, że lepiej byłoby powiedzieć jej to osobiście.

- Mieszka chyba gdzieś w Clapham - bąknęła Lola. Wydawała się znudzona tematem rozmowy. Może spodziewała się czegoś innego, a może po prostu nie chciała udzielić mu informacji?

- Znasz jej adres?

- Nie. Po co mi on? Zapytaj Rapha.

- Jest teraz bardzo zajęty.

Wydała z siebie odgłos, który mówił, że z Raphem tak zawsze: na okrągło jest zajęty, a najbardziej wtedy, kiedy jest potrzebny.

- Cóż, będziesz musiał poczekać. Sprawa nie jest znów taka pilna.

- No tak. Wybacz, że cię niepokoiłem. I dziękuję... - Niby za co? - pomyślał gniewnie. Za odesłanie do Rapha? Raph był akurat ostatnią osobą, którą miałby ochotę indagować o adres Sam.

Kiedy wrócił do kancelarii, Corinna chłodziła sobie twarz i szyję wodą toaletową.

- Jestem wykończona - oznajmiła. - Tobie też by się to przydało. - Usłużnie rozpyliła

chłodną mgiełkę wokół obu jego policzków.

- Dzięki, Corinno, dobra z ciebie dusza. Nie znasz przypadkiem adresu Sam?

- Sam?

- Pasierbicy Rapha.

- Och, chodzi ci o Sam Boswin! Biedna dziewczyna. Mieszka w Battersea. Nie, zaraz, chyba w Peckham, a może w Camberwell? Wybacz, niewielki ze mnie pożytek. Znam dobrze zachodni Londyn, ale te południowe dzielnice trochę mi się mylą. Najlepiej zapytaj pana Howesa.

- Nie zapisałaś gdzieś tego adresu?

- Nie, ale pan Howes wciąż tu jest. On będzie wiedział.

- Nie chcę zawracać mu głowy.

- O czym będę wiedział? - rozległ się głos Rapha, który nagle pojawił się w recepcji. Twarz miał ściągniętą z napięcia, ale o tej porze i w tym nieznośnym upale wyglądali tak prawie wszyscy.

- I od kiedy to nie chcesz zawracać mi głowy? - spytał kpiąco. - Skąd nagle u ciebie takie skrupuły?

Zanim Mick zdążył coś powiedzieć, wyręczyła go Corinna.

- Pan Brady pytał mnie o adres pańskiej pasierbicy. Odesłałam go do pana.

- Nie wiedziałem, że znasz Sam - odrzekł Raph. Jeśli nawet był zdziwiony, nie dał tego po sobie poznać.

- Poznaliśmy się parę tygodni temu na przyjęciu - zełgał Mick.

- Doprawdy? Nie mówiłeś mi o tym. Nie przyszłoby mi na myśl, że wasze ścieżki mogą się skrzyżować. Sam obraca się głównie w towarzystwie muzyków.

- Nawet ci, którym słoń nadepnał na ucho, miewają kontakty z tym środowiskiem.

Raph przez chwilę przyglądał mu się z lekkim niedowierzaniem, ale w końcu podał mu adres.

- Mieszkanie numer trzydzieści trzy w Chepstow Mansions. To jeden z tych miejskich bloków w pobliżu Clapham Common. Trzecie piętro. Narowista winda. Lubi sprawiać przykre niespodzianki.

- Dziękuję.

- Ale Sam nie ma w domu - dorzucił Raph, kiedy Mick zbierał się już do odejścia. - Próbowałem się z nią wczoraj skontaktować, dowiedziałem się jednak od jej współlokatorki, że wyjechała.

- Wyjechała? Dokąd?



- Też chciałbym to wiedzieć.

Mick czuł, że Raph nie mówi prawdy. Wie doskonale, gdzie jest Sam. Świadczył o tym wyraz twarzy, z jakim wytrzymał jego spojrzenie. Mick znał ten wyraz: tak wyglądają cyniczni kłamcy.

- Nie uważasz, że to dość niepokojące? - dodał Raph. - Po tym, co przeszła ostatnio, znika nagle bez śladu, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera ani kiedy wróci. Martwię się o nią.

- No tak, oczywiście.

Jeszcze godzinę temu Mick by mu uwierzył, teraz już nie.

\*

Chepstow Mansions było jednym z setek blokowisk w południowym Londynie, które niczym nie zwracają uwagi przechodnia, pozbawione są bowiem wszelkiego charakteru, nie mówiąc już nawet o stylu. Wspinając się na trzecie piętro betonową klatką schodową, Mick minął dwie blade dziewczynki, które siedząc na najwyższym stopniu, ubierały lalki. Na jego widok przerwały zabawę, by odprowadzić go wzrokiem.

Mieszkanie oznaczone numerem 33 miało w drzwiach panel z hartowanego matowego szkła. Drewno dookoła dziurki od klucza było mocno pokaleczone jakimś ostrym narzędziem; wyglądało to tak, jakby ktoś usiłował wydłubać zamek. Mick przycisnął dzwonek, a gdy nie odniosło to żadnego skutku, zastukał do drzwi. Za szybą mignął mu jakiś cień. A więc Sam chyba jednak jest w domu! Unika kontaktów z Raphem, więc kazała swej współlokatorce opowiedzieć mu bajeczkę o swym rzekomym wyjeździe. Mick teraz już wcale się temu nie dziwił.

Drzwi jednak nikt nie otwierał. Zastukał ponownie.

W mieszkaniu nadal panowała cisza. Czyżby sobie wyobraził ten cień za szybą?

Otworzył skrzynkę na listy i zerknął przez szparę do środka.

- Hej, Sam, to ja, Mick! - zawołał. - Odezwij się, jeśli tam jesteś! Przyszedłem cię przeprosić. Myliłem się w sprawie śmierci twojej matki. Raph rozmawiał z kimś przez telefon, a ja przypadkiem coś usłyszałem. Teraz wierzę w to, co mówiłaś. Dzieje się coś niedobrego. Sam?

Gdzieś z głębi mieszkania doszedł go drżący kobiecy głos:

- Już mówiłam, że Sam tu nie ma. Idź stąd i daj mi spokój!

- A gdzie jest? Muszę z nią pomówić. Myślę, że grozi jej niebezpieczeństwo.

- Nie wiem, gdzie jest Sam! Odejdź! Odczep się ode mnie! - krzyknęła kobieta łamiącym się głosem. Mick uświadomił sobie, że płacze.

- Proszę, niech mi pani powie! Jestem jej przyjacielem. Chcę jej pomóc!

- Wynoś się!

- Ale...

Zajęty przekonywaniem przerażonej kobiety o swych szlachetnych intencjach, Mick nie usłyszał kroków na schodach.

- Zjeżdżaj stąd, draniu! - rozległ się okrzyk. Ktoś brutalnie wykręcił mu ręce do tyłu, chwycił go za głowę i rąbnął nią w ścianę. Zawył z bólu i zaczął wrywać się napastnikowi. Na próżno. Okazało się, że jest ich dwóch. Obaj młodzi, ciemnoskórzy i okropnie rozwścieczeni. Zaczął wierzgać nogami na oślep.

Kobieta w mieszkaniu krzyczała wniebogłosy.

Gdy jego głowa po raz drugi weszła w kontakt z murem, stracił przytomność.

\*

Nadira w tej właśnie chwili otworzyła drzwi.

- Przestań, Benj! - krzyknęła na swego młodszego brata. - Chcesz go zabić?

- Będzie miał nauczkę! - warknął Dii, starszy z jej dwóch braci. - Już nigdy tu nie przylezie. - Mówiąc to, puścił nieznajomego, który z jękiem osunął się na ścianę. Obaj bracia przyrzegli mu się z chłodną ciekawością.

- Z tobą wszystko w porządku? - zagadnął Nadirę Benj.

- Tak.

- Jesteś spakowana? Wóz stoi przed domem, a tu nie wolno parkować, więc się pośpiesz.

Nadira podniosła niewielką torbę i kasetkę z taśmami. Chciała jej się płakać. Miała uczucie, że ucieka od wszystkiego, o co tak ciężko walczyła. Istniały jednak granice ryzyka. Przyrzekając Sam, że nie pozwoli, aby opowiadano kłamstwa o rzekomym wypadku, gdyby przyjaciółce przytrafiło się nagle coś złego, była pewna, że Sam przesadza. Morderstwo? Takie rzeczy nie zdarzają się zwyczajnym ludziom. Zmieniła zdanie, gdy o trzeciej w nocy zbudziły ją dziwne trzaski: jakby ktoś majstrował przy zamku. Wciąż jeszcze nie całkiem przytomna, pomyślała, że to pewnie Sam. Widocznie postanowiła jednak wrócić i nie może dostać się do domu; pewnie posiała gdzieś klucze. „Sam?” zawołała na widok niewyraźnej postaci za matową taflą. „Sam, czy to ty?”

Cień wtopił się w ciemność.

„Sam?” szepnęła raz jeszcze, nim ze strachu straciła głos. To nie Sam! Może to włamywacz, który uciekł, gdy się okazało, że w mieszkaniu ktoś jest, ale równie dobrze mógł to być złoczyńca, który chce dopaść Sam...

Tak czy inaczej Nadira miała tego dosyć. Chora ze strachu zadzwoniła do domu, kiedy tylko zaczęło świtać. Skoro ktoś jest gotowy skrzywdzić Sam, to i ona nie jest bezpieczna.

\*

Nieznajomy, oparty górną połową ciała o ścianę, otworzył oczy, zamrugał powiekami i przyłożył rękę do głowy.

- Muszę ostrzec Sam - wychrypiał.

- Nie wiem, gdzie ona jest - odrzekła Nadira.

- Myślę, że coś jej grozi.

- Co? O co tu chodzi? Zupełnie tego nie rozumiem.

- Ja też nie. - Powoli zmienił pozycję. - Ale ma to coś wspólnego z dziennikiem jej matki.

- Chodź, Nad - przynaglił ją Dii. - Musimy jechać.

- Skąd znasz Sam? - zapytała, ignorując brata. Nieznajomy tymczasem zdołał usiąść. Nie wyglądał na włamywacza ani innego opryszka.

- To długa opowieść. Powiem tylko, że zdobyłem dla niej ten dziennik. Nawet dwa razy.

Nie, to nie mógł być ten człowiek, który chciał się włamać do mieszkania. Poczula, że można mu ufać.

- Przepraszam cię za moich braci...

- Tracimy czas! - burknął Benj, chwytając jej torbę.

- Nie możemy go tak zostawić.

- Nic mu nie jest, prawda, kolego?

Mick pomacał się w głowę i chwiejnie stanął na nogi.

- Zależy, jak na to patrzeć - odrzekł trochę cierpko. Widać było, że ściana odgrywa istotną rolę w utrzymywaniu go w pionie. - Ale owszem, czuję się trochę lepiej niż parę chwil temu.

- To przyjaciel Sam - powiedziała z naciskiem Nadira. - Jest w porządku.

- Nazywam się Mick Brady.

Dii zawahał się lekko, nim uściśnął wyciągniętą dłoń swej ofiary.

- Przepraszam, że cię walnąłem.

- Wiesz co? - włączył się Benj, wręczając bratu torbę Nadiry. - Zejdz lepiej na dół i uważaj na wóz. Kręcą się tu strażnicy. - Kiedy Dii ruszył do windy, zapalił dwa papierosy i podał jednego Mickowi. - Zaszło nieporozumienie - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Widząc, że zaglądasz do mieszkania, wzięliśmy cię za faceta, który ostatnio nęka naszą

siostrę. *Casus* błędnie ustalonej tożsamości, jak to mówią w sądzie.

- Pójdę po plaster - zaofiarowała się Nadira.

- Nie trzeba, nic mi nie będzie.

- Możemy cię podrzucić, dokąd zechcesz - zaproponował Benj. - Będziemy jechać przez centrum.

Mick pominął to milczeniem.

- Powiedz mi - zwrócił się do Nadiry - jak skontaktować się z Sam.

- Bardzo bym chciała ci pomóc, ale naprawdę nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Mówiła, że lepiej, abym nie wiedziała.

- Do licha! Posłuchaj, gdyby się do ciebie odezwała, powiedz jej, żeby koniecznie do mnie zadzwoniła. Zapamiętaj: nazywam się Mick Brady. Podśledzałem pewną rozmowę Rapha i wierzę jej teraz w stu procentach. Jestem po jej stronie, rozumiesz?

- Powiem jej, ale ty... Naprawdę nic ci nie będzie?

- Naprawdę.

Nadira zamknęła drzwi na dwa zamki i ruszyła za bratem do windy. Czuli się fatalnie. Kiedy dzwoniła do domu, błagając braci, żeby po nią przyjechali, wydawało jej się, że to jedyna rozsądna decyzja, jaką w jej sytuacji można było podjąć, ale teraz... teraz miała uczucie, że to haniebna ucieczka.

## 17

- Powiedziałaś mi, że tu jestem?

- Nie mówiłaś, że Raph Howes nie powinien o tym wiedzieć - odparła Linda.

- Prosiłam, żeby nie mówić nikomu.

- Doprawdy? Wydawało mi się, że dotyczy to tylko tego twojego chłopaka, który podobno sprawia ci kłopoty - powiedziała Linda, nie starając się nawet ukryć sceptycyzmu; od początku czuła, że chodzi o coś innego. - Pomyślałam, że twój ojczym mógłby ci pomóc.

- Ja decyduję o tym, kto może mi pomóc.

- W porządku! Nic złego się chyba nie stało?

Sam westchnęła w duchu. Każda próba wyjaśnienia sytuacji minęłaby się z celem. Gdyby nawet powiedziała ojcu i Lindzie, dlaczego naprawdę chciała się tu ukryć, pomyśleliby pewnie, że jej odbiło. Bez słowa poszła na górę i zaczęła pakować swe nieliczne rzeczy. Prawdę mówiąc, Menverren nie było najlepszą kryjówką. Przywiódł ją tutaj nie tyle

rozsądek, ile jakiś pierwotny instynkt, który każe człowiekowi w krytycznych chwilach szukać opieki rodziny.

Liczyło się i to, że do Gull Cottage było stąd dosyć blisko.

Linda wstawiała właśnie do pieca ostro przyprawiony pieróg, kiedy Sam ponownie zjawiła się w kuchni.

- Możesz mi podać numer postaju taksówek? Jeśli zaraz pojedę na dworzec, złapię jeszcze ostatni pociąg do Londynu.

- Przecież dopiero przyjechałaś!

- Coś mi wyskoczyło. Muszę wracać.

- No a co z tym chłopakiem, od którego miałaś się trzymać z daleka?

- Chyba spanikowałam.

- Nie chodzi o Rapha Howesa?

- Nie.

- No cóż, twój ojciec będzie zawiedziony.

- Przepróż go w moim imieniu. I powiedz, że niedługo znowu was odwiedzę.

Świadomość, że wkrótce pozbędzie się pasierbicy, pozwoliła Lindzie nie tylko złagodnieć, ale zdobyć się nawet na wspaniałomyślność.

- Szkoda pieniędzy na taksówkę. Ja cię odwiozę.

- Świetnie. Chętnie skorzystam, jeśli to nie kłopot.

- Żaden kłopot - stwierdziła Linda. - Żałuję, że nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. -

W swej łaskawości posunęła się nawet tak daleko, że kiedy dojeżdżały już do dworca, powiedziała:

- Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy. Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziana.

- Dziękuję.

- Wybacz, że chlapnęłam o tobie Raphowi.

- Nie ma sprawy. On i tak by odgadł, gdzie jestem. Nie musisz się tym przejmować.

- To dobrze - westchnęła Linda.

- Obiecuję, że niedługo wrócę - zapewniła ją Sam, wyjmując z wozu swój instrument i torbę. - Jedź już, Lindo, wiesz, jak nie cierpię pożegnań, a tobie z pewnością się spieszy. Do zobaczenia!

- Do widzenia, Sam. Powodzenia w konkursie.

Sam patrzyła za nią, dopóki samochód nie zniknął za wzgórzem, odczekała jeszcze chwilę, a potem, zamiast iść na peron, wsiadła do jedynej stojącej przed dworcem taksówki i

poleciała kierowcy jechać do Gull Cottage.

\*

Włamywanie się do cudzych domów zaczyna wchodzić mi w krew, pomyślała z ironią.

Zapadał już zmierzch, gdy kierowca dowiózł ją do domku. Przez całą drogę zabawiał ją rozmową o strasznej tragedii, która wydarzyła się tu w lecie.

- Nie czytała pani? Pisano o tym we wszystkich gazetach!

Starła się wymijająco odpowiadać na jego pytania, w przerwach zaś próbowała zadzwonić się do Judy Saunders; chciała ją spytać, czy może zatrzymać się w domku, lecz za każdym razem odzywał się tylko automat. Właścicielka pewnie jeszcze nie wróciła. Skoro jednak po śmierci Kirsten Judy odwołała wszystkie rezerwacje, Sam miała nadzieję, że nie będzie mieć obiekcji, jeśli córka zmarłej przyjaciółki spędzi kilka nocy w Gull Cottage.

Przyjechała tu bez żadnych konkretnych planów. Cóż, w razie potrzeby gotowa była improwizować, grać, jak to mówią, z kapelusza, cokolwiek to może oznaczać. Nie wiedziała nawet, jak długo tu pozostanie, na wszelki wypadek kazała jednak kierowcy przystanąć przed supermarketem, gdzie kupiła kilka puszek oraz trochę chleba i mleka. W tej chwili pragnęła tylko zaszyć się w takim miejscu, gdzie nikt jej nie będzie szukał, znaleźć się z dala od ludzi, na których jej zależało. Mogliby przy niej ucierpieć.

Gdy odebrała drugą wiadomość od Micka, naszła ją pokusa, żeby przerwać milczenie. „Jestem po twojej stronie”, napisał. „Wierzę ci i pragnę pomóc”. Gdyby miała pewność, że można mu ufać! Jego deklaracja mogła być prawdą, lecz istniała również możliwość, że to tylko nowa taktyka. Pracuje przecież u Rapha, uważa go za swego mistrza i jak każdy uczeń wciąż szuka okazji, żeby zdobyć u niego punkty. Raph mógł mu zlecić parę zadań ekstra... Nie, lepiej się nie ujawniać.

Słońce skryło się już za domkiem. Sam zjadła trochę sardynek - prosto z puszki - popiła je kubkiem herbaty, usiadła w progu z wiolonczelą i w zamyśleniu zaczęła wodzić smyczkiem po strunach. Przygodna para turystów przystanęła na ścieżce, z widocznym zachwytem słuchając jej gry. Nigdy nie zapomną tej chwili, powiedzieli później artyście. Jesienny zmierzch, wspaniały krajobraz i ta cudowna muzyka! Cudowna? Sam była innego zdania. W jej głowie niestety nadal panowała cisza. Nie słyszała ani muzyki, ani głosu matki!

Długo siedziała na progu, myśląc z niechęcią o wejściu do środka, zwłaszcza do łazienki. Podniosła się dopiero wtedy, gdy nie mogła już dłużej z tym zwlekać. Powoli weszła na schody, żałując, że nie zrobiła tego wcześniej, gdy cały domek tonął jeszcze w słońcu. Kiedy mieszkała u ojca w Menverren, dosyć często odwiedzała matkę, która prawie co roku przyjeżdżała tu z Ameryki na miesiąc czy dwa, zwykle w maju lub czerwcu, nigdy jednak nie

była w tym domu sama.

Zatrzymała się na podeście: jak tu cicho! Kirsten powiedziała jej kiedyś, że domy są jak obce miasta: naprawdę poznasz je dopiero wtedy, gdy spędzisz w nich jakiś czas, mając za całe towarzystwo tylko samą siebie. Słuchając teraz ciszy przerywanej jedynie lekkim pluskiem fal oblewających przybrzeżne skały, zrozumiała nareszcie, co matka miała na myśli.

Idąc biegnącym między dwiema sypialniami korytarzem do położonej na tyłach domu łazienki, czuła w klatce piersiowej przykry ucisk - jakby miała na żebrach ciasną obręcz. Łazienka była niewielka. Tuż nad podłogą - z powodu spadzistego dachu - znajdowało się jedyne małe okienko wychodzące na pola Wearne'ow, pogrążone teraz w ciemności.

Czy wtedy, w czerwcu, gdy Kirsten przygotowywała sobie kąpiel, też było tak ciemno?

Stała w wejściu do łazienki, niezdolna zrobić kroku naprzód. Miesiącami starała się nie myśleć, nie wyobrazić sobie, jak się to stało; teraz straszliwe obrazy ożyły jej przed oczami z całą swą okrutną mocą.

Kirsten nalewa wody do wanny. Idzie do sypialni, włącza do radia przedłużacz i zanoszą je do łazienki.

Rozbiera się i wchodzi do wanny.

Czuje miłe odprężenie, leżąc w ciepłej wodzie. Czy myśli, że jest w domu sama? A może ufa osobie, która właśnie idzie po schodach?

Ktoś staje w progu, w tym samym miejscu, w którym stoi teraz ona.

Ten ktoś podnosi zostawione na podłodze radio. Z aparatem w ręku zbliża się do wanny.

Kirsten zaczyna się podnosić. Sięga po ręcznik. Za późno.

Skrzydlaty morderca jest od niej szybszy.

Radio szybuje w powietrzu. Kirsten krzyczy.

Kim jest morderca? Kogo widzi Kirsten w tej ostatniej chwili, nim strumień prądu przebiegający przez jej nagie ciało wstrzyma akcję serca?

Sam zmusza własne oporne ciało do ruchu; robi parę kroków po zniszczonym linoleum i odwraca się w stronę wejścia, próbując wyobrazić sobie stojącą tam ciemną postać. Wydobyć ją z mroku. Ale widzi tylko jej cień. Rysów nie sposób rozpoznać.

Noc spędziła w kuchni na sofie. Sama myśl o spaniu na górze przejmowała ją dreszczem. Lecz i tutaj długo leżała bezsennie, słuchając szumu morza za otwartym oknem. Kiedy wreszcie zasnęła, śniły jej się koszmary - o przemocy i śmierci.

Obudziło ją słońce, głośny śpiew ptaków i nagłe poczucie, że trzeba coś zrobić, ruszyć nareszcie z martwego punktu, w którym tkwiła od kilku miesięcy. Zerwała się z sofy i

wybiegła z domu - nad urwisko. Gwałtowny atak lęku wysokości kazał jej się cofnąć od krawędzi, lecz nawet ziejąca w dole przepaść nie wydawała się tak niebezpieczna, jak ten ryzykancki plan, który właśnie wykuł jej się w głowie. Czy to nie szaleństwo? Pewnie tak, powiedziała sobie, ale to najlepsze posunięcie, jakie da się w tej chwili wykonać.

Mordercę można teraz zdemaskować tylko w jeden sposób: trzeba go przerazić. Wpadnie wtedy w popłoch i zacznie działać, przez co sam się ujawni.

Wróciła do domu, usiadła przy rozchwierutanim stole, przy którym jej matka spędzała długie godziny, i zaczęła pisać listy. Najpierw do Trevora Claya. Następnie tej samej treści zamierzała wysłać do Micka i ojca. Skróconą wersję mieli otrzymać Grigory i Nadira. Przy tyłu adresatach istniały większe szanse, że gdyby nagle „zginęła w wypadku” lub zmarła w sposób sugerujący samobójstwo, przynajmniej jedno z nich nie uwierzy w kłamliwą wersję jej śmierci. Co nie znaczy, że zamierzała dać się zabić.

Żeby wysłać listy, należało pójść na pocztę, zwłaszcza że w domku nie znalazła kopert ani znaczków. Przez chwilę deliberowała nad tym, czy najpierw nadać listy, a potem zadzwonić czy odwrotnie, w końcu górę wzięła niecierpliwość. Wyjęła komórkę, by sprawdzić stan konta: pieniędzy powinno wystarczyć.

Kogo wziąć najpierw pod ostrzał? Przez chwilę wpatrywała się w telefon, a potem wybrała numer Loli. Ostatecznie co za różnica? Słuchając sygnałów, poczuła się całkiem jak w swych szkolnych latach podczas lekcji pływania i skoków do wody. Aby zwalczyć lęk wysokości, zmuszała się wtedy do wejścia na najwyższą deskę. Było to okropne. Ogarnęło ją teraz takie samo przerażenie. Miała nadzieję, że odezwie się automat, ale nie, Lola zgłosiła się po dwóch sygnałach.

- Lola? Mówi Sam. - Dalej. Dojść do końca deski.

- Tak? - Ton Loli mówił wyraźnie, że pasierbica Rapha obchodzi ją tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Koniec deski. Ależ daleko ta woda.

- Chciałam cię powiadomić, że znalazłam *Skrzydlatego mordercę*, ten zaginiony poemat. - Skok. Już się nie można cofnąć. - I wiem, kto zabił moją matkę.

Chłodna woda na twarzy. Skok się udał. W słuchawce na moment zapadła cisza.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Słyszałaś. Wyraziłam się chyba dość jasno, ale mogę powtórzyć. Wiem, kto zabił moją matkę. Znalazłam poemat.

Przerwała rozmowę, zanim Lola miała szansę cokolwiek powiedzieć.

Teraz Raph. Poszło łatwiej niż za pierwszym razem. Kwestia wprawy. Całkiem jak przy



nurkowaniu. Miała też trochę szczęścia: był pewnie w sądzie albo na jakimś spotkaniu, bo odezwała się poczta głosowa. Zostawiła mu taką samą wiadomość, jaką przedtem przekazała Loli: Znalazłam *Skrzydlatego mordercę*. Wiem, kto zabił Kirsten.

Strach ustąpił miejsca podnieceniu: sprawa ruszyła z miejsca! Teraz coś musi się stać!

Gdy zadzwoniła do Wardley, Johnny odebrał dopiero po ośmiu sygnałach.

- Och, to ty, Sam! Jak miło cię słyszeć! - zawołał tak serdecznie, że omal nie zapomniała o jego ostatnim wyczynie. O tym, że jak złodziej wśliznął się do jej pokoju, że polował na dziennik, a potem uparcie kłamał.

- Chcę ci coś powiedzieć - oznajmiła. - Znalazłam *Skrzydlatego mordercę*, no wiesz, ten poemat. Dowiedziałam się z niego, w jaki sposób zginęła moja matka.

- Gdzie jesteś, Sam? - padło po krótkiej pauzie. - Dobrze się czujesz? - Jego troska wydawała się szczerą, ale Sam już mu nie wierzyła. Nie daj się nabrać, pomyślała. Johnny potrafi udawać troskliwość. Nauczył się tego przy Miriam. Po tylu latach praktyki opanował tę sztukę do perfekcji.

- Dziękuję, czuję się dobrze - powiedziała spokojnie. - Jestem w Gull Cottage.

- Sama?

Zmroziło ją to pytanie. Po co chce to wiedzieć?

- Chciałabym teraz pomówić z Miriam - powiedziała, pomijając je milczeniem. - Bardzo mi na tym zależy.

- Tak, oczywiście, poczekaj chwileczkę... zaniosę jej telefon. Co robisz w Gull Cottage? Nie miałabyś ochoty przyjechać do nas? - Po tych słowach głos Johnny'ego przycichł, nadal jednak słyszała go całkiem wyraźnie. - Miri, to Sam. Chce z tobą mówić. Chodzi o śmierć Kirsten. Postaraj się ją namówić, żeby do nas przyjechała, przynajmniej na parę dni. Nie powinna być sama. Źle to na nią działa. - Zaraz potem w słuchawce rozległ się głos Miriam, ten głos, który zawsze brzmiał w taki sposób, jakby chciała upomnieć rozmówcę: Tylko-nie-mów-mi-nic-przykrego-przecież-wiesz-że-źle-się-czuję.

- Co się stało, Sam?

- Cześć, Miriam. - Sam mimo woli nadała własnemu głosowi ciepłe, krzepiące brzmienie, łapiąc się zarazem na tym, że takim właśnie tonem przemawia się do inwalidów. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że znalazłam zaginiony wiersz mojej matki. *Skrzydlatego mordercę*. Teraz wiem, jak zginęła.

- Gdzie go znalazłaś?

Czy tylko sobie to uroiła, czy też urywany głos Miriam zaczął nagle rwać się jeszcze bardziej? Czyżby zabrakło jej tchu?

- Co za różnica? Ważne, że go znalazłam i że wiem już wszystko.

Przerwała rozmowę i zaczęła wybierać numer Diany. Nie wierzyła, żeby matka Rapha mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią Kirsten; zadzwoniła raczej po to, by zablokować komórkę przed wszystkimi, którzy zaczną teraz pewnie bombardować ją telefonami.

- Dzień dobry. Czy to nowy kierowca? - odezwała się Diana. Wydawała się bardzo stara i krucha, lecz jak zwykle sztywno-oficjalna.

- Dzień dobry, mówi Sam Boswin.

- Sam, ach tak - usłyszała po krótkiej przerwie. - Mogłabyś mnie gdzieś podwieźć?

- Niestety, jestem daleko. W Gull Cottage.

- To mój dzień brydżowy - poinformowała ją Diana tym razem po dłuższej pauzie. - Grywam regularnie dwa razy w tygodniu. Dzisiaj zbieramy się u Emily. Ale Craig właśnie złamał rękę. To dla mnie okropny kłopot.

- Współczuję - bąknęła Sam. Wstyd jej było nękać tę starą, stroskaną damę swą kłamliwą informacją, ale przecież po to zadzwoniła. - Znalazłam poemat mojej matki - powtórzyła po raz piąty. - I wiem, jak umarła.

- Wszyscy wiemy, co się stało z Kirsten. Byłaś przecież na rozprawie.

- To nie było samobójstwo, a ja - prawie uwierzyła w to, co mówi - ja wiem, kto ją zabił.

- Chciałam pojechać na tę rozprawę, ale Raph był temu przeciwny.

- Przepraszam, Diano, że cię niepokoiłam, musiałam jednak ci o tym powiedzieć. Do widzenia.

Diana z pewnością pomyśli, że pasierbica jej syna jest osobą chorą na umyśle i w dodatku źle wychowaną, istniał jednak cień szansy, że doskonale zrozumie powód i sens tej rozmowy.

Tak, postąpiła słusznie! Czując, że rozpiera ją energia, uśmiechnęła się w duchu: trzeba było wcześniej podjąć tę akcję! Wystarczyło parę telefonów, a już czuła się o tyle lepiej, że większość drogi na pocztę w Polwithick przebyła biegiem. Kiedy wyszła z budynku, żeby wrzucić listy do skrzynki, spostrzegła stojącego przed domem Judy Saunders małego fiata, z którego zaraz potem wyłoniła się masywna postać jego właścicielki.

Sam z radosnym okrzykiem puściła się pędem w jej stronę.

- Sam? - Judy stanęła jak wryta. - A cóż ty tu robisz, na Boga?

- Poluję na ciebie - zaśmiała się Sam.

- Na mnie? Z jakiego powodu?

- Najpierw chcę cię zapytać, czy pozwolisz mi trochę pomieszkać w Gull Cottage. -

Widząc, że na samą wzmiankę o domku pani Saunders pochmurnieje, dodała szybko: - Próbowałam dodzwonić się do ciebie, ale mi się nie udało, pozwoliłam więc sobie bez pytania spędzić tam dzisiejszą noc czy mówiąc ściślej, założyć obozowisko.

- Jak się dostałaś do środka?

- Przez okno. Myślałam, że nie wezmiesz mi tego za złe - zakończyła niepewnie.

Z miny Judy łatwo było wywnioskować, że jest wprost przeciwnie, nie wyraziła tego jednak *expressis verbis*, co sprawiło Sam pewną ulgę. Z sąsiedniego domku tymczasem wyłoniła się znana już jej starsza pani z niedwuznacznym zamiarem przyłączenia się do konwersacji. Miała to pewnie w zwyczaju, o czym świadczyło wymownie niezachęcające spojrzenie Judy.

- Dzień dobry, pani Pearce! - zawołała. - Tak, dziękuję, bawiłam się doskonale. Wpadnę do pani za chwilę. Teraz muszę porozmawiać z przyjaciółką. Lepiej wejdźmy do środka, Sam - dodała przyciszonym głosem.

Frontowe drzwi domku prowadziły prosto do salonu. Stało tu mnóstwo mebli, ściany zaś ginęły pod istną mozaiką malowideł Judy przedstawiających kornwalijskie skały, łodzie i dzbany z kwiatami. Gospodyni, zamknawszy drzwi, rozsunęła kotary i czym prędzej otworzyła okno, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

- Gull Cottage w tej chwili nie nadaje się do zamieszkania - powiedziała na poły przepraszająco, na poły obronnie.

- Dla mnie wystarczy. Spędziłabym tam tylko parę dni. Chcę być sama. To... bardzo ważne.

- Napijesz się kawy? - spytała Judy, obrzuciwszy ją krótkim spojrzeniem. - Ja po tej jeździe z Bristolu marzę o kawie.

- Dzięki, chętnie się napiję. Byłaś na urlopie?

- Niezupełnie. - Judy przeszła do kuchni, ale dom był tak mały, że mogły swobodnie rozmawiać. - Pojechałam do brata, chociaż to straszny sukinsyn! No ale zawsze to coś, a mnie tak już doskwierała nuda! Chciałam się trochę rozerwać. Ładna mi rozrywka! Nie muszę ci chyba mówić, jak to wyglądało.

Sam zamilkła. Każda, nawet najprostsza wypowiedź Judy miała w sobie nutę pretensji. W czasach, gdy jej obrazy wystawiano w londyńskich galeriach, była pewnie inna. Już wtedy znały się z Kirsten i to ona, Judy, ceniona wówczas malarka, wspierała duchowo początkującą poetkę. Później role się odwróciły, na czym mocno ucierpiała ich przyjaźń. Judy zazdrościła Kirsten sukcesu, tym bardziej że jej obrazy przestały budzić zainteresowanie. Od lat nie miała żadnej wystawy. Nadal wprawdzie nazywała Kirsten swą „najlepszą przyjaciółką”, była to

jednak dosyć trudna przyjaźń. O powrocie Kirsten do Kornwalii zdecydował głównie jej sentyment do Gull Cottage, nie zaś tęsknota za Judy.

- Domyślam się, że ciężko przeżyłaś śmierć Kirsten - odezwała się po chwili Sam. - Tym bardziej że stało się to w twoim domu.

- Jasne, że było mi ciężko, lecz z pewnością nie aż tak jak tobie, moja droga. Cieszę się, że tu jesteś. Bałam się, że będziesz mnie unikać.

- Dlaczego bym miała to robić?

- No wiesz... przez skojarzenie z miejscem jej śmierci.

- Więc pozwalasz mi tam zamieszkać?

- Mogłaś mnie uprzedzić o swoim przyjeździe. Trochę bym tam posprzątała.

- Przepraszam. Zdecydowałam się nagle.

- W przyszłym roku sprzedam Gull Cottage.

- Słyszałam.

- Kocham tę chatę, ale... po tym, co się tam stało, najlepiej chyba będzie ją sprzedać.

Judy wróciła z kuchni z dzbankiem kawy i chmurną miną. Z irytacją przyklepała swoje siwe niesforne włosy, które natychmiast wróciły na dawne pozycje.

- Usiądź - powiedziała, niecierpliwym gestem wskazując Sam krzesło. - Rozgość się, proszę.

- Dziękuję.

Gdy już obie zasiadły przy stole, Sam, nie czekając, aż straci odwagę - trudniej było kłamać w żywe oczy - powiedziała neutralnym tonem, bacznie obserwując swoją gospodynię:

- Znalazłam *Skrzydlatego mordercę*.

Judy przyjęła to bez wrażenia.

- Mocna rzecz, prawda?

- Teraz wiem, jak umarła moja matka - dodała Sam i nagle wstrzymała oddech, uświadamiając sobie, co oznacza reakcja Judy. - Czytałaś ten wiersz? Znasz go?

- Oczywiście! - parsknęła Judy. - Nie zapominaj, że byłam długoletnią przyjaciółką twojej matki. Z nikim innym nie łączyła jej tak stara przyjaźń. Zdarzały nam się nieporozumienia, ale Kirsten zawsze ceniła moje opinie.

- I... co? Co o nim sądzisz?

- Jeśli mam być szczerą, to ci powiem, że naprawdę nie rozumiałam, dlaczego Kirsten tak się ekscytuje akurat tym wierszem. Mówiła, że wywoła on mnóstwo szumu, chciała go uczynić tytułowym utworem swojego nowego zbioru. Powiedziałam jej bez ogródek, że pod względem siły wyrazu znacznie lepszy jest *Morski ostrokrzew*, ale ona w tych sprawach

potrafiła być strasznie uparta. No sama powiedz, który z tych wierszy jest lepszy.

- Ja... Cóż, *Morski ostrokrzew* to piękny poemat, ale...

- Mówiła, że musi zasięgnąć twojej opinii w sprawie *Skrzydlatego mordercy*. To też mnie zdziwiło. Dlaczego akurat twojej? Zawsze uważałam, że twoją dziedziną jest muzyka, nie poezja.

- Mówiła ci, że zamierza spytać mnie o zdanie?

- Tak. Uważała chyba, że jacyś ludzie mogą być urażeni treścią tego wiersza... Nie rozumiałam dlaczego, ale ona widocznie musiała mieć swoje powody... Biedna Kirsten. - Twarz Judy nagle złagodniała. - Mój Boże, jak ja za nią tęsknię!

Jeszcze pięć minut temu Sam wzruszyłyby te słowa, teraz jednak zajęta była czym innym, znacznie ważniejszym.

- Nie masz przypadkiem tego wiersza? - spytała tak niedbałym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Wiesz, Trevor uważa, ja zresztą również, że być może istnieje wersja różniąca się czymś od naszej...

- Mam, pewnie, że mam. Przyniosła mi go parę dni przed śmiercią.

- Mogę go zobaczyć? - Sam starała się mówić bez śladu emocji, chociaż serce biło jej jak młotem.

- Gdzieś tu jest. - Judy sięgnęła po stertę papierów leżącą na dębowym pomocniku i po krótkich poszukiwaniach wydobyła spod starych gazet nieduży folder w żółtej okładce. Kiedy go otworzyła, ukazało się kilka zadrukowanych stroniczek. Na pierwszej widniał tytuł: *Skrzydlaty morderca*.

## 18

Siedząc na zboczu wzgórza wznoszącego się nad urwiskiem, Sam wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć z oszołomienia wywołanego dzisiejszym odkryciem. Wybrała to miejsce, bo pomagało się skupić. Poza Gull Cottage, którego pochyły daszek widziała po swej prawej stronie, nie było tu ludzkich siedzib. Przed sobą miała tylko spokojne morze. Jego srebrzysto-błękitną powierzchnię przecinały tu i ówdzie ciemnogrnatowe pasma chłodnych prądów. W pobliżu przybrzeżnych skał kołysało się na wodzie parę łodzi rybackich; kolorowe boje znały miejsca, gdzie zastawiono sieci na homary. W powietrzu z krzykiem krążyły stada białych mew. Nadmorską ścieżką biegnącą obok Gull Cottage wędrowało gęsiego kilkoro turystów, rysując jej niewidoczną stąd krętą linię. Było gorąco i parno.

Sam wyjęła z torby przepisany odręcznie poemat, dotknęła pamiętnika matki - nareszcie miała jedno i drugie! - i żując kawałek ciasta, zabrała się do czytania. Który to raz? Pewne frazy znała już na pamięć, zwłaszcza te, których fragmenty Kirsten zapisała sobie w dzienniku, gdy pomysł wiersza zaczynał dopiero oblekać się w słowa.

Pierwsze cztery zwrotki zawierały opis śmiertelnego pojedynku pomiędzy jaszczurką a drozdem, tego pojedynku, który rozegrał się w Wardley owego letniego popołudnia w zapuszczonym warzywniku Johnsów i którego świadkami były obie z Kirsten. Słowa poematu przypomniały jej nie tylko całą tę okrutną scenę, lecz także własną karygodną bierność, przez którą stała się współniczką zabójstwa nieszczęsnej jaszczurki. W pewnej chwili chciała przerwać tę nierówną walkę, ale matka powstrzymała ją argumentem, że takie jest prawo natury. W przyrodzie dzieje się tak stale, dodała, tylko my tego nie widzimy. Może to i prawda, lecz poczucie winy pozostało. Kirsten, którą także musiało ono nękać, dała temu wyraz w piątej zwrotce wiersza.

*Patrzmy na to i nic nie robimy, by powstrzymać zbrodnię.  
Ostry dziób szarpie bezbronne podbrzusze,  
życie uchodzi z ciała  
leżącego w pyle ogrodowej ścieżki.*

Do tego miejsca wiersz nie przynosił żadnych niespodzianek. Pojawiły się dopiero w następnej zwrotce:

*Reflektor lśni w słońcu.  
Czy ten, którego oślepia, widzi go tak  
jak jaszczurka morderczy błysk w oku drozda,  
nim jego ciało o cienkich, jaszczurczych kończynach  
odczuje drugi cios?*

*Czy padnie trzeci?  
Słowa wiją się wokół dłoni,  
która wznieca ogień, wokół stopy  
na akceleratorze. Skrzydlaty morderca  
nie popełnia błędów.*

*Czy dlatego się waham?*

Podnosząc głowę znad lektury, Sam spostrzegła nagle ze zdziwieniem, że pogoda całkiem się zmieniła, a wraz z nią cały krajobraz. Rybacy wyciągnęli sieci i kierują swe łodzie do portu. Po zachodniej stronie nieba zgromadziły się ciemne chmury, a morze pod nimi przybrało barwę fioleto. Czy to naprawdę ten sam widok, który oglądała dziś rano, wyruszając do Polwithick? Wszystko wydaje się takie dziwne... jakby świat tracił kształty... jakby pływała w powietrzu. To szok, pomyślała.

Skrzydlaty morderca odsłonił twarz. Starą wytworną twarz Diany.

To ona. To musi być ona.

To Diana trzymała stopę na gazie, gdy zginął Anthony Johns, człowiek „o cienkich, jaszczurczych kończynach”. To ona wznieciła pożar, który pochłonął jej męża. To nie był żaden wypadek, podobnie jak śmierć Anthony’ego. Kirsten wyraźnie napisała w wierszu, że zabójca dokonał dwóch morderstw. Jej własna śmierć była trzecim. „Skrzydlaty morderca nie popełnia błędów”.

Raph wiedział o wszystkim. Zatuszował wszystkie trzy sprawy. Ale co innego mógł zrobić? Oskarżyć własną matkę?

Spostrzegła nagle, że ktoś idzie przez pole, kierując się w stronę Gull Cottage. Po chwili rozpoznała Judy. Czego ona chce? Nic z tego, co powiedziała podczas porannej rozmowy, nie sugerowało wprawdzie, że dotarło do niej znaczenie poematu Kirsten, istniała jednak możliwość, iż nie uszło jej uwagi podniecenie, które wzbudził on w córce autorki. Może zaczęła się czegoś domyślać? By uniknąć niewygodnych indagacji, Sam położyła się plackiem na zboczu porośniętym na szczęście wysoką trawą i bujnymi kępami orlicy. Nie miała ochoty wdawać się teraz w żadne wyjaśnienia.

Trzeba było działać, i to szybko. Gdy tylko Judy ruszyła z powrotem do wioski, czym prędzej włączyła komórkę. Aparat zameldował, że dzwoniło do niej dziewięć razy, a wiadomości jest tyle, że więcej nie zmieści się w skrzynce. Wybrała numer Trevora. Zgłosił się natychmiast.

- Gdzie ty się podziewasz, dziewczyno?

- Masz pod ręką coś do pisania? Jeśli stoisz, to usiądź. Mam *Skrzydlatego mordercę!*

Wydał z siebie taki okrzyk, jakiego nie spodziewałby się po nim nikt, kto go znał.

- Och, Sam! Brak mi słów! Cóż za wspaniała wiadomość! Możesz mi go przysłać? Najlepiej e-mailem, to najszybszy sposób! Mój Boże, jakże się cieszę! Nic lepszego nie mogło mnie spotkać! Gdzie go znalazłaś?

- U Judy Saunders.

- Cholera! - Sam wprost widziała, jak Trevor stuka się w głowę. - Oczywiście! Że też o niej nie pomyślałem! No, mniejsza o to. Wiesz, dwa dni temu wysłałem tekst do wydawców, ale zaraz zadzwonię i przekażę im dobre nowiny. Przecież to istny cud!

- Chwilowo nie mam dostępu do Sieci, więc nie mogę nadać e-maila. Dziś jeszcze wyślę ci poemat pocztą, ale na wszelki wypadek... wiesz, diabeł nie śpi, zaraz ci go podyktuję.

- Okej! Poczekaj chwileczkę... a żeby cię!... czemu te diabelne pióra nigdy nie chcą pisać, gdy są najbardziej potrzebne? No już, dyktuj.

Zajął to więcej czasu, niż spodziewała się Sam; komórka zaczęła sygnalizować, że za chwilę skończą się pieniądze. Trevor jednak miał wiele pytań.

- Te ostatnie zwrotki... W marcu ich nie było, a może mi nie pokazała?

- Chciała skonsultować je ze mną, nim odda poemat do druku. Wiedziała, że ten fragment wywoła burzę. Myślę, że zamierzała mnie spytać, czy ją poprę. Oczywiście! Zrobiłabym to bez wahania.

- Nie rozumiem, dlaczego miałby wywołać burzę. Co mają znaczyć te ostatnie zwrotki?

- Że matka Rapha zabiła Anthony'ego Johnsa. - W słuchawce zapadła cisza; Trevor najwyraźniej zaniemówił. - Diana - mówiła dalej Sam - zabiła też pewnie swego męża. Pożar, w którym zginął, nie był przypadkowy. Tak przynajmniej myślała Kirsten.

- W słuchawce nadal panowało głuche milczenie. - Dlatego przewidywała, że tym wierszem ściągnie na siebie kłopoty. Tak też się stało. Została zamordowana. Diana wiedziała, że gdy ten poemat ujrzy światło dzienne, Kirsten powie o wszystkim policji. Nie mogła do tego dopuścić.

Trevor wydal z siebie kilka pomruków i chrząknięć, z których łatwo było wywnioskować, że musi upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim otrząśnie się z szoku. Sam nie mogła tak długo czekać.

- Zadzwonię do ciebie później - powiedziała.

- Dobrze, ale...

- Wybacz, Trevor, nie mogę dłużej rozmawiać.

Przeczytała dwa sms-y od Micka. Coraz niecierpliwiej prosił ją o kontakt, powtarzając zarazem, że wierzy jej bez zastrzeżeń. Jeszcze parę godzin temu znaczyłoby to dla niej bardzo wiele; teraz sytuacja się zmieniła. Niedługo uwierzą jej wszyscy. Będą musieli uwierzyć. Mimo to nadała mu wiadomość z prośbą o telefon. Zadzwonił już po minucie.

- Cześć, Mick - powiedziała, słysząc jego głos. - Dzięki, że dzwonisz. Kończy mi się



forsa na rozmowy i...

- Sam - przerwał jej z pośpiechem - jestem ci winien przeprosiny! Miałaś rację! Podśluchałem rozmowę Rapha: grozi ci niebezpieczeństwo. Ktoś chce cię skrzywdzić.

- Wiem. I nawet wiem, kto to jest.

- Ty wiesz?!

- Tak. - Wymagało to długich wyjaśnień i dwukrotnego odczytania poematu, na szczęście jednak nie zrobiło to na nim takiego wrażenia, żeby aż stracił mowę. Sam mimo woli uśmiechnęła się w duchu: kwestia wprawy. Najwidoczniej już to, czego się dowiedział z podśluchanej rozmowy Rapha, musiało uodpornić go na niespodzianki.

- A to ci dopiero! - wykrzyknął, gdy zakończyła opowieść.

- Czułem, że to jakaś podejrzana sprawa, ale matka Rapha morderczynią? Kto by się tego spodziewał?

Sam wyobraziła sobie, że mówiąc te słowa, uśmiecha się do niej od ucha do ucha.

- Hej, Sam! - zawołał nagle, jakby tknęła go jakaś myśl.

- Czyżby tym cyklistą była Diana Howes? To byłby numer!

- Nie, Mick, Diana to wytworna starsza dama, a nie jakaś super kobieta. To mógł być Craig, jej kierowca, albo któryś z licznych pociotków. Ma ich tylu, że bez trudu znalazła kogoś do brudnej roboty.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- To, co zrobiłaby Kirsten. Zadałam już o to, żeby poemat poszedł do druku, minie jednak kilka miesięcy, zanim zbiorek trafi do księgarń. Dlatego zamierzam puścić ten wiersz do Sieci; tam każdy, kto zechce, będzie go mógł przeczytać. W tej chwili pozostaje mi już tylko powiadomić o wszystkim policję. Wiem, że Kirsten też by tak zrobiła.

- Powiedz mi, gdzie jesteś. Chętnie pójdę z tobą na policję. Wierz mi, czasem dobrze jest mieć przy sobie kogoś z prawniczym umysłem. Policję trzeba przekonać, a nie wiem, czy do tego wystarczy tylko sam poemat. Mógłbym poprzeć twoje oskarżenie. Ta rozmowa Rapha to poważny dowód. Poza tym boję się o ciebie. Teraz gdy ta kobieta wie, że ją masz na widelcu, zacznie na ciebie polować.

- Masz rację, wątpię jednak, żeby w pobliżu Gull Cottage mieszkał jakiś jej krewniak, a ci z Exeter czy z Londynu nie dotrą tu wcześniej niż za kilka godzin. Jeśli więc teraz pójdę na policję, zdążę złożyć zeznanie, zanim zjawi się tu któryś z tych opryszków. Nie martw się o mnie, Mick. Zadzwoń do ciebie, kiedy już będzie po wszystkim.

- Czy w pobliżu nie ma nikogo, kto by mógł pójść z tobą na policję?

- Jest! - zapewniła go szybko, dziwiąc się samej sobie, że nie pomyślała wcześniej o

ojcu. - Poproszę mojego tatę.

\*

W pogodzie tymczasem nastąpiły dalsze dramatyczne zmiany. Zbierające się nad cyplem cumulusy utworzyły zbitą, złowroźnie skłębioną masę, która przesłoniła już znaczną część nieba. Temperatura zaczęła spadać. Zanim Sam dotarła do domu, słońce zniknęło za ciemną oponą chmur.

Zadzwoniła do Menverren, nikt się jednak nie zgłosił. Bała się, że tak będzie. „Jestem w Gull Cottage i muszę iść na policję” - nagrała ojcu wiadomość. - „Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się spotkamy. Proszę cię, tato, przyjedź po mnie jak najszybciej. To pilne. Bardzo pilne”. Oby tylko Davy osobiście odebrał wiadomość.

Nie miała już pieniędzy na rozmowy, nie mogła więc zadzwonić nawet po taksówkę.

Mogła już tylko czekać.

Z nieba zaczęły spadać wielkie krople deszczu. Sprawdziła, czy w torbie ma wszystko, co powinna pokazać policji, włożyła sweter i powoli rozejrzała się po kuchni. Czym jeszcze mogłaby się zająć, żeby nie czekać beczynn timer? Był na to tylko jeden sposób. Wyciągnawszy z kąta jakiś stół, ustawiła go pośrodku kuchni, wyjęła z futerału wiolonczelę i zaczęła grać wprawki. I nagle poczuła, że po raz pierwszy od wielu tygodni muzyka nie tylko nie stawia jej oporu, ale płynie niczym wartki falujący strumień, którego rytmem pulsuje całe jej ciało, jakby było takim samym instrumentem jak wiolonczela, jak smyczek, który trzyma w rękę! Bez najmniejszego trudu przeszła od wprawek do Bacha, do wspaniałej Suity *G-dur*. Był to utwór, którego piękno objawiło jej się kiedyś dzięki Kirsten, a który teraz ćwiczyła na konkurs. Widząc przez otwarte drzwi kuchni, jak spieczona ziemia ciemnieje od deszczu, przypomniała sobie słowa swego profesora: „Kiedy studnia wyschnie, trzeba poczekać na deszcz”. Miał rację. Jakież to węgierskie czary podsunęły mu tę dobrą wróżbę? Wsłuchana w doskonałe brzmienie opływających ją dźwięków, wyobraziła sobie, że wraz z nią słucha ich Kirsten. Uświadomiła sobie zarazem, że gdy tam, na wzgórzu, czytała poemat o ptasim mordercy, słyszała słowa tego wiersza wypowiedane głosem swojej matki. Tym silnym, wibrującym głosem, który od tylu tygodni nie chciał dla niej ożyć. Zrozumiała, że dopiero słysząc głos Kirsten, potrafi w taki sposób odczuwać muzykę, że jej gra nabiera tej tajemnej magii, bez której nie ma prawdziwej sztuki. Tak bardzo się bała, że straciła już tę zdolność bezpowrotnie!

Szczęśliwa i wdzięczna całą sobą zatona w muzyce.

\*

Kiedy skończyła grać, poczuła, że opadło z niej napięcie minionych dni i tygodni,

pozostawiając po sobie słabość w całym ciele, lecz zarazem poczucie wewnętrznej pełni. Znów była sobą. Odłożyła smyczek i teraz dopiero spostrzegła, że w otwartych drzwiach stoi Davy. Od kiedy? Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Dobra jesteś, córeczko, bardzo dobra.

- Dzięki, tato.

Kiedy wszedł do izby, zobaczyła za jego plecami istną ścianę deszczu. Pionowe strugi wody, padając na spieczoną ziemię, tworzyły wartkie strumyki przelewające się przez brzegi głębokich kolein.

- Myślałem, że wróciłaś do Londynu.

- Tak tylko powiedziałam. Zależało mi na tym, żeby nikt nie wiedział, gdzie jestem.

- Chciałaś się ukryć?

- Można tak powiedzieć.

- No to powiedz, o co chodzi. Masz kłopoty z policją?

- Nie, tato. - Wstała ze stoika i podeszła do ojca. - Chodzi o mamę.

- O Kirsten?

- Tak. Ona się nie zabiła. Została zamordowana.

- Och, Sam, wiem, że tak myślałaś, ale śledztwo...

- Teraz nie jest to już tylko domysł. Mam dowód. Chcę go przedstawić policji.

- Jesteś pewna?

- Tak, tato. Mama o czymś wiedziała. Wszystko jest tu, w poemacie, który dziś znalazłam. Zamierzała kogoś zdemaskować i dlatego ją zamordowano.

Chyba jej pewność siebie nareszcie go przekonała. Wydał z siebie głębokie westchnienie, jakby spadł mu z ramion wielki ciężar.

- Ja też nie mogłem pogodzić się z myślą, że Kirsten odebrała sobie życie. Uważałem, że to do niej całkiem niepodobne! Bóg świadkiem, że miała swoje wady, ale żeby chciała uciekać przed życiem? Co to, to nie! Zawsze była twardą wojowniczką. Tak jak ty, Sam. - Mówiąc to, objął ją i uściśnął. - I ty jedna w nią nie zwątpiłaś. Nigdy się nie poddajesz, prawda?

Sam z trudem zdławiła łzy.

- Musimy dopilnować, żeby jej morderca poniósł zasłużoną karę. Pomożesz mi, tato?

- Tak, dziecinko. Kim on jest?

- Opowiem ci wszystko po drodze na posterunek. Teraz będą musieli mi uwierzyć.

# 19

Johnny nalał sobie porządną porcję czystej whisky - pół szklanki! - ale zaraz odstawił ją na bok. Kiedy ziemia zaczyna rozstępować się pod nogami, lepiej zachować trzeźwość.

Gdy odebrał telefon od Sam, pomyślał, że to jakiś żart albo że biednej dziewczynie pomieszało się w głowie, ale jedno spojrzenie na Miriam powiedziało mu, że to nie dowcip, że sprawa jest poważna, śmiertelnie poważna.

- Co się stało? - zapytał. W całym domu słychać było stukot młotków i rozmowy pracujących w wieży robotników; usuwano zabytkowe deski, aby poddać je konserwacji.

- Muszę pomówić z Raphem - bąknęła Miriam. Widział, że cała drży.

- A nie możesz porozmawiać ze mną? To ja jestem twoim mężem.

- Muszę pomówić z Raphem - powtórzyła jak automat.

W tym momencie zadzwonił telefon. Okazało się, że to Raph, całkiem jak na zawołanie. Miała więc swojego niezastąpionego brata. Mówił głównie on, lecz gdy wreszcie skończyli rozmowę, Miriam oznajmiła:

- Johnny, jest coś, o czym ci muszę powiedzieć.

- Więc mów.

- Chodzi o... - zaczęła, nie patrząc mu w oczy - ...chodzi o śmierć mego ojca. Chcę, żebyś o tym wiedział... zanim coś się stanie z moją matką.

Wziął ją za rękę i usiadł obok na sofie. Z prawdziwym współczuciem wysłuchał jej opowieści o dwójce małych przerażonych dzieci; potrafił sobie wyobrazić, co musiała przeżywać Miriam, gdy jej ojciec zginął w pożarze.

- Biedactwo - powiedział czule, obejmując ją ramieniem. - Czemu nie opowiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Nie chciałam cię tym obciążać - odrzekła drżącym głosem. - Zbyt dobrze wiemy oboje z Raphem, jaki to niezdolny ciężar. - Prawie jej uwierzył.

Jego współczucie przeszło jednak w niedowierzanie, a potem w odrazę, kiedy mu wyznała, jak naprawdę zginął Anthony. Jego brat zamordowany? Wstał i zostawił ją samą na sofie. Trzęsła się jak w febrze, ale on w żaden sposób nie potrafiłby teraz jej dotknąć. Wolałby już chyba włożyć rękę do klatki z tarantulą. Słyszając melodię *Que sera, sera*, którą gwizdał któryś z robotników, miał wrażenie, że dzieje się to gdzieś daleko, w jakimś innym świecie.

- Diana... zabiła... mego... brata? - wykrztusił. - A ty ją osłaniałaś?

Patrzyła na niego tymi swoimi okrągłymi oczami, próbując wyzebrać współczucie, och, i nie tylko. Dobrze wiedział, czego ona chce: zrozumienia, przebaczenia i co gorsza zapewnień, że nadal ją kocha. O nie! Nie mógł już dłużej udawać. Miał dosyć zaspokajania jej potrzeb. Dławiły go jej wymagania. Czyniły go ślepym. Ta jej straszna zależność! Tak długo zaciemniała mu pole widzenia, że przestał samodzielnie myśleć. Teraz gdy łuski nareszcie spadły mu z oczu, przypomniał sobie nagle o Kirsten i zrobiło mu się niedobrze: miała rację!

Po raz ostatni widział się z nią w marcu w Connecticut wciąż jeszcze pokrytym późnozimowym śniegiem. Było popołudnie. Siedzieli w jej małym, wynajętym mieszkaniu, rozmawiając o różnych sprawach. Zawsze lubili ze sobą rozmawiać. Właśnie wtedy wyjawiała mu powód swojego rozstania z Raphem, choć z początku nie chciała o tym mówić.

- Coś zaszło między mną i Raphem - powiedziała tylko.

On jednak nie dał za wygraną.

- Ale nadał go kochasz?

- Nigdy nie przestanę go kochać.

- Więc dlaczego odeszłaś?

- Nie domyślasz się, Johnny? Nigdy cię nie zastanawiało zachowanie Diany?

- Diany?

- Musiałeś przecież coś podejrzewać. Mówię o „wypadku” Anthony’ego.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

Przedstawiła mu swoją teorię. Tych kilka słów wystarczyło, żeby świat stanął na głowie.

- Musisz przyznać - dodała z wymuszonym uśmiechem - że to znacznie poważniejsza sprawa niż zwyczajne niesnaski pomiędzy synową i matką jej męża. Ile kobiet uświadamia sobie pewnego pięknego ranka, że teściowa to morderczyni?

Był zszokowany już nie tylko treścią, lecz także tonem jej wypowiedzi, potem jednak przyszło mu na myśl, że pewnie tylko ten wisielczy humor pozwolił jej przetrwać ostatnie samotne miesiące.

Powiedziała, że to sprawa Diany wywołała kryzys w jej małżeństwie. Jak się domyśliła...? Kochając kogoś i żyjąc z nim pod jednym dachem, nietrudno zauważyć, że coś go dręczy lub że coś ukrywa. Raphowi wymknęło się parę uwag, czasami krzyczał przez sen... Były też bardziej subtelne oznaki - niedopowiedzenia, nagłe zamilknięcia, jej własne, coraz silniejsze poczucie, że jego związki rodzinne są dość szczególne, że odbiegają od normy... Wszystko to nasunęło jej podejrzenie, że śmierć ojca Rapha nie była wypadkiem.

Doszła też do wniosku, że oboje z Miriam od początku wiedzieli, jak zginął, ale postanowili milczeć, by ochronić matkę. Nie potępiała ich za to, przeciwnie, głęboko współczuła dwójce tych biednych zagubionych dzieci. W jednym dniu straciły zarówno ojca, jak i dom, w którym się wychowały, czyż mogły ryzykować, że stracą i matkę?

Johnny pamiętał każdy najdrobniejszy szczegół tej rozmowy, nawet to, że Kirsten siedziała po turecku na dywanie. Pamiętał wyraz jej twarzy.

- Nieszczęsne dzieciaki - rzuciła ze smutkiem. - Taka sytuacja sprawia, że mały człowiek wytwarza sobie mocno wypaczony system wartości. Pomyśl o własnym dzieciństwie. Zawsze uważałeś, że wszystko, co robią twoi rodzice, jest normalne, prawda? Że tak być powinno. Dlatego oboje milczeli. A zresztą, co mogli zrobić? Zwrócić się przeciw matce? Powiem ci, Johnny, że do pewnego stopnia rozumiem nawet ją samą. Życie z brutalnym partnerem to prawdziwy koszmar, zwłaszcza gdy nikt inny tego nie dostrzega. To, co zrobiła, mogło być nawet aktem samoobrony.

- Skąd możesz mieć pewność, że to zrobiła? - zaprotestował Johnny. - Mimo wszystko mógł to być wypadek.

Obrzuciła go tym dobrze mu znanym, spokojnym, acz byстрыm spojrzeniem.

- Daj spokój, Johnny, bądź uczciwy. Ty też się tego domyślałeś, prawda?

- Och... czasami dziwiło mnie to czy tamto, ale morderstwo? Tego sobie nie wyobrażałem.

- Naprawdę?

Zaczął coś bąkać, stwierdził, że „wypadki chodzą po ludziach”, równocześnie jednak pamięć zaczęła mu podsuwać setki dziwnych drobnych incydentów zdarzających się pomiędzy Miriam, jej bratem i matką. Owszem, były zastanawiające, ale wolał je ignorować. Tak było wygodniej.

Kirsten chyba odgadła, co mu chodzi po głowie.

- Ja też powtarzałam sobie, że śmierć ich ojca mogła być wypadkiem - powiedziała łagodnie - ale po śmierci twego brata nie mogłam się już dłużej oszukiwać. Gdy po tym wszystkim wróciliśmy do domu, bez ogródek zapytałam Rapha: „Jak to było, Raph? Czy Diana przejechała go umyślnie?” Ale nawet wtedy łudziłam się jeszcze nadzieją, że to sobie tylko uroiłam. W normalnym świecie ludzie nie robią takich rzeczy. Przynajmniej nie w moim świecie.

- I co? Czy Raph się przyznał?

- Skądże! Zaprzeczył wszystkiemu. Powiedział, że to absurd, że zwariowałam, że wymyślam niestworzone rzeczy, ale nim zaczął mówić, podchwyciłam jego spojrzenie i to, co

sposzregłam w jego oczach, powiedziało mi, że się nie mylę. Było tam wszystko: poczucie winy, panika i zgroza. On wiedział. Wiedział, że to morderstwo.

Johnny poczuł, że zalewa go fala ulgi.

- Wyraz oczu? Na tym opierasz swoją teorię? Dla sądu to żaden dowód.

- Co wcale nie znaczy, że to nieprawda. Spytaj Miriam, co myśli o tym „wypadku”.

Johnny poczuł nagle mróz w kościach.

- Sądysz, że i ona wie?

- O tak, na pewno. Siedziała przecież obok Diany, kiedy to się stało. Mogła przemilczeć śmierć ojca, była wtedy dzieckiem, ale do diabła, śmierć twego brata to inna sprawa! Powinna była powiedzieć prawdę.

- Nie ma dowodu na to, co mówisz - powtórzył Johnny. - Nigdy bym nie wziął Wardley, gdyby mi przyszło na myśl... - urwał nagle. Oboje wiedzieli, że przymknąby oko chyba na wszystko, gdyby dzięki temu mógł przejąć Wardley.

- Byłoby to strasznie trudne, prawda? - Głos Kirsten brzmiał bardzo miękko. - Nie masz pojęcia, ile razy nachodziła mnie pokusa, żeby dać temu spokój, ratować małżeństwo... Było już jednak za późno. Otworzyłam puszkę Pandory i wylazło z niej mnóstwo robactwa. Raph wiedział, że dręczy mnie cała ta sprawa. Legło to między nami jak góra, niemożliwa do sforsowania. Nawet gdy nie próbowałam go namawiać, żeby zrobił coś ze swoją matką, wiedział, że wciąż o tym myślę. Że nie potrafię zrozumieć, jak może z tym żyć.

- Czy kiedykolwiek przyznał ci się do czegoś?

- Nigdy. Zaczął jednak miewać koszmary o pożarach i samochodach. I o psach. Dlaczego akurat o psach? Kiedy go o to spytałam, powiedział, że w dniu, w którym zginął ojciec, samochód przejechał Chippy'ego, ich ulubionego pieska. Powiedział też, że ojciec wrócił wtedy z pubu i położył się spać. Był zalany, więc spał bardzo twardo. Dlatego nie zdołał uciec, gdy dom stanął w ogniu. Podejrzewam jednak, że mogło być trochę inaczej: że Diana podała mężowi jeszcze jednego drinka z jakimś środkiem nasennym. O śmierci twego brata Raph nawet nie wspominał, a przecież stał wtedy obok Anthony'ego, musiał więc wszystko widzieć!

Johnny wstał w pewnej chwili z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju, zerkając od czasu do czasu przez okno. Na ulicy leżała gruba warstwa śniegu, a sądząc po wiszących nisko ciemnych chmurach, można było spodziewać się dalszych opadów. Czy Kirsten może mieć rację? - myślał z przerażeniem. Nie chciał w to uwierzyć, nie mógł jednak zlekceważyć jej podejrzeń. Nie była fantastką. Uznał w końcu, że tak czy inaczej w sprawie śmierci Anthony'ego trzeba przeprowadzić urzędowe śledztwo. Po prostu na wszelki wypadek. Niech

się tym zajmą odpowiednie władze. Sprawą śmierci męża Diany również. Z takim postanowieniem wsiadł do samolotu.

Już jednak nad Atlantykiem zaczęło mu się wydawać, że teorie Kirsten są, delikatnie mówiąc, bardzo wątpliwe, a gdy znalazł się w Wardley, pozostały mu już tylko same wątpliwości. Wprawdzie zaraz po powrocie ostro zaatakował Miriam, ale został przez nią wyśmiany.

- Ależ Johnny, co ty wygadujesz! - wykrzyknęła, parszkając śmiechem. - Przecież chyba nie wierzysz Kirsten! Na litość boską, ona jest poetką! Fantazjowanie to jej zawód! Och, bardzo ją lubię i zrobiłabym wszystko, żeby wróciła do Rapha, ale to już doprawdy zakrawa na obłąd! Widać samotność tak na nią działa. Nie rozumiem tylko, jak ty, rozsądny człowiek, mogłeś uwierzyć w te nonsensy o mojej matce! Ona by miała mordować ludzi? Doprawdy nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Dziwię się, że w ogóle mi o tym mówisz!

Mówiła jeszcze długo w tym samym stylu. Johnny mógł oczywiście obstawać przy swoim, ale... o ileż wygodniej było zgodzić się z Miriam. Wystarczyło pomyśleć o komplikacjach, które by wywołało uznanie za prawdę rewelacji Kirsten. Śledztwo, wywlekanie rodzinnych brudów... A poza tym rutyna codziennego życia tak bardzo zmienia optykę... Trudno zburzyć wszystko, czym się żyje, i to tylko dlatego, że ktoś, od kogo dzieli nas teraz ocean, twierdzi, iż całe to życie oparte jest na kłamstwie, a bliscy ludzie wcale nie są tacy, za jakich się ich uważało. Co zresztą mógł zrobić bez poparcia Miriam? Iść na policję? Nie miał żadnych dowodów. Zażądać wyjaśnień od Rapha? Mógłby stracić przyjaciela. Zaatakować Dianę? Jakoś nie mógł sobie tego wyobrazić. Pojechałby do niej i co? Popijając z nią sherry w tym jej perkalowym saloniku, miałby opędzając się przed Bobbem szarpiącym mu sznurowadła, zapytać towarzyskim tonem: „*a propos*, Diano, czy ty przypadkiem nie zamordowałaś swego męża? A mojego brata? Nie? Och, no to w porządku. Chciałem tylko sprawdzić”.

Przyjechała do Wardley jakiś tydzień po jego powrocie ze Stanów. Patrząc na nią, w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić tej starej wytwornej damy w roli morderczyni, i to aż dwukrotnej. Powiedział sobie poza tym, że gdyby oskarżenia Kirsten były słuszne, ktoś przecież już by się tym zajął, nie czekając, aż on to zrobi. Trudno mu było przyznać się nawet przed sobą, że tym, co powstrzymuje go od wszczęcia śledztwa, jest skryta obawa o Wardley; mógłby stracić posiadłość, gdyby śmierć poprzedniego właściciela zaczęła budzić wątpliwości.

Ocknął się z zadumy pełen gniewu na Miriam. Tak szyderczo wyśmiała jego sugestie, a teraz nagle informuje go drżącym głosem, że to prawda! Jakim cudem przeżył całe piętnaście



lat z tą obcą, godną pogardy kobietą, która gapi się na niego tym nieznośnie żalonym wzrokiem? Poczuli, że robi mu się duszno; jakby to jej spojrzenie wyssało z pokoju całe powietrze.

- Wspaniałą masz matkę - powiedział zimno. - Przypuszczam, że Raph także robił wszystko, żeby ją osłonić.

- Raph był małym dzieckiem...

- Ale do czasu, gdy zginął mój brat, zdążył wydorosnąć, prawda?

Na to już nie miała odpowiedzi.

- Kirsten... - zaczął i zamilkł, bo nagle uderzyła go straszna myśl. Gorsza niż wszystko, co dotąd usłyszał.

- Co: Kirsten?

Och nie, tylko nie Kirsten! - myślał Johnny. Cały znany świat walił mu się w gruzy. Rozpaczliwie bronił się przed tym, co podpowiadała mu logika: Kirsten wiedziała o Dianie. Była gotowa ją zdemaskować, a teraz nie żyje. Chwycił szklankę z whisky i kurczowo ścisnął ją w rękę.

- Ją także zabiła twoja matka.

Miriam milczała.

- Wiedziałaś o tym, prawda?

Nadal milczała.

- A Raph jej pomagał.

Zaczęła coś mówić. Że to przecież matka... Musieli ją chronić... Byli pewni, że nie skrzywdzi już nigdy nikogo... Johnny przestał słuchać. Szklanka przeleciała przez pokój i rozbiła się z trzaskiem o ścianę.

- Przepraszam, wybrałem zły moment - bąknął człowiek w owerolu, który właśnie ukazał się w drzwiach. - Przyjdę później. - Uśmiechnął się krzywo i zniknął.

- Niech cię diabli, Miriam! - krzyknął Johnny. - Jak mogłaś! Wiedziałaś, do czego zdolna jest twoja matka, i co zrobiłaś, gdy ci powiedziałem, że Kirsten podejrzewa ją o dwa morderstwa? Kłamałaś! Cały czas kłamałaś! To twoja wina, że Kirsten nie żyje! Mój Boże, z zimną krwią skazałaś ją na śmierć! Nigdy ci tego nie wybaczę! Nigdy!

- Johnny, wysłuchaj mnie, błagam...

- Nie, Miriam, to bezcelowe. Nigdy w życiu już ci nie zaufam.

Zaczęła szlochać jak dziecko i błagać o wybaczenie. Nie chciała skrzywdzić Kirsten. Gdyby przyszło jej na myśl, że matka...

Patrzył na nią z głęboką pogardą. Nie, ta kobieta nie zasługiwała nawet na pogardę.

Była odrażająca. Czy jednak podsycając w sobie gniew na Miriam, nie starał się zagłuszyć własnego poczucia winy? Kirsten mu zaufała, a on haniebnie ją zawiódł. Łatwiej było myśleć, że wszystkiemu winna jest Miriam.

- Mogliście powstrzymać Dianę, ty i Raph - zaatakował ją znowu. - Powiedziałaś mu o podejrzeniach Kirsten? No i co? Śmiałyście się z nich oboje? A może powiedziałaś matce o Kirsten? - zapytał z nagłym strachem. - Mów! Ostrzegłaś ją?

- Nie! Oczywiście, że nie! Przysięgam!

- Więc jak się dowiedziała?!

- Nie wiem!

- Znów kłamiesz. - Tym razem była to konstatacja wyprana z wszelkich emocji. Johnny nie dbał już o to, że jego żona kłamie ani że go okłamała podczas ich poprzedniej konfrontacji; bolał jedynie nad tym, że jej kłamstwa doprowadziły do śmierci kobiety, którą kochał i którą podziwiał. Zrozumiał, że całe jego małżeństwo było oszustwem. Małżeństwo, w którym brak zaufania, nie jest nic warte, a Miriam nigdy mu nie ufała; najlepszy dowód, że ukryła przed nim coś tak istotnego jak okoliczności śmierci swego ojca, wydarzenie, które przecież zaciążyło nad całym jej życiem. Lecz i to nie miało już teraz znaczenia.

Dlaczego? Bo nagle poczuł się wolny. Opadły z niego niewidzialne więzy trzymające go przy tej kobiecie. Lata minęły od chwili, gdy mógłby uczciwie powiedzieć, że darzy Miriam prawdziwą czułością. Miłość umarła już wcześniej, tak dawno, że nawet już nie pamiętał, jakie to uczucie. Mimo to, nie licząc paru nieistotnych zdrad, pozostał lojalnym mężem, bo takim też był człowiekiem. Czuł się zobowiązany trwać przy Miriam nie tylko ze względu na jej słabą kondycję fizyczną, obezwładniające bóle głowy i jakiś organiczny defekt, który nie pozwalał jej mieć dzieci, lecz przede wszystkim dlatego, że była od niego tak bardzo zależna psychicznie. Gdy pewnego razu usłyszał wyznanie, że jest dla niej całym światem, nie wątpił, że mówi prawdę. Lecz i on mógł na niej polegać we wszystkim, co dotyczyło praktycznych aspektów codziennego życia. Pomogła mu zdobyć rodzinną posiadłość, a pragnął tego jak niczego w świecie. Gdyby był jednak szczęśliwszy w małżeństwie, gdyby zamiast trójki tych okropnych Howesów miał prawdziwą rodzinę, o którą mógłby się troszczyć, Wardley być może nie byłoby dla niego tak ważne, żeby obawa przed jego utratą kazała mu przemykać oczy na morderstwa.

Cóż, teraz była to już kwestia czysto akademicka, jego małżeństwo przestało istnieć; od dawna zresztą było nim tylko z nazwy. Poczuł nagle, że jest gotowy rozpocząć wszystko od nowa.

- Przestań płakać, Miriam - powiedział sucho. - Dzwonię na policję.

- Dlaczego? - spytała z oczami pełnymi łez.
- Dobrze wiesz, że muszę to zrobić. Nim ktoś znowu zostanie zabity.
- Zaczekaj, nie działaj pochopnie. Pomyśl o skandalu. Chyba tego nie chcesz?
- Nie zamierzam osłaniać morderczyni.
- Co chcesz powiedzieć policji?
- Prawdę, na miłość boską!

- Nie musisz im mówić wszystkiego. Powiedz o Kirsten, to wystarczy, żeby unieszkodliwić moją matkę, ale nie mów nic o Anthonym. Jeśli o nim nie wspomnisz, będziemy mogli zatrzymać Wardley.

- My?

- Błagam cię, Johnny, nie odrzucaj wszystkiego! Spróbuj ochłonać, wtedy jaśniej ocenisz sytuację. Pomyśl, ile masz do stracenia!

Johnny zawahał się lekko. Ale nie, nie wolno mu zwlekać. Raz już zmarnował możliwość położenia kresu morderczym poczynaniom Diany. Nie zamierzał powtarzać tego błędu. Wydawało mu się, że jeśli teraz zacznie działać szybko i zdecydowanie, zmaże tym jakąś część winy za swe poprzednie milczenie. Miriam wie, ile znaczy dla niego Wardley; jeśli da jej na to czas, znajdzie sposób, żeby go zmiękczyć...

- Nie - powiedział głośno. - Twoją matkę trzeba zdemaskować, zanim zdąży znów kogoś zabić. Zanim się dowie o Sam.

- Zaczekaj, tylko o to cię proszę!

- Nie, Miriam!

Miriam z ciężkim westchnieniem opadła na oparcie sofy. Wyglądała na kompletnie wyczerpaną.

Nazwał mnie „Miriam”, pomyślała. Już nigdy nie będę dla niego „Miri”... W końcu stało się to najgorsze. Zawsze wiedziała, że któregoś dnia ją to czeka. Cóż, nie ma sensu walczyć z nieuniknionym, z tym, czego nie da się zmienić. Trzeba się pozbierać i zmierzyć z nową samotną przyszłością.

Johnny myśli, podobnie jak wszyscy, że ona, Miriam, jest wątłą i słabą istotą. Bardzo by się zdziwił, gdyby wiedział, jaka potrafi być twarda, gdy wymaga tego konieczność. Tak jak teraz. Poszła do łazienki, gdzie starannie umyła twarz, zrobiła nowy makijaż, a potem zmieniła domowe ubranie na bardziej oficjalne: prostą szarą spódnicę i elegancką granatową bluzkę. Z doświadczenia wiedziała, że odpowiedni wygląd znacznie ułatwia odgrywanie takiej roli, jaką narzucają nam okoliczności.

Kiedy przed domem zatrzymał się wóz policyjny, była już chłodna, spokojna i

doskonale opanowana.

\*

Wizyta na posterunku mocno rozczarowała Sam. Wyobrażała sobie, że gdy tylko tam wejdzie i oznajmi dyżurnemu, że chce złożyć doniesienie o morderstwie, cała policyjna machina pójdzie od razu w ruch. Tymczasem dyżurny oficer nieskończenie długo spisywał jej personalia i inne nieistotne jej zdaniem szczegóły. Nawet gdy już wreszcie przyjął ją jakiś wyższy funkcjonariusz, też wyglądało na to, że wcale mu się nie spieszy, a rozmowa, którą z nią prowadził, wprawdzie miła i przyjacielska, miała bardziej charakter prywatnej dyskusji niż śledztwa w sprawie morderstwa. Sierżant Jenkyns do perfekcji opanował sztukę łączenia dwóch całkiem odmiennych postaw: potrafił być współczujący i zarazem głęboko sceptyczny. Zarzucił ją mnóstwem szczegółowych pytań, które miały ten skutek, że z jej opowieścią zaczęło się dziać coś dziwnego: nawet ona sama miała wrażenie, że wszystko zaczyna pękać w szwach i że lada moment rozpadnie się już zupełnie. Nie znaczy to, że zwątpiła w prawdziwość swych zeznań, widać było jednak wyraźnie, że wątpi w nie detektyw Jenkyns. Szybko zrozumiała, że nikt nie zamierza wysłać ekipy po Dianę. Nie będzie błyskających świateł, wycia syreny ani wyciągania z domu wrzeszczącej ze strachu aresztantki, jak to sobie naiwnie uroiła. Czy Kirsten przewidywała, że jeśli pójdzie na policję, spotka się z taką właśnie reakcją? Czy dlatego wolą przedstawić swą teorię w poemacie?

- A więc głównym dowodem, który może nam pani przedłożyć, jest wiersz? - zapytał grzecznie detektyw. Nawet zadając pytania podważające jej wiarygodność, pozostawał niezmiennie uprzejmy. Słowo „wiersz” wypowiedział jednak w taki sposób, jakby oznaczało ono coś niebywale egzotycznego, co jako dowód nie mieści się w regułach śledztwa.

- Już to powiedziałam - odrzekła niecierpliwie Sam. - Moja matka zamierzała tym wierszem zdemaskować Dianę Howes...

- Która była matką jej męża - zauważył sierżant.

- Zgadza się. Sądzę, że miała też zamiar powiadomić o wszystkim policję i właśnie dlatego Diana Howes postanowiła ją zabić.

- Z powodu poematu. Rozumiem. A potem jej syn, znany adwokat Raph Howes, przyjeżdża z Londynu na miejsce zbrodni, by sfingować scenę samobójstwa.

- Mógł to być on albo ktoś inny. W każdym razie ten ktoś wyrwał kartkę z dziennika i położył na stole, licząc, że zostanie ona uznana za list pożegnalny - powtórzyła Sam, czując, że zaczyna robić jej się słabo: ten policjant nie wierzy w ani jedno jej słowo! No tak, Raph i jego reputacja! Zdaniem tego detektywa ktoś taki jak Raph, wybitny obrońca, nie mógłby przecież postąpić w sposób sprzeczny z prawem. Spojrzała w okno: deszcz ciągle padał,

równy i uporczywie.

- No dobrze - powiedział w końcu detektyw Jenkins. - Jeśli zechce pani poczekać jeszcze chwileczkę, panno Boswin, przyślę tu detektywa Church, która spisze pani zeznanie.

- A co potem? Przesłucha pan Dianę Howes?

- Najpierw zbierzemy zeznania od pana Howesa i jego siostry. Zrobimy to może już jutro.

Jutro, za tydzień albo nigdy, pomyślała Sam.

- Oni wszystkiemu zaprzeczą!

- Musimy działać zgodnie z procedurą, krok po kroku - oświadczył Jenkins. - Proszę się nie martwić, panno Boswin. Zapewniam panią, że to właściwy tryb postępowania.

Sam teraz już całkiem upadła na duchu. Będą działać zgodnie z procedurą, ale tylko po to, żeby im nikt nie zarzucił, że nic nie zrobili, a potem odłożą sprawę *ad acta*, póki Diana nie wykona kolejnego ruchu. Nietrudno zgadnąć, kto tym razem będzie jej ofiarą. Do diabła! Jak mogła być taką głupią optymistką! Kiedy siedziała na wzgórzu z poematem w ręku, słuchając zapewnień Micka, że wierzy jej bez zastrzeżeń, wszystko wydawało się o wiele prostsze!

Detektyw Church okazała się bardzo tęgą i bardzo poważną młodą kobietą z piegami na nosie i gęstą grzywką zasłaniającą jej czoło. Policjantką była chyba od niedawna, a powierzone zadanie nie budziło w niej entuzjazmu. Łatwo było wyczuć, że absolutnie nie wierzy, aby spisywane przez nią zeznanie mogło posłużyć do otwarcia śledztwa. Nie chce pewnie uchodzić za naiwną w oczach swych starszych kolegów, pomyślała Sam, zwłaszcza że ich większość to mężczyźni. Ona także bez entuzjazmu powitała detektywa Church: fakt, że przydzielono jej praktykantkę, świadczył aż nadto wyraźnie, że jej zeznań nikt tu nie traktuje serio.

Był to kiepski początek dla nich obu; później zresztą też nie było lepiej. Po dwudziestu minutach Sam zaczęła żałować, że w ogóle tu przyszła. Znowu dopadły ją ponure myśli. Jak mogła tak łatwo zaufać Mickowi? Zachęcał ją do pójścia na policję, ale może doskonale wiedział, że nikt jej tam nie uwierzy? Jeśli współdziałał z Raphem, to może realizował w ten sposób zamysł swego szefa, który wymyślił taki właśnie kruczek, by ochronić matkę przed śledztwem? A Judy? Po co tak nagle przyszła do Gull Cottage? Może i ona jest w jakiś sposób zamieszana w całą tę aferę? Zna Rapha, i to nie od dziś.

Patrząc na szarą kurtynę deszczu za oknem, poczuła, że robi jej się zimno. Zorientowała się też w tym momencie, że policjantka już chyba po raz kolejny powtarza jakieś pytanie.

- Przepraszam - powiedziała szybko - myślałam o czym innym. O co mnie pani pytała?

Ciężkie westchnienie pani detektywa oznaczało wyraźnie, że ktoś, kto nie słucha, o co go

pytają, nie powinien zwracać władzom głowy.

- Pytałam, dlaczego pani sądzi, że matka chciała skonsultować się z panią przed wydaniem tego poematu? To dość niezwykle, prawda?

Sam w końcu straciła cierpliwość.

- Okej - powiedziała ostro - skończmy tę rozmowę. Pani mi nie wierzy. Dalsze pytania w tej sytuacji nie mają żadnego sensu.

- To już długo nie potrwa.

- Rzeczywiście - warknęła Sam - ponieważ właśnie wychodzę.

- Jeszcze nie skończyłam...

- Ale ja tak.

- Czy przynajmniej zechce pani podpisać to, co powiedziała pani dotąd? Proszę pamiętać, że wychodząc teraz z posterunku, może się pani narazić na zarzut marnowania czasu policji.

- Dobrze, podpiszę. Ma pani pióro?

- Najpierw musi pani przeczytać.

Sam zacisnęła zęby. Zeznanie zajmowało bite cztery strony. Była właśnie przy trzeciej, gdy pojawił się nagle sierżant detektyw Jenkyns.

Jakże się zmienił! Można było pomyśleć, że to nie ten sam człowiek. Uprzejma apatia zniknęła bez śladu. Był teraz pełen energii, zapału i woli działania.

- No jak tam, Kate? Jak wam idzie? - zapytał żywo.

- Świadek sprawdza swoje zeznanie. Niestety, nie jest kompletne, a panna Boswin nie chce już z nami rozmawiać.

- Ponieważ dalsza rozmowa nie ma sensu - rzuciła Sam. - Wiem, że mi nie wierzycie i nie zamierzacie nic zrobić.

- Takie pani odniosła wrażenie? Wobec tego winien jestem pani przeprosiny - oznajmił detektyw. - Przed dziesięcioma minutami dzwoniли do mnie koledzy z Berkshire, aby nas powiadomić, że skontaktował się z nimi niejaki pan Jonathan Johns celem złożenia zeznań. Potwierdzają one to wszystko, co powiedziała nam pani. To samo mówi jego żona, czyli córka Diany Howes. Wygląda więc na to, że czeka nas śledztwo w sprawie morderstwa.

## 20

Mick Brady bezskutecznie usiłował skupić się na sprawie Grace Hobden. Na

popołudnie Raph wyznaczył spotkanie z klientką, do którego należało się przygotować, on tymczasem nie przestawał myśleć o Sam: jak jej idzie z policją - składa teraz pewnie zeznanie - i jak zareaguje Raph, gdy się o tym dowie. Bezwiednie otarł pot z czoła; w pokoju było strasznie duszno, nad Londynem raz po raz przetaczały się grzmoty. Wciąż jeszcze myślami był bardzo daleko, gdy Raph wrócił z sądu i zaczął przesłuchiwać wiadomości.

Pierwsze trzy skwitował w swój zwykły arogancko-arbitralny sposób.

- Tak, tak - mruknął niecierpliwie, bębniąc krótkimi palcami po biurku. - Przestań nawijać, człowieku, i przejdź nareszcie do rzeczy!

A potem rozległ się głos Sam, czysty, zdecydowany i bardzo konkretny: „Raph? Znalazłam *Skrzydlatego mordercę* i wiem już, kto zabił Kirsten. Znam tego ptaka bez skrzydeł”.

Raph przez dobrą chwilę wpatrywał się tępo w telefon, a potem skinął głową, całkiem jakby się spodziewał tej nowiny. Dopiero gdy spostrzegł baczne spojrzenie Micka, otrząsnął się i zmarszczył brwi.

- Będziesz mnie musiał zastąpić na dzisiejszym spotkaniu - oznajmił. - Omówiliśmy już wszystkie najważniejsze punkty, a z resztą doskonale poradzicie sobie we dwójkę.

- Zaraz, chwileczkę! - zaprotestował Mick. - Jesteś nam potrzebny! Wiesz, że naszym zdaniem stawianie wyłącznie na samoobronę nie rokuje powodzenia w sądzie. Obaj z Alanem uważamy, że trzeba się trzymać koncepcji zabójstwa wskutek prowokacji i chwilowej niepoczytalności, a przynajmniej mieć taką opcję w rezerwie. Dowieść, że była to samoobrona, będzie bardzo trudno, a jeśli przegramy, Grace dostanie dożywocie. Nie mamy prawa narażać na to tej biednej kobiety.

- Od kiedy to miewasz własne opinie? Nie za to ci płacę! - syknął Raph.

Mick spojrzał na niego spode łba, ale postanowił milczeć.

- Nie mam teraz czasu się z tobą spierać - stwierdził jego mistrz, sprzątając papiery z biurka. - Odwołaj spotkanie. Niech Alan ustali jakiś nowy termin. W przyszłym tygodniu.

- Nie będzie tym zachwycony.

- Trudno. Coś nagle mi wyskoczyło. Sprawy rodzinne.

Mick odchylił się na krześle. Miał świadomość, że kładzie na szalę cały swój dotychczasowy układ z Raphem, mimo to powiedział:

- Jeśli próbujesz zminimalizować straty, to jest już na to za późno. Sam właśnie rozmawia z policją.

- A skąd, do diabła, ty o tym wiesz?

- Ona mi powiedziała.

Raph rozważał to przez chwilę.

- Jak dobrze ją znasz?

- Cóż, prawdę mówiąc, sam nie wiem...

- Ale wiesz, że ma urojenia?

Mick nie odpowiedział.

Jego szef chwycił telefon i z pośpiechem wybrał jakiś numer.

- Nie możesz go powstrzymać? - spytał z chmurną miną. - Nie, na to już za późno. Tak, zaraz tam jadę. Nie, nie ma takiej potrzeby. Sam to załatwię. Wiem. Ja też żałuję, ale dłużej nie możemy jej chronić. Tak, zadzwonię do ciebie. Nie martw się. Wychodzę - rzucił pod adresem Micka.

- Nie powiesz mi, co się dzieje? Chyba powinienes.

Howes musiał zauważyć, że posłuszny dotąd uczeń zmienił ton.

- Sam zdecyduję, kiedy i co ci powiem! Ty masz się zająć dzisiejszym spotkaniem.

Mick podniósł się z krzesła.

- Kazałeś mi odwołać to spotkanie. Świetnie. Zaraz to zrobię. A potem biorę sobie wolne.

- Co takiego...? - Raph przez chwilę miazdżył go wzrokiem, po czym nagle wzruszył ramionami. - Później się z tobą rozprawię. Mam teraz na głowie ważniejsze sprawy.

- Musisz ostrzec matkę? A nie wydaje ci się, że bardziej powinienes martwić się o Sam? Że to ona potrzebuje ochrony? - krzyknął Mick. - Nie szwankuje ci czasem hierarchia wartości? A co... - urwał w pół słowa, orientując się, że Rapha nie ma już w pokoju.

Ze złością rąbnął pięścią w biurko. Do tej chwili wciąż jeszcze łudził się nadzieją, że Raph Howes podejmie rękawicę, że w jakiś sensowny sposób postara się wszystko wyjaśnić. Niestety. Po rejteradzie Rapha pozostało mu już tylko zmierzyć się z brutalną prawdą: matce jego patrona grozi oskarżenie o morderstwo, a sam patron... Jeśli nawet nie jest osobiście w nie zamieszany, to od początku pomagał zataić zbrodnię. Uświadomił też sobie, co to oznacza dla niego: koniec mecenatu Rapha, a może i całej kariery, przynajmniej w tej kancelarii. Za kilka tygodni wybuchnie skandal. Co wtedy stanie się z firmą?

- A niech to szlag! - rzucił przez zęby.

\*

W Kornwalii był dotąd tylko raz; jako dziesięciolatek spędził tam wakacje z rodzicami. Utkwiły mu w pamięci wszechobecne skały, biały piasek i przenikliwie zimny wiatr od morza, zupełnie natomiast zapomniał, jak diabelnie długo się tam jedzie.

Przed wyjazdem z Londynu posłał Sam wiadomość, że wybiera się do niej z wizytą. W



Exeter, gdzie zatrzymał się po paliwo, zadzwonił do Menverren z nadzieją, że być może tam ją zastanie.

Była tam rzeczywiście. Sama nawet odebrała telefon. Wiadomość o jego przyjeździe przyjęła dość obojętnie, lecz przynajmniej bez złośliwości. Gdyby musiał określić jej nastrój, powiedziała by chyba, że sprawiała wrażenie odrętwiałej. No cóż, nie był to dla niej przyjemny dzień. Powiedział, że przyjedzie za godzinę. Za godzinę? Odrzekła, że musiałby mieć dużo szczęścia.

Miała rację. Nie wziął pod uwagę licznych robót drogowych ani okropnego korka po wywrotce wielkiej ciężarówki, toteż po dwóch godzinach wciąż jeszcze tkwił na drodze A30, pełną metr za metrem w strugach ulewnego deszczu. Trudno było orzec, czy w tych stronach zmrok zapada wcześniej, czy też jest to wina nisko wiszących chmur, w każdym jednak razie było nieprzyjemnie ciemno. Zanim skręcił z głównej trasy na lokalną drogę do Menverren, wycieraczki jego wozu przegrały beznadziejną walkę z deszczem, a on sam zaczął żałować swojej pochopnej decyzji. Jak mógł zaryzykować taką mordęgę, i to dla dziewczyny, która najczęściej bywa kolczasta jak kaktus? Co nim powodowało? Ciekawość, jaka jest naprawdę? Nie była skora do zwierzeń. Chęć pomocy? Już tego próbował; z takim skutkiem, że tylko zebrał za to cięgi. Bo się w niej zadurzył? Śmiechu warte.

Nie, powód był inny. Po tej scenie z Raphem chciał za wszelką cenę wyrwać się z kancelarii. Teraz jednak najchętniej zawróciłby do Londynu. Oczywiście nie mógł tego zrobić. Jak by to wyglądało?

Na skraju szarego od deszczu cypla dostrzegł grupkę niedużych szarych zabudowań. Menverren. Pomyślał, że to takie miejsce, jakie lubił opisywać Thomas Hardy i gdzie pewnie czułby się jak w domu. Może to wina tego krajobrazu, że Sam Boswin jest, jaka jest: ostra i często naprawdę niemiła.

A potem jak zwykle z nagłym zaskoczeniem zobaczył zupełnie inną Sam! Dziewczynę, która nie bacząc na ulewny deszcz, wybiegła z domu, żeby go powitać, tak przy tym radosną, jakby spadł jej z ramion ciężar nieszczęść całego świata, i co najdziwniejsze, autentycznie wdzięczną za to, że się tu zjawił!

Wsunąwszy mu rękę pod ramię, wprowadziła go do ciepłej kuchni, gdzie przy wielkim stole siedziała cała jej rodzina. Nawet nie przypuszczał, że w ogóle ma jakichś krewnych.

- To jest Mick - powiedziała. - Ogromnie mi pomógł.

Uśmiechnął się na to z uczuciem, że znów ma piętnaście lat.

Czując na ramieniu ciepło jej ręki, pomyślał, że teraz już wie, z jakiego powodu odbył tę długą podróż.

Spał na tapczanie w salonie. Zasypiał wśród szumu wody wylewającej się z rynien, bębnienia deszczu o szyby i coraz silniejszych podmuchów jesiennego wiatru.

Pomyślał sennie, że zanoszą się na wichurę.

\*

- Mogę wziąć twój samochód? - spytała Sam rankiem macochę. - Chcę pokazać Mickowi Gull Cottage. Jeśli oczywiście nie musisz zaraz wracać do Londynu - dodała, zwracając się do swego gościa.

- Nie, wcale mi się nie spieszy. Ale możemy jechać moim wozem.

- Nie znasz tutejszych dróg.

- Będziesz mnie pilotować.

- No to jedźmy! - zawołała, posyłając mu szeroki uśmiech.

Mickowi wszystkie te kręte dróżki wijące się wśród stromych zboczy wydawały się jednakowe i pewnie by szybko zabłądził, ale Sam znała tu każdy zakręt, ha, każdą skałę!

- Jesteś tu zupełnie inna - zauważył. Zwolnili akurat za ogromnym traktorem, ciągnącym za sobą tak szeroką bronę, że siała ona istne spustoszenie w rosnących po obu stronach żywopłotach.

- Nie tutaj, tylko teraz - sprostowała Sam. - Bo odkąd znalazłam poemat, ludzie zaczęli mi wierzyć. Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy wszyscy uważają, że zwariowałaś, bo myślisz inaczej niż oni. Zaczynasz wtedy podejrzewać, że naprawdę jesteś szalony i... Hm, chyba nie najlepiej to wyjaśniłam.

- Rzeczywiście niezbyt precyzyjnie, ale chyba rozumiem, co masz na myśli.

- Wiem, że rozumiesz. Dlatego tu jesteś. - Przełożywszy rękę nad jego ramieniem, gwałtownie nacisnęła klakson. - Popatrz, co robi ten osioł! Jak można wlec po drodze taką wielką bronę? Wszystko tu zrujnuje!

Odprowadziwszy gniewnym spojrzeniem skracający na pole traktor, rzuciła niedbałym tonem:

- Zapomniałam ci powiedzieć, że Diana Howes została aresztowana.

- Skąd wiesz?

- Dzwoniłam na posterunek, kiedy ty rozmawiałeś z moim tatą. Oficjalnie zabrano ją na przesłuchanie, ale prowadzący śledztwo powiedział mi prywatnie, że jeszcze dzisiaj przedstawią jej akt oskarżenia. Podobno Raph i Miriam potwierdzili moje wczorajsze zeznania.

- Nareszcie skończyli z osłanianiem morderczyni! Najwyższa pora, do diabła!

- Też tak uważam. Skręć w lewo.

- Dokąd prowadzi ta dróżka?
- Prosto do Gull Cottage.
- Masz klucz?
- Nie jest mi potrzebny.
- A prawda, całkiem zapomniałem! Sam Boswin, słynny kornwalijski włamywacz!
- No właśnie. Ale do Gull Cottage nawet ty byś się włamał.
- Więc nie będę oglądał twej zapierającej dech w piersiach wspinaczki po pionowej skale?
- Robię to tylko po ciemku, więc i tak byś nic nie zobaczył.
- Szkoda. Myślałem, że pokażesz mi te lepkie poduszeczki, które masz na palcach rąk i nóg.

Wyciągnęła ku niemu ręce, żeby je sobie obejrzał.

- A wiesz, co mówi regulamin wiolonczelisty? Pierwszy jego punkt brzmi: palce nie mogą się lepić. Zanim weźmiesz do ręki smyczek, usuń poduszeczki - stwierdziła z komiczną powagą.

W Gull Cottage stała się znów małomówna. Miała rację: bez trudu można by tam było dostać się przez okno, weszli jednak jak trzeba, frontowymi drzwiami. W milczeniu pokazała mu kuchnię i obok niej mały salonik.

Poszli potem na górę; obejrzel pobeżnie dwie skromne sypialnie i znaleźli się w małej łazience.

- To tu? - spytał Mick. Pytanie było głupie, pragnął jednak przerwać kłopotliwą ciszę.

Sam skinęła głową. Ręce splecione miała na piersi, jakby jej było zimno. Pragnął ją objąć, pocieszyć, lecz zabrakło mu na to odwagi. Stał jeszcze chwilę bez ruchu, po czym w milczeniu zszedł na dół.

- Znajdźmy jakiś pub - zaproponował. - Postawię ci lunch.

Chyba go nie usłyszała.

- Moja matka - szepnęła - kochała to miejsce.
- Przy dobrej pogodzie musi tu być super.
- Miałam ją odwiedzić. Bardzo się na to cieszyła. Dwa dni przed wyjazdem z Londynu dowiedziałam się, że nie żyje.

Mick milczał wyczekująco - może zacznie płakać? Nie miałby jej tego za złe.

- Szkoda, że jej nie znałeś. Przypadlibyście sobie do gustu - powiedziała z oczyma pełnymi łez.
- Jestem pewien, że była cudowną kobietą. - To prawda, pomyślał, ale jakie znaczenie

mają teraz te słowa? Szczerze mówiąc, wypowiedział je tylko po to, żeby nie chwycić w ramiona stojącej naprzeciw dziewczyny. Czuł, że i ona to wie.

Stała cicho jeszcze przez chwilę, a potem szybkim krokiem wyszła z domu. Pomyślał, że może chce się stąd wyrwać, zapomnieć o smutku, pójść z nim do pubu, gdzie znów będą mogli śmiać się i żartować, ale nie. Ominąwszy samochód, skierowała się nad urwisko. Poszedł za nią po śliskiej od deszczu trawie. W pewnym momencie błysnęła mu szalona myśl, że może chce rzucić się w przepaść? Odetchnął z ulgą, gdy przystanąła z dala od krawędzi. Ciekawy, jak też wygląda ta przepaść, wyminął Sam i stanął na brzegu urwiska. Grunt opadał stromo, ale nie tak znów dramatycznie, jak się zdawało z daleka, a poza tym ukośne skarpy, kępy janowca i jeżyn złagodziłyby upadek, gdyby do tego doszło.

Zaczął machać rękami, udając, że traci równowagę.

- Przestań! - krzyknęła blada jak płótno. - Odsuń się od krawędzi!

- Sama mnie odciągnij! - odkrzyknął, chybocząc się niebezpiecznie. - O rany, zaraz spadnę!

- Przestań! - niemal załkała. - Nie rób tego, Mick. W razie czego nie zdołałabym ci pomóc. Mam lęk wysokości.

- Co?

- Cierpię na lęk wysokości, cholerny idioto!

- Nie krzycz. Zrozumiałem, co powiedziałaś. - Odszedł od krawędzi i stanął z nią twarzą w twarz. - Nie rozumiem tylko, jak w takim razie dostałaś się do domu Rapha. To okno znajduje się przecież na wysokości prawie trzeciego piętra, a ty tam weszłaś po murze!

- Wiem. Zachowałam się jak wariatka.

- Albo bardzo odważna osoba.

- Nie na tyle odważna, żeby stanąć nad tym urwiskiem. Tylko nie myśl - dodała, odwracając oczy - że płakałabym po tobie, gdybyś spadł.

- Jasne! - Dotknął jej policzka, a potem tak szybko, że nie miał czasu zastanowić się nad swoim czynem, pocałował ją w usta. Leciutko. No, teraz mu powie, że zrobił z siebie kompletnego durnia.

- Czemu mnie pocałowałeś? - spytała, nie patrząc mu w twarz.

- Pewnie miałem na to ochotę.

- Hm. Więc czemu przestałeś?

- Zrobiłem przerwę.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu, takim samym jak jego, gdy ją pocałował po raz drugi. Zdziwił się, że wargi ma takie miękkie.

- Może skrócimy te przerwy? - spytała, kiedy wypuścił ją z objęć.
- Skoro nalegasz...
- Nalegam.

Wrócili do Gull Cottage. Nawet nie zauważyli, że znów lunęło jak z cebra.

## 21

Napięcie w sali sądowej wydawało się wprost namacalne. Panowała tak głęboka cisza, że słyhać było każde skrzypnięcie buta przysięgłych wracających na salę po dwudniowych obradach.

Mick śledził ich twarze, próbując odgadnąć werdykt. Kobieta o rzadkich włosach, która w czasie całego procesu wydawała się dość niezycliwie nastawiona wobec Grace Hobden, miała teraz dziwnie miękki wyraz oczu i ust. Czy to znaczy, że zwyciężył jej punkt widzenia i wyrok będzie skazujący, czy też może uległa argumentom pozostałych członków ławy i bardziej wyrozumiale patrzy teraz na oskarżoną? Nie sposób było odgadnąć. Napięcie udzieliło się w końcu i jemu: chwilami trudno mu było oddychać.

Raph wprost przeciwnie. Siedział obok nieporuszony jak Budda. Biorąc pod uwagę to wszystko, co go ostatnio spotkało, można było podziwiać jego opanowanie.

Diana Howes została oskarżona o dwa morderstwa. Sąd odrzucił prośbę o kaucję, tak więc od ponad sześciu tygodni siedziała w więzieniu. Z paru uwag Rapha wynikało, że znajduje się w stanie głębokiego szoku. Zaprzeczyła wszystkiemu; powtarzała, że nie rozumie, jak i dlaczego się tutaj znalazła, to znów popadała w skrajne odrętwienie. Chwilami wydawało jej się, że jest w domu. Mickowi czasami przychodziło na myśl, że może to Raph kreuje ów żalorny wizerunek nieszczęsnej starej kobiety - na przyszły użytek sądu. Taką taktykę zastosowano już kiedyś w przypadku Pinocheta, i to z dobrym skutkiem, może więc doszedł do wniosku, że rokuje ona i jego matce najwięcej szans dożycia ostatnich dni na wolności.

Gdy rozeszły się wieści o aresztowaniu Diany, Raph natychmiast zgłosił kolegom gotowość do złożenia rezygnacji z pracy w kancelarii. Jego osobista tragedia nie powinna szkodzić zespołowi. Poradzono mu wziąć półroczny urlop, dopóki sprawa nie przyschnie. Potem się zobaczy. Nie zgodził się na to. Powtórzył, że jest gotów odejść, jeśli jednak chcą go zatrzymać, to oczywiście zostanie, pod warunkiem jednak, że będzie pracować jak dotąd, z pełnym ich poparciem. Wóz albo przewóz. Nie zamierza pół roku siedzieć z założonymi

rękami, czekając, aż zespół zdecyduje o jego losie. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że to on zapewnia kancelarii największą część zysków, toteż wynik tej konfrontacji nietrudno było przewidzieć. Dermot poszeptał z kilkoma starszymi współpracownikami, i warunki Rapha zostały przyjęte.

Pracował nie tylko z ogromną energią, lecz stał się nawet bardziej bojowy niż dotąd. Mick podziwiał go za sposób, w jaki rozegrał batalię o swą własną przyszłość, inaczej było jednak ze sprawą Grace Hobden. Mistrz postawił wszystko na jedną kartę: postanowił dowieść, że jego klientka działała w samoobronie.

Zdecydowanie odrzucił koncepcję zabójstwa wskutek prowokacji lub ograniczonej poczytalności, twierdząc, że taka linia obrony byłaby na rękę prokuraturze. Mick, który zdobył już status pracownika kontraktowego, spierał się z nim o to długo i zaciekle, ale Raph nie ustąpił nawet na włos. Sytuacja była więc taka, że Grace mogła albo dostać dożywocie, albo wyjść na wolność. Innej możliwości nie było. Mick w końcu uznał, że jego mentor zbyt lubi ryzykowną grę, aby brać pod uwagę jej skutki; on sam uważał, że nie wolno tak postępować.

Jednak błyskotliwe przemówienie końcowe zrobiło na nim wrażenie, łagodząc w pewnym stopniu krytyczną postawę wobec patrona. Rysując psychologiczny portret klientki, Raph całkowicie odrzucił schematyczny wizerunek wieloletniej ofiary brutalnego męża, którą cierpienie i rozpacz przywiodły na skraj obłędu. To nieprawda, oświadczył. Wbijając nóż w serce śpiącego męża, Grace Hobden doskonale wiedziała, co robi; jej czyn był aktem w pełni racjonalnym, wynikającym z logicznej analizy sytuacji. Zastanówcie się, panie i panowie, jaka była ta sytuacja: oskarżona oczekiwała dziecka innego mężczyzny, dla którego gotowa była opuścić brutalnego męża. Ale Paul Hobden wielokrotnie dawał jej do zrozumienia, że jeśli od niego odejdzie, pożegna się z życiem. „Ozdobił” kuchenną lodówkę wycinkami z gazet zawierającymi opisy i zdjęcia morderstw dokonanych przez mężów na osobach ich żon i dzieci, jak również samobójstw popełnionych później przez tych mężczyzn. Aby bardziej wyeksponować te jakże tragiczne, acz przeważnie niewyraźne zdjęcia, umocował je kompletem kolorowych magnesów z teletubisiami. Można było pomyśleć, że to całkiem nieistotny szczegół, ale Mick zauważył, że wywołał on żywe poruszenie wśród co najmniej połowy przysięgłych.

Około Wielkanocy, mówił dalej Raph, gdy jej ciąża zaczęła stawać się widoczna, Grace zdała sobie sprawę, że ma przed sobą nierozwiązywalny dylemat. Czy odejdzie od męża, czy z nim pozostanie, skutek będzie dokładnie ten sam. W obu tych sytuacjach groziła jej śmierć; to samo mogło spotkać jej troje bezbronnych dzieci (Raph potknął się w tym momencie,

mówiąc o dwójce bezbronnych dzieci, lecz zerknąwszy na kartkę podsuniętą dyskretnie przez Micka, natychmiast sprostował pomyłkę). Gdyby nawet uznać, że pogrożki Paula Hobdena były prawdziwe jedynie w dwudziestu procentach - a Grace miała świadomość, że prawdopodobieństwo jest o wiele większe - która matka pozwoliłaby na to, żeby nad głowami najdroższych istot wisiał wyrok śmierci?

Grace Hobden podjęła jedyne działanie, które w tej sytuacji gwarantowało bezpieczeństwo trójce jej małych dzieci. Zdawała sobie sprawę, że popełniając ów czyn, prawie na pewno zapłaci za to wolnością, uznała jednak, że musi ponieść tę ofiarę, bo tylko w ten sposób może ocalić im życie.

- Pomyślcie, panie i panowie! Gdyby ta kobieta zabiła uzbrojonego bandytę, który wdarł się do jej domu, grożąc bronią już nie tylko jej samej, lecz także jej dzieciom, które znaczą dla niej więcej niż cokolwiek w świecie, czy stałaby dziś przed nami oskarżona o morderstwo? Nie, oczywiście, że nie! Wychwalilibyśmy jej odwagę, zimną krew i szybki refleks. Gdyby Grace nie zrobiła tego, co zrobiła, przyszłoby nam pewnie opłakiwać dziś śmierć całej czwórki: biednej matki, Angusa, Mathew i Susan, która nawiasem mówiąc, akurat w zeszłym tygodniu obchodziła czwarte urodziny. Moja klientka musiała to zrobić, aby zapobiec tragedii. Panie i panowie przysięgli! Grace Hobden nie zasługuje ani na nasze współczucie, ani na pogardę, a już na pewno nie na tak niesprawiedliwą karę, jaką przewiduje nasze ułomne prawo. Tej kobiecie należy się od nas szacunek i podziw. I ktoś taki jak ona miałby dożyć swych dni w więzieniu? Nie, panie i panowie! Grace Hobden zasługuje na to, by wrócić do swoich dzieci, dla których była gotowa poświęcić wszystko, co nadaje sens i wartość życiu.

Końcowe wystąpienie Rapha znalazło się na pierwszych stronach kilku gazet. Istotną rolę odegrało tu aresztowanie jego matki, ale nie był to jedyny powód. Uznanie redakcji wzbudziła zarówno wartość merytoryczna, jak i forma tego wystąpienia. Raph ma szczęście, myślał Mick, że jego matkę oskarżono na razie tylko o dwa morderstwa: Kirsten Waller i Anthony'ego Johnsa, toteż nikt nie próbował doszukiwać się analogii pomiędzy śmiercią Paula Hobdena a „tragicznym wypadkiem”, w którym zginął ojciec słynnego obrońcy. Wiosną jednak, gdy *Skrzydlaty morderca* znajdzie się w księgarniach, sytuacja może się zmienić... Czy namiętna obrona Grace Hobden miała jakiś związek z tamtym wydarzeniem? Mick nie zamierzał o to pytać. Może zdobyłby się na to, gdyby dłużej znał Rapha; teraz nie czuł się do tego uprawniony.

W sali rozległ się szmer: w drzwiach ukazała się Grace w towarzystwie dwóch atletycznych strażników. Wydawała się bardzo spokojna jak na ciężarną kobietę, którą za parę

minut czeka najprawdopodobniej wyrok dożywocia. Na jej szerokiej twarzy osiadł znany Mickowi wyraz krowiej tępoty. Może pogodziła się już z losem? Jeśli tak, to dobrze; stoicyzm będzie jej bardzo potrzebny.

Sędzia - kobieta w średnim wieku - spojrzała na przysięgłych znad swych oprawionych w złoto okularów.

- Czy przysięgli uzgodnili werdykt?

Wszystkie oczy skupiły się teraz na przewodniczącym ławy. Był to chudy mężczyzna, który jak zaobserwował Mick, miał zwyczaj uśmiechać się głupio w najmniej stosownych chwilach.

- Tak, wysoki sędzie - powiedział, podnosząc się z miejsca.

- Jak brzmi odpowiedź na pytanie w sprawie domniemanego morderstwa: winna czy niewinna?

Mężczyzna błysnął uśmiechem, ale chyba sam się połapał, że wesołość jest tu nie na miejscu, bo spuścił głowę i zerknął na kartkę. Trzepotała mu się w rękę jak ptak.

- Niewinna.

W sali zapadła cisza.

Wszyscy wydawali się zaskoczeni, nawet sędzia. Grace patrzyła prosto przed siebie, jakby się spodziewała, że przewodniczący powie coś więcej.

- W takim razie, Grace Hobden, jest pani wolna. Sąd zamyka...

Dalsze słowa wysokiego sądu utonęły w zgiewku. Na galerii wybuchł tumult.

- Nie!! - wrzasnął jakiś mężczyzna. - To morderczyni! Zabiła mojego brata! - Gdy woźni zaczęli wyciągać go z sali, rozszalał się jeszcze bardziej. - Cholerna krowa! Nawet szubienica byłaby dla niej za dobra! Mój brat leży w grobie i nikogo to nie obchodzi? Ma jej to ująć bezkarnie?

Grupa stałych bywalczyń procesu poparła go okrzykami. Dana Hobdena w końcu usunięto z sali, ale jeszcze przez dłuższą chwilę słychać było jego wściekłe wrzaski. Ucichły dopiero w chwili, gdy wyprowadzono go na ulicę. Kobiety także zamilkły. W sali zrobiło się znów bardzo cicho. Mick pochylił się nad uchem Rapha.

- Co teraz? - zapytał szeptem.

- Złożymy gratulacje naszej klientce.

Gdy zaczął się tumult, Grace odwróciła się w stronę drzwi, spodziewając się chyba, że zostanie odprowadzona do celi, widząc jednak, że strażnicy znikli, pozostała na miejscu niepewna, co z sobą począć.

- Dobrze się pisałaś, Grace - powiedział Raph, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką.



- Wygraliśmy.

- Wygraliśmy? To znaczy, że...

- Jesteś wolna. Uniewinniona. Nie zostaniesz ukarana.

- Możesz wracać do domu - dodał Mick.

- Och - szepnęła słabym głosem. Po chwili dopiero dodała takim tonem, jakby ofiarowano jej jakąś błahostkę: - Bardzo panu dziękuję, panie Howes.

Tylko na tyle ją stać? - pomyślał Mick z irytacją, uśmiechnął się jednak i wyciągnął rękę.

- Gratulacje, Grace. Myślę, że to twoje zeznania przekonały sędziów.

- Naprawdę tak pan uważa?

- Jak najbardziej. - Do licha, pomyślał, że też nawet się nie uśmiechnie! I ta jej ręka!

Wiotka jak śnięta ryba.

- Co teraz? - spytała Rapha.

- Pójdziemy do kancelarii. Przygotuj się na to, że na ulicy będzie tłum ludzi. Są wśród nich tacy, którym bardzo nie podoba się werdykt.

- Och?

- Musisz wiedzieć, że ten proces stał się bardzo głośny. Nie tylko ze względu na ciebie. Później ci to wytłumaczę. Samochód stoi niedaleko, będziemy musieli jednak opędzić się najpierw przed całą watahą wilków. Mam na myśli reporterów. Ale nic się nie martw. Ja wygłoszę krótkie oświadczenie, a Mick zaprowadzi cię do samochodu.

- Dobrze - powiedziała ufnie jak dziecko. Mick miał wrażenie, że gdyby Raph kazał jej teraz wyskoczyć z trzeciego piętra, posłuchałaby go bez wahania. Bardzo był ciekaw wyjaśnień Rapha. Co też zamierza powiedzieć klientce o swoich własnych problemach? Czy zechce się przyznać, że jego matkę oskarżono aż o dwa morderstwa? Dyskutowali o tym już wcześniej, Raph wtedy jednak uważał, że nie jest to dobry moment. Po co przyprawiać kobietę o dodatkowy stres?

- Pójdę pierwszy - oznajmił - i zajmę się dziennikarzami. Stań za mną, Grace. Nie musisz nic mówić, po prostu postój tam przez chwilę, a ty, Mick, zabierz ją do samochodu, kiedy tylko złożę oświadczenie.

Zaledwie otworzyli drzwi, oślepiły ich dziesiątki fleszy. Raph, który oczywiście doskonale wiedział, że dziennikarzy nieporównanie bardziej interesuje on sam niż osoba jego klientki, zatrzymał się zaraz za progiem, uśmiechnął i podniósł rękę.

- Pani Hobden pragnie podziękować wszystkim za tak wielkie zainteresowanie - oświadczył, ignorując grad pytań o Dianę. - Łatwo sobie wyobrazić, jak trudne były minione

miesiące dla mojej klientki i jej rodziny. Skutki tamtego fatalnego dnia będą towarzyszyć jej do końca życia, dziś jednak jest niewymownie wdzięczna losowi i sędziom, że ten trudny okres nareszcie się kończy, i myśli już tylko o tym, żeby jak najprędzej uściskać dzieci. Ma też do państwa gorącą prośbę: żeby odbudować życie swej rodziny, potrzebny jej spokój. Nie utrudniajcie jej tego i tak niełatwego zadania. Dziękuję.

- Chodźmy - szepnął Mick, biorąc Grace pod rękę.

Znów zaszczekały flesze, wybuchła kolejna kanonada pytań. Pięć minut sławy, pomyślał kpiąco, gdy rzucili się ku nim dziennikarze. Prawie wszyscy jednak skupili się wokół Rapha, toteż bez większego trudu zaholował Grace do samochodu.

Raph przyłączył się do nich po paru minutach; zatrzasnął drzwi i natychmiast uruchomił silnik.

W kancelarii zaproponował Grace brandy, za którą podziękowała, zgodziła się jednak napić herbaty. Czekać w salce recepcyjnej na powrót Corinny z herbatą, Raph spytał klientkę, czy chciałaby może zadzwonić do dzieci? Warto by chyba podzielić się z nimi dobrą nowiną? Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby nie śmiała nawet o tym marzyć.

- Mogę? - spytała drżącym głosem.

- Oczywiście!

Ręce tak jej się trzęsły, że nie była w stanie prawidłowo wybrać numeru. Po trzeciej pomyłce oddała telefon Raphowi.

- Mógłby pan...? - Widać było, że oczy ma pełne łez. - Ja... sam pan widzi, co się ze mną dzieje.

Spełniwszy jej prośbę, Raph powiedział miękko:

- Zostawimy cię teraz, Grace. Myślę, że wolisz być sama.

- Dziękuję - szepnęła.

Byli przy drzwiach, gdy Mick usłyszał, jak mówi urywanym głosem:

- Angus? To ja, twoja mama... Tak, kochanie, już koniec i... tak... wszystko będzie dobrze... Nie, nie muszę już być w więzieniu... Jestem wolna i... wracam do domu...

Mick i Raph wrócili do swojego biura.

- Ja tam napiję się brandy - zdecydował Raph, sięgając do stojącej za biurkiem szafki.

- Cieszę się, że jest wolna - powiedział Mick miękko.

Raph pozostawił to bez komentarza.

- Kiedy wyprawimy ją już do domu, warto by wyskoczyć gdzieś na parę głębszych. Miałbyś ochotę?

Raph Howes rzadko czynił komuś taki zaszczyt, toteż jego zaproszenia nikt by nie

odrzucił lekką ręką, Mick jednak musiał to zrobić.

- Poszedłbym z rozkoszą, ale nie mogę. Jeśli się pospieszę, zdążę jeszcze na dzisiejszą końcówkę konkursu.

Raph uśmiechnął się lekko. Chyba mniej więcej od września stał się życzliwym kibicem romansu byłego ucznia z byłą pasierbicą.

- Przez to wszystko zapomniałem o konkursie. Przekaż Sam, że życzę jej szczęścia. Chociaż z tego, co mówisz, można domniemywać, że da sobie radę i bez moich życzeń.

- Łut szczęścia zawsze się przyda.

- Finał już jutro, prawda? Hm, spójrzmy w kalendarz. Sobota... Chyba będę mógł przyjść.

- Jej ojciec przyjeżdża z Kornwalii.

- Doprawdy? Pewnie cały klan Boswinów będzie jej kibicować. No i bardzo dobrze, zasługuje na to. Ty też idź już, Mick.

Mick rozluźnił krawat. Choć sercem był już w sali koncertowej, przykro mu było zostawiać Rapha samego. Włożyli w tę sprawę tyle pracy, odnieśli ogromny sukces, powinni wspólnie go uczcić...

- Gratuluję ci, Raph - powiedział szczerze. - Wiesz, że nie zgadzałem się z twoją koncepcją, była dla mnie zbyt ryzykowna, ale to ty miałeś rację. Wyobrażam sobie, co teraz czujesz. To ogromna satysfakcja, prawda?

Raph obrócił w rękę kieliszek.

- Tak by się mogło wydawać, ale jest inaczej. W chwilach takich jak ta ogarnia mnie zawsze uczucie dziwnego zawodu. Co dziwniejsze, dokucza mi ono bardziej, gdy wygrywam sprawę, niż kiedy przegrywam. Sam tego nie rozumiem i nawet już nie próbuję. Zdążyłem się przyzwyczaić.

- Tak czy inaczej była to świetna robota.

- Dziękuję ci, Mick. A teraz już spływaj i leć do Sam. Jej jesteś bardziej potrzebny niż mnie.

\*

Przed domem jak zwykle ostatnio czatowało na Rapha paru fotoreporterów. Nie mógłby wprawdzie powiedzieć, że i do tego zdążył się przyzwyczaić, ale ich obecność nie irytowała go już w takim stopniu jak kilka tygodni temu, kiedy rozeszły się wieści o aresztowaniu Diany. Rozumiał nawet tych ludzi. Był to dla nich przecież wyjątkowo smakowity kąsek: matka znanego obrońcy podejrzana o morderstwo! „Dowód w poemacie!” - brzmiał jeden z bardziej pomysłowych tytułów. „Słynna poetka zamordowana”, głosił inny. „Upozorowane

samobójstwo”. Obecnie sprawa już trochę przycichła; przy życiu podtrzymywał go ostatnio proces Grace Hobden i udział Sam Boswin w konkursie, ale Raph nie miał złudzeń: gdy tylko nowy tomik Kirsten ujrzy światło dzienne, szum zacznie się znowu. Będzie tak za każdym razem, gdy on, Sam lub ktokolwiek inny z ich kręgu zrobi coś „medialnego”. Wszyscy zaczną wtedy znów odgrzewać „fakty”, i to niekoniecznie w sposób zgodny z prawdą, a matka...

Jej los leżał mu kamieniem na sercu. Nie był w stanie wyciągnąć jej z więzienia, gdzie dosłownie marniała w oczach. To, że zasłużyła na karę, nie miało żadnego znaczenia. Była jego matką.

Gdy Sam zawiadomiła go o swym odkryciu, zrozumiał, że już się nie da uchronić Diany przed więzieniem. Starał się być twardy, powiedział sobie, że nie ma innego wyjścia. Wynajął najlepszych obrońców, cały czas osobiście czuwał nad sprawą, instruował matkę, co ma robić, lecz żadne z tych starań nie przyniosło ulgi jego sumieniu.

Dla niektórych osób cała ta tragedia miała jednak swoje dobre strony. Wydawcy *Skrzydlatego mordercy* działali w zgoła niebywałym tempie. Ha, pewnie! Tak sensacyjny poemat rozszedłby się błyskawicznie, gdyby nawet był tylko marną rymówanką, a *Skrzydlaty morderca* nie był przecież tanią szmirą. Wyszedł spod pióra cenionej poetki znanej jednak dotąd niezbyt szerokiemu gronu czytelników. Teraz wyglądało na to, że twórczość Kirsten osiągnie wreszcie taką poczytność, na jaką zasługiwała od dawna. Trevor Clay nie mógł pohamować podniecenia: rzadko się zdarza, powiedział, złożywszy na wstępie wyrazy współczucia z powodu uwięzienia Diany, żeby zbiorek wierszy stał się bestsellerem, a na to się właśnie zanosi! Wydawcy mówią o pierwszym nakładzie w wysokości dwudziestu tysięcy! I to tylko w Zjednoczonym Królestwie!

Kariera Sam też nagle nabrała tempa. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że jej nazwisko stało się znane nawet takim ludziom, których trudno byłoby nazwać bywalcami sal koncertowych. Agenci muzyczni już zaczęli się o nią ubiegać, choć konkurs jeszcze się nie skończył. Gdyby nawet go nie wygrała, wystarczyłby tylko sam fakt, że jest córką słynnej, tragicznie zmarłej poetki. To, że była młoda, utalentowana i fotogeniczna, też miało swoje znaczenie.

Raph przystanął na chwilę przed drzwiami; teraz dopiero uświadomił sobie, że deszcz przestał padać, a wilgotne powietrze pachnie mokrą ziemią i asfaltem. Miał zamiar zaprosić Lolę na kolację; w ostatnich tygodniach bardzo ją zaniedbał. Postanowił jej to wynagrodzić.

Ledwie jednak znalazł się w holu, poczuł, że coś się tu stało. Przy schodach zobaczył dwie wielkie walizki, a w całym domu panowała niezwykła cisza.

- Lola? - zawołał, a potem powtórzył głośniejszym głosem: - Lola?!

Po chwili ukazała się na schodach, ubrana w dżinsy i czarny sweter, z ramienia zwisała jej zamszowa kurtka, w ręku trzymała neseser. Po kilku powolnych krokach przyspieszyła tempo i pędem zbiegła ze schodów.

- Co to znaczy? - zapytał.

- To chyba jasne, Raph - powiedziała, patrząc mu w twarz. - Przepraszam. Niełatwo mi to powiedzieć, ale... odchodzę od ciebie.

- Ach tak. - Zamilkł na moment, lecz uświadomiwszy sobie, że taka odpowiedź to trochę za mało, zdecydował się spytać:

- Dlaczego?

Zaczęła nerwowo bawić się włosami.

- Ja... Poznałam kogoś. Ma na imię Martin. Nie znasz go. Ma po mnie przyjechać... - zerknęła na zegarek. - Hm, trochę się spóźnia... Miałam zamiar zostawić ci list.

- List?

- Właściwie karteczkę. Mam ją tutaj. Chcesz przeczytać?

- Niekoniecznie. Wolałbym usłyszeć to od ciebie.

- No tak. Jestem ci to chyba winna.

- Czy twoja decyzja... Czy odchodzisz z powodu tego, co się stało?

- I tak, i nie. Gdyby chodziło tylko o to, że twoja matka siedzi w więzieniu, zostałabym z tobą. I nie chodzi też o Martina. On jest tylko pretekstem, ale nie mów mu o tym.

- Więc o co?

Widać było, że się zastanawia, czy nie zbyć go jakąś wymówką, w końcu powiedziała jednak z westchnieniem:

- Chodzi o coś, co uświadomiłam sobie jasno parę tygodni temu. Przedtem także przychodziło mi to na myśl, ale wtedy uważałam, że to rzecz bez znaczenia. Teraz jest inaczej. Zrozumiałam, że nigdy nie byłam częścią twojego życia. Zawsze trzymałeś mnie na dystans. Nie zwierzałeś mi się. Wszystko, co ważne, zachowywałeś dla siebie.

- Nieprawda. Powiedziałem ci o mojej matce. O tym, że od lat chroniłem ją razem z Miriam. Mówiłem ci, że kiedy zginął mój ojciec, nie rozumiałem tego, co się stało. Byłem za mały. Ufałem matce i Miriam. Dopiero gdy dorosłem, objawiła mi się cała prawda. Ale i wtedy nie miałem pojęcia, do czego zdolna jest moja matka. Śmierć Anthony'ego uważałem za wypadek, śmierć Kirsten za samobójstwo. Tę notatkę na stole znalazła Miriam. Jeśli masz mi za złe, że o śmierci ojca nie powiedziałem ci wcześniej, to uwierz: chciałem to zrobić, tylko że za każdym razem odkładałem to na później. O takich sprawach niełatwo jest dyskutować.

- Wiem, Raph. - Lola nawinęła na palec pasmo swoich blond włosów. - Rzecz w tym, że ci nie wierzę.

- Co?!

- Nie bój się, mój drogi, nie zamierzam nikomu zdradzać twych tajemnic. Zwłaszcza że to tylko moje domysły. Tak, Raph, opowiedziałeś mi o swojej matce, chociaż dopiero po tym, jak Miriam poszła na policję... i wiesz, jakie wrażenie zrobiło na mnie to twoje wielkie wyznanie? Mocno pachniało fałszem, a ja poczułam, że ten dzielący nas dystans jest teraz większy niż dawniej. Myślę po prostu, że ukrywasz przede mną znacznie więcej, niż mówisz, ale mniejsza o to. Teraz nie ma to już znaczenia.

- Rozumiem.

- Cały nasz związek, przykro to mówić, oparty był jedynie na tym, że ty wykorzystywałeś mnie, a ja ciebie. W jednakowym stopniu, więc jesteśmy kwita, ale teraz pora z tym skończyć.

- Rozumiem - powtórzył Raph, zastanawiając się zarazem, czy nie powinien zaprzeczyć, okazać, że jednak mu na niej zależy? Obojętnością sprawi jej przykrość, a nie miał takiego zamiaru. Nade wszystko nie chciał być niegrzeczny. Był czas, gdy bardzo potrzebował kogoś, kto by go pocieszył po rozstaniu z Kirsten, a Lola świetnie wywiązała się z tego zadania. Teraz też idealnie wybrała moment swojego odejścia...

Oboje poczuli ulgę, słysząc hamujący przed domem samochód.

- To pewnie Martin! - rzuciła ze sztucznym ożywieniem Lola.

- Pozwolisz, że nie wyjdę go witać? Daj mi znać, gdzie mieszkasz, dobrze? Chciałbym mieć twój adres na wypadek, gdybyś coś zostawiła, no i ze względu na pocztę.

- Zadzwonię do ciebie.

Położył jej ręce na ramionach i dotknął twarzą policzka. Nie poczuł żalu. Miał wrażenie, że dotyka kogoś obcego.

- Uważaj na siebie, Raph - powiedziała zdławionym głosem. Pomyślał, że mimo wszystko zależało jej na nim. Żałował, że nie może okazać jej podobnych uczuć. Zdołał tylko powiedzieć:

- Będzie mi cię brakowało.

Pominięła to milczeniem. Może wiedziała, że i to jest kłamstwem. Pewnie od początku jej nie doceniał. Chciał w niej widzieć istotę prostą i bezproblemową, dlatego ignorował wszystko, co nie pasowało do tego obrazu.

Odwrócił się i poszedł do gabinetu. Stąd prawie nie było słychać stukotu zamykanych drzwi, a odgłos odjeżdżającego wozu utonął w hałasie ulicy. Panująca w pustym domu cisza

wydawała się teraz jeszcze głębsza i ciężka jak kamień.

Otworzywszy trzecią szufladę biurka, wydobyl z niej rewolwer. Był to walter, prezent od któregoś z wdzięcznych mafiosów. Kirsten znalazła go kiedyś przypadkiem i zapytała z ironią, czy tak bardzo boi się złodziei, że musi mieć w domu broń? Odpowiedział jej jakimś żartem i chyba mu uwierzyła. A może już wtedy wiedziała, po co naprawdę trzyma ten rewolwer. Że jest to jego polisa asekuracyjna, taka jak te kapsułki z cyjankiem wręczane w czasie wojny spadochroniarzom zrzucanym za linie wroga. Odłożył rewolwer na miejsce. Jeszcze na to nie pora.

Z samego końca szuflady, spod pliku wyciągów bankowych, wyjął kilka oprawnych w ramki fotografii Kirsten, ukrytych tam w chwili, gdy wprowadziła się Lola, ustawił wszystkie na biurku i zaczął im się przyglądać. Jedna z nich przedstawiała samą Kirsten z tym jej cudownie promiennym uśmiechem, w którym natychmiast zakochał się bez pamięci. Na drugiej byli oboje; zrobiono ją w pewnej restauracji w Barcelonie, dokąd pojechali na weekend na początku ich znajomości. Kolejną pstryknęła Miriam zaraz po ich ślubie. Przypatrując się teraz dwóm szeroko uśmiechniętym twarzom, pomyślał, że oboje wyglądają jak zadowolone koty, które właśnie przed chwilą dobrały się do śmietanki. Albo jak dwoje zakochanych, którzy postanowili razem przeżyć wieczność.

Ogarnął go nieznośny żal. To jego wina, że tak się nie stało. Kirsten od razu zaczęła się domyślać, w jaki sposób zginął Anthony Johns. Była nie tylko bystrą, ale też bezwzględnie uczciwą kobietą wychowaną w normalnej rodzinie. Nie wyrosła tak jak on i Miriam w gmatwaniu kłamstw i przemilczeń. Dla niej było rzeczą oczywistą, jak należy postąpić z Dianą. Nie potrafiła pojąć, jak on, sługa prawa, może mu się tak sprzeniewierzać. Wkrótce też zaczęła podejrzewać, że Diana nie po raz pierwszy zabiła człowieka; zaczęły się pytania o śmierć ojca. Nietrudno było dodać dwa do dwóch...

Jej dociekliwość stawała się niebezpieczna.

On oczywiście robił wszystko, co w jego mocy, aby ją przekonać, że się myli, choć znając Kirsten, powinien był wiedzieć, że ani jego uniki, ani uparte milczenie nie tylko nic tu nie pomogą, ale stworzą również między nimi przepaść. Cóż, kiedy wyrósł w przekonaniu, że jego obowiązkiem jest ochraniać matkę, że nie ma innego wyboru. Teraz dopiero, kiedy cała sprawa wyszła na jaw, okazało się nagle, że ani aresztowanie matki, ani rozgłos, ani nawet potępienie ze strony opinii publicznej nie są aż tak straszne jak utrata Kirsten. Och, powinien był poświęcić Dianę, gdy mógł jeszcze przez to ocalić swoje małżeństwo! Nie potrafił teraz zrozumieć, czego tak bardzo się bał. Gdyby wtedy zdawał sobie sprawę, czym będzie życie bez Kirsten!

Najbardziej doskwierała mu świadomość, że nie zgadzając się na ujawnienie prawdy o „wypadku” Anthony’ego, podpisał wyrok śmierci na ukochaną kobietę.

Całe szczęście, że ma tę broń. Będzie mógł po nią sięgnąć, gdy nie zdoła już tego wytrzymać.

\*

Zapadał deszczowy jesienny zmierzch, kiedy zjawiła się Miriam. Wciąż jeszcze siedział przy biurku.

- Skąd ty tutaj? - spytał apatycznie.

- Dzwoniła Lola.

- Powiedziała ci?

- Tak. Johnny też mnie opuszcza. Wyprowadza się w przyszłym tygodniu i nawet nie mówi mi dokąd. Chce sprzedać Wardley. - Położyła mu rękę na ramieniu, a on musnął policzkiem jej palce.

- Biedna Miri. Musi ci być ciężko.

- Bardzo.

- Co teraz zrobimy?

- Będziemy żyć dalej. Najlepiej jak potrafimy. Tak jak żyliśmy dotąd.

- Myślisz, że to możliwe?

- Jestem tego pewna, mój drogi. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Pragnął jej wierzyć, ale nie było to łatwe. Zaczynał wątpić, czy po tym wszystkim potrafi żyć tak jak dawniej. Chyba już na to za późno.

## 22

Na znak inspicjenta Sam wyszła na scenę. Czarna wytworna suknia z mocno dopasowaną górą miękko opływała jej biodra, sięgając dołem czarnych wysokich szpilek. Odrośnięte w czasie lata włosy opadały jej drobnymi loczkami na szyję. Mimo nagich ramion nie czuła chłodu. Była tak skupiona na swoim zadaniu, że gdyby nawet na scenie szalała śnieżycą, też by pewnie tego nie zauważyła.

Przywitał ją gromki, długo niemilkący aplauz. Gdyby w tym momencie była w stanie rozumować trzeźwo, musiałaby dojść do wniosku, że jest faworytką publiczności, która najwyraźniej typuje ją na zwycięzcę, lecz i o tym wcale nie myślała. Stawiając wiolonczelę na podłodze, poczuła tylko, że dyrygent, Herman Schreiber, ujął ją za rękę i lekko uścisnął, aby



jej dodać otuchy, a stojący tuż za nim drugi skrzypek posłał jej krzepiący uśmiech.

Przygotowywała się na tę chwilę od wielu dni, odkąd się okazało, że znalazła się w szóstce finalistów, lecz choć marzyła o tym całe lata, to jednak świadomość, że za moment przyjdzie jej zagrać przed tak wielką publicznością, była mocno deprymująca. Zdawała też sobie sprawę, że występ z orkiestrą to coś zupełnie innego niż to, co robiła dotąd przy akompaniamencie Nadiry. Czy nie zawiodą jej nerwy? Spokojnie, zabrzmiał jej w uszach głos Grigory'ego. Zamiast się martwić na zapas, pamiętaj, że to przecież twój wielki moment. Ciesz się tą chwilą!

Grigory siedział teraz na widowni. Nim Herman Schreiber podniósł batutę, zdążyła jednym spojrzeniem ogarnąć znajome twarze widoczne w kilku pierwszych rzędach. Stary nauczyciel wydawał się zdenerwowany chyba tak samo jak ona. Ich współpraca dobiegała końca. Sam miała zamiar znaleźć sobie wkrótce innego profesora, być może na kontynencie, teraz jednak przez następne pół godziny miała zademonstrować to wszystko, czego ją nauczył stary Węgier, w grę wchodziła zatem także jego reputacja.

Obok Grigory'ego siedziała Nadira. Dla Sam jej obecność miała szczególne znaczenie. Gdyby nie Nadira, wycofałaby się z konkursu. Gdy po aresztowaniu Diany również jej osoba znalazła się nagle pod ostrzałem mediów, najchętniej skryłaby się w mysiej dziurze. Ale Nadira wiązała z tym konkursem tyle nadziei! Sam nie mogła znieść myśli, że jej własne dramaty miałyby unicestwić największe marzenie wiernej przyjaciółki. (Konkurs składał się z trzech etapów: występu solowego, gry z towarzyszeniem fortepianu i koncertu z orkiestrą - dla finałowej szóstki.) Postanowiła ściągnąć Nadirę do Londynu, stosując bezwstydną szantaż.

- Wiesz, że bez ciebie nie dam sobie rady! - jęknęła. - Tylko ty jedna potrafisz mi akompaniować! Och, Nad, zaszyliśmy już tak daleko! Nie możesz mnie teraz opuścić!

- Doprawdy? - spytała Nadira na poły ze śmiechem, na poły z urazą. - Bo jeśli odmówię, to mnie zastrzelisz? - Dwa tygodnie przed startem konkursu zjawiła się jednak w Londynie. Sam mogła się tylko domyślać, ile rodzinnych potyczek kosztował ją powrót do tego „grzesznego” miasta, ale widząc teraz promienną twarz przyjaciółki, była pewna, że Nadira tego nie żałuje.

Davy już w przeddzień przyjechał z Kornwalii, przywożąc ze sobą chłopaków i Lindę. Miniony wieczór spędzili razem z Nadirą i Mickiem na London Eye, gdzie racząc się lodami, obserwowali ciężkie burzowe chmury ciągnące nad wzgórze Hampstead z południowego zachodu. Była to udana rodzinna wycieczka.

Judy Saunders nie była osobą, po której Sam mogłaby się spodziewać duchowego

wsparcia, ona tymczasem, choć jak zwykle chmurna i pełna pretensji do świata, nie tylko nie opuściła żadnego etapu, lecz o dziwo, kibicowała jej nawet na swój własny sposób. W ostatnich tygodniach media poświęciły wiele uwagi pani Judy Saunders, podkreślając szczególnie jej rolę powierniczki tragicznie zmarłej poetki. To dzięki niej, pisano, ocalał zaginiony utwór. Ona sama udzieliła mnóstwa wywiadów prasie i telewizji; zamierzała też napisać książkę o swojej przyjaźni z Kirsten. Podczas niedawnego spotkania w barze - po pierwszym etapie konkursu - Sam usłyszała, jak prosi Trevora, żeby jej znalazł agenta.

Trevora nie było w sali. Zaliczył pierwsze dwa etapy, ale teraz zadzwonił w ostatniej chwili, przepaszając, że nie może przyjść; za bardzo by się denerwował. Posłucha nagrania, kiedy będą już znane wyniki. Sam nie miała mu tego za złe - taki już był. Wolał nie doświadczać zbyt gwałtownych wzruszeń.

Mick siedział trochę z boku, z dala od innych znajomych. Sądząc jednak po wyrazie twarzy, myślami był całkiem gdzie indziej. Sam wiedziała, dlaczego tak jest, i starannie unikała jego spojrzeń. Od ubiegłego wieczoru byli trochę na bakier; od chwili, gdy mu powiedziała, że dzwonił Raph.

- Czego chciał? - mruknął niechętnie.

- Dowiedzieć się, czy może przyjść na finał.

- I co? Zgodziłaś się?

- Powiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu.

- Jak to? - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Nie przeszkadza ci jego obecność po tym wszystkim, co zrobił i czego nie zrobił?

- I kto to mówi? Ty nadal z nim pracujesz i jakoś ci to nie przeszkadza.

- To co innego. Mnie łączą z nim tylko sprawy zawodowe.

Sam już wcześniej próbowała mu wyjaśnić swe ambiwalentne uczucia do Rapha. To prawda, że postąpił nieuczciwie, osłaniając matkę, ale kto wie, czy i ona nie zrobiłaby tego samego, gdyby się znalazła w jego sytuacji? Uważała w dodatku, że i on był ofiarą Diany w tym samym niemal stopniu co Kirsten. To nie znaczy, że mu współczuła; uczucia, które w niej budził, były tak pogmatwane, że nie potrafiła się w nich rozeznaczyć.

- Po co on w ogóle chce przyjść na ten koncert? - złodkował się Mick.

- Jego o to spytaj. Prawdą jest jednak, że zawsze mnie wspierał. Gdyby nie on, pewnie bym nie brała udziału w konkursie.

- Nonsens. Zawdzięczasz to wyłącznie sobie. Swojemu talentowi i pracy. On nie ma z tym nic wspólnego. Zrobiłby natomiast wszystko, żeby zatrzeć złe wrażenie, jakie budzi obecnie jego osoba. Nie ludź się, że chce ci pomóc. Chodzi tylko o jego wizerunek.

- Możliwe, ale już mu powiedziałam, że może przyjść.

W głębi duszy nawet by wolała, żeby nie było Rapha. Razem z nim zjawi się i Miriam, która ostatnio towarzyszyła mu wszędzie jak cień, a to oznaczało, że Johnny nie przyjdzie na koncert. Szkoda. Sam bardzo go brakowało. Jego obecność działała na nią krzepiąco.

Rodzeństwo Howesów siedziało trochę z boku. Towarzyszący obojgu rozgłos zdawał się oddzielać ich od ludzi niewidzialnym murem. Raph zbyt usilnie starał się go przebić, Miriam ani trochę.

Wśród obecnych brakowało tej twarzy, którą Sam nade wszystko pragnęłaby widzieć. Ale przecież Kirsten będzie zawsze obecna duchem podczas wszystkich występów swej córki...

Dyrygent podniósł batutę; zabrzmiały pierwsze takty symfonii Dvorzaka. Sam na moment zamknęła oczy, aby odciąć się od świata i wszystkich przeżytych ostatnio koszmarów, ruchem głowy odrzuciła włosy z czoła i mocniej ujęła smyczek, czekając na swoje wejście. Publiczność i jurorzy przestali istnieć. Odplynęły gdzieś myśli o Dianie i Kirsten, o Micku i Raphie. Istniało tylko tu i teraz. Przeszłość i przyszłość straciły znaczenie, zniknęli ludzie, żal i konflikty, pozostała jedynie muzyka. Było tak, jakby wraz z pierwszym dźwiękiem płynącym spod smyczka wkraczała w nieznany krajobraz, w którym wszystko wydawało się nowe, lecz zarazem jakże znajome, w rzeczywistość tak pełną dźwięków, kolorów i woni, że nie było w niej miejsca dla słów.

\*

Mick nie był w dobrym nastroju. Sam unikała go przez cały dzień; czuł się tym mocno dotknięty, choć rozumiał jej zachowanie. Pragnęła całą swą energię skupić na stojącym przed nią zadaniu, a on jej przeszkadzał swoimi wątpliwościami. Cóż, miała rację, musiał to teraz przyznać. Nie był częstym bywalcem sal koncertowych, lecz nawet dla niego było rzeczą jasną, że publiczność jest nią urzeczona.

Ha, nic dziwnego. To, że grała jak anioł, że wyglądała przepięknie w tej zachwycającej wieczorowej sukni, miało oczywiście swoje znaczenie, nie tak jednak wielkie jak to, że od kilku tygodni była bohaterką sensacyjnej sprawy zaprzatającej uwagę całej opinii publicznej. Wszyscy wiedzieli, że jest córką słynnej poetki, Kirsten Waller, brutalnie zamordowanej w odludnym kornwalijskim domku, że tylko ona, ta młoda, stojąca przed nimi artystka, miała odwagę zakwestionować oficjalną wersję samobójstwa i że tylko dzięki jej uporowi morderczyni została ujęta.

Czy jednak ujęto właściwą osobę? To właśnie trapiło Micka.

Już przed kilkoma dniami próbował pomówić o tym z Sam.

- Być może się myłę - powiedział, przynosząc jej kawę do łóżka, spędzał teraz bowiem większość weekendów w jej małym mieszkanku w Clapham - ale od chwili aresztowania Diany coś mi nie daje spokoju. Musimy o tym pogadać.

- Czy to nie może poczekać? - westchnęła Sam. Obróciła się na bok i ziewnęła szeroko.

- Chyba nie.

- No to mów.

Mick czuł, że słucha go jednym uchem. Od powrotu Nadiry do Londynu żyła już tylko konkursem; no cóż, znalazła się znowu w swoim dawnym świecie. Teraz dopiero zrozumiał, jak trudny był dla niej cały ten miniony okres: walcząc o prawdę w sprawie śmierci matki, zmuszona była odejść od muzyki, ćwiczeń, spotkań z kolegami, od tego wszystkiego, co stanowiło dla niej treść życia. Teraz zaczęła cenić to sobie w dwójnasób.

- Mówiłaś, że Kirsten знаła swoją zabójczynię, prawda?

- No pewnie. Była przecież matką jej męża.

- Więc jak mogła, wiedząc, że morderczyni jest w domu, brać kąpiel w otwartej łazience?

- Przecież wiesz, że w Gull Cottage nie było zamków. Judy dopiero teraz wmontowała jeden do frontowych drzwi.

- No właśnie. Dlaczego twoja matka stworzyła Dianie tak znakomitą okazję, skoro uważała, że to ona jest bezlitosnym *skrzydlatym mordercą*, którego zamierzała wkrótce zdemaskować? Nie sądzisz, że powinna być ostrożniejsza? Czy ty na przykład weszłabyś do wanny, wiedząc, że po domu kręci się zabójca?

- Może i nie, ale tak się stało. Może Diana udała, że wyjeżdża, a potem wróciła.

- Albo może to nie Diana ją zamordowała.

- Daj spokój, Mick! - Sam parsknęła śmiechem. - Przecież wiemy, że to ona. Najpierw wykończyła męża, potem Anthony'ego Johnsa i wreszcie moją matkę, żeby ją uciszyć. Ta kobieta nie ma skrupułów. To klasyczna zimnokrwista morderczyni.

- Jesteś tego pewna? Sześć tygodni temu wszyscy byli święcie przekonani, że Kirsten popełniła samobójstwo. I co? Wszyscy się mylili.

- Bo nikt nie podejrzewał, do czego zdolna jest Diana.

- Przypuśćmy jednak, że to nie ona.

Sam rozważała to przez chwilę.

- Któż inny mógłby to zrobić?

- Właśnie to mi nie daje spokoju.

- Och nie, to śmieszne! To musiała być Diana! Kto by się zgodził iść do więzienia za

nie popełnioną zbrodnię?

- Może Raph jej wmówił, że długo tam nie posiedzi, że dostanie wyrok z zawieszeniem.

- Po co by miał to robić? A zresztą, o kim Kirsten pisze w poemacie? O Dianie.

- No a jeśli twoja matka się myliła?

- To dlaczego została zabita? Nie, Mick, twoja teoria nie trzyma się kupy.

Rzeczywiście. W tym jednym zmuszony był się z nią zgodzić. Przestał o tym mówić, ale wątpliwości się nie pozbył. Przyczaiły się w jakimś odległym zakątku umysłu, nie pozwalając o sobie zapomnieć - nawet teraz podczas koncertu.

Próbował je przepędzić, skupić całą uwagę na Sam. Z tego, co mógł dostrzec ze swojego miejsca - dwa rzędy za Raphem i Miriam - zyskała sobie uznanie jurorów. Ich twarze mówiły wyraźnie, że podoba im się jej gra. Pomyślał, że niedawno w bardzo podobny sposób starał się odgadnąć nastroje przysięgłych i że oba te zespoły niewiele się od siebie różnią.

Uśmiechnął się lekko, czując, że zaczyna się odprężyć, lecz kiedy przypadkiem zerknął na Rapha, nagle ogarnął go strach. Na Boga, co mu się stało? Czyżby doznał zawału serca? Twarz miał szarą jak popiół i nie patrzył na scenę, tylko jakby do wewnątrz. Mick momentalnie przypomniał sobie tamtą podsłuchaną rozmowę telefoniczną. Raph wyglądał wtedy tak jak teraz: jak bezbronny, śmiertelnie przerażony człowiek.

Miriam również musiała to dostrzec.

- Co ci jest, Raph? - zapytała szeptem. - Dobrze się czujesz?

Jej brat powoli pokręcił głową.

- Nie. Nie mogę...

Reszta odpowiedzi utonęła w ostatnich akordach symfonii. Mick spostrzegł tylko, że Miriam nagle spochmurniała.

\*

Dokładnie w czterdziestej pierwszej minucie, licząc od chwili, gdy Sam rozpoczęła swój występ, przebrzmiała ostatnia nuta - i ogromna sala zatrzęsała się od oklasków. Dopiero ten aplauz wyrwał ją z transu; zamrugała oczami, opuściła smyczek i podniósłszy się z miejsca, przebiegła spojrzeniem po znajomych twarzach. Zaczęła od Grigory'ego. Jego reakcja liczyła się dla niej najbardziej. Klaskał, ale tak powoli, że w pierwszej chwili się złąkła: czyżby nie podobał mu się jej występ? Dlaczego? Czuła przecież, że grała bardzo dobrze, lepiej niż kiedykolwiek. Uspokoili się, widząc, że stary profesor, nie przestając klaskać, z wysiłkiem podnosi się z miejsca, a po twarzy strumieniem płyną mu łzy. „Brawo!” - zawołał. „Brawo, Sam!”

Teraz już wszyscy zaczęli wstawać i krzyczeć. Davy i Linda, Nathan i Louis, Mick i

Nadira. Raph zerwał się z krzesła jako jeden z pierwszych, a za nim Miriam, klaszcząca z takim zapalem, jakby zależało od tego jej życie. Nawet Judy Saunders straciła swą zwykłą rezerwę. Dla Sam cała ta owacja była czymś tak nieoczekiwanym, że nie wiedziała, co robić. Ukłoniła się dwa razy - i co dalej? Na szczęście z pomocą przyszedł jej dyrygent, który wziął ją za rękę, ucałował w policzek i wyprowadził ze sceny.

Za kulisami uściskał ją entuzjastycznie.

- Świetnie, moja droga! Byłaś wspaniała.

- Naprawdę?

Tak ją to wszystko oszołomiło, że nie bardzo pamiętała, jak i kiedy znalazła się znów na scenie. Publiczność powitała ją istic huraganowym aplauzem. Członkowie orkiestry równie żywiołowo bili brawo. Całą salę ogarnęła euforia. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Ukłony, pocałunki, uśmiechy... Uścisk dłoni z pierwszym skrzypkiem, kolejne ukłony, brawa dla orkiestry... Kiedy znów spojrzała na widownię, zobaczyła, że Mick usiłuje wydostać się ze swego rzędu. Dokąd mu tak spieszo? - zirytowała się w duchu. Wszyscy wciąż jeszcze biją jej brawo, a on wychodzi?

Gdy po raz kolejny Herman Schreiber wyprowadził ją na scenę, spostrzegła, że teraz Raph z pośpiechem przepycha się do wyjścia, a Micka nie ma już w sali.

Zeszła z estrady z cudownym uczuciem, że nie idzie, lecz unosi się w powietrzu. Gdyby ta chwila mogła trwać wiecznie!

Za kulisami zrobił się tłok - otoczyli ją wszyscy uczestnicy konkursu. Składano jej gratulacje, prawiono komplementy. Tylko szkocki skrzypek, jej główny rywal, który miał wystąpić zaraz po niej, zapytał jadowitym szeptem:

- Dobrze jest być heroiną mediów, prawda?

Była zbyt szczęśliwa, żeby się obrazić. Uściskała swego przeciwnika.

- Życzę ci powodzenia - powiedziała szczerze. - Będę trzymać za ciebie kciuki.

- Dziękuję. I wiesz co? Grałaś cholernie dobrze.

Sam uściskała go znowu.

W tej samej chwili zobaczyła Micka. Wyglądał jak chmura gradowa. Przepchnął się do niej, szorstko roztrzając stojących dookoła ludzi, i oznajmił grobowym tonem:

- Sam, muszę z tobą pomówić. Na osobności.

- Jak było? Podobał ci się koncert?

- Byłaś fantastyczna, ale teraz musimy pogadać.

- Później! - syknęła niecierpliwie. Teraz pragnęła słuchać tylko pochwał, których jej nie szczędzili powracający z estrady muzycy. Szły jej do głowy jak wino.

- Posłuchaj mnie, Sam, to bardzo ważne. Myślę, że...

O nie, nie zamierzała go słuchać. Zbyt długo czekała na tę chwilę, żeby teraz ktoś miał ją popsuć. Pragnęła nacieszyć się swoim sukcesem razem z ojcem i Lindą. Umówiła się już z nimi na rodzinne spotkanie w pizzerii; mieli na to tylko tyle czasu, ile zajmie występ ostatniego już dziś finalisty. Później miało się odbyć ogłoszenie wyników, na które zamierzała pójść z Mickiem, i na koniec uroczysta feta.

- Poczekaj z tym, Mick - poprosiła. - Teraz idę spotkać się z rodziną.

- Mogę pójść z tobą?

- Nie. Chcemy mieć tę chwilę tylko dla siebie. - Nie była to cała prawda. Nie chciała, by Mick, który najwyraźniej był w złym nastroju, popsuł humory jej bliskim.

- Ale...

- Nie, Mick. - Odwróciwszy się od niego, zobaczyła Rapha idącego głównym korytarzem. Równie ponury jak Mick, wyraźnie zmierzał w jej stronę. Do licha! Dlaczego ci dwaj nie mogą po prostu cieszyć się jej szczęściem? Czy to takie trudne? Mick nadal miał taką minę, jakby chciał jej zaaplikować szczególnie gorzką pigułkę. Do diabła z nimi! - Bywaj, Mick - rzuciła z pośpiechem. - Na razie!

- Poczekaj, Sam! - W głosie Micka brzmiała desperacja.

Ale jej udało się już wśliznąć między waltornistę a dwóch skrzypków - i wydostać na boczny korytarz. Nie знаła tego korytarza, ale przecież musiał prowadzić do jakiegoś wyjścia. Szybko ruszyła przed siebie, w jednym ręku trzymając wiolonczelę, w drugim smyczek i fałdy swojej długiej sukni. Słyszała za sobą odgłos czyichś kroków.

Na szczęście były tu boczne drzwi, których przedtem nie zauważyła. Pomyślała, że jeśli prowadzą na tyły teatru, to od Pizza Palace, gdzie umówiła się z ojcem i Lindą, dzieli ją tylko kawałek drogi. Liczyła, że dojdzie tam w pięć minut - pomimo wysokich obcasów i tej bardzo niewygodnej kiecki. Gdy jednak wyszła na ulicę tonącą już w szarym, wilgotnym zmierzchu, ze zdumieniem zobaczyła Miriam. Ona także w pierwszej chwili wydawała się zaskoczona, ale potem uśmiechnęła się serdecznie.

- Gratuluję ci, Sam. Byłaś rewelacyjna!

- Dzięki.

- Chętnie cię podwiozę.

- To bardzo miło z twojej strony, ale dziękuję. Umówiłam się z tatą i Lindą na pizzę; to niedaleko, więc pójdę spacerkiem.

- Wiem, że się umówiłaś. Od twego ojca. To on mnie prosił, żebym cię podwiozła. Mówił, że do tego lokalu jest trochę dalej, niż myślał. Dźwigasz w dodatku ten niewygodny

instrument.

- Och, w takim razie bardzo dziękuję. Chętnie skorzystam z twojej propozycji.

- Mam wóz po drugiej stronie ulicy - oznajmiła Miriam, wyjmując kluczyki. Jej małe audi błysnęło światłami.

- Myślisz, że wiolonczela zmieści się w tym pudełku? - zażartowała Sam.

- Nie. Musisz ją tu zostawić.

- Co takiego?

- Wsiadaj do wozu! - rozkazała Miriam. - Tutaj - dodała, wskazując miejsce kierowcy. - Ty poprowadzisz.

- Co ty robisz? - wykrzyknęła Sam, widząc w jej ręku rewolwer. - Czy to jakiś dowcip?

- Och nie! - Miriam pokręciła głową. - Jeszcze się nie domyśliłaś? Ćwir, ćwir, ćwir! Nic ci to nie mówi?

Sam głośno wciągnęła powietrze. Miriam z rewolwerem w ręku zmieniała się nie do poznania. Krucha, nerwowa kobieta zniknęła bez śladu; z tej nowej, odmienionej Miriam biła niezwykła energia i jakieś niesamowite poczucie własnej wszechmocy.

- Oszukałam cię, co? - zachichotała. - Tak jak oszukałam twoją matkę. Ostatnią rzeczą, którą usłyszała, była moja ptasia śpiewka. Ćwir, ćwir, ćwir! Poznajesz? Tak, Sam, teraz twoja kolej! - Przestała chichotać i rzuciła lodowatym tonem: - A teraz rób, co ci każę, bo inaczej... - wymownie podniosła rewolwer.

- Pamiętasz, co napisała twoja matka? „Skrzydlaty morderca nie popełnia błędów”.

## 23

W Pizza Palace nie było tłoku, toteż Mick od razu wypatrył rodzinę Boswinów. Siedzieli nieopodal dorodnej palmy nad niedojedzoną pizzą, milczący i dziwnie markotni.

- Dobry wieczór! - zawołał. - Gdzie Sam?

- Myśleliśmy, że jest z tobą - odrzekł Davy.

- Tak - włączyła się Linda, gniewnym ruchem odkładając sztucce. - Cała Sam. Zrobiła się już za wielka, żeby zjeść kolację z rodziną.

- Lindo... - Davy uspokajająco położył dłoń na jej rękę.

- Przecież to prawda! My zadajemy sobie dla niej mnóstwo trudu: jedziemy taki kawał drogi, żeby ją wspierać, zamawiamy stolik, na wypadek gdyby był tłok, a ona? Wiem, że jest zajęta, że po ogłoszeniu wyników wybiera się na przyjęcie, ale to spotkanie uzgodniliśmy już



tydzień temu. Tak rzadko jesteście razem, powiedzieliście sobie, mamy teraz szansę trochę to nadrobić. A ona nie raczy się nawet pokazać!

- Proszę cię, Lindo... - zaprotestował Davy, lecz zabrzmiało to dość słabo.

- Gdzie ona jest? - powtórzył Mick.

- Myśleliśmy, że ty nam powiesz.

- Dostaliśmy od niej tylko esemesa - burknęła Linda. - Nie uznała nawet za stosowne powiedzieć nam tego w oczy.

- Czego? Co było w tym esemesie? Możesz mi go pokazać?

- Byłam taka wściekła, że od razu go skasowałam. Napisała, że coś jej nagle wypadło i że skontaktuje się z nami później. Aha, i że nam życzy smacznego. No i ani słówka przeprosin.

Davy mniej zirytowany niż żona spostrzegł widocznie dziwną minę Micka, bo spytał:

- Co się stało, Mick? Co to za nagła sprawa?

- Też bardzo bym chciał to wiedzieć.

Linda uśmiechnęła się złośliwie.

- Ciebie też wystawiła do wiatru? Może kryje się za tym jakiś wielbiciel? Wcale bym mnie to nie zdziwiło.

- Nie sądzę - odrzekł Mick. Wyjął komórkę i z pośpiechem wystukał numer Sam. Jej aparat był wyłączony. - Cholera! - zaklął przez zęby.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Davy. - Z Sam wszystko w porządku?

- Nie wiem - westchnął Mick. - Mogę tylko mieć taką nadzieję.

Po tych słowach wyszedł z restauracji. Na ulicy natychmiast zaczął biec.

\*

Sam nigdy dotąd nie prowadziła wozu z automatyczną skrzynią biegów, toteż jej lewa ręka raz po raz wędrowała w stronę nieistniejącej dźwigni. Siedząca obok niej Miriam zaczynała wtedy wywijać bronią, dodając syczącym szeptem:

- Ręce na kółku, Sam, bo jak nie...

Gdy zdarzyło się to po raz trzeci - zbliżały się właśnie do stacji obsługi na M4 - Sam zapytała zaczepnie:

- Bo jak nie, to co? Co mi zrobisz?

- Zastrzelę cię - odparła Miriam.

- Przy tej prędkości? - Jechały bardzo szybko; wszędzie tam, gdzie pozwalała na to sytuacja, Miriam kazała jej dodawać gazu, a Sam nawet dość chętnie wykonywała ten rozkaz, licząc, że może trafi się jakiś patrol policyjny. - Nie sądzę, że mówisz serio. Chyba że chcesz

się zabić.

- Nie miałabym nic przeciw temu - padła spokojna odpowiedź. - Śmierć bywa często całkiem dobrym rozwiązaniem problemów. A gdyby przy okazji udało się w dodatku spowodować wielką krakę, byłoby niezłe widowisko! Razem z nami zginęłoby mnóstwo ludzi. - Zabrzmiało to marzycielsko.

Sam mocniej chwyciła kierownicę.

- Gdy czasem nie mogę zasnąć - mówiła dalej Miriam - wyobrażam sobie taką śmierć. Jadę coraz szybciej i nagle bum! Ostatkiem świadomości widzę stertę poszarpanych ciał, pogięte blachy, eksplodujące paliwo. Dobrze byłoby tak skończyć.

Sam zerknęła na nią z niedowierzaniem. Ona nie żartuje, pomyślała ze zgrozą. Miriam podchwyciła jej spojrzenie.

- Wiesz, komu najbardziej zazdrościsz?

- Nie mam pojęcia.

- Zamachowcom samobójcom.

- Czyżbyś wierzyła podobnie jak oni, że po takiej śmierci pójdziesz do nieba?

- Nie wierzę w niebo. Ten świat jest wszystkim, co mamy. Ale jakie to byłoby efektowne zejście! Płonące ludzkie pochodnie, krwawa masakra! Ludzie z zapartym tchem oglądaliby taką scenę!

- Naprawdę tak myślisz? - spytała Sam. Przypomniała sobie jakiś artykuł, w którym napisano, że aby się ratować, zakładnik powinien skłonić porywacza do mówienia, nawiązać z nim bliższy kontakt. Jej sytuacja była trochę nietypowa: znały się przecież z Miriam, a przynajmniej tak się wydawało, ale cóż innego mogła teraz zrobić?

Wyprzedziła je akurat odkryta ciężarówka pełna jakichś odpadków. Kierowca uśmiechnął się do Miriam, uważając ją pewnie za zwyczajną pasażerkę. Mój Boże! Sam wydawał się teraz istotą z innej planety. Miriam tymczasem, wruszywszy lekko ramionami, odrzekła takim tonem, jakby śmierć w kolosalnej kraksie była rzeczą najzwyczajszą w świecie:

- Oczywiście, że tak myślę. I to bardzo często.

- Nie rozumiem, dlaczego pragniesz śmierci.

- Nie powiedziałam, że pragnę. Mówiłam tylko, że jest to jakieś wyjście z trudnej sytuacji. - Pochyliwszy się naprzód, zaczęła pstrykać klawiszami radia.

- Zabiłaś moją matkę, prawda?

- Uhm. Już ci to mówiłam. Do diabła! - parsknęła ze złością.

- Cóż za fatalny odbiór! W tej okolicy zawsze tak jest.

To niewiarygodne, pomyślała Sam, że w takiej chwili ktoś potrafi mówić o złym odbiorze czy innych podobnych głupstwach! Nie mieściło jej się to w głowie.

- Dlaczego ją zabiłaś? - spytała po chwili wahania. - Pomyliła się przecież. Zamierzała zdemaskować twoją matkę. Tobie by nic się nie stało.

- Uhm, wiem. Biedna poczciwa Kirsten. Wydawało jej się, że jest taka mądra, a tak kompletnie się pomyliła. Jak wszyscy.

- Więc dlaczego?

- Pozwolisz, że ci nie odpowiem? Nie mówmy już o tym, dobrze?

Sam omal nie parsknęła śmiechem. Ta nagła uprzejmość Miriam tak nie przystawała do sytuacji, że wydawała się wręcz groteskowa.

- Czy moje życzenia coś dla ciebie znaczą?

- Nie. - Miriam znalazła wreszcie jakąś dobrze słyszalną stację i z głośnika popłynęły dźwięki Haendrowskiej „Muzyki na wodzie”. Sytuacja stała się już tak absurdalna, że Sam po raz pierwszy poczuła prawdziwą panikę. Na miłość boską! Siedzi obok uzbrojonej zabójczynie, słuchając Haendla! Ta kobieta jest szalona! Stać ją na wszystko! Miriam tymczasem opadła znów na oparcie i stwierdziła z pewnym uznaniem: - Kirsten pod jednym względem miała rację.

- To znaczy?

- Są chwile... na przykład takie jak ta... gdy człowiek czuje się ptakiem. Szybkuje pod niebo jak orzeł, zostawiając pod sobą całą pospolitość. „Moja piękna pani to chyży ptak” - zanuciła półgłosem starą piosenkę. Twarz jej się nagle zmieniła. Można było pomyśleć, że rozjaśnia ją jakieś wewnętrzne światło, że opadły z niej wszystkie pospolite troski.

- I dlatego to robisz?

- Co?

- Mordujesz ludzi?

- Ach, o to ci chodzi. Nie chcę już o tym rozmawiać - oświadczyła Miriam. - A przynajmniej nie z tobą. Ty się nie liczysz. Jedź! - machnęła bronią.

- A jeśli nie zechcę?

- To cię zabiję. Pif-paf, i nie żyjesz - odparła Miriam tonem kilkuletniego dziecka bawiącego się na podwórku w złodziei i policjantów. - Zabiłam już, tak, czworo ludzi - dodała tym samym tonem, licząc ich na palcach. - Do pięciu brakuje mi jeszcze jednego. Możesz nim być ty.

Sam nie od razu uświadomiła sobie znaczenie tej informacji. Stało się to dopiero w chwili, gdy skręciły na wąską drogę do Wardley.

- Czworo ludzi? - spytała z przesadnym zdziwieniem, próbując pociągnąć Miriam za język. - Twój ojciec, Anthony i moja matka to troje. Kto był tym czwartym?

Miriam jednak nie dała się tak łatwo podejść.

- Jedź! - warknęła.

\*

Raph był już przy swoim wozie, kiedy dopadł go Mick i chwyciwszy za ramię, obrócił twarzą do siebie.

- Gdzie Sam? - krzyknął wściekle. - Gdzie ona jest?

- Byłem pewien, że z tobą.

- Dlaczego? Skąd ta pewność?

- Przysłała mi esemesa.

- Cholera!

- O co chodzi?

- Dzieje się coś złego. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale jej komórka jest wyłączona. Nie mam od niej żadnej odpowiedzi. Widziałeś gdzieś Miriam?

- Miriam? - Twarz Rapha nagle poszarzała.

- Ty draniu! - krzyknął Mick. - Mów, co się dzieje!

- Ja... nie wiem.

- To Miriam, tak?

Raph skinął głową.

- Tak.

\*

Johnny siedział w kuchni nad talerzem tajskiego jedzenia i opróżnioną w połowie butelką clareta. Przed sobą miał notatnik adresowy otwarty na literze „M”. Grało radio. Zespół Queen śpiewał *Cygańską rapsodię*.

Na widok Sam w czarnej wieczorowej sukni na jego przystojnej twarzy odbiło się zaskoczenie, a potem radość i podziw, które jednak ustąpiły miejsca przerażeniu, gdy zobaczył Miriam z rewolwerem w ręku wycelowanym w plecy dziewczyny.

- Sam... - zdołał tylko wyjąkać i zamilkł. Jego otwarte usta utworzyły dużą literę „O”.

- Dobry wieczór, Johnny - spokojnie powiedziała Miriam, lecz obrzuciwszy spojrzeniem stół, zmarszczyła brwi. - Jak możesz jeść takie świństwo? Masz w lodówce porządne jedzenie. - Nagłym ruchem wyłączyła radio.

- Zapomniałem - bąknął Johnny. - Jak tam konkurs? - zagadnął Sam.

Spojrzała na niego jak na wariata. Konkurs? Jej wydawał się teraz czymś nierealnym.

Jak na litość boską ci ludzie mogą w tym momencie rozmawiać o muzyce czy o jedzeniu?

- A co to ma za znaczenie? - odparła, wskazując ruchem ręki wycelowany w siebie rewolwer.

- Ach tak, rozumiem. - Spróbował podnieść się z krzesła, lecz zastygł w bezruchu, słysząc ostry jak brzytwa głos Miriam:

- Ani kroku, Johnny!

- Dlaczego? Czy to jakiś żart? - zapytał, patrząc na nią okrągłymi oczyma, ale zdławiony głos świadczył, że doskonale wie, co się dzieje.

Miriam wysunęła krzesło spod stołu i kazała usiąść swojej zakładnicze, sama zaś stanęła za nią, tak że od Johnny'ego dzieliła ją tylko szerokość stołu. Sam widziała jej twarz w stojącym na kredensie lustrze. Broni nie widziała, czuła ją jednak każdym nerwem. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Miriam nie zawaha się jej użyć, jeśli któreś z nich dwojga spróbuje wykonać jakikolwiek zakazany ruch.

- Posłuchaj mnie, Johnny - powiedziała, patrząc mu w oczy - posłuchaj mnie bardzo uważnie, bo powiem to tylko raz. Nie odchodź ode mnie, słyszysz? Nie mogę bez ciebie żyć. I nie chcę.

Zgodził się natychmiast.

- Dobrze, zostaję z tobą. A teraz odłóż tę broń i pozwól Sam odejść.

- Nie bądź idiotą! - warknęła. - Wszystkie te kłopoty to jej wina, a ty mi każesz ją puścić? O nie!

- Moja wina? - Sam spróbowała obrócić się do niej twarzą, lecz czując na policzku lufę rewolweru, zaniechała tego zamiaru.

- To jakiś obłąd! Jak to sobie wykombinowałaś?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Nie zamierzam z tobą dyskutować.

- W takim razie, co zamierzasz zrobić?

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Oczekujesz kogoś? - spytała Miriam Johnny'ego i chwyciwszy leżący na stole notatnik, przyjrzała się nazwiskom widniejącym na otwartej stronie. - Czyżby Pamelii Moore? Chcesz z nią odbyć słodkie sam na sam?

Johnny w milczeniu pokręcił głową, nie odrywając oczu od płaskiej twarzy swej żony. Ona tymczasem, trzymając wciąż Sam na muszce, okrążyła stół, chwyciła słuchawkę, na chwilę przyłożyła ją sobie do ucha, a potem wcisnęła Johnny'emu do ręki.

- Odbierz! - rozkazała mu bezgłośnie. - A ty - pogroziła Sam bronią - ani słówka!

- To ty, Raph? Witaj - odezwał się Johnny. - Sam? Hm... nie - powiedział, patrząc na

Miriam, która gwałtownie pokręciła głową. - Nie mam pojęcia, gdzie jest. Miriam? Też nie wiem, co się z nią dzieje. Tak, oczywiście. Dam ci znać, kiedy tylko którąś z nich zobaczę. Bardzo żałuję, że nie jestem w stanie ci pomóc. Bywaj, Raph.

- Dobrze - stwierdziła Miriam. - Nie chcemy tu dziś żadnych gości, prawda?

- Tak? Co zamierzasz zrobić?

- To zależy od ciebie.

- Ode mnie?

- Owszem. Musisz udowodnić, że nigdy mnie nie opuścisz.

- Doskonale. Powiedz tylko, czego sobie życzysz. Zrobię wszystko, co każesz, wszystko, Miri!

- Nareszcie! - westchnęła z uśmiechem.

- Co mam zrobić?

- Nic wielkiego. Sam musi umrzeć, więc trzeba ją zabić, lecz tym razem ty to za mnie zrobisz!

\*

Raph zamknął komórkę i schował ją do kieszeni.

- Są w Wardley.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Mick. - Ten ktoś powiedział ci przecież...

- Poznałem po jego głosie. Johnny zupełnie nie umie kłamać. Możesz mi wierzyć, znam go od lat.

- Jak długo trzeba tam jechać?

- Godzinę. Przy szybkiej jeździe czterdzieści minut.

Mick obrzucił Rapha krytycznym spojrzeniem. Jego mentor nie wyglądał dobrze. Wątpliwe, czy byłby zdolny nawet wyjechać z parkingu bez stłuczki.

- Daj mi kluczyki - zażądał. - Ja poprowadzę, a ty mi opowiesz o Miriam.

Raph przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

- O nie!

- O tak! Wsiadaj do wozu! Szybciej! Tracimy czas!

- I tak już za późno.

- Wsiadaj, do cholery! - Mick chwycił go za ramię i wepchnął na fotel. - Pojechałbym sam, ale potrzebny mi pilot.

- To beznadziejne, nie zdążymy - jęknął Raph.

Mick wskoczył za kierownicę i zatrzasnął drzwi.

- Którędy?

- Czwórka. Aż do zjazdu na Newbury.
- Zapnij pas. Będziemy musieli przygazować.
- Nie dasz rady.
- Ale mogę spróbować.

Przez następne piętnaście minut Mick musiał skoncentrować się na jeździe w gęstym ulicznym ruchu. Dopiero gdy znaleźli się na autostradzie, gdzie wóz Rapha spokojnie wyciągał sto osiemdziesiąt, zapytał swego pasażera:

- Od początku wiedziałeś, że morderczynią jest twoja siostra, prawda? Dlaczego milczałeś, na Boga?

- Uratowała mi życie. Czy mogłem postąpić inaczej? - odparł Raph.

Mick zerknął na niego ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć, że Kirsten Waller zagrażała twojemu życiu?

- Nie, oczywiście, że nie! Z Kirsten to inna sprawa. Miriam ocaliła mi życie, gdy oboje byliśmy dziećmi. Zawdzięczam jej wszystko.

- Opowiedz mi o tym, bo wciąż nie rozumiem.

Och nie, to niemożliwe. Raph nie był w stanie przełamać nakazu milczenia. Zbyt długo żył pod jego presją. Czuł, że nigdy nie potrafi podzielić się z nikim tym, co się stało, gdy miał sześć lat, i co wywarło niezatarty wpływ na jego życie. Cóż za paradoks, że ktoś tak wymowny jak on, adwokat ceniony za swe krasomówstwo, nie jest w stanie powiedzieć ani słowa o tym, jak naprawdę zginął jego ojciec.

Miriam też nie. Tylko raz próbowała coś powiedzieć. Było to wiele lat temu, jakieś sześć tygodni po pożarze. Mieszkali wtedy z matką w wynajętym mieszkaniu. Był wieczór, matka rozpałała ogień pod kuchnią, on kolorował obrazki w takiej specjalnej książeczce, gdy nagle usłyszał głos Miriam:

- Ja to zrobiłam, mamusiu.

- Co takiego, kochanie? - spytała matka. Na policzku miała smugę z sadzy. Była jeszcze wtedy bardzo piękna.

Pamiętał swoje przerażenie. Pochylony nad kolorowanką, bał się nawet głośniejszemu odetchnąć. Co teraz będzie? Był to dla niego istny koniec świata.

- To ja rzuciłam zapaloną zapałkę na pościel - szepnęła Miriam. - Od tego zaczął się pożar. To moja wina, że tatuś nie żyje. Zrobiłam to, bo nie chciałam, żeby wsadził Rapha do pudełka, ale nie wiedziałam, że umrze na zawsze, że nigdy go już nie będzie. Naprawdę tego nie chciałam.

Odłożywszy garść drewna na podpałkę, matka odgarnęła z twarzy pasmo włosów,

rysując na policzku drugą czarną smugę, a potem uważnie przyjrzała się swojej cichutkiej, bojaźliwej córce. Miriam bała się wszystkiego, co nowe: nowych miejsc, nowych zadań. Raph widział, że matka, słysząc jej słowa, nawet nie mrugnęła okiem. Czuł, że postanowiła nie przyjmować ich do wiadomości.

- Nie bądź głuptaskiem, Miriam - powiedziała twardo. - Nikt tu w niczym nie zawinił. To był wypadek. Wszyscy kochaliśmy tatusia i nikt z nas nie chciał go skrzywdzić.

- Ale tatuś powiedział, że zabije Raphiego. Nie mogłam mu na to pozwolić.

- Dość tego, Miriam! To bardzo nieładnie wymyślać takie niestworzone rzeczy. Nigdy więcej nie chcę o tym słyszeć, zrozumiałaś?

- Ale mamusiu...

- Powiedziałam, koniec! Jeśli nie przestaniesz opowiadać tych okropnych głupot, pójdziesz do swego pokoju i będziesz tam siedzieć, dopóki się nie poprawisz.

Na samo wspomnienie tej sceny Raph mimo woli jęknął. Miał wrażenie, że począwszy od owej chwili całe jego życie było wielkim, bezgłośnym krzykiem udreki. Tak wiele utracił przez to nieustanne udawanie, tę rosnącą wciąż górę kłamstw, od których nie było ucieczki.

- A co z twoją matką? - zawołał Mick. - Jak mogłeś pozwolić, żeby wzięła na siebie winę?

- Zasłużyła sobie na to - sucho rzucił Raph. - Tak naprawdę to ona jest wszystkiemu winna.

- Jak to?

Ale Raph i tego nie był mu w stanie wyjaśnić.

- Uwierz, że jest, jak mówię - odrzekł krótko.

- Pozwoliłeś Miriam zabić swoją żonę - zaatakował go Mick.

- Myślisz, że tego chciałem? Kirsten była dla mnie wszystkim! Gdy mnie opuściła, cierpiałem jak potępieniec.

- Ale bardziej kochasz Miriam! - krzyknął Mick. - Skąd mogę wiedzieć, czy i teraz jej nie pomagasz? Może wcale nie zabrała Sam do Wardley, a ty specjalnie mnie okłamujesz, żeby dać jej czas! Żeby mogła spokojnie rozprawić się z Sam!

- Och nie! Sam zawsze była mi bliska. Próbowałem chronić ją przed Miriam.

- Jakoś tego nie zauważyłem.

- Ale to prawda. Powiedziałem Miriam, że w dzienniku Kirsten znajduje się wzmianka, którą można uznać za dowód, że miała coś wspólnego ze śmiercią mej żony. Sądziłem, że w ten sposób będę ją mógł kontrolować. Że zdołam ją powstrzymać, gdyby chciała znów kogoś... skrzywdzić.



- Co to za dowód?

- Skłamałem. Nie było żadnego dowodu. Chciałem ją tylko przestraszyć. Zmusić do opamiętania. Zagroziłem, że jeśli spróbuje popełnić znów jakieś szaleństwo, pokażę dziennik policji.

- Ach, więc dlatego robiła wszystko, żeby odebrać go Sam.

- Później przyznałem jej się do kłamstwa, ale mi nie uwierzyła.

- Kirsten jednak myślała, że to Diana jest morderczynią.

- Tak.

- Jak mogła się tak pomylić?

- Ponieważ zeznaliśmy zgodnie, że wtedy gdy zginął Anthony, samochód prowadziła Diana.

- A tymczasem za kółkiem siedziała Miriam.

- Oczywiście.

- Ale dlaczego Diana milczała? Mogła przecież powiedzieć prawdę.

- Nie pojmujesz tego, co? - westchnął Raph. - Nie znasz mojej matki. Ona by miała powiedzieć prawdę? Ujawnić rodzinne sekrety? O nie! Ktoś, kto jak ona kłamał całe życie, nie jest do tego zdolny. Nie wiedziałyby nawet, od czego zacząć. Gdy ją aresztowano, zacząłem ją przekonywać, że wszystko dobrze się skończy, jeśli będzie siedziała cicho. Uwierzyła. Nie musiałem nawet zbytnio się wysilać. Nietrudno skłonić do milczenia kogoś, u kogo ukrywanie prawdy stało się drugą naturą. Jest przekonana, że policja wkrótce zrozumie, jak ogromny popełniła błąd, a ona wyjdzie z aresztu i wszystko będzie jak dawniej.

- Musi przecież wiedzieć o Miriam!

- W głębi duszy na pewno tak, ale nigdy się do tego nie przyzna. Nasza rodzina jest idealna i taka musi pozostać.

- O Jezu, to już kompletne wariactwo! - westchnął Mick.

- Masz rację.

- Powiedziałeś, że Sam jest ci bliska, jak więc ją mogłeś narazić na takie niebezpieczeństwo?

- Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale Miriam jest dla mnie... - Raph zamilkł, szukając właściwych słów na określenie tego, co łączy go z siostrą. Nie znalazł ich najwidoczniej, bo nie skończył zdania. - Kiedy jednak zobaczyłem dziś Sam na scenie - podjął po chwili - było tak, jakbym widział Kirsten. Ma w sobie tyle z matki! Ten sam uśmiech, tę samą żarliwość, to samo zdecydowanie w dążeniu do celu! Wtedy zrozumiałem, że muszę jej bronić bez względu na cenę.

- Gdyby nawet trzeba było poświęcić Miriam?  
- Tak, nawet wtedy.  
- Myślisz, że twoja siostra to wyczuła? - Mick przypomniał sobie nagle wyraz twarzy Miriam pod koniec koncertu.  
- O tak, z pewnością.  
- I co teraz zrobi?  
- Nie wiem.  
- Kłamiesz!  
- Możliwe, ale czy to ważne? Dostyc tych pytań. Wkrótce wszystkiego się dowiesz. A teraz zwolnij. Za chwilę będziemy skręcać.

## 24

Naprawdę czuła się jak ptak, potężny ptasi drapieżca, szybujący w przejrzystym powietrzu gdzieś bardzo wysoko nad głowami tych słabych przyziemnych istot. Była nie do pokonania; ani Johnny, ani ta dziewczyna, ani nikt na świecie nie zdołałby stawić jej czoła. Patrzyli na nią z respektem i strachem: nareszcie poznali prawdę!

Nie tylko ten chłodny rewolwer, tak doskonale pasujący do ręki, dawał jej poczucie nieograniczonej siły. Prawdziwą jej tajną bronią były odwaga i bystrość. Dzięki nim mogła robić, co chciała. Ratować i niszczyć. Czasami trzeba coś zniszczyć, żeby coś ocalić.

Zrozumiała to wiele lat temu.

Stało się to w chwili, gdy po raz pierwszy zaczęła działać i nagle poczuła, że opuszcza ją cały strach, że już nie jest nieśmiałą zagubioną Miriam. Było to w dniu śmierci ojca.

Niektóre wspomnienia związane z tym dniem zdały się już zatrzeć, ale większość zachowała klarowność kryształu. Czy pragnęła jego śmierci? Tak, tyle że zupełnie nie zdawała sobie sprawy, czym naprawdę jest śmierć.

Pamiętała Rapha biegnącego chwiejnie przez pole z nieżywym pieskiem w ramionach. Szlochał tak rozdzierająco! Z pewnością z żalu po Chippym, ale jeszcze bardziej ze strachu. Ojciec już wiele razy groził mu straszliwą karą za o wiele mniejsze przewinienia niż śmierć swojego ulubieńca. Miriam nie wątpiła, że tym razem spełni swą groźbę. Raph także był tego pewny.

Gdy wszedł do holu, zobaczył ojca.

- Tatusiu... - wyjąkał - ...ja nie chciałem. Proszę cię, tatusiu...

- Milcz! - Twarz ojca nagle się zmieniła, gdy zobaczył, że Chippy nie żyje. Wyrwał Raphowi malutkie psie ciało i trzymając je za skórę, przyjrzał się żalostnej kupce zakrwawionego futerka. Wyglądało to tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

A potem spojrzał na Rapha.

- Kto ci pozwolił wyprowadzić go z domu?

Próbując stłumić łkanie, Raph dostał czkawki.

- Co ci powiedziałem?

- Proszę cię, tatusiu - szepnęła Miriam.

- Nie wtrącaj się, Miriam. - Powiedział to bardzo spokojnie. Och, byłoby lepiej, gdyby zaczął krzyczeć! - Pamiętasz, co spotyka nieposłusznych chłopców? - zwrócił się znów do Rapha. - Przypomnij sobie, co się stało z twoją świnką morską. To samo czeka i ciebie. Idę teraz się przespać, ale gdy zejdę na dół, włożę cię do pudła i zakopię. To nauczy cię posłuszeństwa. - Sapał jak miech kowalski, ale nadal nie podnosił głosu.

Zapadła cisza. Raph był tak przerażony, że nie mógł już nawet płakać.

Ojciec upuścił zwłoki Chippy'ego i chwyciwszy Rapha za kark, wepchnął go do szafy pod schodami, a potem starannie zaryglował drzwi.

- Poczekasz tu sobie na karę. - Po tych słowach poszedł na górę razem z wielkim czarnym labradorem imieniem Major.

Miriam patrzyła na to ze zgrozą. Jak długo Raphie będzie tam musiał siedzieć? Do wieczora? A może przez całą noc? On tak strasznie boi się ciemności! Nawet we własnym łóżku przy zapalanej lampce długo nie mógł zasnąć ze strachu, a gdy w końcu morzył go sen, zaczynał krzyczeć, bo śniły mu się koszmary. Jeśli dłużej posiedzi w tym ciemnym i dusznym schowku, myśląc o czekającej go okropnej karze, rozum mu się pomiesza ze strachu.

Postanowiła poszukać pomocy u matki.

- Zrób coś, mamusiu - poprosiła, słysząc dochodzące spod schodów łkanie. - Nie pozwól tatusiowi zakopać Raphiego! Proszę cię, mamusiu! Musisz coś zrobić!

Gdy ojciec zniknął na górę, stojąca w drzwiach kuchni Diana wytarła ręce fartuchem i posłała Miriam promienny uśmiech. Ten pusty, promienny uśmiech, którego Miriam okropnie się bała. Kiedy się pojawiał, było tak, jakby matka nagle gdzieś znikła, a jej miejsce zajęła bezduszna woskowa lalka.

- Myślę, że na podwieczorek upiekę nam trochę placuszków - powiedziała rażno. - Będzie miło, prawda, kochanie?

Czy ona nie słyszy płaczu Rapha? Nie czuje, że w tym domu zaczną wkrótce dziać się straszne rzeczy? Jej już huczało w uszach ogłuszający łoskot zbliżającej się katastrofy.

- Ale mamusiu...

- Bądź dobrą dziewczynką, Miriam. Idź na górę i zobacz, czy tatuś zgasił papierosa. Nie chcemy, żeby zdarzył się jakiś wypadek, prawda?

- Wypadek?

- Pożar, kochanie. Nie chciałybyś przecież, żeby nasz dom się spalił.

Miriam usłuchała, lecz gdy postawiła nogę na stopniu, stało się coś dziwnego. Zobaczyła nagle, że otacza ją białe światło. W niej samej, w środku, też było to światło i mówiło jej, co ma zrobić. Powiedziało wyraźnie, że musi ocalić Rapha. To był rozkaz.

W owej chwili przestała być małą przerażoną Miriam; stała się aniołem zemsty, wszechmocną, promieniejącą światłem olbrzymką.

To światło niosło ją na górę. Nie słyszała już płaczu Rapha, szczęku garnków w kuchni ani głosu matki podśpiewującej jakąś piosenkę. Słyszała tylko chrapanie ojca. Chrapał całkiem jak wielkie zwierzę, które nagle padło gdzieś w polu. Zrozumiała, że to ona ma się postarać, aby nigdy się już nie podniósł. Powiedziało jej o tym światło.

Nie musiała sprawować się cicho. Kiedy tatuś tak chrapał, nic go nie budziło, nawet szczekanie Majora. Wielki pies leżał teraz przy nim na łóżku. Na jej widok podniósł łeb i warknął. Czasami się go bała. Pewnego razu, kiedy chciała wyjąć tłące się papierosa z zaciśniętych palców tatusia, Chapman ją w rękę.

Tym razem nie czuła strachu. Białe światło osłaniało ją jak tarcza. Nie bała się nawet ojca. Będzie spał bardzo długo, tak długo, że nigdy nie skrzywdzi już Rapha. Tego dnia zgasił papierosa; niedopałek leżał w popielniczce, nie groził im więc wypadek...

Ledwie dotykając stopami podłogi, przefrunęła dzielącą ją od łóżka przestrzeń i zaczęła przyglądać się ojcu. Zdziwiło ją, że skóra na jego twarzy ma tyle różnych kolorów; nigdy dotąd tego nie zauważyła. Miejscami była żółtawa, gdzieniegdzie różowa, a koło oczu niebieska. Na policzkach rysowały mu się gęsto drobne czerwone żyłki, które w okolicach ust przybierały brzydką fioletoworóżową barwę. Nie lubiła tego koloru. A przebijające się przez skórę kępki ciemnego zarostu wyglądały odrażająco.

Wyjęła papierosa z leżącej na nocnym stoliku paczki i przytknęła do niego płonąca zapałkę, ale nie chciał się palić. Musiałaby wziąć go do ust i pociągnąć, a nie miała na to ochoty. Zdmuchnęła zapałkę, gdy ogień zaczynał już sięgać jej palców.

Zapaliła drugą i trzymając drewno między palcem wskazującym i kciukiem, patrzyła, jak twarz ojca wilgotnieje pod wpływem ciepła wydzielanego przez płomyk. W chwili, gdy języczek ognia już prawie liznął jej rękę, upuściła zapałkę na pościel. W kołdrze pojawiła się brązowa dziurka, która szybko zaczęła się rozszerzać, chociaż ognia nie było

widać. Major warknął. Miriam zapaliła kolejną zapałkę, a potem kilka następnych. Brązowych dziurek było coraz więcej.

A potem nagle buchnęły płomienie. Wtedy rzuciła pudełko i czym prędzej wybiegła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Białe światło zniosło ją ze schodów. Jak ptak przefrunęła kilka ostatnich metrów, odsunęła rygiel w szafie pod schodami i krzyknęła na Rapha, żeby wyszedł, że nic mu już teraz nie grozi. Nie zrozumiał; zamiast wyjść, jeszcze głębiej wcisnął się w ciemność. Musiała chwycić go za ramię i wyciągnąć. „Pali się!” krzyknęła - i wybiegli razem do ogrodu.

Stanęli pośrodku trawnika, skąd mogli bezpiecznie obserwować dom.

Major czekał. Tak głośno i tak rozpaczliwie jak jeszcze nigdy. Och nie! Jest zamknięty w sypialni razem z ojcem! Skacz, Major, skacz! W oknie na piętrze mignęła im przesłonięta gęstym dymem sylwetka ojca. Machał rękami, ale trwało to bardzo krótko. Później widzieli już tylko wielkie kłęby dymu wylewające się z tego okna. Matka wybiegła z domu, trzymając w ręku drewnianą łyżkę.

Strasznie krzyczała, ale Miriam była tak spokojna, jak jeszcze nigdy w życiu. Zmieniła losy rodziny, ocaliła życie swemu bratu. Czuła się wszechmocna.

To cudowne uczucie trwało niestety dość krótko. Gdy uświadomiła sobie, że tatuś już nigdy nie wróci, ogarnęło ją oszołomienie, a potem strach. Przeraziła ją myśl, że mała dziewczynka potrafi dokonać takich rzeczy - na zawsze zmienić życie rodziny, sprawić, że koło domu zgromadzi się tylu ludzi - strażaków z węzami do gaszenia ognia, policjantów w błyskających światłem samochodach, ratowników w białych ambulansach - i że tylu dorosłych będzie płakać nad świeżym grobem. Przeraziła ją własna potęga; to, że może decydować o życiu i śmierci. A jeśli kiedyś zechce znów to zrobić?

Próbowała powiedzieć o tym matce, ale matka nie chciała słuchać. Powiedziała, że to nieprawda. Miriam też chwilami zaczynała się zastanawiać, czy to wszystko jej się nie przyśniło. Próbowała nawet wmawiać samej sobie, że po prostu to wymyśliła.

Najbardziej przerażające były chwile, gdy wracało tamto uczucie. Uczucie, że unosi się nad ziemią otoczona kręgiem białego światła. Zdarzało się to zwykle wtedy, gdy ktoś dokuczał Raphowi albo gdy kogoś się bała.

Zrozumiała, że musi być bardzo ostrożna. Nauczyła się milczeć i niczym się nie wyróżniać. Tak było najbezpieczniej. Gdy koledzy zaczynali się z nią drażnić, stawała się głucha. Upomnienia nauczycieli przyjmowała w milczeniu, z nisko pochyloną głową. Nie pozwalała Raphowi sprowadzać do domu przyjaciół, bo ogarniała ją złość, gdy któryś zaczynał się z niego natrzęsać. Bała się swego gniewu. Sama też nie miała przyjaciółek: nie

były jej potrzebne. Wystarczał jej Raph. We dwoje byli najszczęśliwsi.

Było tak do czasu, póki matka nie poznała Leo Tylera; póki ten nie zaczął jej przekonywać, że Rapha trzeba umieścić w szkole z internatem. Miriam nic nie powiedziała, ale ogarnęła ją panika. Dla niej byłby to koniec wszystkiego. Już sama myśl o tym, że w domu może nie być Rapha, przyprawiała ją o ciężki ból głowy. Musiała coś wymyślić, żeby nie dopuścić do tej katastrofy.

Ojciec zginął w wypadku - w każdym razie tak to wyglądało. Leo również, z tą różnicą, że jego potrafiłaby uratować. Gdyby tego chciała. Wiedziała też już, czym jest śmierć. Miała wtedy piętnaście lat. Leo, właściciel niewielkiej łodzi, uczył ją żeglowania. Znał się na tym. Płynęli po zatoce Solent, ćwicząc procedurę „człowiek za burtą”. Trzy razy była już w wodzie i zęby szczękały jej z zimna, a w głowie waliły młoty. Wtedy Leo zarządził zmianę ról. Powiedział, że chce się przekonać, czy umiałaby sama poprowadzić łódź, gdyby jemu zdarzył się wypadek.

Gdy zobaczyła go w wodzie - wywijał rękami jak tonący, wykrzykując zarazem komendy, w jaki sposób powinna manewrować - wróciło tamto uczucie. Spowiło ją białe światło. Nie musiała nawet podejmować żadnej decyzji - wszystko stało się jakby samo z siebie. Ona tylko zawróciła łódź w stronę brzegu. Leo myślał z początku, że to żart. „Pospiesz się, Miriam”, wołał ze śmiechem. „Cholernie mi zimno!” Potem dopiero zaczął kłać i wrzeszczeć, że ma natychmiast wracać. Płynęła dalej, nie zwracając na to uwagi. Jego krzyki zaczęły cichnąć i w końcu przestała je słyszeć.

Później była tym tak wstrząśnięta, że dostała ataku hysterii. Położono ją do łóżka i wezwano lekarza, który dał jej jakiś środek uspokajający. Przeleżała w tym łóżku cały miesiąc, tak słaba, że nie mogła nawet ruszyć nogą. Wszyscy jej współczuli; powtarzano, że musiała bardzo lubić Leo Tylera.

Z Anthonym było inaczej - skorzystała z okazji. Nauczyła się tego. Była to niezwykle pożyteczna umiejętność i Miriam szczyliła się nią w duchu. Anthony musiał umrzeć, bo krzywdził Johnny'ego, a ona nie mogła na to pozwolić. Od kiedy został jej mężem, czuwała nad nim tak jak nad Raphem. Nie obmyśliła jeszcze żadnego konkretnego planu, gdy jednak spostrzegła swego szwagra idącego wraz z Raphem brzegiem wąskiej drogi dojazdowej, natychmiast zrozumiała, że nadszedł właściwy moment. Samochód, całkiem jakby wyczuwał jej myśli, sam skręcił w stronę Anthony'ego i zwałił go z nóg, a gdy ten próbował się podnieść, uderzył w niego ponownie. Ten wóz naprawdę musiał znać jej myśli.

Z Kirsten było najtrudniej. Miriam nie chciała śmierci tej kobiety. Pojechała do Kornwalii tylko w jednym celu: aby jej wytłumaczyć, że nie powinna demaskować Diany.

Cóż, kiedy Kirsten nie chciała tego zrozumieć. Była taka uparta. To właśnie ten upór stał się przyczyną jej śmierci. Nie było innego wyjścia. W grę wchodziło przecież bezpieczeństwo całej rodziny.

Taki los po prostu pisany był Kirsten. Gdyby było inaczej, czy to radio z wijącym się jak wąż przewodem stałoby na podłodze obok wanny? Narzędzie śmierci tylko czekało, żeby ktoś go użył. Wystarczyło nim rzucić jak kawałkiem mydła. Było to takie proste!

Proste dla kogoś, kto dysponował potęgą pozwalającą zmieniać ścieżki losu. Ona miała w sobie taką moc. Moc unicestwiania ludzi, którzy próbowali stawać jej na drodze.

Teraz przyszła kolej na Sam - i ona o tym wiedziała. Zdradzały ją oczy i blada ściągnięta twarz poznaczona zmarszczkami strachu. Wiedziała, że musi umrzeć. Zasłużyła sobie na to! - pomyślała bezlitośnie Miriam. Ta dziewczyna swym upartym wścibstwem zniszczyła jej życie! Johnny odwrócił się od niej, matka jest w więzieniu, a Raph zamierza iść na policję. Chce ujawnić „prawdę”, a wszystko po to, żeby tej mąciielce nie stała się krzywda! Nietrudno było domyślić się jego planów. Wystarczyło widzieć, jakim wzrokiem patrzył dziś na tę dziewczynę. Postanowił się odciąć od swojej jedynej siostry, ale nie, to mu się nie uda! Sam też nie zdoła ocalić. Już na to za późno.

- Proszę cię, Miriam, porozmawiajmy spokojnie - usłyszała nagle głos Johnny'ego. Nadal siedział przy stole, tak jak go zastały, gdy weszły do kuchni. Nawet się nie poruszył.

- Jestem zupełnie spokojna. - Była to prawda. Zawsze była spokojna, gdy już podjęła decyzję. - Powiedz, że mnie kochasz - zażądała.

- Kocham cię.

- Powiedz, że mnie nigdy nie opuścisz.

- Nigdy cię nie opuszczę. Posłuchaj...

- Powiedz to jeszcze raz. Z przekonaniem. Tak, żebym ci uwierzyła.

- Możesz mi wierzyć. Odłóż broń.

- Nie! Najpierw powiedz, że mnie kochasz! Naprawdę.

- Kocham cię, do diabła!

Miriam pokręciła głową. Nie, nie zabrzmiało to tak, jak chciała. Czuła, że traci moc, białe światło zaczynało się rozpraszać; za jego kręgiem czaił się lęk. Gniewnie machnęła bronią.

- Nie, nie tak! Musisz mnie przekonać, że mówisz prawdę i że nigdy nie przestaniesz mnie kochać! - krzyknęła, chwytając powietrze jak ryba.

Johnny podniósł się z krzesła.

- Powiem wszystko, czego sobie życzysz, tylko odłóż tę broń.

Poczuła, że ogarnia ją ciemność, pokonała jednak to uczucie.

- Nie! Idź na górę! Ty też, Sam. Jedno za drugim. I pamiętaj, że trzymam cię na muszce.

Ruszaj!

\*

Gdy w połowie korytarza Miriam kazała jej się zatrzymać, Sam nagle zrobiło się słabo. W żołądku poczuła lodowate zimno - stali przy wejściu do wieży. Pomyślała ze zgrozą, że chyba już w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła ten mroczny, przesłonięty brezentem otwór, nawiedziło ją straszne przeczucie, że kiedyś będzie musiała tam wejść.

Johnny, idący przodem, przystanął jakiś metr za wejściem.

- Obróć się! - rozkazała mu Miriam.

Usłyszał. Widząc jego przerażoną twarz, Sam straciła nadzieję na jakąkolwiek konkretną pomoc z jego strony.

- Odsuń brezent! - padł kolejny rozkaz.

Zrobił, co mu kazała. Jak automat.

- A ty, Sam - warknęła Miriam, dźgając ją lufą w plecy - masz tam wejść!

Johnny wzdrygnął się nagle jak człowiek wyrwany ze snu.

- Daj spokój, Miriam! Nie każ jej tego robić. Tam nie ma desek, a do parteru jest z dziesięć metrów. Może się zabić.

- No właśnie - rzuciła Miriam. - Ruszaj, Sam!

Sam znów poczuła lufę rewolweru.

- Przestań, Miriam! - krzyknął Johnny. - O co ci chodzi? Co cię opętało? Powiedziałem przecież, że cię kocham! Czego jeszcze chcesz?

- Nie, Johnny, to mi nie wystarczy - odrzekła z cichym westchnieniem. - Co z tego, że tak powiedziałeś, skoro nie zamierzasz dotrzymać słowa? Wiem, że go nie dotrzymasz. Straciłam cię, Johnny, ciebie i twoją miłość. Nic już teraz nie mam, a wszystko przez nią.

- Ale dlaczego? Wytlumacz mi, po co to robisz, bo zupełnie tego nie rozumiem! - zawołał, próbując zyskać na czasie. - Powiedz mi o Anthonym! Czy to ty? Myślałem, że to Diana, ale teraz...

- Oczywiście, że ja. Zabiłam go dla ciebie. Pragnąłeś tego przecież, czyż nie? Przyznaj się, czy w głębi serca nie chciałeś jego śmierci? A ja... zrobiłabym dla ciebie wszystko!

- Dobry Boże, nie mogę w to uwierzyć!

- Uwierz, bo to prawda. Kirsten też zabiłam. Stało się i nie ma o czym mówić. Sam, słyszałaś, co powiedziałam? Naprzód! - Sam powoli zrobiła krok do przodu, wyciągając przed siebie ręce, jakby chciała odepchnąć tę czarną czeluść.



- A teraz stań!

Sam czuła już, jak zimne powietrze z dna wieży muska jej policzek, nagie ramiona i dekolt.

- Obróć się w prawo - zakomenderowała Miriam. - Dobrze, wystarczy. A teraz do środka!

- Nie mogę. Mam lęk wysokości.

- Idź!

- Skończ to szaleństwo, Miriam! - krzyknął Johnny. - Zachowujesz się jak obłąkana!

Na moment wszyscy zamilkli: coś zakłóciło nagle nocną ciszę. Sam nie wiedziała, czy to złudzenie, czy może ze strachu szumi jej w uszach, ale brzmiało to jak warkot samochodu podjeżdżającego pod dom. Zerknąwszy na Johnny'ego, zobaczyła, że i on to słyszy. Miriam również.

- Szybciej! - krzyknęła. - Kazałam ci wejść do wieży!

- Nie! - Johnny rzucił się naprzód. - Nie pozwolę...

Resztę zagłuszył huk wystrzału i głośny jęk bólu, który wyrwał mu się z piersi, gdy kula trafiła go w nogę. Runął na plecy, obejmując oburącz zranioną łydkę. Tryskała z niej krew, tworząc na podłodze ciemnoczerwoną kałużę.

Sam odwróciła się od otworu, lecz gdy druga kula świsnęła jej koło ucha, a Miriam wrzasnęła, że ma wejść do wieży, nie pozostało jej nic innego, jak tylko wypełnić ten rozkaz. I oto stała w dawnym pokoju wieżowym, otoczona jedynie czarną nicością i lodowatym powietrzem.

Podłoga została usunięta. Sam stała na cienkiej drewnianej belce z jedną bosą stopą przed drugą - na obie nie było tam miejsca. W jednej ręce ścisnęła zebrane w garść fałdy swojej długiej sukni, drugą wyciągnęła w bok, by utrzymać równowagę na wąskim kawałku drewna. W głowie tak jej huczało ze strachu, że ledwie słyszała bolesne skomlenie Johnny'ego.

Skup się, powiedziała sobie. Patrz przed siebie. Nie waż się spojrzeć w dół.

Nie wolno ci popełnić błędu.

- Idź dalej, do diabła! - wrzeszczała Miriam.

O nie! Sam całą energię skupiła tylko na jednym: utrzymać równowagę, nie spaść w tę czarną przeraźliwą czeluść! Wydawało jej się, że to przepaść bez dna, że jeśli w nią runie, będzie spadać bez końca, przez całą wieczność.

- Powiedziałam, ruszaj! - krzyknęła znów Miriam, strzelając na oślep w otwór.

Huk wystrzału poderwał Sam z miejsca. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi,

przebiegła parę kroków po tej strasznej belce - i nagle straciła oparcie: stopa ześliznęła jej się z deski, coś ostrego drasnęło ją w łydkę! Krzyknęła dziko i całym ciałem rzuciła się naprzód. Mocne uderzenie w klatkę piersiową powiedziało jej, że miała szczęście: upadła na coś solidnego. Drewno. Nie czując wbijających jej się w ręce drzazg, uczepliła się go z całej siły. W tej części wieży pozostał kawałek podłogi. Jej stopy wisiały w powietrzu, ciężka suknia ciągnęła ją w dół, resztą ciała jednak czuła pod sobą zbawcze deski. Położywszy na nich głowę, wydała drżące westchnienie ulgi.

- Sam! - rozległ się męski głos. - Gdzie jesteś?

To Mick. Głos dochodził z dołu. Z bardzo daleka.

Gruchnął kolejny strzał. Sam podciągnęła się na deski i zastygła w bezruchu, rozplaszczona jak placek. Widząc, że jej nagie ramię bieleje w ciemności, czym prędzej zakryła je suknią. Na tle oświetlonego otworu wyraźnie rysowała się sylwetka Miriam z rewolwerem w ręku. Ile jeszcze zostało jej kul? Miała nadzieję, że ta wariatka jej teraz nie widzi, ale na wszelki wypadek jeszcze mocniej przyłgnęła do desek.

Gdzieś z głębi domu doszedł ją odgłos kroków i czyjeś okrzyki. Rozpoznała głosy Micka i Rapha. A potem Johnny zaczął ich nawoływać.

- Gdzie jesteś, Sam? - krzyknął znów Mick. Był chyba w wieży.

Z obawy przed Miriam wolą nie odpowiadać.

Och, ale oczy tamtej przywykły już do ciemności: Sam zobaczyła ze zgrozą wymierzony w siebie rewolwer.

- Nie! - usłyszała głos Rapha, a potem on sam pojawił się obok Miriam. Próbował wyrwać jej broń. Wywinęła mu się zręcznie i o Boże, weszła do środka! Chwiejąc się lekko, stała teraz na tej wąskiej belce.

- Nie, Miriam! - krzyknął znów Raph.

Zrobiła pół obrotu w jego stronę - i straciła równowagę! Wrzasnęła przeraźliwie, gdy jej ciało wygięte pod jakimś nieprawdopodobnym kątem zawisło na moment w powietrzu. Jej brat wyciągnął rękę, próbując ją chwycić, ale ona runęła już w dół, pociągając za sobą i jego. W ostatnim ułamku sekundy zdążyła uczeplić się jego ramienia. Powietrzem targnął ostatni wystrzał.

Sam mignęły jeszcze dwie splecione ze sobą sylwetki, nim oboje runęli w ciemność.

Takiego szumu medialnego, jaki towarzyszył promocji *Skrzydlatego mordercy i innych poematów*, nie wywołał żaden zbiorek poetycki od czasu *Birthday Letters*<sup>4</sup>. Nie obyło się przy tym bez paru kąśliwych recenzji, których autorzy nie omieszkali wytknąć znanej poetce wyraźnego obniżenia lotów, ale Trevor zupełnie się tym nie przejął. Nie zwracaj na nich uwagi, poradził Sam. Był pewien, że gdy wreszcie ucichnie cały ten zgiełk, wiersze Kirsten doczekają się właściwych ocen. Wtedy dopiero przemówią ich niewątpliwe walory: niepowtarzalny ton, humor i talent liryczny autorki. Kirsten mogła się mylić co do osoby mordercy, nie zmienia to jednak faktu, że była niezmiernie bystrą obserwatorką rzeczywistości, że doskonale znała zarówno naturę ludzką, jak i prawa rządzące światem przyrody. Jej wiersze, stwierdził na koniec, można czytać wielokrotnie i za każdym razem znaleźć w nich coś nowego.

Na promocję wynajęto salę wystawową w Bloomsbury, gdzie na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia zwykłych przedmiotów domowego użytku, sfotografowanych jednak pod tak niespotykanym kątem lub w tak niezwykłych zestawieniach, że sprawiały wrażenie jakichś niesamowitych rzeźb.

Jeszcze w dniu promocji Sam nie była pewna, czy weźmie w niej udział. O czwartej po południu zadzwoniła do Micka, by go powiadomić, że chyba nie przyjdzie.

- Nie wytrzymam tego - powiedziała. - Jak można promować książkę bez autorki? I jeszcze cała ta wrzawa! Moją matkę zamordowano, a my świętujemy! Przecież to tak, jakbyśmy na jej śmierci zbijali kapitał. To okropne.

- Wiem - odrzekł Mick.

Nie była to ich pierwsza rozmowa na ten temat – dyskutowali o tym od tygodni. Mick wiedział, jak żywiołową awersję budzi w jego dziewczynie ten niezdrowy rozgłos. Wycofała się z konkursu Frobishera, oświadczając zarazem publicznie, że co najmniej przez rok nie planuje żadnych występów. Mierziła ją myśl, że ludzie przychodziliby na koncerty nie z uznania dla jej talentu, lecz dla zaspokojenia chorej ciekawości: jak też wygląda osoba, której matkę zamordowano, a sama cudem uniknęła śmierci. Pragnęła uciec od tego wszystkiego. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży *Skrzydlatego mordercy* postanowiła wyjechać na roczne studia do Paryża.

- Wiem, że udział w tej imprezie nie będzie dla ciebie łatwy - powiedział pojednawczo - ale jeśli nie przyjdiesz, będzie jeszcze gorzej. Pomyśl: Kirsten pragnęła, żeby jej twórczość dotarła do ludzi. Weź też pod uwagę, że celem tego wieczoru jest oddanie hołdu życiu i pracy

---

<sup>4</sup> Opublikowany w 1998 r. zbiorek Teda Hughesa nawiązujący do śmierci jego żony, Sylwii Plath.

twojej matki. Uważam, że powinnaś przyjść.

- Ale ty też tam będziesz? I nie spóźnisz się?

- Oczywiście, że będę.

Sam chwilami zaczynała się martwić, że za bardzo polega na Micku, lecz w tych trudnych tygodniach po śmierci Miriam, kiedy Raph walczył ze śmiercią, ogromnie potrzebowała kogoś, na kim by mogła się oprzeć. Było to sprzeczne z jej naturą, jako że dotąd uważała za punkt honoru polegać wyłącznie na sobie, Mick jednak swoim oddaniem zdołał przełamać jej opór. Zaczynała sobie uświadamiać, że przyjęcie czyjejś życzliwej pomocy wcale nie jest oznaką słabości, że wymaga to także siły charakteru, czasem nawet większej niż sprzeciw.

Nadal jednak bała się bliskości. Wciąż nie była pewna, czy powinna głębiej się zaangażować. Był to jeden z powodów, dla których zdecydowała się na ten wyjazd. Jeśli łączy ją z Mickiem coś trwałego i prawdziwego, to ich związek przetrwa roczną rozłąkę, jeśli nie... czy nie lepiej przekonać się o tym wcześniej niż później?

Gdy weszła do sali, Mick rozmawiał z Trevorem, natychmiast jednak pojawił się u jej boku. Trevor wygłosił krótkie zagajenie - o książce i jej autorce - a potem oddał głos wydawcy.

Mick przysunął się do niej i otoczył ramieniem jej plecy. Jego dotyk podziałał na nią kojąco; dawał poczucie stałości, ciepła i bezpieczeństwa. Prawie nie słuchała przemówienia miłej pani z wydawnictwa. Treść zresztą nietrudno było przewidzieć: tragicznie przedwczesna śmierć świetnej poetki, i to w szczytowym okresie twórczości, zawarte w tytułowym utworze dziwne przeczucie własnego końca, znakomity zbiorek, który z pewnością przetrwa próbę czasu.

- A teraz - zakończyła mówczyni - córka Kirsten Waller pragnie powiedzieć państwu kilka słów.

Sam wystąpiła naprzód. Stojąc obok swojej wiolonczeli, którą wcześniej już przygotowano, powiedziała krótko:

- Moja matka była poetką, dlatego też rozumiała lepiej niż ktokolwiek inny, że słowa tylko w niewielkim stopniu zdolne są oddać nasze emocje. Powiedziała mi kiedyś, że uczucia, które wyzwała w nas sztuka, najlepiej wyrazić poprzez inną jej formę. Dlatego zamiast mówić o matce, pragnę zagrać Suitę *G-dur* Jana Sebastiana Bacha, utwór, który dla nas obu miał bardzo szczególne znaczenie. A ponieważ nie jest to koncert, tylko promocja, bardzo proszę nie przerywać rozmów.

Mimo tej prośby w sali zapadła absolutna cisza. Sam ze smyczkiem w ręku przez

chwilę stała nieruchomo, patrząc niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Dlaczego wybrała ten akurat utwór? Ponieważ kochała go Kirsten, bo sprawił, że jej własna kariera nabrała rozmachu, bo uratował jej życie, gdy pełna grozy stała w tej mrocznej straszliwej wieży. Wierzyła, że tak właśnie było.

Opuściła smyczek i zaczęła grać.

\*

Całkiem niedaleko, choć w zupełnie innym świecie, Raph leżał w szpitalnym łóżku zatopiony w niewesołych myślach. Jego życiu nie groziło już niebezpieczeństwo, czekały go jednak dalsze operacje - bez żadnych gwarancji, że przywrócą mu władzę w nogach. Wciąż jeszcze nękały go nieznośne bóle we wszystkich częściach rozbitego ciała.

Na cienkim szpitalnym przykryciu leżał przyniesiony wczoraj przez Trevora egzemplarz *Skrzydlatego mordercy*. Dziś Trevor zdał mu także obszerną relację z promocji. Wpatrzony w niewielką książeczkę, pomyślał, że wydawcy mieli tyle przynajmniej gustu, żeby nie umieszczać na okładce wizerunku żadnego ptaka.

Poprzestali na prostym liternictwie na nieagresywnie niebieskim tle. Kirsten byłaby zadowolona.

- Wciąż czytasz tę książkę? - spytała Diana, kiedy rankiem przyszła go odwiedzić. - Przyniosłam ci kilka tygodników. To weselsza lektura, nie uważasz?

Siedziała teraz przy łóżku, odczytując głośno wybrane fragmenty, które jej zdaniem powinny go były rozbawić bądź zaciekawić. Pobyt w więzieniu nie wyrządził jej żadnych dostrzegalnych szkód. Jedyną zmianą, jaką w niej zaobserwował, było to, że zaczęła nosić kapelusze. Ten dzisiejszy, w kolorze liliwoniebieskim, z króciutką woalką nad czołem, był doprawdy groteskowo wesolutki. Jej zdumiewająca umiejętność zamykania oczu na rzeczywistość budziła w nim chwilami zazdrość. Gdyby on to potrafił!

Mógłby wtedy udawać, że Miriam żyje, a ta kobieta, ich matka, siedzi wciąż w więzieniu. I tak być powinno. Za wszystko, co się stało, to ona ponosi winę. Obowiązkiem matki jest chronić swe dzieci, a ona - co dla nich zrobiła? Po chwili pomyślał, że może jednak jest dla niej niesprawiedliwy. W swojej prawniczej karierze - teraz definitywnie skończonej - miał do czynienia z tyloma sadystycznymi mężami, że doskonale zdawał sobie sprawę, w jakiej sytuacji była jego matka. Może starała się przetrwać w jedyny znany jej sposób: próbując ułagodzić męża ciasteczkami i paplaniną.

Nie odnosiło to skutku, więc do akcji wkroczyła Miriam. Biedna, kochana Miriam, jego ciemny anioł. Wiedział, że nigdy nie przestanie jej opłakiwać, lecz zarazem czuł coś na kształt ulgi, zaprawionej poczuciem winy, że ta wierna, kochająca siostra już nigdy nie

wprowadzi w jego życie morderczych fantazji.

Pragnął śmierci ojca. Siedząc w tej dusznej, cuchnącej szafie, pełnej starych zabłoconych butów, jakichś ostrych narzędzi i mysich bobków, wyobrażał sobie, że widzi, jak jego okrutny ojciec ginie w morderczym ogniu. „Nie bawcie się zapalkami”, przestrzegala ich matka. „Nie chcemy, żeby nasz dom poszedł z dymem”.

A on tego właśnie pragnął. Każdą cząsteczką swojego sześciolatniego ciała modlił się o to, żeby z tego domu pozostały jedynie zgliszcza. Pragnął tego tak mocno, że Miriam niczym poltergeist musiała przechwycić morderczą energię zawartą w owym pragnieniu i nadać realną formę tej fantazji.

Czy tak właśnie było? Czy to możliwe?

Wierzył, że tak. Zrobiła to przecież po raz drugi, gdy w życiu matki pojawił się nowy mężczyzna, który chciał go wysłać do internatu. Wyobrażał sobie wtedy, że ten człowiek tonie, a Miriam postarała się o to, żeby tak się stało.

Ale co z Anthonym? Czyżbym także pragnął jego śmierci? - pomyślał z niedowierzaniem. Chyba nie, ale może gdzieś w podświadomości tkwiło mu takie życzenie, i Miriam je podchwyciła? A Kirsten? Nie, jej na pewno nie pragnął zabić, kochał ją przecież, do licha! Tak, lecz fantazje mają to do siebie, że nie dają się kontrolować. Czasami nawet ich sobie nie uświadamiamy, więc może jednak?

A może Miriam zaczęła już wtedy miewać własne fantazje? Tak czy inaczej wyrwała się spod kontroli. Próbował nastraszyć ją dziennikiem Kirsten, ale się nie udało. Zabiła już tyle razy, że zaczęła się uważać za niepokonaną. Najgorsze, iż za następną ofiarę obrała sobie Sam. Czuł to przez skórę, a podczas tego koncertu zrozumiał ze zgrozą, że się nie myli, że jeśli nie powstrzyma Miriam, Sam wkrótce zginie.

Miriam, Diana, Raph. Które z nich było skrzydlatym mordercą?

- Jest tu bardzo ciekawy artykuł o wydrach - odezwała się Diana. - Mam ci przeczytać?

- Nie, dziękuję. Chyba się trochę zdrzemnę.

- W takim razie wyprowadzę Bobbo na spacer. Podać ci coś, zanim wyjdę?

- Nie, dziękuję, mam wszystko, czego mi trzeba.

- Tak? - uśmiechnęła się Diana. - To dobrze, kochanie.

# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim, którzy zadali sobie sporo trudu, by odpowiedzieć na moje pytania. Było ich wiele, i to z różnych dziedzin. Ayo Onatade, David Kirk i Amy udzielali mi wyjaśnień w kwestiach prawnych, Nadja Corcas i Richard Stott we wszystkim, co dotyczy gry na wiolonczeli, Ken McGregor w sprawach związanych z policją, Hugh Lander służył mi informacjami na temat zabytkowych budowli, Mike Jecks był mym ekspertem od broni palnej, Mary Combe natomiast dzieliła się ze mną swą wiedzą o świecie dzikiej przyrody. Składam również podziękowania Laurze Longrigg i Melissie Weatherill za krytyczne i bardzo pomocne komentarze redakcyjne. Lecz nade wszystko pragnę wyrazić swą wdzięczność Robyn Bolam za napisanie zawartych w książce pięknych strof poematu *Skrzydlaty morderca*.